WYDANIE NA BOŻE NARODZENIE – 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 51/660 15–28 GRUDNIA 2025

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- Co kryją akta paszportowe Leopolda Tyrmanda
- Dość chwalenia katastrof! – pamflet Janusza Korwin-Mikkego na naszą historię
- Jak oligarchia kozacka zrujnowała Ukrainę
- O dawnych elitach dziś – poruszająca rozmowa z Maciejem Radziwiłłem

BETLEJEM – MIASTO BEZ CHRZEŚCIJAN?

PISZĄ: LISICKI • ZIEMKIEWICZ • SEMKA • CEJROWSKI • WARZECHA • GOLONKA • MASŁOŃ • GOCIEK • BOJAŃCZYK • KRATIUK • PIECZYŃSKI • WIEROMIEJCZYK • KARWELIS • POSPIESZALSKI • KOMUDA • JASTRZĘBOWSKI • GABRYEL

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 51 >

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl fecde7f9bb

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Trump bardziej katolicki od Leona XIV

Nie jest to zapewne łatwo przyznać, ale w sporze o ocenę polityki europejskiej między Donaldem Trumpem a Leonem XIV rację ma ten pierwszy. Obecny papież okazał się bowiem, można sądzić, globalistą. Komentując krytyczne wypowiedzi Trumpa na temat polityki europejskiej, stwierdził on, że „uwagi na temat Europy, które ostatnio pojawiają się w wywiadach, moim zdaniem, próbują rozbić to, co w moim przekonaniu powinno być bardzo ważnym sojuszem dziś i w przyszłości".

Po spotkaniu z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim Leon XIV mówił: „Niestety, niektóre elementy [planu pokojowego], które widziałem, wprowadzają ogromną zmianę w tym, co przez wiele, wiele lat było prawdziwym sojuszem między Europą a Stanami Zjednoczonymi". Następnie dodał, że działania mające na celu zakończenie konfliktu na Ukrainie, a jednocześnie nieangażujące krajów europejskich są „nierealistyczne".

Pierwsze i proste pytanie brzmi: Co Leon XIV uważa za „realistyczne"? Zgodnie z samą nazwą realizm oznacza uwzględnienie sprzecznych sił i doprowadzenie do sytuacji, w której wojna ustaje. Realizm nie polega na chciejstwie, mrzonkach i wyobrażeniach. Co zatem konkretnie w planach amerykańskich jest „nierealistyczne"? W jaki sposób papież odpowiedziałby na słuszne uwagi Trumpa, że europejscy przywódcy jedynie gadają, a nie potrafią zakończyć zmagań wojennych?

Jeszcze bardziej osobliwie brzmią nauki Leona odnoszące się do krytyki cywilizacji europejskiej, którą przedstawił Donald Trump. Prezydent USA pokazał, w jaki sposób Europę niszczą pętanie wolności słowa i absurdalna polityka imigracyjna. „Wiele z tych krajów przestanie być krajami zdolnymi do funkcjonowania" – mówił Trump. „Ich polityka imigracyjna to katastrofa". Prezydent USA pokazał dwa przykłady fatalnych zmian, do których doszło wskutek masowego napływu obcych kulturowo przybyszów – Londyn i Paryż.

Trump posługuje się językiem prostym i dosadnym. Ale w tym sporze to on, a nie papież, bliższy jest tradycyjnemu katolickiemu rozumieniu tego, na czym polega dobro wspólne. Zaangażowanie Leona XIV w obronę obecnej, demoliberalnej polityki europejskiej jest najzwyczajniej w świecie nieroztropne i pokazuje, do jakiego stopnia współczesny Kościół stał się narzędziem globalistów. ©℗

PS Szanowni Państwo, krótko, ale bardzo serdecznie chciałem podziękować tym wszystkim, którzy kupili akcje Do Rzeczy SA. W ten sposób wspierają Państwo wolne słowo i przyczyniają się do tego, żeby również w Polsce był słyszany niezależny głos broniący suwerenności i tradycji narodowej!

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 29 GRUDNIA 2025 R.

eprasa.pl fecde7f9bb

TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI
MIEJSCE, Z KTÓREGO CHRYSTUS WYGNAŁ KUPCÓW
Dom modlitwy dla wszystkich narodów

21 KRYSTIAN KRATIUK
DZISIAJ W BETLEJEM. I W STREFIE GAZY

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
JAROSŁAW KACZYŃSKI – OBCIĄŻENIE CZY OPOKA PiS
Czy Prezes powinien oddać ster partii?

29 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
ZAGADKA BRAKU SAMOKRYTYKI PIS

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWY PREMIER – WARIANTY RZĄDOWE

34 JAN FIEDORCZUK
KONSERWATYSTA NA ULICY PIĘKNEJ

36 ROZMOWA Z MACIEJEM RADZIWIŁŁEM
PORZUĆMY PODZIAŁ NA „SZLACHTĘ" I „LUD"

40 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
NAJSTARSZY NASTOLATEK W POLSCE

KULTURA

44 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KAZNODZIEJA Z PĘDZLEM
Fetowanie „ojca renesansu"

48 PIOTR GOCIEK
KONIEC KINA CZY KONIEC HOLLYWOOD?

51 KRZYSZTOF MASŁOŃ
DO HYMNU! BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH

52 ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ SZARŁAT
KETLING, MAGNAT I WIELKI SZU

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

58 JANUSZ KORWIN-MIKKE
DOŚĆ CHWALENIA KATASTROF
Jak Polacy szkodzili sami sobie

62 ŁUKASZ WARZECHA
NIEME OBURZENIE

65 WOJCIECH GOLONKA
WOJNA SPRAWIEDLIWA? NIE W POLSCE

68 FILIP MEMCHES
ROSYJSCY PREKURSORZY TRANSHUMANIZMU

71 ROBERT BOGDAŃSKI
NADODRZAŃSCY ABORYGENI

HISTORIA

74 JACEK KOMUDA
JAK OLIGARCHIA KOZACKA ZRUJNOWAŁA UKRAINĘ
XVII-wieczna bolesna lekcja

78 ŁUKASZ CZARNECKI
OD MENELA DO CESARZA

82 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ZAPOMNIANY HEROS TRADYCJI KOŚCIOŁA

85 MIKOŁAJ WOLSKI
CO KRYJĄ AKTA PASZPORTOWE LEOPOLDA TYRMANDA

ŚWIAT

88 OLIVIER BAULT
BARDELLA W DRODZE NA SZCZYT
Następca Marine Le Pen

91 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRIGOŻYN WIECZNIE ŻYWY

EKONOMIA

96 JACEK PRZYBYLSKI
EKONOMIA DŁUGOWIECZNOŚCI
Gdzie żyje się najdłużej

100 PIOTR WŁOCZYK
PERŁA CHIN

104 JAKUB WOZINSKI
TUNEL POD CIEŚNINĄ BERINGA?

STYL

106 JOANNA BOJAŃCZYK
SPLENDOR I SKANDAL
Współczesna moda: luksus i prowokacja

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (10), JASTRZĘBOWSKI (11), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (81), PRZYBYLSKI (94), GABRYEL, WARZECHA (99), KOMUDA (108), KOWALCZUK, KARWELIS (111), WIEROMIEJCZYK (112), KUCHARCZYK (113), CEJROWSKI (114)

eprasa.pl fecde7f9bb

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

CZY NAPOLEON CYNICZNIE WYKORZYSTAŁ POLAKÓW?

Polska napoleońska – Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on – mówi w wywiadzie prof. Jarosław Czubaty

Betlejemski cud z kamienia – To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie

Jak Polska odzyskała wzrok – Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Fałsz pogańskiej męczennicy – Wbrew sugestiom reżysera filmu „Agora" Hypatia padła ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego

Z Sarn na Sybir – Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców

Łotewskie „Dzikie Koty" – Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów" w Berlinie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl fecde7f9bb

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Jawny informator

Szanowni Państwo,
żyjemy w czasach faktów autentycznych, faktów fikcyjnych oraz faktów zdementowanych. Mało tego – w świecie faktów kreowanych, nawet przez tzw. wiarygodne media, choćby przez BBC, która to stacja przekonywała, jakoby w styczniu 2021 r. pan Donald Trump nawoływał do burd przed Kapitolem. Co prawda, dyrektor BBC został wyrzucony z pracy, ale poza tym nic się nie stało. Dlatego ten, komu zdarza się powiedzieć kilka słów prawdy, stanowi nieoceniony skarb.
I takim właśnie skarbem dysponuje Polska w osobie pana Radka Sikorskiego. Ten nasz minister spraw zagranicznych, nie bacząc na dyplomatyczne obyczaje, już podczas Majdanu w Kijowie w 2014 r. ostrzegał tłumy Ukraińców, żeby się rozeszły, bo dojdzie do przelewu krwi.
Z opóźnieniem – ale jednak – jego przepowiednia spełniła się co do joty. Po wysadzeniu Nord Stream w 2022 r. pierwszy wykrzyknął: „Thanks, America!", co potem gwałtownie próbowano zdementować. Tej jesieni, niby przypadkiem, wypsnęło mu się, że „tylko cudem" nie doszło do katastrofy po ukraińskiej dywersji na polską kolej.
Temu panu można wierzyć, bez niego błąkalibyśmy się we mgle. Oh, thank You, mister Sikorski!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Drogowe równanie w dół

Szanowny Panie Redaktorze, [list do Łukasza Warzechy – przyp. red.]
skomentował Pan ostatnio kolejną próbę instalacji fotoradaru w Alejach Jerozolimskich, cytuję: „Polskie państwo działa wobec kierowców jak mafia wymuszająca haracze" [cytat z wpisu na X Łukasza Warzechy – przyp. red.] – i słusznie. Państwo polskie po prostu (w sumie całkiem racjonalnie) „szuka kasy" w kieszeniach ludzi, którzy eksploatując samochód – a więc ujawniając w ten sposób, że stać ich na paliwo, ubezpieczenie, mechanika, opłaty wszelakie itd. – zdradzili się z tym, że „jakieś zaskórniaki jeszcze mają". Kogo obrabować, jeśli nie tego, kto publicznie ogłasza: „Jeszcze trochę pieniędzy mi zostało"?
Należałoby jednak generalnie zauważyć, że ograniczenia prędkości – tak jak one obowiązują obecnie – nie mają dużego sensu, ponieważ obowiązują W TAKIM SAMYM STOPNIU:
** „świeżaka" zaraz po kursie, kierowcę z długoletnim doświadczeniem, jak i profesjonalistę*
** kierowcę starego malucha – jak i użytkownika nowego mercedesa klasy „S"*
** kierującego w trudnych warunkach pogodowych (deszcz czy może wręcz śnieg) – jak i kierującego przy doskonałej, letniej pogodzie*
** właściciela mocno zużytych i łysiejących opon – jak i użytkownika nowiutkich „michelinek" (i to takich „z wyższej półki")*
** kierowcę zaawansowanego wiekiem, z nieco słabszym wzrokiem – jak i młodego, sprawnego człowieka o doskonałym zdrowiu*
** w trakcie jazdy (w tym samym miejscu) w nocy, gdy mniej widać – jak i w jasny, słoneczny dzień*
** kierowcę zmęczonego np. całonocną jazdą – jak i wypoczętego, w doskonałej kondycji*
** w trakcie poruszania się w trudnych warunkach (duży ruch, utrudnienia, jakieś maszyny rolnicze itd.) – jak i przy kompletnie pustej drodze*
** ... i pewnie udało mi się jeszcze coś pominąć :).*
Jak więc widzimy, konsekwencją tego rodzaju „urawniłowki" jest przyjęcie „bezpiecznej" prędkości dla najgorszego możliwego wariantu „zmęczonego kierowcy, w podeszłym wieku, prowadzącego starego malucha na łysawych oponach – i to w trudnych warunkach pogodowych (i zapewne w nocy) oraz drogowych (duży ruch)".
W każdej z wyżej wymienionych skrajnych sytuacji obowiązuje JEDNO I TO SAMO OGRANICZENIE PRĘDKOŚCI, arbitralnie uznane za biurkiem przez jakiegoś urzędnika za

eprasa.pl fecde7f9bb

„bezpieczne". Gdyby ktoś chciał na to odpowiedzieć: Ale np. przy śnieżycy kierowca winien dodatkowo zwolnić, to pojawia się pytanie: W takim razie, dlaczego tylko przy śnieżycy kierowca ma sam oceniać, jaka prędkość jest w danych warunkach bezpieczna? Dlaczego przy doskonałej pogodzie jadąc nowym samochodem w doskonałym stanie technicznym (i na nowych oponach) – i czując się znakomicie – ten kierowca nie ma prawa uznać „mogę jechać szybciej", skoro przy śnieżycy powinien „sam z siebie" uznać, że „trzeba jechać wolniej"? Dlaczego taka „własna ocena" zawsze ma działać jedynie w dół?

Obowiązujące obecnie ograniczenia winny zmienić znaczenie na „prędkość zalecana", której przekroczenie nie byłoby w ogóle karane. Owszem, zachodzi wobec tego pytanie: „To po co w takim razie w ogóle umieszczać taki znak?". Otóż GDYBY DOSZŁO DO WYPADKU, to dopiero wtedy nieuwzględnienie przez kierowcę takiej „prędkości zalecanej" mogłoby być dodatkowo wzięte pod uwagę jako „okoliczność obciążająca", skutkując podwyższeniem kary.

Samochody (i drogi!) służą do tego, aby można było przemieszczać się szybko – inaczej ich użyteczność staje się wątpliwa i ograniczona.

Uszanowanie
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

NEKROLOG

28 listopada 2025 r. zmarł w wieku 90 lat

ŚP.

Piotr Wierzbicki

Pisarz, opozycjonista, publicysta, walczący piórem z zagrożeniami stojącymi przed Polską. Założyciel „Gazety Polskiej" i jej wieloletni redaktor naczelny.

Autor esejów, wierszy, rozpraw filozoficznych oraz książek, felietonów i audycji muzycznych.

Odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Msza Święta pogrzebowa odbędzie się we wtorek 16 grudnia 2025 r. o godz. 11 w kościele pw. św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach w Warszawie, po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego (kwatera I, rząd 3).

Syn z żoną i dziećmi oraz siostra i brat z rodzinami

NEKROLOG

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci nowo narodzonej córeczki naszych kolegów

Katarzyny Michałkiewicz-Kusz oraz Krzysztofa Kusza

Składamy wyrazy najgłębszego współczucia oraz szczerego żalu wobec tej niezwykle bolesnej straty.

Łączymy się z Wami w bólu i modlitwie, życząc siły i otuchy w tych trudnych chwilach.

w imieniu grupy EKR
Sekretarz Generalny
Tomasz Szatkowski

NEKROLOG

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 22 listopada 2025 r.

zmarł

Wiesław Biełanowicz

wybitny tenisista, inżynier i biegły sądowy w zakresie budownictwa

W szczególności łączymy się w bólu z jego synem, Tomaszem Biełanowiczem, przewodniczącym Rady Nadzorczej PMPG, oraz całą Rodziną i Bliskimi,

składając wyrazy najgłębszego współczucia.

Zarząd i Rada Nadzorcza
PMPG Polskie Media S.A.

„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych"
– ks. Jan Twardowski

eprasa.pl fecde7f9bb

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Amerykański Sfinks

Czy Amerykanie powoli porzucają Europę? „Narodowa strategia bezpieczeństwa" ogłoszona niedawno przez Biały Dom wywołała spore poruszenie. Dokument podkreśla, że Ameryka kończy z rolą „żandarma świata". Ameryka chce skupić się na wskrzeszeniu swojej mocarstwowej pozycji i za swoją wyłączną strefę wpływów uznaje tzw. półkulę zachodnią, czyli obie Ameryki wraz z większością obszaru Pacyfiku i Atlantyku z jednej strony, z drugiej za najważniejsze pole swej aktywności uważa Azję.

Dopiero za nimi umieszczona jest Europa. I tutaj dokument Białego Domu jest wręcz bezlitosny. Europa została przedstawiona jako kontynent schyłkowy o słabnącym potencjale gospodarczym, niedostatecznym potencjale obronnym i w większości skrępowany nieefektywnym i niekiedy zagrażającym wolnościom obywatelskim systemie Unii Europejskiej. Jako pozytyw została w tym kontekście przedstawiona pewna grupa państw Europy Środkowej, którą dokument chwali za podjęcie efektywnych starań w celu zwiększenia swego potencjału obronnego, a także za determinację w obronie swojej suwerenności.

Czy z tego zapisu można zakładać, że Ameryka będzie bronić krajów od Tallina do Bukaresztu przed rosyjską agresją? Logicznie byłoby powiedzieć, że tak. Tyle że pewniej postawiłbym taką tezę, gdyby nie jeden zaskakujący fakt. Strategia wymienia kraj Putina dość rzadko. Wskazano jedynie potrzebę uzyskania „strategicznej stabilności" między USA a Rosją. Najwyraźniej autorzy dokumentu nie zaliczają Moskwy do potencjalnych przeciwników USA. Inaczej niż Chiny czy Iran. Można wręcz odnieść wrażenie, że Amerykanie zaczynają postrzegać siebie w roli mediatora, który zadba o „zmniejszenie ryzyka konfliktu między Rosją a państwami europejskimi".

Raport krytykuje „europejskich urzędników, którzy mają nierealistyczne oczekiwania co do wojny prowadzonej przez niestabilne rządy mniejszościowe". W opinii autorów dokumentu wojna z Rosją sprzeczna jest z „powszechnym pragnieniem pokoju przez Europejczyków". Czyżby? Jak to policzono?

Błędem dokumentu jest też niezauważanie różnic pomiędzy różnymi krajami środkowej Europy, które zyskują uznanie Trumpa. Polska i Finlandia uznają Rosję za potencjalnego agresora i wspierają Ukrainę. Z kolei Węgry, które także bywają chwalone przez Trumpa, bardzo silnie współpracują gospodarczo z Moskwą, demonstracyjnie dystansują się od Ukrainy i nie sypią zbytnio groszem na swoją armię.

Już po opublikowaniu raportu o narodowej strategii bezpieczeństwa amerykański sekretarz wojny Pete Hegseth pochwalił Polskę obok Korei Południowej i Niemiec jako wzór wzmacniania swojej armii. Na razie uznajmy to za sygnał, że Ameryka nadal serio traktuje bezpieczeństwo Polski. Czy uspokaja to jednak obawy o przesunięcie się zaangażowania Ameryki z obszaru transatlantyckiego na obszar Pacyfiku? ©℗

O AMERYKAŃSKIEJ STRATEGII BEZPIECZEŃSTWA CZYTAJ TAKŻE W TEKŚCIE ŁUKASZA WARZECHY NA STR. 62

FOT. ICEYE.COM

POLSKIE OCZY W KOSMOSIE

„Mamy pierwsze zdjęcia z polskiego satelity wojskowego – już tydzień po wyniesieniu! Świetne ujęcia kilku miejsc w Polsce – w tym te w najlepszej na świecie rozdzielczości 25 cm! Pracujemy dalej, by przekazać satelitę Siłom Zbrojnym RP!" – ogłosiła 8 grudnia polsko-fińska firma ICEYE na platformie X. Pierwszy polski satelita wojskowy został wyniesiony na orbitę 28 listopada, a wykonywanie zobrazowań (m.in. ujęcie Warszawy) rozpoczął 2 grudnia. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

KOLĘDY POSPIESZALSKICH

27.12	KRAKÓW	Sanktuarium JP2
02.01	GDAŃSK	Stary Maneż
05.01	WROCŁAW	Impart Centrum
06.01	WARSZAWA	Palladium
09.01	SIEDLCE	MOK Podlasie
10.01	ŁOMŻA	Filharmonia
11.01	CZĘSTOCHOWA	ACK Politechnik
13.01	LUBLIN	Centrum Spotkania Kultur

www.pospieszalscy.pl /pospieszalscy

BILETY: eBilet bilatyna.pl

eprasa.pl fecde7f9bb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rząd ma pomysły

Odnotujmy dwa nowe pomysły rządu, żeby nam w natłoku spraw nie uciekły. Pierwszy – podaję na odpowiedzialność „Newsweeka", który jako pismo zaprzyjaźnione z partią rządzącą ma chyba dobre „insajderskie" informacje – to zarządzenie ministra Balczuna, żeby w każdej z podległych mu spółek Skarbu Państwa ustanowiono dodatkowego wiceprezesa zarządu do spraw „rozliczania PiS". Informację tę opatrzył tygodnik opowieścią o tym, jak „minister się wściekł", że dotąd żadnych PiS-owskich nadużyć tam nie znaleziono, i właśnie dlatego… Dotąd „wściekanie się" było wyłączną prerogatywą gromowładnego Tuska. Pytanie: Czy to osobisty przywilej udzielony Balczunowi czy może znak nadchodzącej demokratyzacji w partii?

Drugi pomysł to kolejna koncepcja ministra Domańskiego, jak napełnić pustą państwową kasę. Po „spekulantach" z Allegro i Vinted, wynajmujących na Bookingu, oraz yutuberach, minister postanowił wziąć na celownik niepijących.

Problem jest poważny – coraz większa liczba Polaków, z różnych względów, przerzuca się na piwo i wino bezalkoholowe i w ten sposób bezczelnie unika płacenia akcyzy, uszczuplając dochody najlepszego rządu, jaki miała Polska w swych dziejach. Ale pan minister, nie w ciemię bity, znalazł wyjście: obłoży akcyzą także piwa i wina bezalkoholowe! Myślą państwo, że to żart? Ja też tak myślałem, ale informacja pochodzi z dwóch poważnych portali biznesowych i żaden nie podał jej w prima aprilis.

Jak się to KO-wcom nie pozajączkuje z budowaniem propagandowego wizerunku pogromców alkoholu, a szczególnie alkotubek, sklepów nocnych i stacji benzynowych – to ich problem. Mnie bardziej ciekawi, jak pan minister zamierza wyliczać akcyzę od niezawartości alkoholu? Jaka będzie różnica między akcyzą od piw, średnio niezawierających od 5 do 8 proc. alkoholu, a tą od win, niezawierających od 12 do 15 proc.? I jak odróżni fiskus bezalkoholowe wino od „nektarów winogronowych", a bezalkoholowe piwa od np. „napojów słodowych", na które zapewne natychmiast przemianują je pazerni producenci? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zbawienna restrykcja

Od 9 grudnia 2025 r. w Australii obowiązuje zakaz używania mediów społecznościowych przez dzieci do 16. roku. Z jednej strony słyszymy protesty, inni mówią wreszcie! I tu przytaczane są badania, z których wynika, że od 2010 r., wraz z upowszechnieniem się mediów społecznościowych, pojawia się nienotowany wcześniej wzrost występowania u dzieci zaburzeń lękowych, depresji, zakłóceń identyfikacji płciowej, samookaleczeń i prób samobójczych. Szkodliwy wpływ cyfrowego świata opisał już kilka lat temu Manfred Spitzer w „Cyfrowej demencji" i „Epidemii smartfonów" (wcześniej pisał o tym Nicolas Carr w swojej przełomowej pracy „Płytki umysł"). Poważne ostrzeżenia pojawiły się długo przed pandemią, a czas lockdownu potwierdził najgorsze prognozy. Radykalna decyzja australijskich władz poprzedzona była debatą publiczną, na którą spory wpływ miała książka Jonathana Haidta „Anxious Generation" (przetłumaczona na polski jako „Niespokojne pokolenie", choć lepiej chyba brzmi „Kruche pokolenie"). Autor przytacza obszerne badania i alarmujące ustalenia psychologów. Wskazuje, jak rozwój technologii cyfrowych i nadopiekuńczość rodziców zdeformowały rozwój dzieci. Pokazuje, że cyfryzacja edukacji zamiast wspierać proces nauczania, przyczyniła się do ograniczeń rozwojowych i izolacji uczniów. Zakaz wprowadzony w Australii jest już krytykowany przez różne „prawoczłowiecze" NGO'sy, które lamentują, że drastyczne prawo odetnie mniejszości od ośrodków wsparcia. I dobrze. Takie „wsparcie" często było stręczeniem ideologicznych fiksacji, a nieraz nielegalną sprzedażą blokerów dojrzewania, hormonów i pigułek aborcyjnych.

Pamiętam, że władze w Canberze w czasie COVID-19 wprowadziły bodaj najbardziej drakońskie restrykcje, jednak ta ostatnia decyzja winna być przykładem, że zdrowie i bezpieczny rozwój dzieci to wartości, o które należy walczyć nawet desperacko. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Co pan, van Gogh?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Żeby mu tylko z zemsty nie ciachnął ucha! Stop. To znaczy ten fryzjer – teraz się mówi barber – u którego był premier Tusk, żeby mu brzytwą ucha nie uciął. Stop. Pan premier nagrał sobie filmik dla ludożerki, czyli popularki, czyli dla podgrzania wizerunku, bo mu się schłodził. Stop. No i w czasie golono strzyżono fryzjer się pytał premiera o obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, a Donald wlał mu nadzieję we flakon z wodą kolońską, że owszem, a jakże, będzie o to z przybocznymi zabiegać. Stop. To było takie ujmujące, premier ze zwykłym ludem o problemach tego ludu z troską, niczym w bajce ze 100 konkretów. Stop. Tusk sobie od fryzjera wyszedł, a minister od finansów Domański sobie do studia radiowego wszedł. Stop. Tam za pomocą środków masowego przekazu czy tam rażenia rzekł z głośnością zapewniającą usłyszenie przez ludożerkę, w tym fryzjerów barberów, że „nie ma przestrzeni" na obniżenie składki. Stop. I wylał Domański nadzieję z flakonów zwykłych ludzi. Stop. Panie premierze! Pan już nie idzie do tego barbera fryzjera: szkoda ucha. Co pan, van Gogh?

Menedżerów to my mamy w państwowych spółkach ekstraklasa. Stop. Jest sobie taki Marcin Wojewódka, który był prezesem, a teraz jest wiceprzewodniczącym Rady Nadzorczej PKP Cargo. Stop. Ten to normalnie w jeden dzień potrafi, nawet z niczego, zarobić prawie 100 tys. złotych. Stop. Rano sprzedał na giełdzie prawie 100 tys. akcji PKP Cargo, a kiedy cena po niemałej porcji sprzedaży spadła, to tego samego dnia po południu je odkupił. Stop. Teraz ma te same akcje, w tej samej liczbie, a ponieważ na każdej akcji zarobił 1 zł, zostało mu prawie 100 tys. zł. Stop. Geniusz! Stop. Będziemy informować, czy pan prokurator chce poznać szczegóły geniuszu pana Wojewódki…

W Londynie odbyło się spotkanie premiera Wielkiej Brytanii, kanclerza Niemiec, prezydenta Francji i prezydenta Ukrainy. Stop. Rozmawiano o Ukrainie, o gwarancjach na czas pokoju i o odbudowie. Stop. Naszego premiera Donalda Tuska nie było. Stop. Ruskie onuce twierdzą, że to dlatego, iż nie liczy się wcale na arenie międzynarodowej, ale prawda jest inna. Stop. Po tym, jak Donald Tusk zawstydził w Berlinie kanclerza Merza, mówiąc, że sam zapłaci ofiarom drugiej wojny światowej za zbrodnie Niemców, kanclerz Merz wciąż nie ma śmiałości stanąć oko w oko z człowiekiem tak szlachetnym. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NIE TAKA PRAWORZĄDNA

Wraz z końcem roku zbliża się czas podsumowań. Aktor Mateusz Janicki, który określa się mianem „aktywisty", dokonał takiego w kwestii praworządności w Polsce. Miało być inaczej, lepiej, bardziej „ludzko". Tymczasem – wielki zawód. Według Janickiego zmiana władzy nie wpłynęła na poprawę sytuacji na granicy z Białorusią. „Politycy sprawujący władzę w naszym kraju, poza kilkoma wyjątkami w postaci Magdy Biejat, Darii Gosek-Popiołek, Marceliny Zawiszy, Franka Starczewskiego czy Macieja Żywny, traktują ten kryzys wyłącznie jako wyzwanie związane z bezpieczeństwem, a właściwie – jako nośny temat kampanijny. Totalnie pomijają aspekt ludzki. Największą tragedią związaną z sytuacją na granicy jest całkowita dehumanizacja osób uchodźczych" – podkreśla w rozmowie z Plejadą. Według Janickiego nie ma większej różnicy między politykami PiS i Konfederacji a tymi z Koalicji Obywatelskiej: „Nie myślą o ludziach, którzy tam cierpią". „Nie biorą pod uwagę, że to są historie konkretnych osób, którym nasze państwo gotuje piekło. To jedna kwestia. Druga, chyba jeszcze bardziej niebezpieczna dla Polski, to kryzys praworządności. Najpierw PiS, a później nowy rząd wprowadził prawa niezgodne z Konstytucją RP i prawem międzynarodowym. Trzeba to sobie powiedzieć jasno: w dalszym ciągu nie żyjemy w państwie prawa" – podsumował aktor. Odkrycie na koniec roku: politycy ściemniają. Niemożliwe!

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

KONFLIKT DWÓCH DIW

Kto nie odwiedza zbyt często portali plotkarskich, może nie wiedzieć, że internauci od dawna żyją konfliktem dwóch gwiazd, które zaczynały na scenie jako dzieci – Roksany Węgiel oraz Viktorii Gabor. Zaczęło się od przytyku Gabor, dotyczącego artystów reklamujących bieliznę. – Jestem dumna z tego, że reklamuję produkty, które są bliskie mojej codzienności. Muzycznie idzie mi całkiem nieźle, więc niech każdy zajmie się sobą. Niech każdy będzie rozliczany za to, z czym się utożsamia. Ja nie słyszałam ostatnio nowości od Viki, więc czekam – odcięła się Roxie. Temat konfliktu powrócił za sprawą najnowszego wywiadu Viki Gabor u Żurnalisty. Tłumaczyła, że jej słowa nie były skierowane do Roksany. – Ja mam totalnie wywalone. Czy Roxie jest jedyną osobą, która dodaje takie rzeczy na Insta? Ja jej nawet nie obserwuję. To było ogólnie do osób, które tak robią. Nie, nie żałuję niczego. Jeśli ja mam coś powiedzieć, to powiem – stwierdziła. – Ja jestem takim typem osoby, która nie lubi robić niepotrzebnych konfliktów w mediach, bo to po pierwsze mi nic nie da, po drugie jestem od robienia muzyki, po trzecie nie obchodzi mnie, kto coś robi. Ja wypowiadam się tylko o tym, że ja nigdy nie będę promować bielizny, bo ja nie jestem od tego. Ja jestem po to, żeby promować muzykę, i na tym stawiam kropkę – przekonuje Viki. Prowadzący dopytał wokalistkę, czy miała okazję porozmawiać z koleżanką po fachu i wyjaśnić całą dramę. – Ja nie chcę się już wypowiadać na temat Roksany. Kiedyś było strasznie dużo wywiadów i byłam ciągnięta za język, czy ja jestem przyjaciółką Roxie czy nie. Szczerze, my nigdy nie usiadłyśmy i nie porozmawiałyśmy. Ja tak naprawdę nie wiem, jaka ona jest – podsumowała.

BEZ DOBRYCH MANIER

Kontynuując wątek pt. „Pojedynek tytanów", słów kilka o minidramie między Małgorzatą Rozenek-Majdan a Ireną Kamińską-Radomską. Gosia przed laty występowała w roli gospodyni programu „Projekt Lady", gdzie „niegrzeczne dziewczęta" uczyły się dobrych manier i savoir-vivre'u. Teraz przyznała, że sama nie zgadzała się z wieloma zasadami, których musiały uczyć się uczestniczki show TVN. – W ogóle bardzo wiele z tych zasad, które dotyczą bycia damą, jest bez sensu i tak naprawdę są tylko takim opresyjnym symbolem patriarchatu – stwierdziła Rozenek w rozmowie z Żurnalistą. Po tych słowach wywołana do tablicy poczuła się Kamińska-Radomska, uchodząca za eksperta do spraw dobrego wychowania. „Jeśli komuś brakuje wiedzy w jakiejś dziedzinie, to ma dwa wyjścia. Albo uzupełnić tę wiedzę i świetnie, jeśli to zrobi, albo zaczyna krytykować i ośmieszać samą ideę tej wiedzy. Niestosowanie zasad dobrego wychowania bywa wygodne, dopóki nas nie dotknie chamstwo innych. W »Projekcie Lady« Małgorzata Rozenek-Majdan była prowadzącą, natomiast ja byłam odpowiedzialna za nauczanie dobrych manier i całe szczęście, bo całkowicie identyfikuję się z tym, czego uczę" – rozpoczęła swój wpis. „Czy bycie damą naprawdę jest bez sensu? Czy Małgosiu wzięłaś udział w »Projekcie Lady«, nie wierząc w jego wartości? Czy kultura osobista jest opresyjnym symbolem patriarchatu? Tak? Co właściwie miałoby być opresyjne? Przepuszczanie kogoś przodem? Przytrzymanie komuś drzwi? Okazywanie wzajemnego szacunku? Te zasady są jak kodeks ruchu drogowego. Pomagają funkcjonować w codziennym życiu, bez chaosu i z większą uważnością na innych. Dobre maniery nie dyskryminują" – ocenia. Pomysł, całkowicie za darmo – „Projekt celebrytka", gdzie dobrych manier będą uczyć się nasze gwiazdy. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niejednokrotnie wspominaliśmy na łamach naszej rubryki o tzw. polskiej mentalności. Gwoli przypomnienia, iż znamy wasz ukształtowany TikTokiem i reelsami attention span. Polacy jeżdżą starymi samochodami, wybierają wakacje na działce, nie mają oszczędności, iż nikt ich przez lata nie nauczył, jak obchodzić się z pieniędzmi, kupują na promkach w marketach. Taka prawda.

Jednak raz do roku wydarzał się ekonomiczny cud i Polacy jakby zapominali, jaki jest ich background ekonomiczny. Masowo uderzali na zakupy, rzucali się na wyprzedaże, przewalali mnóstwo pieniędzy na niepotrzebne prezenty typu kolejne skarpety albo woda po goleniu. Oczywiście tym momentem w roku były winter holidays, nazywane w tym kraju Bożym Narodzeniem.

Jak wszyscy mieliście pewnie okazję zaobserwować, Polakom dosłownie puszczały wtedy wszelkie hamulce. Te wszystkie bitwy o karpia w biedrze, wyrywanie sobie choinek, kompulsywne wizyty w galeriach handlowych. Na podstawie tych zachowań mogły powstać niejeden doktorat z psychologii, ekonomii czy praca magisterska z logiki (w sensie, iż w tych zachowaniach nie było żadnej).

I pewnie myślicie sobie, iż zaraz wam powiemy, że w tym roku będzie podobnie? Otóż nie tym razem. Okazuje się bowiem, iż Polacy w tegoroczne winter holidays wydadzą mniej. I jest to, kochani, zasługa rządu. Of kors nie oznacza to, iż wąsaty janusz z Podkarpacia nie nakupi więcej jedzenia, niż potem z rodziną przeżre, co to to nie. Zachowania konsumenckie będą te same, ale po prostu w tym kraju jest teraz taniej, dzięki czemu można kupić tyle co przed laty, ale za mniej.

Chcemy jednak wierzyć, iż za tym pozytywnym trendem nie stoi wyłącznie matematyka, ale też jednak promowanie zdrowej polityki budżetowej przez rząd na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Może jednak janusze chłonęły coś przez osmozę i jakimś świeckim cudem były w stanie przełożyć rządową edukację pt. „Nie ma pieniędzy" na swoje własne zachowania. Na przykład, kiedy osobodziecko janusza chciało zabawkę, ten odpowiadał: Niestety, nas na to nie stać. A potem zamykał jego pokój na klucz z powodu przekroczenia limitów zużycia energii na oświetlenie i ładowanie telefonu, a osobodziecko teraz odrabia prace domowe w łazience.

Wogóle to wychodzi na to, iż do katalogu rzeczy i zjawisk, których nie rozumieją Polacy, dochodzi także polityka międzynarodowa. To znaczy, wiadomo było to od zawsze, ale teraz mamy na to niezbite dowody, iż według ostatniego badania większość Polaków negatywnie ocenia premiera Tuska w kontekście jego działań na arenie międzynarodowej.

Dzieje się tak pewnie dlatego, iż przeciętny Polak po prostu nie rozumie, jak wiele wyzwań napotyka premier podczas swoich zagranicznych aktywności i że prowadzenie polityki międzynarodowej to nie jest to samo co kłótnia z sąsiadem zza płotu albo ustawka wieś kontra wieś gdzieś na polu pod lasem.

Poza tym wiecie, jacy są Polacy. Chcieliby efektów natychmiast, teraz, zaraz, dosłownie jak dwuletnie dziecko. Niecierpliwią się, jak np. 100 obietnic nie jest realizowane w pierwsze dwa lata rządów, zupełnie nie rozumiejąc, że to trzeba na spokojnie, a poza tym jeszcze jest opozycja w postaci PiS, który swoim prastarym zwyczajem knuje i jątrzy. Na arenie międzynarodowej PiS ma niestety dalej wpływy, np. u Trumpa, ale też np. reprezentację w Parlamencie Europejskim.

Co więcej, Polacy nie chcą, żeby premier pozostał premierem do końca kadencji. To jest już kolejny, jeszcze wyższy level nierozumienia polityki, już nie tylko międzynarodowej, lecz także wewnętrznej. My ze swojej strony deklarujemy pełne poparcie i jak dla nas nie trzeba już nic więcej realizować, byleby tylko odsunąć PiS od władzy!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kryptowaluty na karteczce

Mateusz, ja muszę coś o tym kryptowalucie wiedzieć, jak mnie znowu zapytają. Co to jest właściwie?
Jak by ci to, Jarku... No... To takie znaki są.

Drogowe?
Nie, symbole, znaczy. Miałeś pendrajwa kiedyś w ręku?

Pen co?
No, taki dysk malutki, co do USB wtykasz.

Do czego?
Nieważne. Jak cię znowu zapytają, to mów, że zdecydowałeś się zainwestować w Ethereum.

Że w co?
Ja ci to na karteczce napiszę, naucz się i po prostu powtarzaj.

Tak jak to o tych elektrycznych samochodach mi kazałeś kiedyś powtarzać? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polacy zaczną ginąć".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na swoim kanale na YouTube o skutkach, które – według niej – przyniesie zawetowanie przez prezydenta Karola Nawrockiego ustawy o kryptowalutach*

eprasa.pl fecde7f9bb

dwaj panowie g

Tradycyjnie, jak co roku, bawimy się w świętych mikołajów. Każdemu według zasług, według potrzeb i po uważaniu. To zasada, która nam przyświeca. A jako że w czas świąteczny trzeba więcej uwagi zwracać na potrzebujących, zaczynamy od prezentów dla opozycji.

DLA PREZYDENTA KAROLA NAWROCKIEGO – listy pokutne. Od tych wszystkich, którzy nie wierzyli, że mu się uda, nie mówiąc o tym, że nie wierzyli, że się nadaje. Do napisania listów zmusimy wszystkich, którzy spamowali pocztę naszej rubryki rozmaitymi doniesieniami w okresie kampanii wyborczej tudzież tuż przed nią, gdy PiS wybierał kandydata. Tym, którzy mówią, że prezydent nie może być w opozycji, odpowiadamy – ależ może.

DLA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO – tom wierszy Wisławy Szymborskiej. Ten, w którym znajduje się wiersz „Nic dwa razy się nie zdarza". Co prawda, treść wiersza nie ma nic wspólnego z PiS, ale tytuł – już tak. Jest to bowiem podpowiedź, żeby na nowe czasy stosować nowe metody, a nie stare. Gdyż nic dwa razy… itd.

DLA FRAKCJI MORAWIAN – kilka małych biznesów, zarejestrowanych in blanco. Sami zdecydują, który dostanie który small biznes. Chcielibyśmy bowiem, aby ci wybitni teoretycy poprowadzili w Polsce przez jakiś czas działalność gospodarczą. Taką zwykłą, małą, normalną, a nie z posad w bankach czy ministerstwach. Marzymy bowiem o tym, by zobaczyli, jak bardzo ułatwili sobie życie rozmaitymi ładami, a nawet Ładami.

DLA FRAKCJI MAŚLARZY – nową nazwę. Protestujemy bowiem przeciw używaniu przez media terminu „maślarze" na określenie grupy antymorawieckiej w PiS. Uważamy, że nie należy psuć ludziom przyjemności ani z masła, ani z maślaków. Zatem mamy inny termin. Skoro ludzie od Morawieckiego to morawianie, podpowiadamy, że wrogami państwa wielkomorawskiego byli głównie wschodni Frankowie oraz Węgrzy. Przyznacie, że mówienie na ekipę antymorawiecką „Węgrzy" ma swój urok. A i w kwestii poglądów politycznych się wiele zgadza.

DLA FRAKCJI ZIOBRYSTÓW – Zbigniewa Ziobrę. Ale zdrowego. Tym samym od razu wiecie, co mamy w prezencie dla samego Ziobry. Tradycyjnie – zdrowie.

DLA INNYCH FRAKCJI Z PIS – zegar. Głośny. Zwłaszcza dla Zakonu PC. Aby zrozumiał, że tyka nieubłaganie. I małą, podręczną

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

epresa.pl

wyciągarkę. Do czego? No, do wyciągania wniosków.

DLA SŁAWOMIRA MENTZENA – komplet książek o Platformie Obywatelskiej i jej liderze w szczególności. To bardzo pouczająca lektura na temat tego, jak kończą ci, którzy wierzą we współpracę ze Złym Donaldem z Sopotu. Ale ponieważ, jak wiadomo, książka to nietrafiony prezent w czasach YouTube, dokładamy jeszcze dla Mentzena trochę patriotyzmu gospodarczego. Nowy, nieśmigany.

DLA KRZYSZTOFA BOSAKA – komplet książek o PiS i jej liderze w szczególności. To bardzo pouczająca lektura na temat tego, jak kończą ci, którzy wierzą we współpracę z szeregowym posłem znanym jako Naczelnik. Ale ponieważ – jak wiadomo – książka to nietrafiony prezent w czasach YouTube, dokładamy jeszcze dla Bosaka trochę cierpliwości. Bo wiemy, że z Mentzenem wytrzymać niełatwo.

DLA GRZEGORZA BRAUNA – papugę. Uważamy, że do pirackiej opaski na oko pasowałaby jak znalazł. Papugę – przypominamy – nosi się na ramieniu. Tym, którzy uważają nasz żart za zbyt gruby, przypinamy, że lepsza papuga niż drewniana noga. Wracając zaś do samej papugi: wydaje nam się nawet, że wiemy, co i przeciw komu ta papuga by nieustannie powtarzała.

DLA PATRYKA JAKIEGO – duże centrum konferencyjne. Bardzo podobają się nam bowiem rozmaite organizowane przez niego konferencje. I od dawna uważamy, że gdyby każdy europoseł PiS tak umiejętnie wykorzystywał możliwości i fundusze, które daje funkcja, to bylibyśmy w innym miejscu. A uwierzcie, rozglądając się dokoła, bardzo chcielibyśmy być w innym miejscu. Historii, rzecz jasna. Bo geograficznie bardzo nam się w ojczyźnie podoba.

DLA WSZYSTKICH CZŁONKÓW WSZELKICH WYMIENIONYCH POWYŻEJ PARTII ORAZ FRAKCJI mamy różańce, bo z naszego oglądu sytuacji wynika, że bez tego ani rusz. W każdym razie, nawet jeśli ta ocena jest zbyt surowa, to bohaterowie naszej rubryki zbyt często nas przekonują swymi działaniami, że jednak może jest odpowiednio surowa. Jest tylko jeden kłopot – Pan Bóg pomaga tym, którzy potrafią sobie sami pomóc. No i co z tym teraz zrobimy, panowie?

Skoro przygotowaliśmy prezenty dla członków wszystkich partii wymienionych powyżej, to teraz wypadałoby dać coś także tym, którzy są wyborcami wszystkich partii wymienionych poniżej. Ale w sumie nie trzeba. Co moglibyśmy im dać, skoro Polskę już sobie wzięli i korzystają, ile wlezie?

DLA DONALDA TUSKA – duch ojca Hamleta. Duch mordowanej polskiej suwerenności ponieważ i tak do niego nie przyjdzie, a jednak przydałoby się, żeby coś go wreszcie solidnie postraszyło. Gdyby duch Hamleta był chwilowo zajęty (najprawdopodobniej rozmowami z Hamletem), wyślemy ducha świąt przyszłych.

DLA WŁADYSŁAWA KOSINIAKA-KAMASZA – Google. Tak, całe Google. Będzie mógł wtedy zatrudnić w Google np. Piotra Zgorzelskiego. Co wicemarszałek Zgorzelski miałby robić w Google? No dostałby farbki, żeby barwami maskującymi ręcznie zamaskować wszystkie polskie czołgi i koszary, które widać w Google. Pomógłby tym samym Władkowi w podtrzymywaniu przeświadczenia, że jest najlepszym ministrem obrony w dziejach Peezelu.

DLA WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO – bródkę leninówkę i okulary Lwa Trockiego. Nie wypada, aby zasłużony towarzysz tak mało przypominał tych, których wielkie dzieło kontynuuje.

DLA MARKA SIWCA – kawałek polskiej ziemi, żeby sobie ucałował.

DLA SZYMONA HOŁOWNI – stanowisko wysokiego komisarza ONZ do spraw beznadziejnych. Ojej, mówicie, że nie ma takiego stanowiska? Smuteczek.

DLA MINISTRA I WICEPREMIERA RADKA SIKORSKIEGO – Twitter. Cały. To znaczy obecnie X, ale dawniej Twitter. Ze wszystkimi kontami. Radek będzie mógł sobie sam ripostować, podpowiadać, bić brawo i się lajkować. Przecież wiecie, że najbardziej lubi się lajkować.

DLA MINISTRA WALDEMARA ŻURKA – krokodyl. Prawdziwy, wielki, z zębiskami i oczyskami na miarę krokodyla. Ale uwaga, żarcik ma podwójne dno! To nie jest zwykły krokodyl, ale amerykański aligator! Prosto z republikańskich bagien Florydy! Podobno nawet kiedyś nosił czapeczkę z napisem: „Make Meat Great Again".

DLA ROMANA GIERTYCHA – sole trzeźwiące. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. Ludzie mdleją w różnych niespodziewanych okolicznościach.

DLA POLSKI 2050 – nowego przywódcę. Z szybkiej kalkulacji wyszło nam, że powinien to być Kuba Wojewódzki. Gorzej na pewno nie będzie. Śmieszniej? Też nie. Ale chcemy uchronić nieszczęsnych ludzi przed Koboską albo – co gorsza – powrotem Ryśka Petru.

DLA PEEZELU – snopki siana. Wielu ich nigdy w życiu nie widziało, bo z polskim ludem mają tyle wspólnego co Zły Donald z Sopotu. Ale uwaga, żarcik ma podwójne dno! To nie są zwykłe snopki! To słomiane chochoły! Oczywiście te z finału „Wesela". Wyspiańskiego, dodajemy, bo wiemy, że obdarowani pomyśleli pewnie, że Smarzowskiego.

DLA MARCINA KIERWIŃSKIEGO – nagłośnienie. Porządne, przetestowane. Echa nie ma.

DLA WICEPREMIERA KRZYSZTOFA GAWKOWSKIEGO – Internet. Cały, z wyjątkiem Google, które podarowaliśmy Kosiniakowi-Kamaszowi. Do tego hojnego prezentu dorzucamy taśmę samoprzylepną, żeby mógł sobie kneblować i zaklejać, ile chce.

DLA PRACOWNIKÓW TVN – zmianę właściciela. Ale nie na Netflix, tylko np. na Paramount. Który należy do przyjaciela Dobrego Donalda z Waszyngtonu. Chcielibyśmy bowiem, by poznali zalety wolnego rynku. A dokładnie: wolnego rynku dolarów oraz idei.

DLA WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW „DO RZECZY", w tym naszej legendarnej, skromnej, kultowej, skromnej, unikatowej, skromnej, fascynującej i w dodatku skromnej rubryki – błogosławionych świąt Bożego Narodzenia! ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

Paweł Lisicki

Czy w XXI w. w Izraelu powstanie Trzecia Świątynia Jerozolimska

Miejsce, z którego Chrystus wygnał kupców

Wiek XXI – wszystko na to wskazuje – będzie wiekiem prób odbudowy fizycznej Świątyni w Jerozolimie

FOT. THOMAS COEX/AFP/EAST NEWS

Spór o świętowanie żydowskiej Chanuki w polskim Sejmie, znaczenie ruchu na rzecz odbudowy Trzeciej Świątyni w Izraelu oraz ogromne wpływy chrześcijańskich syjonistów w MAGA, czyli wśród wyborców, którzy wynieśli do władzy Donalda Trumpa, każą na nowo zadać pytanie o relacje Chrystusa i Świątyni. Czym była żydowska Świątynia w czasach Jezusa z Nazaretu? Jakie było jej znaczenie? Jak patrzyli na nią pierwsi chrześcijanie i współcześni im Żydzi, którzy nie przyjęli posłania Ewangelii? I czym jest ona, a ściślej czym jest idea jej odbudowy dla współczesnych Żydów, szczególnie tych religijnych?

W najwcześniejszej zapewne Ewangelii według św. Marka przyjście Jezusa do świątyni jest wizytacją samego Pana. Takie rozumienie wynika już z samego wstępu do Ewangelii Marka. Pojawiają się tam słowa:

„Oto Ja posyłam wysłańca mego
przed Tobą;
on przygotuje drogę Twoją" (Mk 1, 1).

To nawiązanie do słów proroka Malachiasza. Pełny cytat: „Oto Ja wyślę anioła mego, aby przygotował drogę przede Mną, a potem nagle przybędzie do swej świątyni Pan" (Ml 3, 1). W takim kontekście przyjście Jezusa do Świątyni jest właśnie „przybyciem do swej Świątyni" Pana. To inaczej boska inspekcja – Bóg przychodzi do swej własności sprawdzić, co też dzieje się w Jego imieniu, w jaki sposób został „obrabowany".

SYMBOL ZAMKNIĘCIA

Trudniej, wyłącznie w oparciu o tekst ewangelisty, pojąć, przeciw czemu konkretnie występował Jezus, gdy wyrzucał ze Świątyni kupców. Czy chodziło o brak modlitwy czy o nadużycia finansowe kapłanów? A może, co najbardziej prawdopodobne, Jezus sprzeciwiał się ekskluzywnemu nacjonalizmowi, który był sprzeczny z wizjami proroków, nie tylko Ezechiela, lecz także w tym wypadku Izajasza: „Cudzoziemców zaś, którzy się przyłączyli do Pana, ażeby Mu służyć i ażeby miłować imię Pana i zostać Jego sługami – wszystkich zachowujących szabat bez pogwałcenia go i trzymających się mocno mojego przymierza, przyprowadzę na moją Świętą Górę i rozweselę w moim domu modlitwy. Całopalenia ich oraz ofiary będą przyjęte na moim ołtarzu, bo dom mój będzie nazwany domem modlitwy dla wszystkich narodów" (Iz 56, 7–8). To chyba najbardziej historycznie prawdopodobny powód protestu w Świątyni.

Inaczej, niż chciał tego Bóg, Świątynia w czasach Jezusa stała się wręcz symbolem ekskluzywizmu. Uderza, że o ile Izajasz przewidywał, że na Świętej Górze Syjonie znajdzie się miejsce dla cudzoziemców, przestrzegających szabatu, o tyle w późniejszej tradycji talmudycznej przestrzeganie przez pogan szabatu zostaje uznane za grzech śmiertelny, który to powinien na nich ściągnąć śmierć. Tradycja biblijna ulega zacieśnie-

eprasa.pl fecde7f9bb

niu. W Starym Testamencie niektórzy prorocy mówią, że Świątynia będzie miejscem dla wszystkich. W czasach Jezusa jest ona już znakiem wyłączności żydowskiej. Dlatego Jezus wywraca stoły i „nie pozwala, żeby kto przeniósł sprzęt jaki przez świątynię" (Mk 11, 16), co – jak zauważyli komentatorzy – oznacza przerwanie kultu świątynnego.

W JASKINI ZBÓJCÓW

Można by zatem powiedzieć, że Jezus wypowiedział wobec Świątyni wyrok Boga. Wyraźnie wskazywał na to, że wkrótce zostanie ona zniszczona. Sam Jezus nie wzywa do jej obalenia, On po prostu przekazuje Boży wyrok. System świątynny ulegnie destrukcji. Taka interpretacja jest tym bardziej właściwa, że Jezus odwołuje się do proroctwa Jeremiasza i jego słów: „Może jaskinią zbójców stał się w waszych oczach ten dom, nad którym wzywano mojego imienia? Ja [to] dobrze widzę – wyrocznia Pana. Idźcie, proszę, do mojego przybytku w Szilo, gdzie dawniej obrałem mieszkanie dla mojego imienia, i patrzcie, co mu uczyniłem z powodu przewrotności mojego ludu, Izraela" (Jr 7, 11–12). Jak wiadomo, przybytek w Szilo, niegdyś centralne miejsce kultu Jahwe, uległ – po jednym z najazdów filistyńskich – całkowitej destrukcji.

To Bóg sam zniszczył poświęcony Mu przybytek w Szilo ze względu na „przewrotność ludu". Przymierze z Bogiem ma charakter warunkowy, a nie bezwzględny. Dlatego Jeremiasz przepowiada: to samo, co stało się z Szilo, stanie się z przybytkiem w Jerozolimie. Słuchacze Jezusa doskonale to rozumieją. Wiedzą, że gdy mówi on o „jaskini zbójców", to ma na myśli zniszczenie Świątyni, tak jak to było w czasach Jeremiasza i wcześniej, w czasach zniszczenia Szilo.

Dokładnie w ten sam sposób można odczytać ewangeliczną przypowieść o niegodziwych dzierżawcach, która stanowi wyjaśnienie i obronę wystąpienia w Świątyni (Mk 12, 1–11). Przywódcy Izraela – kapłani, faryzeusze, starsi – okradają, rabują to, co należy do Boga. Na czym polega ten rabunek? Nie tylko na przywłaszczeniu sobie funduszy i wykorzystywaniu tego, co zebrane przez wszystkich na cele partykularne. Świątynia zostaje odebrana Bogu i zaczyna służyć potędze Izraela.

PRAWDZIWY SENS WYJŚCIA

W 13. rozdziale Ewangelii św. Marka, opisującym zburzenie Świątyni, pojawia się też zapowiedź jej zastąpienia – rzecz naturalna i konieczna z punktu widzenia współczesnych Jezusowi oczekiwań żydowskich. Zniszczeniu starej Świątyni będzie towarzyszyło powstanie nowej, Świątyni Syna Człowieczego i jego ludu. „Wtedy pośle On aniołów i zbierze swoich wybranych z czterech stron świata, od krańca ziemi aż do szczytu nieba" (Mk 13, 27). „Wtedy", w takim rozumieniu, nie odnosi się jedynie do kresu czasów, ale do chwili po śmierci i Zmartwychwstaniu Jezusa – zebranie wybranych z czterech stron świata to opis powstania Kościoła, którego członkiem jest też Marek, autor Ewangelii.

Syn Człowieczy jako centrum, wokół którego gromadzą się wybrani z czterech stron świata, zastępuje Świątynię. „Wtedy" oznacza nie tylko odległy czas sądu, lecz także „teraz", obecne dzieje

eprasa.pl fecde7f9bb

Kościoła. „Wtedy" dokonało się Zmartwychwstanie Jezusa, kluczowy moment dziejów, kiedy to została wzniesiona nowa Świątynia Syna Człowieczego.

Zgodnie z tym chrześcijańskim rozumieniem śmierć Jezusa na krzyżu jest końcem, w sensie symbolicznym, Świątyni. Jej rozdarta zasłona jest dowodem, że wskutek odrzucenia Mesjasza wyrok zostanie niechybnie dokonany, co ostatecznie stało się w roku 70 po Chr. Każdy, kto od tej pory próbuje wznowić kult świątynny i chce wznieść Świątynię na nowo, sprzeciwia się Bożemu wyrokowi. To powszechne przekonanie autorów Nowego Testamentu.

Jerozolima po odrzuceniu Chrystusa, co On sam przewidział, stała się domem niewoli, symbolicznym Egiptem. Ustanawia On Nową Paschę, która tak jak stara jest znakiem wyzwolenia. Tyle że tym razem chodzi o wyzwolenie nie spod panowania faraona, ale z niewoli grzechu, w której tkwią mieszkańcy Jerozolimy. Nagrodą nie jest cielesna ziemia obiecana, ale niebo, wolność życia wiecznego.

O ile w Starym Testamencie tymi, którzy trzymali lud Izraela w niewoli byli Egipcjanie, o tyle teraz, jak wyraźnie wynika z pism Nowego Testamentu, Egipcjanami nie są Rzymianie czy poganie, ale demony i grzech. Jezus, nowy Mojżesz, wyprowadza lud z niewoli grzechu. Dokonuje się to w Jerozolimie w roku 30 po Chr., która w tym momencie, gdy odrzuca Jezusa, staje się, wraz ze swymi mieszkańcami, symbolicznie Egiptem i Sodomą.

LOGOS I ODWIEDZINY

Dokładnie to samo przekazuje ostatnia z Ewangelii, napisana przez św. Jana. Inaczej niż pozostali trzej ewangeliści św. Jan opisuje wystąpienie Jezusa w Świątyni od razu na początku Jego działalności publicznej.

„Zbliżała się pora Paschy żydowskiej i Jezus udał się do Jerozolimy. W świątyni napotkał siedzących za stołami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie. Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porozrzucał monety bankierów, a stoły powywracał. Do tych zaś, którzy sprzedawali gołębie, rzekł: »Weźcie to stąd, a nie róbcie z domu mego Ojca targowiska!«. Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: Gorliwość o dom Twój pochłonie Mnie. W odpowiedzi zaś na to Żydzi rzekli do Niego: »Jakim znakiem wykażesz się wobec nas, skoro takie rzeczy czynisz?«. Jezus dał im taką odpowiedź: »Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzech dniach wzniosę ją na nowo«. Powiedzieli do Niego Żydzi: »Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a Ty ją wzniesiesz w przeciągu trzech dni?«. On zaś mówił o świątyni swego ciała. Gdy więc zmartwychwstał, przypomnieli sobie uczniowie Jego, że to powiedział, i uwierzyli Pismu i słowu, które wyrzekł Jezus" (J 2, 13–22). Wyraźnie widać przeciwstawienie Świątyni Jerozolimskiej i Świątyni jego ciała. Uczniowie wprawdzie wtedy tego nie rozumieli, ale Jezus jak najbardziej. Od samego początku zatem wiedział, że Świątynia Jerozolimska zostanie zastąpiona Świątynią Jego ciała.

Zgodnie z chrześcijańskim rozumieniem śmierć Jezusa na krzyżu jest końcem, w sensie symbolicznym, Świątyni

On jest Bożą obecnością i dlatego nie ma potrzeby odnajdywania jej w Świątyni. Była to całkowicie nowa nauka, różna od rozpowszechnionych w literaturze żydowskiej poglądów. Według niej „Jerozolima i Tora były centralnymi punktami całego kosmosu, miejscem, do którego przyszła i zamieszkała w jedyny sposób własna Mądrość Stwórcy. Jan twierdzi, że taką rolę dokładnie ma Jezus".

Czy dwie te wielkości – Świątynia, dotychczasowe miejsce Bożej obecności, i Jezus, ten, w którym zamieszkała pełnia Boskości, który sam jest Bogiem człowiekiem – mogą istnieć obok siebie? Ze słów Jana wynika, że nie. Przyjście Jezusa, a przede wszystkim Jego śmierć oznaczają wyrok na Świątynię. Nie może być inaczej: Boża obecność, szechina, mieszka już tylko w Jezusie. To On jest Logosem, Słowem, Bożą chwałą. Choć przez trzy lata Jezus i Świątynia istnieją równocześnie, to Jezus stopniowo odsłania Żydom prawdę. Czas Świątyni w Jerozolimie dobiegł końca. „Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec" (J 4, 23). Epoka Świątyni w Jerozolimie i na górze Garizim minęła.

W jaki konkretny sposób Jezus wykorzystywał święta żydowskie, żeby wskazać na siebie jako na Słowo wcielone, „które zamieszkało wśród nas", widać dobrze choćby przy opisie wystąpienia Jezusa z okazji święta odnowienia Świątyni. Przypomnę, że wokół interpretacji tego zdarzenia rozgorzał kilka miesięcy temu spór. Pojawiła się opinia kilkunastu osób, według których Jezus obchodził święto Chanuki, odnowienia Świątyni, tak jak współcześni mu Żydzi. Twierdziłem, że najprawdopodobniej taka teza to błąd. Jezus był obecny na święcie, podczas którego gromadziło się wielu Żydów, ale sam go nie obchodził. Ewangelia stwierdza tylko: „Obchodzono wtedy w Jerozolimie uroczystość Poświęcenia świątyni. Było to w zimie. Jezus przechadzał się w świątyni, w portyku Salomona" (J 10, 22).

Nie da się z tego wywieść tezy, że „Chrystus Pan obchodził święto Chanuki (por. J 10, 22–23), co powinien wiedzieć każdy katolik". W oparciu o zacytowany tu fragment takiej konkluzji nie da się wyprowadzić. Święto poświęcenia Świątyni zostało wprowadzone do oficjalnego kalendarza liturgicznego przez dynastię hasmonejską po 164 r. przed Chr. i upamiętniało odnowienie kultu przez Judę Machabeusza. Czy Jezus, który sam od początku swej działalności publicznej wskazywał na siebie jako na nową, prawdziwą Świątynię, mógł następnie postępować w taki sposób, żeby podważało to ten przekaz? Obchodząc tak jak inni Żydzi święto odnowienia Świątyni, Jezus podważałby swoje nauki. Jak mógł być nową Świątynią, nową Bożą obecnością, skoro wskazywałby na starą? Byłoby to przecież niedorzeczne i nieroztropne.

Argument ten – Chrystus Pan podczas swojej działalności publicznej wskazywał na siebie jako na nową Świątynię, a ściślej, jako na centrum nowej Świątyni – ma znaczenie nie tylko dla rozumienia Chanuki, lecz także innych świąt żydowskich. Nie wydaje się, by Chrystus mógł je obchodzić (w sensie: uczestniczyć w nich z taką intencją, jaka towarzyszyła ogółowi Żydów), bo wszystkie one zapowiadały przyjście Mesjasza i były dowodem oczekiwania

eprasa.pl fecde7f9bb

na Niego, wszystkie też wskazywały na Świątynię Jerozolimską jako na miejsce zamieszkiwania Boga. Czy Chrystus, który wiedział, że jest Słowem, Bożą obecnością w świecie, mógł przez swój udział w uroczystościach żydowskich podtrzymywać to przekonanie? Nie sądzę.

POŚWIĘCENIE PRZEZ OJCA

Właśnie przykład z Ewangelii Jana dobrze to ilustruje. Stojąc przed Żydami, Jezus mówi: „Ojciec mój, który Mi je dał, jest większy od wszystkich. I nikt nie może ich wyrwać z ręki mego Ojca. Ja i Ojciec jedno jesteśmy" (J 29–30). Dokładnie w miejscu i w czasie, gdy Żydzi upamiętniali Świątynię jako jedyne miejsce na ziemi, gdzie zamieszkuje Bóg, Jezus staje naprzeciw nim i stwierdza, że stanowi On jedność z Ojcem!

Trudno się dziwić, że „Żydzi porwali kamienie, aby Go ukamienować". Nie jest to zwykła reakcja na zachowanie kogoś, kto po prostu „świętuje Chanukę", nieprawdaż? Jezus jednak nieustraszenie mówi: „To jakżeż wy o Tym, którego Ojciec poświęcił i posłał na świat, mówicie: »Bluźnisz«" (J 10, 36) itd. Kim On jest? Tym, którego „Ojciec poświęcił". Pojawia się tu pierwszy raz określenie „uświęcać, konsekrować" (hagadziao).

Krytykę Świątyni, którą słyszą z ust proroka z Nazaretu, odrzucają. Widzą w niej zuchwałość i niewiarę

Jezus mówi, że Jego poświęcenie przez Ojca ma większe znaczenie niż konsekracja Świątyni, obchodzona przez Żydów! Tak, została ona ponownie konsekrowana i to wspominają Żydzi. Mylą się jednak, gdy nie dostrzegają, że oto stoi przed nimi prawdziwa Świątynia, ten, który od wieków jest poświęcony, jest świętym z Ojcem.

Warto zauważyć, że to samo określenie – „uświęcenie" – używane jest następnie wobec uczniów. „Uświęć ich w prawdzie. Słowo Twoje jest prawdą. Jak Ty Mnie posłałeś na świat, tak i Ja ich na świat posłałem. A za nich Ja poświęcam w ofierze samego siebie, aby i oni byli uświęceni w prawdzie" (J 17, 17–19). W ten sposób uczniowie stają się Świątynią, zostają oddzieleni od świata, od tej pory są nosicielami tej Bożej obecności i świętości, którą ma w sobie Chrystus.

W oczach autorów Nowego Testamentu zatem na ziemską i doczesną Świątynię zapadł wyrok, a w jej miejsce miała pojawić się Świątynia zbudowana na Chrystusie, której kamieniami mieli być członkowie Kościoła. Z punktu widzenia wiary żydowskiej była to prawdziwa rewolucja.

WZORZEC RAJU

Trzeba bowiem pamiętać, że dla współczesnych Jezusowi Żydów – tak saduceuszy, jak faryzeuszy – Świątynia była jakby pomniejszonym Izraelem. Może więcej. Była w pomniejszeniu całym stworzeniem. Jej architektura symbolicznie odwzorowywała podział natury, miejsce pogan, rolę Żydów. Ale miała też inną rolę do odegrania: była bramą, przejściem, kanałem, przez który przechodziło się ze świata poza Bogiem ku Niemu samemu. On sam w niej mieszkał i On sam, ostatecznie, gwarantował zwycięstwo Izraela nad światem pogańskiego chaosu.

Rytuały oczyszczenia były rytami przejścia, kiedy to wierny, pokonując przestrzeń geograficzną, symbolicznie przemieszczał się od krańców świata do jego absolutnego centrum wyznaczanego przez Bożą obecność. Stąd przejście od dziedzińca pogan do dziedzińca Izraelitów, stamtąd do dziedzińca kapłanów, do miejsca świętego, wreszcie Świętego Świętych. „Zasada działania świątyni opierała się na oddzielaniu tego, co święte, od tego, co powszednie; przestrzeń świątynna również różnicuje czyste od nieczystego […]. Od dziedzińca pogan do Świętego Świętych żydowski historyk Józef Flawiusz doliczył się »siedmiu stopni czystości«. Przejście każdej bramy, każde postąpienie ku przestrzeni świętej wymaga spełnienia nowych warunków co do czystości, nakazuje dokonanie oczyszczeń rytualnych przez kąpiele, zmianę stroju, pilnowanie zakazów seksualnych i żywnościowych" – pisał jeden z francuskich komentatorów. I podsumowywał: „Celem świątyni jest utrzymanie porządku stworzenia, takiego, jaki Bóg ustanowił w pierwszym tygodniu świata".

Świątynia była odwzorowaniem raju, miejscem, gdzie człowiek mógł swobodnie obcować z Bogiem. Tyle że oczywiście rajem przedstawionym symbolicznie. To zaś musiało oznaczać podział, drogę, przejście, wznoszenie się od tego, co świeckie, zwykłe, codzienne, ku temu, co pierwotne, odłączone, święte. Ten ruch doskonale opisał wielki religioznawca, Mircea Eliade. Przebiega on zawsze w ten sam sposób, zawsze tak samo charakteryzuje człowieka religijnego, który dąży do tego, co święte, bo tam jest źródło mocy, piękna, dobra, spokoju. Ten ruch, by być rzeczywisty, musi dokonywać się też w realnej przestrzeni.

NIEZWYCIĘŻONE MIEJSCE

Świątynia to instytucja, której funkcja polegała na pilnowaniu, by nie doszło do zmieszania się porządków. Świątynia może też zostać zdefiniowana jako projekt architektoniczny dopuszczający przejście z przestrzeni świeckiej do przestrzeni najbardziej świętej, Świętego Świętych, gdzie przebywa Boża Obecność.

Kategorie sacrum i profanum są podstawą rozróżnienia czystości i nieczystości. Czyste, tahor, to to, co zawsze jest doskonale na swym miejscu. Przeciwnie, nieczyste – tame – zakłada zmieszanie i nieporządek. Nieczystość – jak wynika z tego rozumowania – nie jest ani zmazą, ani grzechem. Nieczystość jest przyczyną sprofanowania tylko wtedy, jeśli osoba lub przedmiot nieczysty opuszczą strefę świecką, gdzie muszą być zamknięte, aby wejść w relację bezpośrednią lub pośrednią z obszarem świętym. Odwrotnie – przejście tego, co święte, do tego, co świeckie, jeśli nie jest kontrolowane przez rytuał, to samo także pociąga za sobą skażenie: dla faryzeuszy Tora, która opuści Świątynię, kazi ręce.

Wszystko jest zatem podporządkowane przekonaniu, że w Świątyni ostatecznie znajduje się sam Bóg. I dlatego jest ona niezwyciężona. Nikt nie może jej pokonać i zburzyć. Wprawdzie Żydzi w czasach Jezusa pamiętają, że kilka wieków wcześniej Świątynia została (w 587 r. przed Chr.) zburzona, ale są przekonani, że ich pokolenie jest wolne od grzechu. Że ścisłe przestrzeganie rytuałów, pobożność oparta na separacji, wierność i gorliwość skutecznie chronią ich od klęski. Krytykę Świątyni, którą

eprasa.pl fecde7f9bb

słyszą z ust proroka z Nazaretu, odrzucają. Widzą w niej zuchwałość i niewiarę. W czasach Jezusa Żydzi uważają, że jest ona niezniszczalna, że ten, kto kontroluje Świątynię, na pewno wygra wojny z poganami. Bóg nie ma innego wyjścia, niż stanąć w jej obronie. Nawet w ostatniej chwili zatem, gdy w roku 70 po Chr. na dziedziniec Świątyni wdzierają się rzymscy żołnierze, a budynek ogarniają płomienie, kilka tysięcy najbardziej zagorzałych wyznawców rzuca się w ogień, wierząc, że teraz nastąpi kres, zstąpi Mesjasz i Bóg pokaże swoją potęgę.

WSPÓŁCZESNE MARZENIE

Tęsknota za Świątynią – czasem ukryta, czasem stłumiona – pozostała. Nic nie pokazuje tego lepiej niż okres po roku 1967, po wojnie sześciodniowej, kiedy to już we współczesnym Izraelu rozwinął się coraz potężniejszy ruch na rzecz odbudowy Świątyni. W ten sposób – jak wierzy wielu pobożnych Żydów – wreszcie raz na zawsze będzie można dowieść, że Jezus z Nazaretu, który mówił o sobie jako o nowej Świątyni i wydał wyrok na starą, się mylił.

Żydowski ruch na rzecz odbudowy Świątyni przebiegał niejako w dwóch fazach. Pierwsza to lata 1967–1984, kiedy to miał on charakter agresywny i radykalny. Jednak od roku 1984, kiedy ruch na rzecz Trzeciej Świątyni wyrzekł się gwałtu, z dnia na dzień niemal przekształcił się wtedy w jedną z najbardziej wpływowych i najlepiej zorganizowanych żydowskich grup religijnych, wspieranych zarówno przez państwo, jak i przez potężne organizacje zagraniczne, szczególnie w USA. Prawdziwym przywódcą nowoczesnego ruchu na rzecz Trzeciej Świątyni został były radykał, Yehuda Etzion. Etzion (po tym, jak został zwolniony z więzienia), który w 1984 r. kierował organizacją Żydowskie Podziemie i chciał wysadzić w powietrze meczet Al-Aksa, postanowił zmienić charakter dotychczasowego ruchu i zrobić z niego organizację pokojową, odżegnującą się od stosowania przemocy.

W 2013 r. przedstawił publicznie swój plan rewitalizacji Jerozolimy w taki sposób, by w centrum przebudowy znalazła się Trzecia Świątynia. Była to tak naprawdę nowa wersja planu pierwszy raz przedstawionego przez mentora Etziona, Szabataja Ben Dova, członka terrorystycznej grupy Lehi, syjonistycznego ugrupowania walczącego jeszcze z Brytyjczykami.

Zgodnie z projektem urbanistycznym Etziona na Wzgórzu Świątynnym znajdą się Trzecia Świątynia, Dom Króla i Sąd Sanhedrynu, czyli rada 71 rabinów, którzy staną się najwyższym, religijnym, legislacyjnym ciałem Izraela. Wszystko zgodnie z przepisami Tory. Projekt Etziona zakłada nie tylko pozbycie się Palestyńczyków – ma to się stać dzięki odpowiedniemu systemowi zachęt finansowych – lecz także uczynienie z Trzeciej Świątyni »domu modlitwy dla wszystkich narodów«. Tym samym nowa Świątynia ma stać się konkurencją nie tylko dla chrześcijańskiego kościoła Grobu Pańskiego, lecz także w ogóle dla chrześcijaństwa.

NAJWAŻNIEJSZY INSTYTUT

Potęgę ruchu na rzecz budowy Trzeciej Świątyni symbolizuje gigantyczna złota menora stojąca za szkłem na terenie Starego Miasta w Jerozolimie. Każdy, kto tam dotrze, musi ją zobaczyć. Dla większości turystów i pielgrzymów jest to tylko znak odległej przeszłości, jednak dla aktywistów żydowskich, odwrotnie, wielka złota menora opisuje przyszłość. To kierunkowskaz, pokazujący, co ma się wkrótce stać.

Potęgę ruchu na rzecz budowy Trzeciej Świątyni symbolizuje złota menora stojąca za szkłem na terenie Starego Miasta

Znajdujący się przy niej napis mówi, że „menora została odtworzona pierwszy raz od czasów zniszczenia Drugiej Świątyni zgodnie z badaniami przeprowadzonymi przez Instytut Świątyni". Ta ostatnia organizacja została założona przez rabina Izraela Ariela w 1984 r. i jest jednym z najważniejszych podmiotów, szerzących nową, świątynną teologię. Ariel nie tylko ukończył Jesziwę Mercaz HaRav, czyli jedno z najważniejszych seminariów religijnego syjonizmu, lecz także był członkiem skrajnie nacjonalistycznej partii KACH, założonej przez rabina Meira Kahane (tego samego, który chciał wysadzić w powietrze meczety) i zdelegalizowanej formalnie przez Kneset w 1986 r. Widać zatem bliskie więzi, które łączą obecnie działającą instytucję z radykalnymi, syjonistycznymi bojówkami sprzed lat.

Członkowie instytutu zobowiązali się „robić wszystko, co w ich ograniczonej mocy, aby wznieść w naszych czasach budynek Świętego Przybytku". Instytut przygotował niezwykle popularną wystawę, odwiedzaną masowo przez turystów, gdzie pokazuje się stroje kapłańskie, instrumenty muzyków świątynnych (lewitów), a nawet ołtarze, na których składało się ofiary zwierzęce. Odwiedzający mogą nawet kupić sobie do domu „kadzidło świątynne", podarunek ze sklepu z pamiątkami. Oprócz tej działalności, która ma doprowadzić do rozbudzenia świadomości znaczenia Świątyni wśród Żydów, instytut podejmuje inne przygotowania do restytucji kultu: w 2016 r. aktywiści wyznaczyli na arcykapłana (Kohen Gadol) Barucha Kahane, syna nieżyjącego Meira. Ma on sprawować liturgię w Trzeciej Świątyni, gdy tylko uda się ją odbudować.

Ruch świątynny wspierają nie tylko współcześni ortodoksyjni religijni nacjonaliści, ultraortodoksyjni nacjonaliści, chasydzi należący do skądinąd znanej w Polsce grupy Chabad Lubawicz oraz nieznanej Breslow, lecz także świeccy syjoniści, którzy w przywróceniu ofiar zwierzęcych i odbudowie Świątyni widzą przejaw żydowskiej suwerenności. Na tym właśnie polega wielka zmiana, która dokonała się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

Wiek XXI – jak wszystko na to wskazuje – będzie wiekiem prób odbudowy fizycznej Świątyni w Jerozolimie i restytucji liturgii kapłańskiej. Jest tylko kwestią czasu, kiedy to się dokładnie stanie. Zgodnie z ideologią ruchu świątynnego obecne Wzgórze Świątynne to ostatni bastion nieżydowski, ostatnia wysepka nieodbita do końca przez syjonizm. Dlatego odbudowa Świątyni jest tak ważna: ma ona być symbolem nowej, izraelskiej potęgi, dowodem na ostateczne zwycięstwo politycznego syjonizmu nad światem arabskim i także chrześcijańskim. Świątynia, gdy już powstanie i gdy uda się przywrócić w niej starożytną liturgię, będzie świadczyć o potędze Izraela i o fałszywości tych wszystkich proroków, jak Jezus z Nazaretu, którzy wieszczyli jej wieczny upadek.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Dzisiaj w Betlejem. I w Strefie Gazy

Krystian Kratiuk

Populacja chrześcijan w Izraelu gwałtownie się kurczy. Świata zdaje się to nie interesować

Tłum wyprowadził go za mury Jerozolimy, na skalisty teren, gdzie słońce ostro biło w ziemię. Stanął spokojnie wśród wrzawy. Ciężar chwili nie mógł go nie poruszyć, ale jednak wytrwał. Pierwsze kamienie spadły nań jakby lekko, potem jednak czuł coraz silniejsze uderzenia, coraz cięższe kamienie odbijały się od skał i wzbijały w powietrze pył.

Uniósł twarz ku niebu. Osunął się na kolana, otoczony chmurą pyłu, krzykami i hukiem ostatnich uderzeń. Gdy tłum odchodził, gwar przycichał.

Na ziemi pozostało ciało pierwszego męczennika. Znak królestwa, którego nie mogli zniszczyć kamieniami.

Święty Szczepan, którego Kościół wspomina drugiego dnia Bożego Narodzenia, pozostaje jednym z najbardziej symbolicznych świadków wiary w historii religii. Jego śmierć – ukamienowanie pod murami Jerozolimy – stała się punktem zwrotnym w dziejach pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej: pokazała bowiem, że wiara w Chrystusa wymagać będzie odwagi i determinacji. Gotowości na prześladowanie i wierności aż po kres. Jego śmierć zapisała się w pamięci Kościoła jako archetypiczny przykład świadectwa, tym mocniejszego, że zadanego przez tych, którzy powinni być jego duchowymi braćmi.

To było dwa tysiące lat temu.

Dziś, gdy patrzymy na miejsce jego męczeństwa – na Jerozolimę, Palestynę, Izrael – widzimy ziemię wielokrotnie zalaną krwią. Krwią nie tylko męczenników, lecz także ofiar okrutnych wojen, powstań i aktów terroru. Los współczesnych chrześcijan w miejscu, gdzie narodził się, umarł i zmartwychwstał Chrystus i gdzie zginął Szczepan, nie zawsze jest męczeństwem rozumianym wprost, ale ich codzienność wpisuje się w kategorię świadectwa w warunkach narastającej opresji. To, co przeżywają chrześcijanie żyjący w Strefie Gazy, w Betlejem czy Jerozolimie, nie jest jedynie historią politycznego konfliktu – to opowieść o wspólnocie, która z każdym rokiem traci ludzi, domy, świątynie i… nadzieję.

A jednak wciąż trwa.

WŚRÓD HARMIDRU WOJNY GŁOS SIĘ ROZCHODZI

To właśnie od nich – od prawdopodobnie ostatnich chrześcijan Gazy – zaczyna się ta opowieść. Bo choć nie giną dziś kamienowani jak Szczepan, to ich codzienność stanowi świadectwo prześladowania wojną, ubóstwem, opresją instytucjonalną i przemocą, która coraz mocniej zaciska się na ich maleńkiej wspólnocie.

Kiedy zasiadłem do napisania tego tekstu, tuż przed Adwentem 2025, zbierając niezbędne informacje, odebrałem e-mail od sekcji polskiej Radia Watykańskiego. Z treści wynikało, że przemoc izraelskich osadników na Zachodnim Brzegu nie ustaje, dotykając także Taybeh – ostatnią w całości chrześcijańską palestyńską wioskę, gdzie niszczone są budynki parafialne, samochody, infrastruktura i uprawy, a kolejne ataki budzą narastający strach mieszkańców. W informacji tej przeczytałem również, że proboszcz, o. Bashar Fawadleh, podkreśla, że akty wandalizmu wymagają stanowczego potępienia, zwłaszcza że blokady dróg i przemoc uniemożliwiają rolnikom dostęp do gajów oliwnych, co pogłębia kryzys gospodarczy i skłania wielu do emigracji. Dzieje się tak mimo wizyt solidarnościowych zwierzchników wspólnot chrześcijańskich i dyplomatów wzywających do pokoju.

To kolejna taka wiadomość docierająca do nas za pośrednictwem katolickich mediów, bo to głównie one zajmują się sytuacją chrześcijan w Palestynie. A przecież powinny robić to największe światowe telewizje, tak wszak lubujące się w opowiadaniu o ginących ludach, których kulturę należałoby ocalić…

A chrześcijańska obecność w Gazie jest tak stara, jak samo chrześcijaństwo. I tak dramatycznie malejąca, jak rzadko która wspólnota na świecie. Dane są tu jednoznaczne. W latach 90. w Gazie mieszkało nawet 5 tys. wyznawców Chrystusa, w 2013 r. – ok. 1,3 tys., w 2023 r. – już tylko 1017, a dziś różne szacunki mówią o 800–1000. Ci, którzy pozostali, to głównie wyznawcy prawosławia greckiego oraz niewielka wspólnota katolików łacińskich. Stanowią zaledwie ok. 135–140 osób.

Wojna Izraela z Hamasem, która w nową fazę weszła 7 października 2023 r., uczyniła chrześcijan najbardziej zagrożoną mniejszością nie tylko w tym państwie, lecz także w całym regionie.

eprasa.pl fecde7f9bb

Amerykański Departament Stanu odnotowuje, że izraelskie naloty niszczyły obiekty cywilne, w tym sakralne, i zabijały cywilów ukrywających się w kościołach – zarówno muzułmanów, jak i chrześcijan. Najbardziej dramatyczne epizody przeszły już do najnowszej historii wspólnoty.

Na samym początku aktualnej odsłony konfliktu, 19 października 2023 r., izraelski pocisk uderzył w kompleks budynków prawosławnej parafii św. Porfiriusza – najstarszej chrześcijańskiej świątyni Gazy i miejsca schronienia dla kilkuset uchodźców. Zginęło co najmniej 16 osób, wiele zostało rannych, a przyległy budynek zawalił się, grzebiąc całe rodziny. Zginęła m.in. część rodziny Tarazich – w tym niemowlę i osoba w podeszłym wieku. To scena, która poruszyła nawet doświadczonych reporterów wojennych: kościół, który przez wieki był schronieniem, stał się nagle masowym grobem.

Dwa miesiące później, 16 grudnia 2023 r., snajper – według informacji przekazanych przez patriarchat łaciński – zastrzelił Nahidę Khalil Anton oraz jej córkę Samar w budynkach katolickiej parafii Świętej Rodziny. Gdy inni próbowali udzielić im pomocy, żołnierze ranili jeszcze siedem osób. Wymienione tu z imienia i nazwiska matka i córka należały do jednych z najbardziej znanych rodzin katolickich w Gazie; cała wspólnota znała je osobiście.

Niewiele ponad półtora roku później – 17 lipca 2025 r. – w ten sam kompleks budynków uderzył pocisk czołgowy lub jego odłamki. Zginęły trzy osoby, a kilkanaście zostało rannych, wśród nich proboszcz parafii, Argentyńczyk, ks. Gabriel Romanelli. Zdjęcia, które po tym ataku obiegły katolickie media na Zachodzie, przypominały ujęcia z Aleppo czy Mosulu: zrujnowane pomieszczenia, wybite okna, osmolone mury pod krzyżem.

Z tej niewielkiej wspólnoty w ciągu ostatnich dwóch lat zginęło co najmniej 44 chrześcijan, z czego 23 wewnątrz kościołów. Ponad 20 zmarło z głodu, braku leków lub z powodu chorób niemożliwych do leczenia pod oblężeniem. Oznacza to, że w ciągu 20 miesięcy zginęło ponad 5 proc. wszystkich chrześcijan Gazy. To proporcja, która nie ma precedensu w żadnej wspólnocie chrześcijańskiej regionu od czasów wojny w Libanie.

Chrześcijanie w Gazie żyją nie tylko pod ogniem wojny, lecz także pod rządami Hamasu, co określają mianem „podwójnego ucisku"

Ksiądz Romanelli mówił w jednym z wywiadów: „Przed 7 października było nas 1017. Około 300 wyjechało, 50–60 zginęło. Zostaje ok. 500. Żyją dosłownie w każdym kącie parafii, mogą żyć tylko tu". W parafii Świętej Rodziny mieszkają dziś setki ludzi – w salach katechetycznych, na korytarzach, a nawet na dachu. Siostry Misjonarki Miłości opiekują się ponad 50 niepełnosprawnymi. Pomoc kolportowana przez chrześcijan trafia również do współmieszkańców muzułmańskich – modlitwa i chleb nie mają tu granic wyznaniowych. Ale im dłużej trwa izraelska blokada dostaw, tym możliwości pomocy stają się mniejsze.

Reporterzy wojenni, którym udało się dotrzeć do Gazy lub rozmawiać przez Internet z jej mieszkańcami, podkreślają, że wspólnota jest na skraju zaniku – biologicznego, demograficznego i instytucjonalnego. Tak oto chrześcijaństwo w tym miejscu świata, liczące niemal dwa tysiące lat, może przestać istnieć, jeśli wojna potrwa jeszcze dłuższy czas.

Warto jednak zaznaczyć, że chrześcijanie w Gazie żyją nie tylko pod ogniem wojny, lecz także pod rządami Hamasu, co

eprasa.pl fecde7f9bb

Msza za osoby, które straciły życie po izraelskim ataku na katolicki kościół Świętej Rodziny, Strefa Gazy, 17 lipca 2025 r. FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

określają mianem „podwójnego ucisku". Amerykańskie raporty rządowe opisują np. podręczniki szkolne pełne gloryfikacji przemocy, a także zauważają niewielką przestrzeń swobody dla mniejszości religijnych. W niektórych okresach zdarzały się wymuszenia, groźby wobec konwertytów, naciski na kobiety. Wyjazd – jeśli w ogóle bywa możliwy – wielu wydaje się dziś jedyną strategią przetrwania.

W tej atmosferze jedną z najważniejszych postaci dla chrześcijan Gazy stał się papież Franciszek, który przez ostatnie 18 miesięcy życia dzwonił niemal codziennie do ks. Romanellego i jego wspólnoty, pytając: „Czy macie leki? Co dziś jedliście? Jak się trzymacie?". Po jego śmierci w 2025 r. wspólnota urządziła spontaniczne czuwanie, nazywając go nawet „Świętym Gazy". Ten drobny, ale codzienny gest – telefon – był dla wielu ludzi jedynym sygnałem, że świat o nich nie zapomniał.

CZYM PRĘDZEJ SIĘ... WYPROWADZAJCIE

Ale przecież trudności chrześcijan w Ziemi Świętej nie zaczęły się wcale wraz z rozpoczętym dwa lata temu kolejnym konfliktem w Strefie Gazy. Ta leży na wybrzeżu Morza Śródziemnego, przy granicy z Egiptem, natomiast izraelscy chrześcijanie żyją nie tylko tam. Zachodni Brzeg to oddzielone od Gazy terytorium – i jeżeli Gaza stała się symbolem zniszczenia wspólnot chrześcijańskich, to Zachodni Brzeg można widzieć jako symbol ich powolnego zanikania. Wojna, emigracja, napięcia międzyreligijne i międzynarodowe oraz presja polityczno-ekonomiczna wypłukują chrześcijaństwo z miejsc stanowiących przecież serce naszej religii.

Warto pamiętać, że jeszcze w czasach osmańskich i mandatu brytyjskiego wyznawcy Chrystusa stanowili 8–10 proc. ludności Palestyny. A w miastach takich jak Betlejem, Nazaret czy Ramallah bywali nawet większością. Po 1948 r., a jeszcze mocniej po 1967 r., sytuacja zaczęła się zmieniać gwałtownie.

Dziś chrześcijanie stanowią ok. 1–2 proc. ludności Zachodniego Brzegu – to nie więcej niż 50 tys. osób na populację ponad 3 mln. Betlejem – niegdyś w niemal 90 proc. chrześcijańskie – dziś zamieszkuje poniżej 10 proc. wyznawców Chrystusa, a według niektórych danych nawet poniżej 7 proc.

W 2025 r. palestyńska inicjatywa praw człowieka Balasan skierowała do ONZ „pilny apel dotyczący bezpośrednich zagrożeń dla dalszego istnienia palestyńskiej społeczności chrześcijańskiej". Alarmowano w nim, że miejscowości chrześcijańskie (np. Aboud, Beit Jala, Betlejem) doświadczają „geograficznego, demograficznego i ekonomicznego duszenia" przez politykę osiedleńczą Izraela.

Warto wiedzieć, że ziemie na Zachodnim Brzegu są podzielone na trzy strefy. Strefa A to obszary zarządzane przez Palestyńczyków. Strefa B to terytoria, gdzie Palestyńczycy odpowiadają za sprawy cywilne, ale bezpieczeństwo kontroluje Izrael. Strefa C – największa część terytorium – jest całkowicie pod kontrolą Izraela, który decyduje tam o wszystkim: od zezwoleń na budowę po dostęp do ziemi i rozwój osiedli. Dla przykładu: w miejscowości Aboud znajduje się ok. 14 tys. dunamów ziemi (czyli ok. 14 km kw.). Z tego tylko 2,5 tys. dunamów leży w strefie B – gdzie Palestyńczycy mają choć częściową kontrolę. Cała reszta, czyli prawie 12 tys. dunamów, to strefa C, w pełni zarządzana przez Izrael, przecięta drogami dla osadników i otoczona ich osiedlami.

Dodatkowo wzrost przemocy osadniczej (ze strony Żydów w stosunku do mieszkających tam wcześniej Palestyńczyków, w tym chrześcijan, w celu wysiedlenia ich z domów) staje się lawinowy – tylko w 2022 r. odnotowano 502 incydenty takie jak pobicia, podpalenia pól, niszczenie drzew oliwnych. To wzrost o 148 proc. w stosunku do lat wcześniejszych.

eprasa.pl fecde7f9bb

Chrześcijańskie rodziny tracą zatem ziemię położoną w strefie C, bo nie są w stanie uzyskać pozwoleń na budowę czy modernizację. Jednocześnie żydowskie osiedla rosną na wzgórzach ponad ich miastami, a do codziennej pracy czy szkoły trzeba się przedzierać przez checkpointy, które potrafią dusić ruch godzinami. Donosił o tym również tegoroczny raport think tanku New Lines Institute, a także organizacji Catholic Near East Welfare Association. Ta ostatnia instytucja podkreśla również, że sytuacja ta dla rodzin chrześcijańskich oznacza również utratę gajów oliwnych, ograniczenia w przemieszczaniu się, niemożność uzyskania pozwoleń na budowę. To zaś generuje coraz wyższe bezrobocie, co w powiązaniu z gwałtownie spadającą liczbą turystów (zwłaszcza po 2023 r.) i przemocą osadników powoduje przyspieszoną emigrację.

Do trudności związanych z izraelską okupacją dochodzą miejscami także napięcia wewnątrz palestyńskiego społeczeństwa – zwłaszcza presja ze strony części środowisk muzułmańskich, objawiająca się naciskami obyczajowymi, incydentami niszczenia chrześcijańskich symboli czy konfliktami w małżeństwach mieszanych. Chrześcijanie mówią często, że są „między młotem okupacji a kowadłem lokalnych islamistów".

Ale mimo tych wszystkich dramatycznych danych chrześcijanie z Palestyny pozostają jednymi z najważniejszych instytucjonalnie grup w tamtejszym społeczeństwie: nadal prowadzą szkoły (w większości dla dzieci muzułmańskich), szpitale, uniwersytety, ośrodki kultury. W ich parafiach i klasztorach pracują zarówno prawosławni, jak i katolicy, melchici, luteranie czy anglikanie. Ich misją jest trwanie – choć coraz więcej z nich mówi, że wraz z nimi może wymrzeć ostatnie pokolenie chrześcijan na tych terenach.

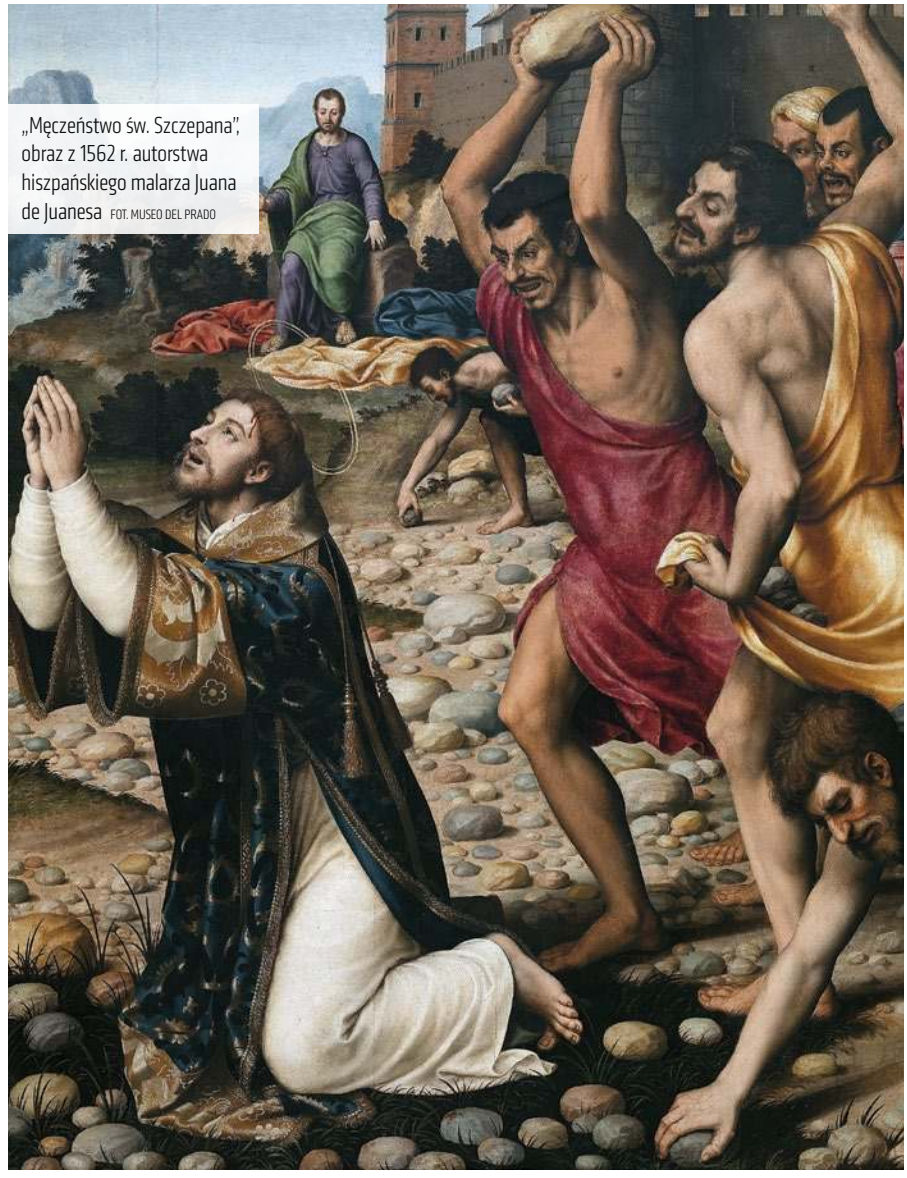

„Męczeństwo św. Szczepana", obraz z 1562 r. autorstwa hiszpańskiego malarza Juana de Juanesa FOT. MUSEO DEL PRADO

Międzynarodową opinią publiczną szczególnie powinna była wstrząsnąć wypowiedź izraelskiego ministra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben-Gwira, który stwierdził publicznie, że „plucie na chrześcijan to stara żydowska tradycja"

NIE BYŁO MIEJSCA DLA CIEBIE

Na całym terytorium Państwa Izrael chrześcijanie coraz mocniej odczuwają atmosferę rosnącego religijnego nacjonalizmu, przemocy ulicznej oraz dyskryminacji systemowej.

W Izraelu mieszka dziś ok. 180–190 tys. chrześcijan, czyli 1,9 proc. populacji. Zdecydowana większość z nich to Arabowie – głównie Palestyńczycy z Galilei i Jerozolimy. Inni to imigranci, pracownicy zagraniczni i nieliczni chrześcijanie hebrajskojęzyczni. W samej Jerozolimie żyje ok. 15 tys. wyznawców Chrystusa – ale warto pamiętać, że w połowie XX w. było ich 27 tys.

Chrześcijanie jako grupa arabska doświadczają w spokojniejszych niż Strefa Gazy terenach Izraela tych samych problemów, co arabscy muzułmanie: mniejszych budżetów gminnych, słabszej infrastruktury, odmów pozwoleń budowlanych, ograniczeń w dostępie do ziemi. Szczególnym punktem zapalnym pozostaje ustawa o państwie narodu żydowskiego z 2018 r., która głosi, że prawo do samostanowienia należy wyłącznie do narodu żydowskiego. Wspólnoty chrześcijańskie określają to prawo mianem „podstawy dalszej marginalizacji mniejszości".

Raporty Rossing Center for Education and Dialogue, zajmującej się budowa-

eprasa.pl fecde7f9bb

niem relacji i dialogu między religiami oraz monitorowaniem przypadków nienawiści religijnej, odnotowały ponad 50 ataków na chrześcijan i kościoły w Izraelu w roku 2023, ale już w roku 2024 takich incydentów (ataków fizycznych, słownych oraz wandalizmu) było dwa razy więcej, bo aż 111. Internet co kilka dni obiega informacja o tym, że kolejny katolicki duchowny przechadzający się ulicami Jerozolimy został opluty. Nagrania, na których młodzi ultraortodoksyjni Żydzi plują na krzyż, wyzywają księży czy rzucają kamieniami w klasztory, stały się powtarzającym się elementem rzeczywistości Starego Miasta.

Nie wszyscy dowierzali w te doniesienia. W czerwcu 2023 r. izraelski dziennikarz Yossi Eli przebrał się zatem za katolickiego zakonnika. Wyszedł na ulice Jerozolimy, po czym został wyśmiany i opluty przez dziecko oraz żołnierza w mniej niż pięć minut od wyjścia z redakcji…

Międzynarodową opinią publiczną szczególnie powinna była jednak wstrząsnąć wypowiedź ministra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben-Gwira, który stwierdził publicznie, że „plucie na chrześcijan to stara żydowska tradycja”… Skandal po tej wypowiedzi był tak duży, że rząd i główni rabini musieli publikować oświadczenia potępiające takie zachowania, ale chrześcijańscy duchowni podkreślają, iż w praktyce policja rzadko reaguje.

Z najbardziej spektakularnych przypadków, do których doszło w ostatnich latach, nie można pominąć ataku młotkiem na figurę Jezusa, pobicia księdza w bazylice przy ogrodzie Getsemani, kilkukrotnych dewastacji cmentarzy oraz ograniczenia dostępu w Wielką Sobotę do Bazyliki Grobu.

Miałem okazję doświadczyć tego na własnej skórze. W 2022 r. pracowaliśmy z ekipą PCh24.pl, ks. prof. Waldemarem Chrostowskim i Pawłem Lisickim nad serialem poświęconym męce i śmierci Chrystusa. Pewnego wieczoru, gdy wracaliśmy do miejsca zakwaterowania – do klasztoru ss. Elżbietanek położonego w dzielnicy Me’a Sze’arim – natrafiliśmy na obchody święta Tory. Ulica była pełna ortodoksyjnych Żydów, głównie mężczyzn i chłopców. Kiedy zorientowali się, dokąd idziemy, starsi zaczęli pokazywać nas palcami swoim synom. Chłopcy – właściwie dzieci, ośmio- czy dziesięciolatkowie – zaczęli gwałtownie gestykulować i krzyczeć. Osoba znająca hebrajski wyjaśniła nam, że padają w naszym kierunku wyzwiska. Po chwili zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie – w naszym kierunku poleciały butelki. Kilka miesięcy później zobaczyłem w Internecie przejmujące nagranie, które ścisnęło mi gardło. Rozpoznałem na nim fasadę tego samego klasztoru Elżbietanek. Wybite szyby, uszkodzone drzwi, połamane rośliny, potłuczone doniczki, kamienie odbite od ścian – obraz totalnego wandalizmu. A chodzi o spokojne, dyskretne polskie siostry, które nikomu tam nie wchodzą w drogę. A jednak zostały zaatakowane tylko dlatego, że wierzą w Chrystusa.

To wszystko buduje atmosferę strachu i zmęczenia. Według wspomnianego raportu Rossing Center 48 proc. młodych jerozolimskich chrześcijan poważnie rozważa emigrację. 77 proc. z nich jako główny powód wskazuje właśnie narastającą przemoc i klimat polityczny. Jeśli ten trend się utrzyma, to chrześcijaństwo w Jerozolimie może przekształcić się z żywej wspólnoty w zespół muzealnych instytucji i pielgrzymkowych obiektów.

Betlejemska wspólnota greckoprawosławna – niegdyś największa – dziś walczy o to, aby młodzi nie wyjeżdżali z kraju. Również luterański pastor Munther Isaac ostrzega, że obecność chrześcijan w Betlejem „jest na skraju załamania”. Duchowni z położonego nieopodal miasta Beit Sahour mówią, że ich parafie w ciągu dekady skurczyły się o połowę.

Ale dopóki w ruinach parafii Świętej Rodziny księża wciąż odprawiają Mszę, dopóki w Betlejem biją dzwony, dopóki w Jerozolimie ktoś – choć raz w tygodniu – odważy się przejść w sutannie czy habicie przez Bramę Damasceńską, dopóty historia chrześcijaństwa na tej ziemi trwa. Wszak to właśnie tu znajdują się miejsca, w których urodził się, nauczał, dokonywał cudów, został zabity, zmartwychwstał i wstąpił do Nieba Jezus Chrystus.

TYLE ŁEZ, JĘKÓW, KATUSZY

Być chrześcijaninem w dzisiejszym Izraelu pozostaje aktem odwagi. Ale to nie dziwi – przecież właśnie tam Chrystus zapowiedział swoim uczniom: „Pamiętajcie o słowie, które do was powiedziałem: Sługa nie jest większy od swego pana. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was prześladować będą”. I absolutnie nie tyczy się to wyłącznie Ziemi Świętej.

Dla dziesiątek milionów ludzi w wielu miejscach świata wyznanie „wierzę w Jezusa Chrystusa” oznacza utratę domu, pracy, zdrowia, a czasem życia. Dziś, w XXI w.

I tak według raportu organizacji Open Doors w 2025 r. aż 365 mln chrześcijan – czyli 1 na 7 na świecie – doświadcza poważnych prześladowań.

Być chrześcijaninem w dzisiejszym Izraelu pozostaje aktem odwagi

W Afryce Subsaharyjskiej, szczególnie w Nigerii, islamskie bojówki Boko zamordowały już ponad 50 tys. wyznawców Chrystusa. W Sudanie, Somalii i Erytrei więzienia pełne są ludzi, których jedyną winą jest modlitwa do Jezusa lub Jego świętych. Na Bliskim Wschodzie – w Syrii, Iraku, Jemenie – całe wioski chrześcijańskie znikają z map.

W Azji sytuacja nie jest wiele lepsza. W Korei Północnej za samo posiadanie Biblii grozi kara śmierci. W Pakistanie i Indiach chrześcijanie są bici, fałszywie oskarżani o bluźnierstwo, a ich kościoły burzone. W Chinach poddawani są inwigilacji i represjom, jeśli nie podporządkują się państwowej formie kultu.

Ale prześladowanie nie zawsze ma postać przelanej krwi. W świecie zachodnim rośnie fala tzw. miękkich prześladowań – wypychania wiary z przestrzeni publicznej i rosnącej dyskryminacji chrześcijan. W Europie i Ameryce Północnej tracą oni pracę za wyrażenie swoich przekonań, krzyże usuwa się z urzędów i szkół, a publiczne przyznanie się do wiary bywa powodem kpin czy ostracyzmu.

To nie są tylko statystyki. To setki milionów ludzi, którzy każdego dnia wybierają wierność Bogu – często wbrew otaczającemu ich światu. W XXI w., w dobie tolerancji, nowoczesności i praw człowieka, chrześcijaństwo wciąż jest najbardziej prześladowaną religią globu.

Wkrótce każdy z nas, ochrzczonych, może zyskać kolejne imię – Szczepan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl fecde7f9bb

Kaczyński – obciążenie czy opoka PiS?

Piotr Semka

Dat sugerowanego zakończenia prezesury Jarosława Kaczyńskiego w PiS było już wiele. Czy dziś Kaczyński jest skarbem dla partii czy coraz większym dla niej obciążeniem? Odpowiedź na to nie jest prosta

Jeśli uznać demonstrację marca 1968 r. za inicjację polityczną Jarosława Kaczyńskiego, to czynnie zajmuje się on polityką już od prawie 58 lat. Jeśli za start w polityce przyjąć początek współpracy z podziemnym KSS KOR, to w przyszłym roku lider PiS będzie mógł świętować 50 lat bycia w polityce. A jeśli wreszcie przyjąć za początek jego debiut w polskim parlamencie, to łączny staż kadencji senatorskich i poselskich to aż niemal 37 lat.

Żadne inne ugrupowanie nie ma na czele polityka z tak długim stażem, tak wszechstronnym doświadczeniem, ale i tak zaawansowanego wiekiem. Co prawda, 76 lat Kaczyńskiego to i tak mniej w porównaniu z 79 latami Donalda Trumpa. Ale kwestia tego, kiedy założyciel PiS ma oddać stery partii w ręce kogoś młodszego, co rusz pojawia się w dyskusjach. Tym bardziej że PiS w ciągu ostatnich dwóch lat po wyborach z 15 października 2023 r. nie wzmocnił swojej pozycji, a nawet w sondażach znacząco spadł. Dat sugerowanego zakończenia swojej prezesury w PiS było już wiele. Jest więc Kaczyński skarbem dla partii czy coraz większym dla niej obciążeniem? Odpowiedź na to nie jest prosta.

ZAGROŻENIA ZE WSZYSTKICH STRON

Z wynikami w sondażach między 25 a 28 proc. (w najnowszym sondażu z 6–7 grudnia Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" PiS uzyskuje nieco lepszy wynik: 30,94 proc.) Prawo i Sprawiedliwość to wciąż najsilniejsza partia opozycyjna. Jej klub w Sejmie trzyma się mocno. Nie sprawdziły się przepowiednie polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy wieszczyli, że w miarę upływu czasu w opozycji kolejni posłowie PiS będą powoli opuszczać partię. Ale obecne wyniki to jednak znacząca strata w porównaniu z wynikiem wyborczym 15 października 2023 r., kiedy PiS uzyskał 42,17 proc., obsadzając 194 miejsca w Sejmie. Dziś tamten wynik to dla PiS jedynie miłe wspomnienie.

To tąpnięcie nie wzięło się znikąd. Najpierw pojawiła się Konfederacja Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka, a potem, po podziale w tej partii – Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Na PiS zemściło się zastygnięcie pokoleniowe zarówno w kierownictwie partii, jak i we władzach regionalnych. Większość partyjnej młodzieży wessał rząd Mateusza Morawieckiego. A na szczytach samej partii dominowało pokolenie 60+, czyli Elżbieta Witek, Ryszard Terlecki, Stanisław Karczewski czy Anna Zalewska, o sędziwym Antonim Macierewiczu nawet nie wspominając.

Jeszcze gorsze było zabetonowanie struktur regionalnych PiS przez „starych, ale wiernych". Dziesiątki młodych, którzy zwrócili się ku prawicy, odbijały się jak piłka od lokalnych struktur PiS. Tylko w pewnym stopniu ludzi takich wchłonęła Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Znacznie więcej od 2018 r. zaczęło trafiać do Konfederacji Mentzena, gdzie po pierwsze stykali się z ludźmi niewiele starszymi od siebie, a po drugie – jak to zwykle bywa w partiach na dorobku – ich aktywność była przyjmowana z otwartymi rękami, a nie traktowana jak kłopot.

I to właśnie młode pokolenie przyczyniło się do udanej kampanii prezydenckiej Sławomira Mentzena, a w mniejszym stopniu do kampanii Grzegorza Brauna. Co jeszcze gorsze dla PiS, o ile Mentzen zagospodarował młodszy elektorat, o tyle Grzegorz Braun zaczął po pewnym czasie zabierać PiS, szczególnie na tzw. ścianie wschodniej, część starszego elektoratu.

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Okazało się, że część wyborców 50+, mających np., rodzinne urazy wobec Ukraińców czy fatalnie reagujących na politykę pedagogiki wstydu w stosunku do relacji polsko-żydowskich, trzymało się obozu PiS, bo nie miało lepszej alternatywy. Teraz, gdy pojawił się niezwykle elokwentny Grzegorz Braun, zaczęli przerzucać na niego swoje poparcie. Kiedyś, dawno temu, ci ludzie mogli głosować np. na tak zapomniane partie jak Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe czy Liga Polskich Rodzin. Dziś najlepiej czują się na wiecach Brauna. I na razie są nim zachwyceni.

Co najgorsze dla PiS, na wiecach „polskiego frontu gaśnicowego" powoli przyswajają sobie antypisowską retorykę Brauna. A ten ma już bardzo prostą kwalifikację: „PiS – PO to takie same partie okrągłostołowe, chanukowe, covidowe i proukraińskie". I nieważne, że Kaczyński od trzech dekad krytykuje filozofię Okrągłego Stołu i przez ponad osiem lat skutecznie odrzucał roszczenia do mienia bezspadkowego wysuwane przez amerykańskie organizacje żydowskie. Pamięć jest krótka i łatwo zyskuje posłuch argument zarówno Mentzena, jak i Brauna, że „PiS przez osiem lat nic nie zrobił".

Zresztą zarówno konfederaci, jak i braunowcy zgarniają premie za to, że nigdy dotąd nie rządzili. Gdyby jakimś cudem trafili na okres największego natężenia epidemii COVID-19, ich potencjalni ministrowie zdrowia musieliby decydować o skali obostrzeń czy podejmować decyzję, czy wychodzić z Unii lub prowadzić politykę wobec Ameryki. Ale los nie postawił ich przed takimi wyzwaniami, w związku z tym dziś mogą skutecznie rozliczać PiS z ich ośmioletnich rządów. Jeśli politycy PiS się na to oburzają, to trzeba przypomnieć, że oni też przed 2005 r. w większości nie rządzili (no, może z wyjątkiem rządu Jana Olszewskiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego). Wtedy też, korzystając ze swojej „niepokalaności", Jarosław Kaczyński surowo rozliczał wcześniejsze rządy Leszka Millera i Jerzego Buzka.

NAWROCKI ZYSKUJE, PIS NIE

Ten refren media wspierające Platformę powtarzają do znudzenia już od paru miesięcy. W tej układance jest twierdzenie, że PiS był ponoć przekonany, iż wygrana prezydencka Karola Nawrockiego utoruje mu drogę do szybkiego wysadzenia Donalda Tuska z siodła i przyspieszonych wyborów.

W rzeczywistości nie ma zbyt wielu dowodów na aż tak daleko posunięty optymizm i pewność siebie PiS. Owszem, była pewna próba konfrontacji Jarosława Kaczyńskiego z Konfederacją, ale lider PiS stosunkowo szybko się z niej wycofał. Jeśli Platforma podjęła kontrofensywę, to raczej dzięki determinacji Donalda Tuska, który zgasił w zarodku rozważania na temat swego odejścia z funkcji premiera oraz skutecznie rozpalił na nowo nienawiść w swoim elektoracie do polityków z rządu Mateusza Morawieckiego ściganych przez prokuraturę Waldemara Żurka. Zresztą na korzyść Tuska zadecydował też o wiele mniej korzystny dla PiS kalendarz wyborczy. O ile w 2015 r. między zwycięstwem prezydenckim Andrzeja Dudy a jesiennymi wyborami było tylko pięć miesięcy, o tyle teraz ten dystans między wygraną Karola Nawrockiego a datą kolejnych wyborów to już ponad dwa lata. Na dodatek Tusk szybko zrozumiał, że niesnaski oraz naturalna konkurencja między PiS a oboma konfederacjami to dla niego szansa.

Lider obecnej koalicji pojął, że zmasowane ataki na PiS – zarówno te prokuratorskie, jak i propagandowe – spotykać się będą z niemrawym protestem

eprasa.pl fecde7f9bb

Mentzena czy Brauna. Liderzy obu konfederacji, owszem, atakują Tuska, ale specjalnej solidarności z osaczanym PiS raczej nie widać. Z kolei Karol Nawrocki uzyskuje wysokie wyniki w sondażach popularności i zaufania, ale do wzmacniania się sondażowej pozycji PiS to się nie przyczynia. I tu znów nie może być mowy o powtórzeniu sytuacji z 2015 r. O ile wtedy Duda został wybrany głównie przez elektorat PiS z udziałem wyborców Pawła Kukiza (którego ruch szybko uwiądł), o tyle w tym roku Karol Nawrocki został wybrany głosami elektoratu PiS, a także wyborców Mentzena oraz Brauna. I to zupełnie zmienia sytuację. Dodatkowo ten sukces liderzy Konfederacji w większym stopniu, a brauniści w mniejszym chętnie przekładają na kwestię konfliktu pokoleń. Przekonał się o tym Jarosław Kaczyński w okresie przełomu sierpnia i września, gdy parę razy zaatakował Mentzena. Wtedy konfederaci i ich wyborcy natychmiast sięgnęli po przedstawianie tego konfliktu jako sporu młodego i dynamicznego Mentzena z „dziadziem Kaczyńskim", który coraz mniej rozumie szybko zmieniający się świat. Oczywiście Kaczyński jest na tyle przenikliwy, żeby zrozumieć, że wszedł na cienki lód, i zrezygnował z wycieczek przeciwko Mentzenowi, ale za to narodził się nowy kłopot PiS, czyli sięganie przez Brauna do elektoratu 50+.

Dodatkowo hasło wymiany kierownictwa w PiS zawsze z lubością podchwytują media proplatformerskie, niestrudzone w suflowaniu czy to prawicy, czy to Kościołowi, kto powinien stać na czele tych instytucji.

Nie jest to przypadkiem, że zawsze chętny do mieszania w prawicowym kotle portal Onet zamówił niedawno sondaż pracowni SW Research z pytaniem, kto powinien być twarzą PiS przed kolejnymi wyborami do Sejmu. 11,9 proc. badanych wskazało na Jarosława Kaczyńskiego, 10,7 proc. zyskał Mateusz Morawiecki, 8,4 proc. wybrało Przemysława Czarnka, a 6,4 proc. – Mariusza Błaszczaka. Jednak najbardziej istotne było to, że aż 23,8 proc. ankietowanych wybrało opcję „ktoś inny", a 38,8 proc. – „trudno powiedzieć". Oczywiście do tego sondażu należy podchodzić ostrożnie. W końcu nie ankietowano wyłącznie tych osób, które deklarowały zamiar oddania głosu na partię Jarosława Kaczyńskiego, ale wszystkich Polaków, czyli także wyborców obecnej Koalicji, którzy zazwyczaj Kaczyńskiego nie cierpią. Mimo wszystko jednak wynik ten pokazuje pewne oczekiwanie na zmianę władzy największej partii opozycyjnej. Bardzo charakterystyczne jest też, że w odpowiedziach nie zebrał wysokich not Zbigniew Ziobro, który – jak się zdaje – trwale zyskał już wizerunek kogoś, kto nie jest brany pod uwagę do schedy po Kaczyńskim. Nie może to dziwić w sytuacji jego ciężkiej choroby i statusu kogoś na celowniku prokuratorów od Waldemara Żurka.

KTO, JEŚLI NIE PREZES?

PiS od momentu swojego powstania był zawsze partią ostro atakowaną. Ataki te były tak samo ostre, kiedy partia była w opozycji, a chyba jeszcze ostrzejsze, gdy bywała u władzy. To trwale wpłynęło na specyficzny system zarządzania Jarosława Kaczyńskiego. I to też powodowało, że tak naprawdę w blisko 25-letniej historii tej partii nigdy nie było na tyle spokojnej sytuacji, by mogła powstać presja do zastąpienia Jarosława Kaczyńskiego kimś innym. Może najbliżej PiS był tego momentu, kiedy w 2019 r. po raz drugi wygrał wybory. Ale wtedy Kaczyński nie bez racji tłumaczył, że sytuacja rządu nadal jest tak skomplikowana, że wciąż musi trzymać ster partii.

Teraz PiS znajduje się pod największym naciskiem ze strony aktualnej ekipy rządzącej od czasu walki z prawicą za rządów Hanny Suchockiej w 1993 r. Każdą partię taka sytuacja zachęca do gwałtownych zmian i wywołuje obawy, że gdy wieloletni lider odejdzie, zacznie się proces rozpadu. Bo nikt w PiS nie jest pewien, czy gdyby Kaczyńskiego zastąpił dziś Mateusz Morawiecki, Przemysław Czarnek czy Mariusz Błaszczak, zwolennicy tych kandydatów, którzy przegrali, nie byliby skłonni do jakiejś secesji. A taki scenariusz jest na pewno marzeniem Donalda Tuska i konkurentów PiS z Konfederacji i Korony Polskiej.

W szerszej perspektywie PiS płaci cenę, którą za swoją wieloletnią wewnętrzną stabilizację płaciły wszystkie ugrupowania czy formacje polityczne zbudowane wokół jednej wyrazistej osobowości. Tak było z obozem piłsudczyków i tak było po wojnie z obozem gaullistów czy z niemiecką CDU. Ta ostatnia partia po 16 latach rządów Angeli Merkel wciąż ma trudności z wykreowaniem swojego nowego oblicza. Problem jest zawsze taki sam. Silny przywódca rządzący przez dekady wytwarza zbliżoną generacyjnie do siebie elitę partii, która z czasem tworzy dwór i nie chce żadnych zmian.

Tyle że biologia jest nieubłagana i zawsze z czasem pojawiają się nowe partie z młodszymi konkurentami. Grzegorz Braun jest młodszy od Kaczyńskiego o 18 lat, a Sławomir Mentzen – o 37 lat. Na pewne procesy skostnienia PiS zapracował zresztą też sam Jarosław Kaczyński. To on zadecydował, że jako prezes ma aż 10 zastępców, co czyni ze stanowiska wiceszefa PiS funkcję niewiele znaczącą. To on wpłynął na sytuację, w której rada polityczna partii to organ liczący ok. 300 osób, komitet polityczny – kolejne statutowe ciało – liczy 80 osób, komitet wykonawczy mający nadzorować pracę w regionach to gremium liczące ponad 40 osób. Nawet teoretycznie najbardziej operacyjny organ partii, czyli prezydium komitetu politycznego, tzw. PKP, to grupa kilkanaście osób.

Tak rozdęte organy nie mogą sprawnie i szybko reagować w sytuacjach kryzysowych. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach wszyscy wiedzą, że najważniejsze decyzje i tak zapadają w gabinecie prezesa, który zależnie od danej sprawy doprasza do grona decyzyjnego tego, kogo zechce. PiS staje zatem przed poważnym problemem. Z jednej strony policyjno-prokuratorska operacja Tuska wręcz represyjnie ogranicza działalność tej partii, a z drugiej strony ugrupowania Mentzena i Brauna wchodzą na tradycyjne pola PiS. Odejścia Kaczyńskiego nikt nie chce, bo wielu ludzi w partii obawia się, że oznacza to szybki rozpad partii na parę frakcji.

Jedyne, co może pocieszać tych polityków i wyborców PiS, którzy obawiają się czarnych scenariuszy, to fakt, że Jarosław Kaczyński już parokrotnie wychodził z gorszych kryzysów. Pytanie tylko, ile razy jeszcze udawać mu się będzie podobna sztuka. I jeszcze jedno. Zawsze może pojawić się jakiś gwałtowny zwrot, który premiować będzie polityka o długim doświadczeniu, a jednocześnie wykaże słabości politycznych debiutantów. Słowem: mowa o politycznym szczęściu, którego dystrybucji nigdy nie można do końca przewidzieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą, założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Zagadka braku samokrytyki PiS

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

KAROL GAC: Podczas naszej ostatniej rozmowy przed Wielkanocą powiedział pan, że „Karol Nawrocki nie okazał się najlepszym kandydatem, na którego PiS mógł postawić", ale jednocześnie zastrzegł pan, że gdy wejdzie on do drugiej tury, to sytuacja zmieni się radykalnie. Tak też się stało, a Karol Nawrocki został nowym prezydentem Polski.

JÓZEF ORZEŁ: Przyznaję, że wówczas nie doceniłem tego, jak mocne było oczekiwanie po prawej stronie na kandydata niezwiązanego z PiS. 1 czerwca kluczowe okazało się poparcie wyborców obu Konfederacji. Dla części elektoratu prawicowego PiS wydaje się partią starą, od której nie można oczekiwać poważnych zmian. Tymczasem jest tak, że elektorat prawicy czeka na duże zmiany, także związane z sytuacją zewnętrzną, ale i ze szkodnictwem rządu Donalda Tuska oraz oczekuje na nowy program, w którym zostanie zarysowane, jak Polska miałaby się rozwijać w sytuacji zagrożenia rosyjskiego, bardzo trudnych relacji z Ukrainą i trudności, które nam sprawiają Bruksela i Berlin. Elektorat prawicy czeka na program geopolityczny, który by Polskę wyciągnął z tej trudnej sytuacji.

Tylko czy to nie jest zbyt daleko idąca teza? Może część wyborców po prostu nie chciała Rafała Trzaskowskiego? Hasło „byle nie Trzaskowski" połączyło naprawdę bardzo różne środowiska.

To prawda, bo i nawet Grzegorz Braun wprost poparł Karola Nawrockiego. Jarosław Kaczyński trafnie wybrał człowieka niezwiązanego z PiS, czyli z praktyką rządzenia w latach 2015–2023. To jednak oznacza, że on wie, iż w oczach elektoratu prawicy rządy PiS i Mateusza Morawieckiego nie były chwalebne i należało się od nich odciąć kandydatem spoza PiS. Chodzi oczywiście o Zielony i Polski Ład, o składkę zdrowotną, która radykalnie wzrosła. To był błąd nie do odrobienia. Co więcej, równie nieprawdopodobne jest to, że ani Mateusz Morawiecki, ani Jarosław Kaczyński w sprawie składki zdrowotnej nie złożyli samokrytyki. Podniesienie tej składki podważyło narrację Mateusza Morawieckiego, że potrafi cały czas prowadzić bardzo prospołeczną politykę i będą na to pieniądze, że nigdy ich nie zabraknie.

Wskazywał pan także, że PiS nie rozliczył się ze swojej demoralizacji. Do dzisiaj to nie nastąpiło.

eprasa.pl fecde7f9bb

Absolutnie tak. Moim zdaniem Jarosław Kaczyński nie zrobił tego dlatego, że – co prawie każdy wie – wszystko, co Mateusz Morawiecki zrobił, uzgadniał z nim. Wydaje mi się, że tej samokrytyki nie ma, bo prezes PiS postawił na Mateusza Morawieckiego i wie, że samokrytyka uderzy w nich obu.

Wiosną Karol Nawrocki miał niższe poparcie niż średnia sondażowa PiS, tymczasem dzisiaj sytuacja jest odwrotna. Prezydent śrubuje kolejne rekordy, a PiS stopniowo słabnie i ma już poniżej 30 proc. w sondażach.

Za chwilę PiS będzie miał połowę tego, co ma Nawrocki. To jest nieuchronne, a do tego wzmocnione ambicją prezydenta, by dokonać w Polsce większych zmian. Do tego będzie potrzebował większości konstytucyjnej. Zresztą powiedział, że ustrój Polski powinien iść w kierunku systemu prezydenckiego, co rozjeżdża się z wizją Jarosława Kaczyńskiego, bo ten wolałby zapewne system kanclerski, w którym on, jeszcze kilka lat temu, byłby kanclerzem. Trudno mieć system kanclerski, gdy kanclerz siedzi na tylnym fotelu i kieruje samochodem, sterując kierowcą. Jednak przez kilka lat to się udawało.

W PiS obserwujemy za to konflikt wewnętrzny. Co tam się dzieje?

W PiS nie widać diagnozy. To jest zastanawiające i trochę przerażające. PiS nie dostarczył lekarstwa na swoje wady w drugiej kadencji ani na błędy polityczne, a teraz na wyjście z sytuacji zagrożenia przez Rosję i lekceważenia przez Berlin i Brukselę. Elektorat ma poczucie, że PiS prowadził podwójną politykę wobec Unii Europejskiej – w negocjacjach ustępował, a opowiadał w kraju, że nie ustępuje. I ilekolwiek by przemówień Mateusz Morawiecki nie miał, to się do niego przykleiło. Już widać, że UE nie przejmując się niczym, idzie na ścianę, rozwijając politykę klimatyczną, genderową, migracyjną i centralistyczną. To wynika z rozmaitych względów, także ze wzrastającej roli Komisji, bo kiedy spadają wpływy innych państw, w tym Niemiec, to KE rośnie. Analitycy słabo to zauważają, a elektorat to widzi. Skoro tak, to ktoś musi być temu winien, bo przecież miało być inaczej.

Nie powinno to więc uderzać w Donalda Tuska, który z jednej strony prowadzi uległą politykę wobec Berlina i Brukseli, a z drugiej strony KO jest częścią Europejskiej Partii Ludowej?

Elektorat prawicy nie głosuje na Donalda Tuska, więc to jest pytanie o elektorat premiera, dlaczego wciąż go popiera. Widać, że względy życiowe są mniej ważne niż ideologiczne.

Czysty antypisizm?

To coś więcej. To utrzymywanie się w swojej bańce, w której „musimy za wszelką cenę być razem, ponieważ prawicowcy są okropni i albo się ich boimy, albo – nie daj Boże – mają rację, ale to dla nas byłoby nie do przyjęcia". Badania pokazują, że Karol Nawrocki to kandydat na przywódcę całej prawicy. Jarosław Kaczyński przestaje już być figurą mierzącą się z Donaldem Tuskiem. Tam już stoi Karol Nawrocki. Jeśli jesteśmy w bańce antypisowskiej, przestraszonej światem, zagrożonej wojną, to szukamy opiekuna i gwaranta bezpieczeństwa w swojej formacji, niezależnie od tego, czy jej przywódcę lubimy czy nie. A ponieważ Tusk ograł wszystkich koalicjantów i to on podejmuje decyzje, to nie mamy wyboru i głosujemy na jego formację bardziej niż na niego samego.

Tylko później wychodzi premier i mówi, że dostał jedną trzecią władzy, więc spełnia jedną trzecią obietnic wyborczych, tym samym pokazując swoim wyborcom gest Kozakiewicza.

To trzeba mu dać jedną trzecią pensji. Gdyby bańka przeciwników Tuska urosła do 60 proc., to żądanie zmiany lidera KO pojawiłoby się w jej elektoracie, a nie pochodziłoby od średniego aparatu partii. Tusk ten aparat partii zgniótł i wrzucił do kosza. Nie przejął się delikatnym wezwaniem z Berlina i z Brukseli do zmiany lidera KO i podporządkował sobie jeszcze mocniej Sikorskiego, czyniąc go wicepremierem. Mamy bardzo nielubianego lidera, którego nie można zmienić, bo wszyscy wiedzą, że jeżeli się go zmieni, to KO się zapadnie. To odpowiedź, dlaczego tamten elektorat się tak zachowuje. Nic tu nielogicznego nie ma.

Wróćmy jednak do PiS.

W PiS jest dokładnie tak samo, jak w KO. Potrzebna jest zmiana, ale zmiana jest niemożliwa. Potrzebna jest zmiana lidera, nawet po to, by zmienić narrację i program. Najpierw jednak coś trzeba zrobić z tą siatką, którą narzucili obu partiom ich liderzy. W PiS potrzebna jest demokratyzacja i prezes się przed nią broni. Musiałby nie tylko się cofnąć o krok, lecz także wytłumaczyć, dlaczego to robi i dlaczego popełnił błędy. Inna rzecz, że Polacy by mu wybaczyli, bo Polacy potrafią wybaczać tym, którzy się przyznają do błędów. Być może spowiedź rządzących jest elementem politycznej duszy Polaków, nawet jeżeli połowa z nich do kościoła nie chodzi.

W takim razie, skoro zmiana lidera nie wchodzi w grę, to co dalej?

PiS targają nie tylko konflikty, lecz także strach części polityków, że nie wejdą do parlamentu.

Przecież wierchuszka nie ma się czego bać.

Nieprawda. Może się bać tego, że będzie dowodziła dużo mniejszym klubem, nie będzie miała znaczenia i nie będzie decydować o kierunku rządzenia, jeśli nie będzie większościowym partnerem w koalicji rządzącej.

Co w takim razie z tego sporu wyjdzie?

Niedawno nastąpiła istotna zmiana. Mateusz Morawiecki postanowił zostać niezależny od prezesa. W wywiadzie z Grzegorzem Sroczyńskim z portalu gazeta.pl powiedział kilka rzeczy, nie do przyjęcia dla kierownictwa PiS, które go ostro za to potraktowało. Jednak nie wiem, czy się zorientowało, że tym samym prezes przestał pełnić funkcję arbitra pomiędzy byłym premierem a większością PKP. Morawiecki odjechał za daleko, ale zdobył niezależność. Teraz jeszcze trudniej będzie Jarosławowi Kaczyńskiemu powierzyć Morawieckiemu nie tylko funkcję szefa PiS, lecz także przyszłego premiera. I musi grę o następstwo zacząć od nowa. Jednak gdyby nawet Morawiecki przejął partię i gdyby stworzyła ona koalicję rządzącą, a on byłby premierem, to już by nie mógł powtórzyć kierunku polityczno-programowego z lat 2015–2023. Nie ma na to pieniędzy, a sytuacja geopolityczna się zmieniła. I nie jestem pewny, czy kierownictwo PiS to rozumie.

Musimy zacząć od tego, jaką politykę Polska powinna prowadzić, żeby być bezpieczna i się rozwijać. Elektorat prawicy mniej więcej wie, co powinno

eprasa.pl fecde7f9bb

być, i – co ważne – ma rozsądek. Uważa więc, że Polska powinna coś zrobić, żeby być bezpieczna i niezależna, żeby Polacy mogli podejmować decyzje o Polsce. A ta druga bańka mówi: „Nikt nie jest niezależny, więc zawierzmy tej Unii, bo ona nam zapewni bezpieczeństwo". Elektorat prawicy wie, że to nieprawda, chce, żeby przedsiębiorczość Polaków nie była hamowana przez idiotyczne regulacje europejskie, a także równie głupie polskie. Problem w tym, że elektorat nie głosuje na tych polityków, na których powinien, żeby realizować swój interes.

Co zatem politycy powinni zaproponować przede wszystkim?

Oczywiście program bezpieczeństwa. A PiS ustami prezesa mówi ciągle o, nieaktualnym już, Pax Americana, a koalicja – o Unii i (raczej już tylko o europejskim) NATO, które bez USA nie potrafi nic. Powinniśmy stawiać na koncepcję Międzymorza, sojusz – w ramach UE i NATO – sąsiadów Rosji zagrożonych jej agresją – od Norwegii do Turcji. Sojusz, który obroni nas przed Rosją, zapewni niezależność od Brukseli i Berlina i dzięki temu pozwoli na rozwój gospodarczy.

Nie odpowiedział mi pan jednak na pytanie. O co toczy się spór w PiS i czym on się według pana zakończy?

To jest spór o władzę w partii, która da szansę na władzę w kraju. Jarosław Kaczyński na razie był tylko rozjemcą, natomiast to, co jest potrzebne, to zmiana ustrojowa w PiS.

Przecież przed chwilą pan powiedział, że to niemożliwe, i się pan tego nie spodziewa.

Tak, to jest równocześnie konieczne i nierealne politycznie, jak to mówi Jarosław Kaczyński. Zawsze przytaczam powiedzenie jednego z dziennikarzy amerykańskich, że „nawet polityk zrobi co trzeba, kiedy inaczej nie może". W momencie, w którym partia będzie zagrożona osunięciem się w niebyt, czyli tak w okolicach 20 proc., gdy kierownictwo skupi się na swojej pozycji życiowej, to aparat partyjny się zbuntuje i wymusi zmianę lub zrobi to kierownictwo, gdy wyczuje ten narastający bunt, by nie dopuścić do wojny domowej w partii, która może doprowadzić do jej rozbicia. Pierwszy konieczny element zmiany to zamiana selekcji negatywnej w polityce kadrowej na pozytywną.

Co w takim razie z Mateuszem Morawieckim? Z jednej strony ma cały czas, jak się wydaje, wsparcie prezesa, a z drugiej strony ma silną opozycję w PiS.

Sam pan sobie odpowiedział na to pytanie. Jarosław Kaczyński może próbować grać frakcjami o równowagę na zasadzie „dziel i rządź", ale właśnie się to kończy. Chodzi o to, żeby się nie „zamistrzował" w swoim mistrzostwie w grze „kto kogo?", a teraz Morawiecki postawił się poza tą grą. Jednak jeszcze nie pokazał nowej jakości – np. nowego programu dla PiS, programu bezpieczeństwa i rozwoju. Pan się skupia na nazwiskach i pewnie większość ludzi też tak o tym myśli, ale moja odpowiedź jest taka: Co mnie to obchodzi? Ja bym chciał, żeby PiS zdobiło kierownictwo, które ma wolę i zdolność polityczną przygotowania i realizacji takiego programu.

Czy PiS, a więc Jarosław Kaczyński, jest zdolny do jakiejkolwiek zmiany?

Według mnie jest zdolny, ale pod warunkiem, że wreszcie zobaczy, iż gra już się wyczerpuje. To przypomina czasy późnego Gomułki, gdy bycie przez niego arbitrem frakcji w biurze politycznym się wyczerpywało i nadchodził kryzys gospodarczy. I drugi warunek – trzeba dostrzec w aparacie partyjnym oraz w jego otoczeniu takim jak Kluby „Gazety Polskiej", Ruchy Kontroli Wyborów, think tanki – ludzi misji i działania oraz dać im szansę awansu i nowych zadań przez selekcję pozytywną, a nie układy i kolesiostwo.

Zawsze można przegapić odpowiedni moment.

Ten moment to nie jest konkretny punkt na linii czasu, ale to jest na niej krytyczny odcinek. Ludzie na dole tracą pracę, mają kłopoty z przeżyciem, ich lokalni liderzy ich nie dostrzegają lub ich nie chcą. A oni chcą mieć wpływ na lokalną organizację partyjną. Gdzieś ta energia się kumuluje, ale jeśli nie zostanie uwolniona dla dobra partii, to rozpłynie się w życiu prywatnym (z dobrym skutkiem dla ich rodzin, ale nie dla PiS). W 2016 r. proponowałem prezesowi PiS, żeby wsparł publicznie RKW. Powiedział, że nie może, bo RKW wyprze w PiS jego aparat lokalny. Powiedziałem wówczas, że to dobrze, bo on, prezes, będzie miał aparat jeszcze lepszy. Prezes odpowiedział, że pomyśli. Właśnie jest ten moment. Myślę, że ta energia w pewnym momencie po prostu wybuchnie i trzeba będzie coś z nią zrobić. Wtedy albo kierownictwo powie „to nie jest PiS, bo PiS to my", albo „nie damy sobie sami rady, musimy być razem". To byłaby taka potrzebna zmiana.

Wyobraża pan sobie rząd PiS-Konfederacja albo PiS i dwie Konfederacje?

Po pierwsze – trzy Konfederacje, bo partie Bosaka i Mentzena już są oddzielne. Teraz takiej koalicji nie można sobie wyobrazić, gdy PiS jest w ostrej konfrontacji z partią Mentzena, ale gdy nadejdzie moment decyzji, to po prostu trzeba będzie zasiąść do stołu i jakąś koalicję tworzyć. Kto tego nie zechce, ten zostanie od decyzji odstawiony. I wtedy na prawicy naturalną rzeczą będzie koalicja PiS, Konfederacji i elektoratu Brauna. Niepotrzebnym problemem będzie jednak napięcie, które będzie tym graczom towarzyszyło z tego powodu, że teraz się brutalnie atakują. Dlatego prezes Kaczyński powinien teraz odtrąbić odwrót od kampanii wrogości wobec Mentzena, jakikolwiek by on był, bo jest potrzebny przy tym stole. I nie widać szans na to, by PiS wrócił do „czwórki z przodu". Nie dostał premii za zwycięstwo w wyborach prezydenckich, a dostali ją prezydent, Braun i PO, bo kampanią przeciw Mentzenowi zgasił nadzieję swojego elektoratu na obalenie rządu Tuska.

Co nas zatem czeka przez najbliższe dwa lata?

Pozycja Tuska, jeśli chodzi o szanse wyborcze, jest dużo większa niż PiS z powodu polityki zewnętrznej. Poczucie zagrożenia wojną wśród Polaków sprzyja Tuskowi („efekt flagi"), a Ameryka ciśnie na to, by nastąpił koniec wojny, ale sama wycofuje się z Europy. I jej rolę, choć słabo, przejmuje Unia Europejska, czyli Berlin i Bruksela. To oni będą stanowić pokój, oni – czyli Tusk, a to oznacza, że to koalicja rządząca przyniesie nam bezpieczeństwo – choć na warunkach rosyjsko-europejsko-amerykańskich. A ludzie będą wybierali gwaranta bezpieczeństwa, więc może to zmusi PiS, by zaczął budować Międzymorze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Nowy premier

Rafał A. Ziemkiewicz

Próbując odpowiedzieć na pytanie, kto będzie kolejnym premierem Polski, trzeba przeanalizować kilka scenariuszy. Jedne bardzo prawdpodobne, inne mniej

Być może na następne wybory będziemy musieli czekać jeszcze dwa lata, a być może już w roku nadchodzącym opozycja stanie przed wyzwaniem, kogo desygnować na nowego premiera. A może nie będą go wcale desygnować ci politycy, po których spodziewamy się tego teraz? Warto zastanowić się nad tym już dziś, biorąc pod uwagę różne możliwe warianty

MAŁO PRAWDOPODOBNY: KOPACZ BIS

Nowy premier z tej samej koalicji to wariant raczej teoretyczny, wchodzi w grę tylko w jednym przypadku: gdyby Donald Tusk dostał jakąś zagraniczną ofertę i uciekł z Polski, porzucając partię, jak w roku 2014. Co prawda, po tym, jak demonstracyjnie wysłano go, by „odzyskał dla Europy swój kraj", jest mało prawdopodobne, by znowu wezwano go do służby „zjednoczonej Europie" – ale propozycja może przyjść też skądinąd, o czym dalej.

Ktokolwiek zająłby wtedy jego miejsce, byłby jedynie ustanowionym na krótki, schyłkowy czas likwidatorem „masy upadłościowej" – partia bez Tuska uległaby błyskawicznej erozji, zakończonej klęską wyborczą na miarę dawnej AWS albo rozpadem jeszcze przed wyborami. Widać tylko jednego kandydata, który byłby gotów podjąć się tej samobójczej misji – bynajmniej nie dlatego, że ma tak wielki potencjał, by jej sprostać, tylko dlatego że bardzo wysoko ocenia swoje możliwości, zarazem dość słabo rozpoznając rzeczywistość. Mowa oczywiście o Radosławie Sikorskim.

MAŁO PRAWDOPODOBNY: PIS I TYLKO PIS

Jarosław Kaczyński zdaje się w to szczerze wierzyć, więc także jego otoczenie, choć może mniej szczerze, prezentuje niezłomny optymizm: PiS w najbliższych wyborach wróci do swoich rekordowych wyników z 2019 r. i dzięki temu nie będzie do sformowania rządu potrzebować żadnych koalicjantów.

Nie widać żadnej dynamiki ani żadnego pomysłu, który mógłby coś podobnego sprawić, ale rozważmy i ten wariant. W takiej sytuacji premiera wskazałby, tak jak czynił to w minionych latach, Jarosław Kaczyński. Jeśli w partii nic się do tego czasu zasadniczo nie zmieni, to w grę wchodzą przede wszystkim dwa nazwiska: Mateusz Morawiecki i Przemysław Czarnek. Ten drugi ma chyba większe szanse. Morawiecki, choć każdy dzień rządów Tuska pokazuje, jak sprawnym był administratorem w porównaniu z następcą, ciągnie za sobą bagaż błędnych decyzji, które doprowadziły w 2023 r. do utraty władzy. Nie były to zapewne, tak naprawdę, jego decyzje, ale gdyby powiedział to na głos, jego szanse zmalałyby do zera. Przeciwko Morawieckiemu przemawia też to, że swego czasu premierem został – przypomnijmy – by pojednać PiS z Unią Europejską, co się nie udało, a co w nadchodzącym czasie, wobec narastającego konfliktu UE-USA, w którym jedyne miejsce dla PiS jest po stronie Ameryki, nie będzie już istotne. Last but not least, niedawne frakcyjne napięcia w PiS pokazały, że wskazanie Morawieckiego na premiera oznaczałoby dla Prezesa konieczność poświęcenia znacznej energii pacyfikowaniu nastrojów wewnątrz partii.

Najbardziej prawdopodobnym wyborem Kaczyńskiego wydaje się zatem Przemysław Czarnek, polityk, który od dawna na wszystkich zlotach Klubów „Gazety Polskiej" i podczas innych zgromadzeń „żelaznego elektoratu" zbiera największe owacje po samym Prezesie, a zarazem dający swą dotychczasową karierą gwarancję, że sobie z urzędniczymi wymogami premierowania poradzi. Przy tym mówi się, co stanowi dodatkowy atut, że Czarnek ma dobre stosunki z prezydentem.

Teoretycznie wyobrazić sobie można również premiera „z aparatu" – kogoś w rodzaju Mariusza Błaszczaka, Joachima Brudzińskiego czy Jacka Sasina. Ale premier miałby za zadanie zyskać akceptację nie tylko Jarosława Kaczyńskiego, lecz także szerokiej rzeszy wyborców, a ludzie „z aparatu" z zasady pozbawieni są charyzmy – inaczej Prezes zablokowałby ich kariery już dawno.

BARDZO PRAWDOPODOBNY: PiS PLUS KONFEDERACJA, PREMIER Z „KONFY"

Jeśli do sformowania kolejnego rządu potrzeba będzie koalicji PiS i Konfederacji, na co wskazują obecne sondaże, to silniejszą pozycję negocjacyjną mieć będzie ta druga partia. Zgodnie z precedensem z roku 1993, kiedy premierem koalicyjnego rządu SLD-PSL został prezes PSL, Waldemar Pawlak, Konfederacja zapewne zażąda premierostwa dla siebie. Czy PiS przed tym żądaniem ustąpi, będzie zależało od wielu okoliczności, których nie sposób w tej chwili przewidzieć. Załóżmy, że ustąpi.

Żaden z liderów Konfederacji nie zgłaszał otwarcie takich ambicji, wydaje się jednak, że mniej szans na wynegocjowanie z PiS kierowania rządem miałby Sławomir Mentzen. Jest też mniej prawdopodobne, aby to jego kandydaturę forsowała partia. Mentzen miał swój czas w kampanii prezydenckiej, kiedy to Krzysztof Bosak lojalnie wycofał się na drugi plan i wraz ze wszystkimi narodowcami wspierał jego kandydaturę. Odwrócenie sytuacji w parlamencie i poparcie teraz z kolei Bosaka na szefa rządu przez „korwinowski" pion Konfederacji byłoby logiczne i, z punktu widzenia współpracy obu środowisk, oczywiste.

Wydaje się też, że Bosak do kierowania przyszłym rządem po prostu bardziej się

eprasa.pl fecde7f9bb

nadaje. Mniej energetyczny w wystąpieniach publicznych imponuje w nich merytorycznym przygotowaniem, a każdy, kto obserwował jego dotychczasową drogę, nie może nie przyznać, że spośród wszystkich polskich współczesnych polityków Bosak wykazuje największą zdolność uczenia się i rozpoznawania zachodzących zmian. Słabością jego kandydatury – wspólną wszystkim kandydatom Konfederacji – jest tylko brak doświadczenia w administracji państwowej.

Mało prawdopodobne jest, żeby Konfederacja wystawiła w imię kompromisu, jak kiedyś zrobiono to z Hanną Suchocką, kogoś z drugiej linii. Być może miałby takie ambicje Przemysław Wipler, ale byłaby to kandydatura nie do przełknięcia dla Jarosława Kaczyńskiego. Z innych wariantów wizerunkowo mogłyby dużo ugrać Ewa Zajączkowska-Hernik lub Anna Bryłka, ale ich czas chyba jeszcze nie nadejdzie tak szybko.

Czy pomysł „wielkiej koalicji" KO z PiS jest wykonalny? Owszem, pod warunkiem zmiany przywódców

– warianty rządowe

BARDZO PRAWDOPODOBNY: PiS PLUS KONFEDERACJA, PREMIER Z PIS

Tu bez wątpienia największe szanse miałby wspomniany już Przemysław Czarnek. Morawiecki, kojarzony z „kamieniami milowymi", Zielonym Ładem i restrykcjami covidowymi, byłby dla Konfederacji i jej wyborców bardzo trudny do przełknięcia. Można też wyobrazić sobie wariant nieco podobny do wspomnianej historii Suchockiej: wobec wzajemnego zablokowania się silnych kandydatów szansę otrzymuje ktoś mniej dotąd eksponowany. Możliwe, że tu Prezes wskazałby Tobiasza Bocheńskiego lub któregoś z byłych samorządowców bądź wojewodów PiS.

PRAWDOPODOBNY: PiS, KONFEDERACJA I KORONA

Jeśli PiS i Konfederacja nie otrzymają wystarczającego poparcia, by stworzyć rząd, i będą musiały szukać porozumienia z Konfederacją Korony Polskiej, to będzie to miało doniosłe znaczenie dla polskiej polityki – ale akurat nie dla sprawy, nad którą się tu zastanawiamy. Korona nie ma dziś w zasadzie szeroko rozpoznawalnych polityków poza samym Grzegorzem Braunem, a ten jest postacią budzącą zbyt skrajne emocje, by wchodził w grę jako kandydat na premiera – z czego sam zresztą zdaje sobie sprawę, porównując samego siebie z „czołgiem przełamania", który „otwiera wyłom dla innych", i wzywając do tworzenia „szerokiego frontu gaśnicowego". Natomiast obecność Korony w koalicji rządzącej siłą rzeczy eliminowałaby kandydatów „miękkich". Można sobie wyobrazić Brauna wspierającego rząd Bosaka albo Czarnka, ale Morawieckiego, Mentzena czy Bochenskiego – już trudniej.

MOŻLIWY: PREMIER AMERYKAŃSKI

Z perspektywy krajowej „wielka koalicja" PiS z Koalicją Obywatelską (PO po połknięciu „przystawek") wydaje się po wszystkim, co działo się w ostatnim 15-leciu, niemożliwa. Z perspektywy amerykańskiej rzecz wygląda inaczej. Administracja Trumpa niedwuznacznie oferuje Polsce w nowej strategii bezpieczeństwa narodowego specjalne względy, ale nieoficjalnie nie ukrywa, że wolałaby nie widzieć w Polsce u władzy Konfederacji, którą postrzega jako siłę skrajną, a już zwłaszcza uważanego za nieodpowiedzialnego antysemitę Brauna. Trudno powiedzieć o tym coś pewnego, ale są przecieki wskazujące na to, że Amerykanie woleliby, żeby PiS w formowaniu nowego rządu podparł się raczej ludźmi KO lub jakiejś resztówki po KO.

Powiedzmy sobie szczerze, że pogłoski te pasują do praktyki amerykańskiej dyplomacji, która przywykła realizować swoje interesy w sojuszniczych krajach raczej poprzez przekupionych cyników (tak jak swego czasu „przekręcili" Amerykanie na swoją stronę służby PRL) niż przez ideowych patriotów, bo ci drudzy są nieprzewidywalni i trudniej ich kontrolować.

Czy pomysł „wielkiej koalicji" jest wykonalny? Owszem, pod warunkiem zmiany przywódców. Pozbycie się Donalda Tuska jest stosunkowo łatwe – wystarczy mu zaproponować na odczepnego jakąś lukratywną posadę, nie musi to być nic ważnego, byle dawało immunitet i pozór odejścia „z twarzą". Bez trudu można też powtórzyć tyle razy skutecznie wykonany manewr z „nową siłą", czyli nadanie mniej skompromitowanej części partii nowego „brendu" i znalezienie nowego przywódcy, jakiegoś biznesmena lub celebryty dotąd z partyjną polityką niekojarzonego.

W wypadku Jarosława Kaczyńskiego, który dowiódł całą swą karierą, że jest politykiem ideowym i ma poczucie patriotycznej misji, rzecz wygląda trudniej – trzeba by dokonać swoistego „zamachu stanu". Ale PiS powoli, stopniowo, do zmiany przywództwa dojrzewa – biologia robi jednak swoje i trudno nie dostrzegać, że Prezes popełnia coraz więcej błędów.

Opinię publiczną można, przy zaangażowaniu odpowiednich środków, zaszantażować wyjątkowością chwili. Jest wojna, jest moment szczególny, potrzeba narodowej zgody szerokiego centrum, by ratować kraj przed skrajnościami. Kto mógłby być twarzą takiego „pojednania" skłóconych dotąd środowisk politycznych? Może Andrzej Duda?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Konserwatysta na ulicy Pięknej

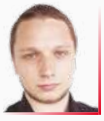

Jan Fiedorczuk

„Tom to żywioł. Nie da się go zapytać o godzinę, żeby nie usłyszeć stanowczej opinii" – tymi słowami Mike Pence opisywał przed laty Toma Rose'a. Czy świeżo upieczony dyplomata wejdzie w buty swoich poprzedników w ambasadzie w Warszawie, którym tak łatwo przychodziło pouczać polskie władze?

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

W listopadzie doszło do znamiennej wymiany zdań między nowym ambasadorem USA a polskim rządem na temat unijnego projektu Omnibus. W założeniu dyrektywa ma uprościć europejskie przepisy, w praktyce Waszyngton obawia się jednak, że uderzy w amerykańskie interesy. „Trudno wyobrazić sobie pojedynczy akt prawny, który byłby bardziej precyzyjnie wymierzony w zabijanie miejsc pracy, tłumienie innowacji i wywoływanie fali ucieczki amerykańskich firm" – napisał Tom Rose na platformie X. Dyplomata zapewnił, że Donald Trump bacznie przygląda się całej sytuacji, a Polska – zdaniem ambasadora – powinna jako „europejski lider" otwarcie wystąpić przeciwko Omnibusowi.

To jednak niejedyny raz, gdy Amerykanin krytycznie wypowiadał się o działaniach polskiego rządu. Pierwsze miesiące nowego ambasadora w Warszawie sugerują, że zamierza on podążać drogą, którą wcześniej kroczyli Georgette Mosbacher i Mark Brzezinski.

„Tom jest szanowanym biznesmenem i komentatorem, który przez prawie dekadę prowadził udany program radiowy w Sirius XM i pełnił funkcję wydawcy i dyrektora generalnego »The Jerusalem Post«. Zadba o to, aby nasze interesy były reprezentowane w Polsce, i zawsze stawiał Amerykę na pierwszym miejscu" – tak świeżo upieczonego dyplomatę zachwalał Donald Trump na swoim portalu społecznościowym Truth Social.

Rose w młodości studiował historię i dyplomację, jednak trudno powiedzieć, by miał szerokie doświadczenie w świecie polityki międzynarodowej. Co prawda, za pierwszej prezydentury Donalda Trumpa pełnił on funkcję starszego doradcy oraz głównego stratega byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a, jednak to placówka w Polsce jest jego prawdziwym debiutem, gdzie będzie grał pierwsze skrzypce i dawał twarz konkretnej polityce. Nie jest zatem przypadkiem, że prezydent USA pisząc o jego nominacji, skupił się na karierze dziennikarskiej Rose'a i jego doświadczeniu w biznesie.

Jednocześnie Rose nie jest postacią anonimową. W rzeczywistości od dekad jest on obecny w amerykańskim konserwatywnym mainstreamie, w przeszłości w otwarty sposób przeciwstawiał się liberalizacji prawa do aborcji oraz tzw. homomałżeństwom.

Jego konserwatyzm zaczął się kształtować w trakcie studiów na liberalnym kampusie Columbia. „Uderzyło mnie, że to środowisko, które miało wspierać wolność słowa i różnorodność myśli, robiło wszystko, by je stłumić" – wspominał po latach w rozmowie z „Indianapolis Monthly". Jak dodawał, uwierał go politpoprawny gorset narzucony przez liberałów na uczelni. Jedyna różnorodność, jaką punktowano, to ta dotycząca koloru skóry czy płci. „Panowała liberalna jednomyślność, którą uznałem za paraliżującą. Wtedy zacząłem kwestionować wszystko, czego mnie tam uczono" – stwierdził.

Po studiach pracował jako dziennikarz, a chwilę sławy zyskał dzięki książce „Freeing the Whales" o sprawie ratowania wielorybów spod arktycznego lodu, która następnie została zekranizowana z Drew Barrymore w roli głównej.

Z kolei jego kariera polityczna sięga początków lat 90., gdy został zatrudniony przez burmistrza Indianapolis Stephena Goldsmitha, wówczas wpływową postać na amerykańskiej prawicy. Rose znalazł się na stanowisku asystenta do spraw regulacji, jednak od samej pracy ważniejsza okazała się sieć kontaktów, którą sobie wówczas wypracował wśród republikańskich darczyńców i przedsiębiorców. To wtedy poznał niezwykle istotną osobę na swojej drodze zawodowej – Conrada

eprasa.pl fecde7f9bb

Blacka, właściciela m.in. „The Jerusalem Post". Po wyborczej porażce burmistrza Goldsmitha właśnie Black zaoferuje Rose'owi pracę w izraelskiej gazecie.

„Tom to żywioł, pasjonat. To jeden z najgłębszych myślicieli, jakich poznałem. Nie da się go zapytać o godzinę, żeby nie usłyszeć stanowczej opinii" – tymi słowami opisywał swego przyjaciela Mike Pence. To Pence namówił Rose'a, aby ten w roku 2007 startował w wyborach do Kongresu. W kampanii wyborczej Rose obiecywał „zakończyć świeckie ataki na Boga i życie publiczne" oraz sprzeciwiał się aborcji. Ostatecznie poniósł jednak porażkę.

„ZAGORZAŁY SYJONISTA"

Przeskoczmy do 2025 r. Omnibus nie był bowiem pierwszym polem, na którym Rose wszedł w polemikę z polskimi władzami. Kilka miesięcy wcześniej, jeszcze przed swym zaprzysiężeniem, Amerykanin zaangażował się bowiem w obronę interesów Izraela nad Wisłą. Doszło do tego, gdy Radosław Sikorski we wpisie w mediach społecznościowych stwierdził, że „Izrael nawet wtedy, gdy działa w samoobronie, nie jest zwolniony z respektowania prawa międzynarodowego".

Wówczas to Rose stwierdził, że „historia nie zna precedensu, w którym grupa terrorystyczna prowadzi wojnę w celu jawnego unicestwienia suwerennego państwa, osadza się wśród ludności cywilnej, a następnie polega na tym państwie w kwestii zaopatrzenia w żywność, wodę i paliwo". Dalej amerykański dyplomata dopytywał, czy zdaniem Sikorskiego „Ukraina powinna wysyłać konwoje z pomocą humanitarną, będąc pod ostrzałem, aby nakarmić rosyjską ludność cywilną na okupowanym Donbasie lub Krymie? Czy zrobiłaby to Polska?".

Sprawa wydała się na tyle istotna, że interweniował sam Donald Tusk. „Polska była, jest i będzie po stronie Izraela w jego konfrontacji z islamskim terroryzmem, ale nigdy po stronie polityków, których działania prowadzą do głodu i śmierci matek i dzieci" – stwierdził premier.

Gdy natomiast pojawiła się sugestia, że – w związku z nakazem Trybunału w Hadze – Beniamin Netanjahu mógłby zostać aresztowany, jeżeli przybyłby na obchody w Oświęcimiu, Rose wprost groził palcem szefowi rządu. „Uważaj!!! Groźba aresztowania premiera Państwa Żydowskiego w Auschwitz… ze wszystkich miejsc na świecie… nie pozostaje niezauważona przez USA. Polska zasługuje na coś lepszego!" – ostrzegał.

Fakt, że do pierwszych utarczek doszło w kontekście oceny działań Izraela, nie powinien dziwić. Rose pochodzi bowiem z rodziny żydowskiej i sam jest praktykującym wyznawcą ortodoksyjnego judaizmu. „Indianapolis Monthly" opisał go swego czasu jako „ognistego konserwatystę i zagorzałego syjonistę". W latach 1997–2005 był wydawcą i redaktorem naczelnym wspomnianego wyżej dziennika „Jerusalem Post". Do dzisiaj zdarza się mu zresztą publikować na łamach swej dawnej gazety. W jednej ze swych ostatnich publikacji na tych łamach Rose stwierdzał np., że Stany Zjednoczone mierzą się obecnie z bezprecedensową falą antysemityzmu. W jego opinii obrona Palestyńczyków jest jedynie zawoalowaną formą antysemityzmu, a „obrońcy Hamasu" powinni być izolowani i napiętnowani. Administrację Joe Bidena z kolei krytykował za ograniczenie pomocy dla Izraela oraz zarzucał mu prowadzenie propalestyńskiej polityki.

Sam Rose jest ponadto związany z Izraelem na stopie stricte personalnej. Nie tylko spędził w tym kraju dekadę życia, lecz także tam poznał swoją żonę, Rachel.

„Jestem głęboko zaszczycony, że Prezydent Stanów Zjednoczonych poprosił mnie o pełnienie funkcji ambasadora w Polsce. Jeśli zostanę zatwierdzony, to będę każdego dnia robił wszystko, co w mojej mocy, aby promować, bronić i rozwijać interesy Stanów Zjednoczonych Ameryki i naszego wspaniałego prezydenta" – pisał kilka miesięcy temu na platformie X.

Jeżeli jednak nowy ambasador ma w Polsce dbać przede wszystkim o amerykański interes, to wiele wskazuje na to, że w drugiej kolejności będzie dbał o interes Izraela.

CZŁOWIEK MAGA

„Nie do końca tajny agent spisku judeo-chrześcijańskiego MAGA" – pisze o sobie samym na portalu X. Mimo żartobliwego wydźwięku ten opis wydaje się zaskakująco trafny. Faktem jest bowiem, że nowy ambasador faktycznie jest „człowiekiem MAGA" (ruchu Make America Great Again), czego dowodzi nawet powierzchowny przegląd jego wypowiedzi w mediach, gdzie produkuje peany na cześć obecnego prezydenta. Gdy Elon Musk napisał na X, że kocha Donalda Trumpa „w granicach, jakie może odczuwać heteroseksualny mężczyzna", Rose dopisał: „Wszyscy go kochamy!!! Uwielbiamy i czcimy".

Przez wiele lat Rose był współgospodarzem podcastu „Bauer & Rose Show" w radiu SiriusXM – jak twierdzi ambasada USA – najpopularniejszego konserwatywnego programu radiowego emitowanego w weekendy w Stanach Zjednoczonych. Wraz z Garym Bauerem prezentował treści bardzo zbliżone do politycznej narracji Trumpa. W trakcie tych programów gospodarze krytykowali nie tylko demokratów, lecz także demaskowali zakulisowe siły (deep state czy globalistów), które miały niszczyć Amerykę. Lewicowi krytycy zarzucali autorom podcastu wręcz spiskowe myślenie i promowanie prawicowego radykalizmu

To właśnie Bauer w rozmowie z PAP zapewniał, że jego partner z podcastu świetnie zna historię Polski i doskonale orientuje się w specyfice polskiej polityki. „Polska pojawiała się w naszych rozmowach w programie wielokrotnie i Tom zawsze bardzo pozytywnie mówił o Polakach" – powiedział.

Faktycznie, w trakcie lipcowego wysłuchania przed senacką komisją Rose dość otwarcie zachwalał Polskę, którą wskazał wręcz jako wzorowego sojusznika USA. Podkreślał wówczas, że jako ambasador będzie zabiegał o poprawę relacji między Polską a Izraelem, a także bronił dobrego imienia Polski przed zarzutami padającymi w Izraelu o współudział w Holokauście. W jednej z wypowiedzi ocenił, że Polska „nie jest tylko sojusznikiem, lecz rodziną".

Te pozytywne wypowiedzi nie powinny jednak przesłonić tego, że Rose jest – jak sam deklaruje – człowiekiem MAGA i zgodnie z definicją „America First" będzie dbał głównie o interes swojego kraju i prezydenta. A ten może przecież być sprzeczny z polską racją stanu. Sprawa Omnibusa dowodzi, że w razie konieczności ambasador nie będzie się hamował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. FUNDACJA TRZY TRĄBY

Z Maciejem Radziwiłłem, socjologiem, finansistą, przedsiębiorcą, filantropem
rozmawia Radosław Wojtas

Porzućmy

podział na „szlachtę" i „lud"

RADOSŁAW WOJTAS: Czy jako potomkowi Mikołaja Czarnego, któremu w 1547 r. cesarz Karol V Habsburg nadał tytuł książęcy, wciąż on panu przysługuje? Czy zdarza się, że ktoś zwraca się do pana per książę?

MACIEJ RADZIWIŁŁ: Nikt z mojej rodziny nie używa tytułu, to anachronizm, ale faktycznie chyba tylko cesarz mógłby nam ten tytuł odebrać. W Polsce to rzadkość, by ktoś mnie tytułował księciem. Mam zresztą na ten temat pewną teorię, o której wspominam w książce „Radziwiłł" wydanej przez Iskry. U nas tytuły w mediach pojawiają się w dwóch przypadkach. Pierwszy: gdy przyjeżdża ktoś z polskiej rodziny arystokratycznej, kto mieszka na stałe za granicą. Drugi: gdy ktoś coś przeskrobał, wplątał się w skandal, a najlepiej – został aresztowany. Tytuł staje się wyzwiskiem. Wtedy nagłówki krzyczą o „hrabim" lub „księciu", tytuł pojawia się natychmiast. Polska ma silną tradycję szlacheckiego egalitaryzmu. Były przecież różne pomysły, żeby w ogóle zabronić używania tytułów. Często przywołuje się w tym kontekście konstytucję marcową z 1921 r., zazwyczaj nie znając jej treści – ona tytułów nikomu nie odbierała. Zresztą powoływanie się dziś na ten akt prawny jest o tyle śmieszne, że ta konstytucja po prostu już nie obowiązuje.

W krajach zachodnich – teoretycznie bardziej progresywnych od Polski, jak choćby w Niemczech – tytuły są powszechnie używane, są wręcz częścią nazwiska i wpisuje się je do oficjalnych dokumentów. O dziwo, ludzie często tytułują mnie na Litwie, Białorusi czy Ukrainie. Tam nie ma tego specyficznego resentymentu, który w Polsce narodził się w XIX w. Po czasach sowieckich jest tęsknota za własną arystokracją.

Skąd ten polski resentyment?

Pojawił się wraz z postszlachecką inteligencją. Ludzie tracili status szlachty, bo zaborcze państwa miały heroldie, weryfikowano pochodzenie. Wiele rodzin nie potrafiło swojego szlachectwa udowodnić. Utrata szlachectwa wydaje nam się czymś śmiesznym dzisiaj, ale 200 lat temu to był dramat. W dawnej Rzeczypospolitej nie było heroldii i nikt nie prowadził rejestru szlachty. Wiele rodzin szlacheckich straciło majątki w wyniku represji po powstaniach, szczególnie po powstaniu styczniowym. Inni tracili majątki na skutek złego zarządzania lub nadmiernego rozrodzenia. Zubożała szlachta stawała się inteligencją. Bogatsza szlachta i arystokracja raczej nie brały masowego udziału w powstaniu styczniowym. Powstanie to było kluczowe dla formowania się nowoczesnej polskości, ale przyczyniło się do powstania tego resentymentu.

Postszlacheckiej inteligencji już nie ma, ale resentyment przetrwał dłużej niż sama warstwa społeczna, która go żywiła. Można zresztą dyskutować, czy inteligencja w rozumieniu XIX-wiecznym w ogóle jeszcze istnieje. Słowo „inteligent" bywa wręcz używane jak inwektywa. A tymczasem bardzo potrzebujemy takiej grupy. Nie tej, która uważa się za kogoś lepszego, ale takiej, która chce być lepsza po to, by służyć ogółowi. A z tym jest zawsze kłopot, bo łatwiej uważać się za kogoś lepszego, niż faktycznie nim być.

Czy w dzisiejszych czasach arystokracja odgrywa jeszcze jakąś przypisaną sobie rolę?

Nie wydaje mi się. Przypisywanie sobie takiej roli byłoby wyrazem pewnej megalomanii. Paradoksalnie ta wspólnotowość arystokracji była najsilniejsza w czasach PRL. Życie towarzyskie tych rodzin wtedy kwitło mocniej niż w czasach międzywojnia. Życie arystokracji w dawniejszych bywa mitologizowane – dawne wesela to często imprezy na mniej niż 50 osób, głównie bliskich kuzynów i przyjaciół. Spoistość tej grupy w czasach PRL budowało pokolenie urodzone na początku stulecia. To kobiety – bo wielu mężczyzn zginęło na wojnie – wzięły na siebie ciężar przetrwania w nowej, wrogiej rzeczywistości Polski Ludowej. Około 80 proc. członków tych trzydziestu kilku kluczowych rodów osiadło w Warszawie i Krakowie, co sprzyjało konsolidacji i częstym spotkaniom.

eprasa.pl fecde7f9bb

Dawniej każdy żył w swoim majątku na wsi i rzadziej zdarzały się większe spotkania towarzyskie. Ale to pokolenie odeszło. Ostatnia osoba pamiętająca tamten świat, mająca jeszcze przed wojną własny majątek, zmarła cztery lata temu w wieku 104 lat. Dziś bez tej wspólnoty losu grupa tych rodzin się rozmywa. Dlatego trudno mówić o jednej, zdefiniowanej roli. Widzę jednak, że spora część z nas kultywuje tradycyjne wzorce: przede wszystkim działalność charytatywną i społeczną.

A polityczną?

Rzadziej. Dzisiejsza polityka wymaga raczej skóry hipopotama niż dobrych manier. Te ostatnie, kojarzone z arystokracją, bywają wręcz odbierane jako słabość, a nie siła. Pomysł, że polityka powinna być służbą, budzi politowanie. Mimo to w mojej rodzinie cztery osoby pełniły funkcje ministerialne bądź zasiadały w parlamencie III RP. To proporcjonalnie dość dużo, ale była to zazwyczaj działalność drugoplanowa, konkretna, merytoryczna. Osoby te działały w obszarze, na którym się znały, a nie były zawodowymi politykami czy politycznymi celebrytami.

Jest jednak obszar, w którym nasza rola jest specyficzna i – mam wrażenie – wciąż istotna. To budowanie relacji na Wschodzie: na Litwie, Białorusi i Ukrainie. W tych krajach postrzeganie arystokracji jest o wiele bardziej pozytywne niż w Polsce. Tamtejsze narody coraz częściej szukają swoich korzeni w I Rzeczypospolitej i nie czują tego resentymentu, który przeniósł się na kolejne pokolenia inteligencji, o którym mówiliśmy wcześniej.

Na czym polega ta „dyplomacja rodowa"?

Na pokazywaniu, że historia jest wspólna. Na Litwie, gdzie bywam od wielu lat, zaszła ogromna zmiana. Kiedyś, w duchu nacjonalizmu, patrzono na nas jak na zdrajców litewskości, a historię Rzeczypospolitej uważano za historię Polaków. Dziś elity rozumieją, że Radziwiłłowie to część ich dziedzictwa, a nie desant z Warszawy. Staram się pokazywać, że historia nas łączy, a nie dzieli. Podobnie jest na Ukrainie czy Białorusi. Mieszkańcy tych krajów odkrywają, że magnaci tam żyjący byli ich lokalną elitą. Moja fundacja Trzy Trąby prowadzi szeroką działalność pomocową, szczególnie w Ołyce – miasteczku związanym z Radziwiłłami od 500 lat. W Polsce z kolei skupiamy się na „małych ojczyznach". Wraz z żoną działamy w Nieborowie. W pałacu prezentujemy ponad 300 eksponatów z naszej kolekcji – w większości odkupionych, bo po wojennej zawierusze niewiele zostało z dziedziczenia. Żona reaktywowała manufakturę majoliki. Sponsorujemy opery w plenerze. W tym roku przyszło 6 tys. ludzi. To buduje więź z lokalną społecznością, choć w zupełnie innej formie niż przed wiekami.

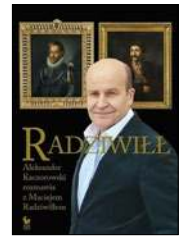

ALEKSANDER KACZOROWSKI, MACIEJ RADZIWIŁŁ „RADZIWIŁŁ" ISKRY 2025

W jaki sposób ta więź z Ołyką przetrwała?

To długa historia. Majątek stał się własnością Radziwiłłów w 1513 r. Zbudowano tam potężny zamek, kościół i stworzono ordynację, która przetrwała aż do 1939 r. Historia tego miejsca jest skomplikowana i pouczająca. Choć to teren Wołynia, gdzie w latach 1943–1944 dochodziło do masowych mordów na Polakach, to kilka lat wcześniej, w 1939 r., miejscowi Ukraińcy uratowali moich krewnych przed egzekucją ze strony Sowietów. To rodzi we mnie poczucie wdzięczności międzypokoleniowej. Jeśli czyjś pradziad przysłużył się mojemu dziadkowi, to ja – w kolejnym pokoleniu, będąc „po drugiej stronie" czasu – powinienem się jakoś odwdzięczyć.

To myślenie w kategoriach longue durée – długiego trwania. Większość z nas sięga pamięcią dwa, może trzy pokolenia wstecz. W moim przypadku ta perspektywa jest znacznie dłuższa. Wystarczy spojrzeć do „Polskiego Słownika Biograficznego". Jest tam ponad 150 życiorysów Radziwiłłów. Nie ma w Polsce drugiej rodziny, która przez tak długi czas utrzymywałaby się w ścisłej elicie. Oczywiście bywali różni – dobrzy i źli, wybitni i przeciętni. Czasem awansowali niemal „z urzędu", zostając starostami czy miecznikami w wieku 15 lat, a czasem zdobywali pozycję talentem. Ale należeli do elity. Co ciekawe, tomy „PSB" obejmujące moją rodzinę ukazały się w latach 80., w głębokim PRL. Nawet ówczesna cenzura uznała, że te biogramy po prostu się należą.

To poczucie ciągłości ułatwia ocenę przeszłości?

Ułatwia, ale też zmusza do ostrożności w ocenach. Skłania do tego, by ocenę poprzedzało zrozumienie. Zachęcam do porzucenia prostego podziału na „szlachtę" i „lud". Ponad dwie trzecie dawnej szlachty to była tzw. szlachta bezkmieca, czyli po prostu biedna. Ponadto jedna trzecia chłopów pańszczyźnianych posiadała własną służbę. Kto zatem był tym panem, a kto wyzyskiwanym ludem? Rzeczywistość była o wiele bardziej złożona, niż sugerują to twórcy modnej ostatnio ludowej historii Polski.

Skoro ma pan takie podejście do sztafety pokoleń i spłacania długów przodków, to pana „lista wdzięczności" musi być bardzo długa. Znajomość korzeni zobowiązuje?

Zobowiązuje, ale moi przodkowie w tarapaty wpadli dopiero w XX w. Wcześniej radzili sobie świetnie. Dramat zaczął się w okresie rewolucji i w 1920 r. na ziemiach wschodnich, potem w 1939 r., wreszcie w czasach PRL.

Swoją drogą, nie lubię określenia „Kresy". Jest polonocentryczne i często mylące. Kiedy jedzie się do Wilna czy Lwowa i mówi tamtejszym mieszkańcom: „Dobrze wam tu, na Kresach", oni reagują alergicznie. Nie dziwię się. Dla nich to centrum ich świata, a nie żadne obrzeża. Historycznie rzecz biorąc, Brześć leżał dokładnie w środku Rzeczypospolitej. Więc jakie to kresy? Niewiele łączy Lwów z Kownem czy Wilnem, ale z perspektywy dzisiejszej Warszawy wszystko to jest „gdzieś tam na wschodzie".

Wracając do wdzięczności – powiem wprost: moja rodzina nie przeżyłaby wojny i pierwszych lat komunizmu, gdyby nie pomoc ludzi z naszych przedwojennych majątków. Dostarczali stamtąd żywność, ukrywali, pomagali, bo po prostu uważali, że dzieje się niesprawiedliwość. To dowód na to, że ostatnie pokolenia właścicieli ziemskich zapisały się w pamięci lokalnych społeczności dobrze.

Ale relacje „pan – chłop" nie wszędzie wyglądały tak samo.

Oczywiście, że nie. Polska była zróżnicowana. Kilka lat temu wydałem książkę o majątku mojej matki, z domu Czartoryskiej, w Wielkopolsce. Tam relacje były partnerskie, niemal nowoczesne. Pamiętam historię jednej z sióstr mojej matki, która pojechała do rodziny pod Grodno. Była zszokowana, że służba całuje wuja w rękę. W Poznańskiem to było nie do pomyślenia, a na wschodzie wciąż żywa

eprasa.pl fecde7f9bb

była tradycja patriarchalna. Dodajmy, że nikt nikogo nie zmuszał do takich poddańczych gestów.

Dziś patrzymy na to przez pryzmat współczesnego egalitaryzmu i oburzamy się, bo przykładamy dzisiejszą miarę do dawnego świata. Jesteśmy „przeorani" ideologiami równościowymi i trudno nam zrozumieć tamtą mentalność. Tymczasem dawniej chłopi nie czuli klasowej solidarności z chłopami z sąsiedniego powiatu – to mit wymyślony przez historyków ludowych. Istniały za to silne lokalizmy. Jeśli szlachcic z sąsiedniej wsi skrzywdził chłopa z cudzego majątku, to często „jego pan" dawał pieniądze na sąd albo organizował zajazd, by go bronić.

Świat był też po prostu bardziej brutalny. Użycie przemocy nikogo nie dziwiło i nie oburzało. Dziś nie można zabić karpia czy uderzyć psa, a co dopiero dać klapsa dziecku, a jeszcze niedawno – nawet w powojennej Anglii – kary cielesne w szkołach były normą. Nie możemy oceniać tamtych ludzi, siedząc w fotelu w XXI w. Każda epoka i miejsce mają swoje normy.

Temat podejmuje dziś także popkultura. Nie podejrzewam pana o śledzenie serialu „1670"...

... zaskoczę pana, ale oglądałem, czytałem też większość książek z nurtu tzw. ludowej historii Polski. To zjawisko socjologiczne samo w sobie – jeśli w ciągu paru lat powstaje ok. 30 książek na ten sam temat, to mamy do czynienia z modą, a może i przejawem pewnego upadku humanistyki. Bo ileż można pisać o tym samym? Oczywiście niektóre pozycje są wartościowe, chociaż autorzy zwykle bazują na gotowych opracowaniach, np. z okresu PRL. Nudzi ich mozolna praca w archiwach. Weźmy głośne „Chłopki". To dość solidny reportaż, autorka wykonała pracę w bibliotekach, przepisała listy kobiet do różnych czasopism, w ten sposób ukazała ich życie. Problem zaczyna się tam, gdzie wkracza ideologia. Autorzy tego nurtu nie starają się zrozumieć mentalności ludzi z minionych epok. Oburzają się, że chłop zdejmował czapkę przed panem, widząc w tym naruszenie godności. A tamci ludzie niekoniecznie tak to postrzegali. Dla nich to był naturalny kod kulturowy, element pewnego ładu. Być może ten chłop wręcz wolał, żeby jego pan był dobrze ubrany i godnie się prezentował na tle sąsiada.

Co do serialu „1670" uważam, że to satyra na polskość w ogóle, a nie tylko na szlachtę. I tak powinniśmy to odbierać. Wszyscy jesteśmy dziedzicami tej kultury, niezależnie od pochodzenia. Proszę zobaczyć, jak reagujemy na drodze, gdy ktoś nas ochlapie wodą, gdy stoimy na przystanku. Krzyczymy: „Ty chamie!". To są odruchy szlacheckie. (śmiech) Spójrzmy na polską wieś: co piąty dom musi mieć dwie kolumienki przy wejściu. Imitujemy dwór, bo to jest nasz kod genetyczny.

Sączy się narrację ahistoryczną, pełną żalu i pretensji. To jest groźniejsze niż wojna. Czołgi i drony można kupić, ale jeśli nie będzie woli obrony i walki, to oddamy Polskę bez jednego wystrzału

Zostając jeszcze na chwilę przy serialu „1670", wie pan, że promowano go wystawą w Muzeum Historii Polski?

To jakiś absurd, by w takim miejscu promować serial żartujący z polskości. Zwłaszcza że jest w dodatku zupełnie ahistoryczny. Widać tam pomieszanie z poplątaniem. Szlachcic, który ma pół wsi – czyli jest de facto ubogi – paraduje w jedwabnym pasie słuckim. Na taki strój mógł pozwolić sobie magnat. To nierealne. Podobnie jest z filmem „Kos", który z rzeczywistością historyczną nie ma nic wspólnego. Niestety, wpisuje się to w modny ostatnio nurt, którego symbolem jest książka Adama Leszczyńskiego „Ludowa historia Polski". To polska kalka amerykańskiej „People's History of the United States" Howarda Zinna. Tyle że mechaniczne przenoszenie amerykańskich wzorców, takich jak niewolnictwo czy kolonializm, na grunt polski jest intelektualnym nadużyciem. Nawiasem mówiąc, książka Leszczyńskiego nie była dobrze przyjęta przez amerykańską lewicę, bo porównanie chłopów pańszczyźnianych do czarnoskórych niewolników to absurd.

Czyli Rzeczpospolita nie kolonizowała Ukrainy, a chłopi pańszczyźniani nie byli niewolnikami?

Coraz częściej słyszymy takie absurdalne tezy. Polskie próby kolonialne ograniczyły się do epizodu z Kurlandią, która była naszym lennem, i jej posiadłościami w Gambii i na Tobago. Mówienie o kolonizacji Rusi, Litwy czy Białorusi to bzdura. Miejscowa elita – Wiśniowieccy, Radziwiłłowie etc. – stawała się elitą państwa. Czy król plemienia z Senegalu mógł zostać władcą Francji? Nie. A Wiśniowiecki został królem Polski. Co do „niewolnictwa" chłopów – historycy ludowi budują tezy na skrajnych wynaturzeniach, a nie na statystyce. Wyciągają najbardziej patologiczne przykłady i uważają je za normę. Tymczasem np. prof. Mateusz Wyżga z Krakowa, który bada te zagadnienia statystycznie, pokazuje zupełnie inny obraz. W książce Leszczyńskiego pada przykład „niewolnika", któremu wredny szlachcic zabrał 10 krów. Jeździłem na wieś całe dzieciństwo w czasach PRL i rzadko widziałem chłopa, który miałby 10 krów. Skąd ten rzekomy nędzarz miał taki majątek? I co ważniejsze – wiemy o tym, bo zachowały się akta sądowe. Czyli ten chłop mógł dochodzić swoich praw w sądzie, często przy wsparciu swojego pana przeciwko innemu szlachcicowi. To nie jest sytuacja bezbronnego niewolnika. A poza tym w dawnej Polsce istniała spora mobilność społeczna. Zasadniczą słabością ludowej historii Polski jest brak jakichkolwiek liczb i procentów. Kiedy opisuje się jakąś zbiorowość, trzeba ją opisywać w kategoriach statystycznych, inaczej to zbiór anegdot.

Jakieś przykłady mobilności?

Wiele potężnych rodów, które znamy z historii, wyrosło z drobnej szlachty w ciągu jednego pokolenia czy dwóch. Zamoyscy, Sobiescy, Przeździeccy, Rzewuscy – oni wszyscy potrafili błyskawicznie przeskoczyć z poziomu ubogiej lub średniej szlachty na sam szczyt magnaterii. Zdarzały się nawet kariery chłopskie. Na przykład niezwykła historia Adama Kotowskiego z wieku XVII, który urodził się jako chłop, a stał się magnatem. System był nieszczelny i pragmatyczny. Jak ktoś dorobił się pieniędzy, kupował kontusz, sygnet i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Słynna „Liber chamorum" z początku XVII w. identyfikowała 2,5 tys. rodzin fałszywej szlachty. To oznaczało kilkadziesiąt tysięcy ludzi,

eprasa.pl fecde7f9bb

którzy skutecznie przeniknęli do wyższej klasy. Elita była więc grupą płynną, a nie zabetonowaną twierdzą. Oczywiście nie twierdzę, że każdy miał takie same szanse. Ale czy dzisiaj ktoś urodzony w popegeerowskiej wsi ma takie same szanse jak dziecko zamożnych ludzi z Wilanowa?

Ale słowo „folwark" kojarzy się dziś jednoznacznie źle.

Niesłusznie. Paradoksalnie relacje w dawnym majątku ziemskim bywały bardziej ludzkie niż w ówczesnym przedsiębiorstwie kapitalistycznym. W kapitalizmie, gdy nie było pracy, zwalniano pracownika. Człowiek był zasobem. W majątkach ziemskich istniały więzi trwające pokolenia. Pamiętam z domu mojej babki historię niani, która wychowała jej synów. Na starość ta kobieta zachorowała na alzheimera. Moja babka opiekowała się nią do samego końca, mieszkała z nią w jednym pokoju. Traktowano ją jak domownika. Nikt nie wyrzuciłby na bruk kogoś, kto służył rodzinie przez dziesięciolecia. Starzy pracownicy majątków ziemskich zawsze mogli liczyć na wsparcie, kiedy nie byli już w stanie pracować. Nie chcę idealizować przeszłości, zdarzali się ludzie podli i ustrój nie miał współczesnych mechanizmów obrony słabszych. Ale system, w którym żyliśmy blisko siebie – chodziliśmy do tego samego kościoła, znaliśmy się od pokoleń – wytwarzał naturalne hamulce i poczucie odpowiedzialności, którego w anonimowej korporacji po prostu nie było i nie ma.

W dzisiejszym świecie ludzie mają problem z poczuciem tożsamości. Podważa się fundamenty, młodzi ludzie czują się zagubieni. Czy to „poczucie długiego trwania", o którym pan mówił, może być dziś swego rodzaju kotwicą pozwalającą oprzeć się różnym chwilowym prądom?

Obawiam się, że często podważa się sens szukania tych korzeni, a nawet wielkość historii Polski. To błąd, bo ludzie mają naturalną potrzebę wiedzy, skąd przyszli. To takie „bóle fantomowe" po przodkach. Oczywiście im głębiej sięgamy w przeszłość, tym bardziej historia staje się historią elit, oczywiście elit w rozumieniu socjologicznym, a nie wartościującym. Z czasów Mieszka I znamy tylko imiona władców. Ale to nie powód, by się od tej historii odcinać. Nieważne, czy ktoś pochodzi z rodziny chłopskiej, czy szlacheckiej. Jan Karol Chodkiewicz czy Jan III Sobieski są naszym wspólnym dziedzictwem. Tak jak za 200 lat uczniowie będą musieli wkuwać nazwiska Tuska czy Kaczyńskiego, bo oni stanowią dzisiejszą elitę polityczną, niezależnie od tego, jak ich oceniamy. Parę lat temu współorganizowałem wielką wystawę o Radziwiłłach w Wilnie. Powiedziałem wtedy: „To nie jest tylko historia mojej rodziny. To jest wasza historia. W sensie kulturowym każdy z was jest Radziwiłłem". Mam nadzieję, że nikogo nie obraziłem. Tę unikalną kulturę Rzeczypospolitej stworzyły elity, ale jest naszym wspólnym dziedzictwem.

Ale dzisiaj próbuje się ją obrzydzać.

I to jest groźniejsze niż wojna. Czołgi i drony można kupić, ale jeśli nie będzie woli obrony i walki, to oddamy Polskę bez jednego wystrzału. Sączy się narrację ahistoryczną, pełną żalu i pretensji. Mówi się ciągle o wyzysku, nazywa się niższe warstwy niewolnikami, zapominając, że w 1920 r. Warszawa została obroniona nie przez arystokratów, ale przez lud. Prości ludzie poszli na bagnety za Polskę, która w teorii była dla nich „pańska". Nie dali się nabrać na komunizm. Czuli, że Polska jest ich ojczyzną. Teraz pojawiają się głosy, że dawna historia to historia szlachty tylko. Szklanka jest albo do połowy pusta, albo pełna. Możemy mówić, że demokracja ateńska była zła, bo głosowała garstka facetów, a reszta nie miała nic do gadania. Prawo rzymskie wymyślono dla nielicznych. Ale jednak to fundamenty naszej cywilizacji. Tak samo nasza szlachecka wolność – dotyczyła wąskiej grupy, ale stała się zalążkiem wolności dla wszystkich. Sejm i sejmiki były kopiowane przez zbuntowanych kozaków i samorządy chłopskie.

Wspomniał pan w książce „Radziwiłł", że klimat wokół arystokracji jest dziś gorszy niż w PRL. Naprawdę?

W sieci wylewa się hejt, powielane są stereotypy o „złych panach" i „kolonizatorach". Ludowa historia już się chyba trochę znudziła. Ale rzeczywistość „w realu" jest zupełnie inna. Działałem w Białej Podlaskiej, w Nieborowie, współpracuję z muzeami w Puławach czy Łańcucie. Tam spotykam się z ogromną życzliwością. Ludzie są dumni z lokalnej historii. Nieborów odwiedza blisko 200 tys. ludzi rocznie, Łańcut jeszcze więcej. To dowód, że ten dawny styl życia, estetyka i kultura dawnej elity wciąż fascynują. Komuniści po wojnie przejęli władzę, ale w wolnym czasie naśladowali szlachtę, zajmowali się łowiectwem, czyli ulubioną rozrywką dawnych elit. Te wzorce są nieśmiertelne. Dodam, że nigdy nie byłem na polowaniu.

Zajmuje się pan również biznesem. Czy współczesny biznes może się czegoś nauczyć od starych rodów?

Nowe elity finansowe mają problem: Jak utrzymać bogactwo dłużej niż przez jedno pokolenie? Jak wychować dzieci, gdy te mają wszystko? To ogromne wyzwania. Kiedy w jednej rodzinie kumulowały się trzy czynniki: pieniądz, władza i prestiż, jak było kiedyś, o degenerację było bardzo łatwo. Młody chłopak, do którego wszyscy mówili „książę", który miał 15 lat i nieograniczone zasoby, tracił często motywację. Rodzina utrzymała się w elicie, bo istniały etos służby i dyscyplina. Oczywiście bywały odstępstwa, które kończyły się żałosną degradacją i majątkowym upadkiem. Bogactwo magnatów brało się nie z liczby hektarów, ale z jakości zarządzania. Jest takie angielskie powiedzenie: „How to make a small fortune? Start with a big one" (Jak zrobić mały mająteczek? Zacznij od dużego). Wśród dawnej elity też było mnóstwo utracjuszy. Ale ci, którzy przetrwali jako elita przez wieki, wiedzieli, że majątek to odpowiedzialność, a nie tylko przyjemność. Wbrew pozorom zarządzanie majątkiem to też praca. Rozumieli, że majątek musi również służyć innym wartościom niż dzika konsumpcja i zabawa. To powinna być lekcja dla dzisiejszych krezusów

600 lat... To robi wrażenie.

A w zasadzie jeszcze dłużej. Istnieje teoria, że wywodzimy się od pogańskich arcykapłanów litewskich. Niewiele jest źródeł historycznych z czasów pogańskiej Litwy. Litwa przyjęła chrzest w 1387 r., ale pogaństwo trwało znacznie dłużej. Nasza pozycja nie wzięła się z nadania w Warszawie czy Krakowie. Nie jesteśmy jedną z tych rodzin szlachty dworskiej, których pełno było we Francji czy w Rosji. Najważniejsze osoby z rodziny nie emigrowały w czasach wojny czy komuny. Byliśmy „stąd", od zawsze... Może dlatego przetrwaliśmy wszystkie burze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Najstarszy nastolatek w Polsce

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Kąśliwy showman, który żyje z medialnych prowokacji, a jednocześnie chce uchodzić za autorytet moralny. Kim jest Jakub Wojewódzki?

Ile dzieci ma Kuba Wojewódzki?, „Czy Wojewódzki ma żonę?", „Czy Wojewódzki ma córkę?", „Ile Wojewódzki miał kobiet?" – takie pytania podpowiada podpięta pod Google sztuczna inteligencja, gdy wpisze się w wyszukiwarkę imię i nazwisko… No właśnie czyje? Dziennikarza? Prezentera? Celebryty? Aktora? A może politycznego aktywisty, który wziąwszy na spytki premiera Donalda Tuska, podsuwał, w przebraniu rzekomego obiektywnego recenzenta, porady na trudne sprawy? – Uśmiechnięta Polska ziewa ze znudzenia i rozczarowania. Jakie to uczucie, że tacy ludzie czują się oszukani jednym zdaniem? Zdaniem: „Rozliczymy zło, naprawimy krzywdy i pojednamy Polaków" – zarzucał Tuskowi w wywiadzie sprzed paru miesięcy.

„W dzieciństwie wyglądał tak, jakby go rodzice kupili na wyprzedaży garażowej. Ma wszystkie zalety, których nie chciał, oraz wady, do których się przyzwyczaił. Ironista z zawodu, prześmiewca z powołania. Jego poczucie humoru smakuje jak rosyjskie pestycydy. Specjalista od cudzych porażek. Ma tak przerośnięte ego, że w kinie zasiada na trzech miejscach jednocześnie" – tak pisze sam o sobie w autobiografii. Ze swojego życia prywatnego samozwańczy „król TVN" (tak Wojewódzki ogłosił się w Internecie, choć trzeba przyznać, że jego talk-show wciąż pozostaje hitem stacji) uczynił zabawę w kotka i myszkę. Szybkie związki z o wiele młodszymi kobietami, plotki o córce, a także o ślubie, które tylko podgrzały zdjęcia, na których na dłoni 62-latka błyszczała prawdopodobnie obrączka. Status związkowo-życiowy celebryty nie jest do końca ustalony. Media nie powinny oczekiwać, że zostanie, bo to aura playboya (według złośliwych już nazbyt podstarzałego) jest jednym z głównych czynników wciąż generujących zainteresowanie nim.

KUBUŚ Z KOSZALINA

Wojewódzki urodził się w 1963 r. w Koszalinie. Początkowo zajmował się przede wszystkim kulturą – pisał dla „Magazynu Muzycznego", był redaktorem naczelnym

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl fecde7f9bb

rockowego magazynu „Brum", jego felietony ukazywały się w „Muzie", „Wprost", „Przekroju", „Gazecie Wyborczej" i „Vivie!".

Od 2008 r. „Kuba" ma swoją rubrykę w „Polityce" (ostatnio naigrywał się z zięcia Aleksandra Kwaśniewskiego). Od lat współpracuje także z radiem – Trójką, Antyradiem, newonce.radio. Niezwykle udanym projektem medialnym jest prowadzony wraz z Piotrem Kędzierskim podcast „Wojewódzki & Kędzierski", który regularnie trafia do czołówki najchętniej słuchanych na platformie Spotify.

W latach 90. rozpoczął pracę w TVP, aby następnie przejść do Polsatu, a od 2006 r. związać się z TVN. Prawdziwą rozpoznawalność przyniósł Wojewódzkiemu udział w pierwszym polskim talent show (nadawanym na brytyjskiej licencji „Idolu") w roli jurora. Budził sympatię widzów swoimi ironicznymi komentarzami i kąśliwym humorem. I choć już wtedy miał 40 lat, co jak na ówczesne standardy było traktowane jako „wiek średni", to wszystkim wydawał się zabawnym „młodziakiem". „Kubuś", „Kuba" – tak nazywali go koledzy z jury, przy których, szczególnie przy szanowanych i poważnych Elżbiecie Zapendowskiej i Jacku Cyganie, faktycznie mógł jawić się jako młody zawadiaka.

Później przyszedł własny format w TVN. Przez „czerwoną kanapę" przewinęły się tysiące gości, wśród nich politycy, ludzie wysokiej kultury, a także patocelebryci. Do dziś najbardziej zapamiętanym wydarzeniem jest to z marca 2008 r. W programie TVN wkładano miniaturki polskich flag w atrapy psich odchodów. Zrobił to rysownik Marek Raczkowski, zachęcany przez gospodarza. Po prawie 10 latach Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nałożyła na TVN karę prawie pół miliona złotych.

Ze sprawy Wojewódzki tłumaczył się (na swój przewrotny sposób) jeszcze przez wiele lat. „Kilka dni temu miły chłopiec w dresie z napisem Legia zaczepił mnie na ulicy i powiedział: »Za to, że pan wsadził polską flagę w kupę, jest pan u mnie skończony na zawsze«. Na zawsze to jednak długo – pomyślałem, zaskoczony tym, że użył słowa „pan" zamiast innych patriotycznych zamienników (Żyd, pedał, ciapaty, ubek etc.). Postanowiłem zatem nagrodzić patriotyczną postawę wszystkich tych, którzy widzą rzeczy, których nie ma. Każdy, kto wyśle mi prawdziwe, oryginalne i niespreparowane zdjęcie z mojego programu, na którym osobiście wkładam flagę w kupę, otrzyma ode mnie milion złotych w gotówce. Podatek biorę na siebie" – kpił w 2017 r.

O swojej rodzinie Wojewódzki wypowiada się niechętnie albo pół żartem. Prezenter TVN ma brata i dwie siostry. „Moi rodzice są niemi, nie mogą zabrać głosu, więc nie będę ich do debaty publicznej włączał" – czytamy w „Nieautoryzowanej biografii" z 2018 r. W wywiadzie z 2003 r. opowiedział nieco więcej o matce. „Moja matka jest najbardziej surowym i sceptycznym ochładzaczem entuzjazmu, samouwielbienia i zapętlenia w tym, co robię. Gdy nadużywam w TV słów powszechnie używanych jako obelżywe, dostaję od niej żółtą kartkę" – mówił. Jednocześnie podkreślał przywiązanie do mamy Marii. „Fajnie mieć taką przystań zdrowego rozsądku, sceptycznego racjonalizmu. Kocham mamusię" – wyznał.

Więcej emocji budzi postać ojca showmana Bogusława. Wojewódzki przyznał, że jako nastolatek sprawiał ojcu – prokuratorowi – problemy. „Jak chciałem go wkurzyć, sam wysyłałem sobie telegramy o treści: »Dostawa OK. Towar zabezpieczony. Kasa płynie. Omega«. On brał to wszystko na serio i zamartwiał się, że syn wplątał się w jakąś grupę przestępczą" – wskazał. Według spekulacji mediów Bogusław Wojewódzki miał pracować w Prokuraturze Generalnej PRL i odpowiadać za tzw. prowokację bydgoską z 19 marca 1981 r. Wojewódzki nigdy tego nie potwierdził, ale głos zabrał znany raper Adam Ostrowski O.S.T.R., który opowiedział kiedyś, dlaczego nigdy nie pojawił się w talk-show Wojewódzkiego. – Jestem z domu, który był stricte solidarnościowy i wolnościowy. Kuba niestety ma przeszłość trochę bardziej socjalistyczną. Nie mógłbym tego zrobić swoim rodzicom, ponieważ członkowie mojej rodziny mieli problem z jego tatą i jego zajęciem, które uprawiał, wręcz byli skazani przez daną osobę – wyjaśnił muzyk w podcaście Żurnalisty. Według wielu mediów prawicowych Kuba Wojewódzki to kolejne „resortowe dziecko", które dzięki powiązaniom rodzinnym robi karierę w III RP.

LISTA WROGÓW

Gdyby wierzyć stwierdzeniom wypowiadanym przez 62-latka, to

eprasa.pl fecde7f9bb

niemal każda osoba osadzona w show-biznesie jest jego bliższym lub dalszym znajomym. Jednak równie długa jest lista tych, z którymi Wojewódzki się nie lubi. Ostatnio głośno było o odejściu z Teatru 6.piętro, w którym od 15 lat prezenter wcielał się w rolę Allana Felixa w inscenizacji komedii Woody'ego Allena „Zagraj to jeszcze raz, Sam". Powód? Placówka zapowiedziała współpracę z bardzo popularnym podcasterem Żurnalistą, czyli Dawidem Swakowskim. „W związku z planami pojawienia się na scenie Teatru 6.piętro niejakiego Żurnalisty, którego osoba, światopogląd, etyka i estetyka są mi całkowicie obce, zmuszony jestem zrezygnować z dalszej współpracy z Teatrem. Dziękuję Wszystkim za te wspólne 15 lat" – ogłosił Wojewódzki, kreując się na obrońcę zasad.

W 2022 r. Jakub Wątor na łamach portalu Spider's Web+ opublikował materiał, w którym ujawnił kontrowersje związane z działalnością Żurnalisty. Autor wskazał na problemy finansowe, niejasności w działalności biznesowej i liczne oskarżenia. Jednak według samego Swakowskiego decyzja Wojewódzkiego jest podyktowana zawodową zazdrością. „Dowiedziałem się o tym z mediów, bo Kuba zablokował mnie w social mediach trzy lata temu. Stało się to po tym, jak opublikowałem ranking podcastów, w którym był niżej ode mnie" – wskazał Żurnalista. Na swoim Instagramie zarzucał Wojewódzkiemu m.in. „próby blokowania niektórych gości z dopiskiem: »Jak pójdziesz do niego, nie przychodź do mnie«". „Od tamtej pory kilka razy próbował zaczepić mnie w swoim podcaście – nieudolnie, półsłówkami, złośliwe. Jak wtedy, gdy pytał Krzysztofa Rutkowskiego, co sądzi o »przestępcach w polskim show-biznesie«" – opisał. „Nie jestem przestępcą. Wszystkie sprawy, które były kiedyś publicznie omawiane, zostały zamknięte spłatą lub ugodą. Nigdy też się nie ukrywałem, prowadziłem firmę pod własnym imieniem i nazwiskiem" – zapewnił.

Na koniec odniósł się do słów Kuby Wojewódzkiego na temat dzielącego ich światopoglądu: „Człowiek, który w przeszłości zostawił swoich kolegów na lodzie, z niejednym wciąż niewyjaśnionym tematem, pisze dziś o etyce. Światopogląd? Jestem jednym z niewielu, którzy rozmawiają z każdym. Nie dzielę ludzi na »swoich« i »obcych«. Nie muszę zgadzać się ze wszystkimi, żeby chcieć ich zrozumieć. Ze swoim światopoglądem nigdy nie wychodziłem na zewnątrz. I nie zamierzam". „Kubie Wojewódzkiemu nigdy nie chodziło o moją przeszłość, a przyszłość" – zakończył.

Trudno nie dostrzec też klucza politycznego – Swakowski gościł w swoim programie polityków zarówno związanych z PiS – m.in. Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudę – jak i z opcją dziś rządzącą, a Wojewódzki ogranicza się do tych drugich (choć rozmawiał kilkukrotnie z Pawłem Kukizem).

Na liście „wrogów" celebryty jest także Sylwester Latkowski. W 2020 r. wyemitowano w TVP jego film dokumentalny pt. „Nic się nie stało" o sopockim lokalu Zatoka Sztuki. Produkcja stanowiła niejako kontrę wobec filmu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu", który skupiał się na aferach pedofilskich w Kościele katolickim. Latkowski pokazał zepsuty świat gwiazd, które bywały w podejrzanym lokalu kierowanym przez Marcina T., znajomego gwałciciela „Krystka". W filmie padło wiele nazwisk znanych osób, które tam bywały, w tym Kuby Wojewódzkiego.

„Dramat wielu dzieci molestowanych przez Krystiana W., współtwórcy tego miejsca, a także samobójczą śmierć jednego z nich zamieniłeś na oręż politycznej i światopoglądowej nienawiści. Naraziłeś na publiczny lincz zarówno mnie, jak i tych, których kocham. W imię bezlitosnej propagandy i odwetu. Dla mnie jesteś płatnym medialnym zabójcą" – napisał po premierze Wojewódzki. – Stać mnie na to, aby być sk….synem. Stać mnie na to, na środki, które przeznaczę najpierw na sprawę cywilną, a potem karną – powiedział z kolei w Kanale Sportowym.

Sylwester Latkowski nie stawił się na żadnej rozprawie sądowej.

KAC PO PALIKOCIE

Poważną plamą na wizerunku Kuby Wojewódzkiego (choć i tak wyszedł z tej sprawy niemal suchą stopą) zakończyła się współpraca z Januszem Palikotem. Po upadku „imperium alkoholowego" byłego posła PO, zatrzymanego jesienią 2024 r. przez CBA, Wojewódzki natychmiast odciął się od byłego kolegi. „W roku 2020 Janusz Palikot zaproponował mi współpracę na rynku nowych produktów alkoholowych. Nigdy nie interesował mnie ten biznes, ale od dłuższego czasu nosiłem się z pomysłem wyprodukowania napojów opartych na suszu konopnym, więc uznałem to za dobrą okazję" – relacjonował. Showman przekonywał, że nie znał Palikota nazbyt dobrze, ten jedynie gościł w jego show. Później kilkakrotnie spotkał – jak określił Wojewódzki – tego „uwodzicielskiego erudytę, rozsiewającego wokół siebie aurę sukcesu i głębokiej kultury" w sytuacjach towarzyskich.

Wspólnie założyli firmę Przyjazne Państwo, która oferowała „innowacyjne" trunki. Celebryta miał przyciągać i robić zasięgi. Dodatkowo w założonej z Palikotem firmie zajmował się „designem produktów oraz kreowaniem nowych marek". Nie był w zarządzie ani radzie nadzorczej. „Nie wziąłem z tej firmy ANI ZŁOTÓWKI dywidendy. Za całą strategię finansową spółki odpowiadał Janusz" – zapewnił Kuba Wojewódzki. Showman z TVN przerzucił odpowiedzialność za porażkę finansową firmy, a co za tym idzie – pozbawienie wielu osób obiecanych im zysków – na Palikota. „Co kilka tygodni spotykaliśmy się, aby omawiać nowe produkty oraz nowe strategie marketingowe. Podczas tych spotkań Janusz zawsze snuł wizje Wielkiego Sukcesu. Niestety, uśpił nimi także moją czujność oraz rozwagę" – twierdzi.

Poważną plamą na wizerunku Kuby Wojewódzkiego zakończyła się współpraca z Januszem Palikotem

Dziennikarz przeprosił tych, których jego nazwisko skłoniło do zainwestowania w ten biznes. „To był mój największy błąd inwestycyjny zarówno w kwestiach biznesowych, jak i ludzkich. Wiem też, że moje nazwisko było wielokrotnie wykorzystywane biznesowo w sposób nieuprawniony i ze mną nieuzgodniony. Wszystkim, którzy dołączyli do tego biznesu ze względu na moją tam obecność, mogę napisać szczere PRZEPRASZAM […]. Zostałem rozegrany jak amator. Jest mi głupio i jest mi wstyd" – ogłosił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl fecde7f9bb

Kaznodzieja z pędzlem

Tryptyk franciszkański, wczesne arcydzieło Brata Anielskiego, przeznaczone dla kościoła Santa Croce, zostało odrestaurowane i uzupełnione o predelle sprowadzone z Niemiec i Watykanu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wiesław Chełminiak

We Florencji działało wielu artystów o nieprzemijającej sławie. Tymczasem Jan Paweł II patronem malarstwa ustanowił skromnego dominikanina. Miał jednak ku temu powody

Fra Angelico (od 1982 r. Beato Angelico) w Italii jest fetowany jako „ojciec renesansu". Jego dzieła wydają się trójwymiarowe, emanują światłem i kolorem. Esteci przypisują im właściwości uspokajające. Zainspirowały Johna Ruskina, papieża wiktoriańskiej krytyki, do postawienia tezy, że prawdziwe piękno rodzi się z moralnej doskonałości artysty. Są jednak ludzie, których taka sztuka irytuje. Gdy wiek temu z górą erudyta Paweł Muratow od niechcenia rzucił uwagę o „mdłej słodyczy", w kręgach akademickich wypadało traktować mnicha artystę lekceważąco, wytykać mu skłonność do mistycyzmu, uchybienia techniczne tudzież nadmierną prostotę. Angelico podejmował tylko tematy religijne, a jak wiadomo, wielu piszących ma alergię na pobożność. W podręcznikach jego miejsce zajął inny Toskańczyk – Masaccio, który zmarł, mając lat 26, ale zdaniem ekspertów był większym innowatorem.

Czy maestro faktycznie zamykał oczy na tragiczny wymiar człowieczeństwa? Urodził się w Vicchio di Mugello (z tych samych okolic pochodzili Medyceusze, Giotto i Galileusz). Większość dorosłego życia spędził we Florencji, mieście zdominowanym przez kupców i bankierów, które dziwnym trafem stało się intelektualną stolicą Europy, kolebką idei zwiastujących nadejście epoki nowożytnej. Humanizm przeniknął także do Kościoła, a dominikanie – zakon kaznodziejski – stale utrzymywali kontakt ze światem zewnętrznym. Guido di Pietro w klasztorze używał imienia Giovanni. Przydomek Fra Angelico (czyli Brat Anielski) nadano mu pośmiertnie. Być może przyczynił się do tego obraz „Chrystus wysławiany w niebiosach". Obok predelli ołtarza z Fiesole (od połowy XIX w. w zbiorach londyńskiej National Gallery) trudno przejść obojętnie. Zmartwychwstałego otacza tłum muzykujących i tańczących aniołów, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy.

CELA DLA BANKIERA

Takich eventów reklamować nie trzeba. Od poprzedniej monograficznej wystawy Brata Anielskiego upłynęło siedem dekad. Włochy, oblegane przez hordy turystów, próbują ich ucywilizować, odwołując się do idei kulturowej „grand tour"– wędrówki szlakiem arcydzieł, znajdujących się w mniej uczęszczanych muzeach i kościołach. W tym przypadku podróż byłaby cokolwiek fatygująca: wiele obrazów dominikanina wywieziono za granicę. Do

eprasa.pl fecde7f9bb

ojczyzny wracają od wielkiego dzwonu, na zasadzie wypożyczenia. Florencka ekspozycja daje okazję do porównania czterech wersji „Ukrzyżowania”: z Bolonii, Oksfordu, Harvardu i Nowego Jorku.

Wystawę podzielono na dwie części. Palazzo Strozzi, zbudowany już po śmierci malarza, po generalnym remoncie stał się miejscem prezentacji sztuki współczesnej. Z kolei Museo di San Marco, mieszczące się w dawnym klasztorze Dominikanów, jest lokalizacją oczywistą. Jeśli duch mnicha artysty miałby się gdzieś ukazywać, to właśnie tu: w miejscu, gdzie mieszkał, modlił się i tworzył. Kompleks, zaprojektowany przez Michelozza, w 1439 r. gościł uczestników soboru powszechnego, który położył kres schizmie wschodniej. Trwałemu pojednaniu łacinników z prawosławiem przeszkodził upadek Cesarstwa Bizantyjskiego, lecz na krótką metę autorytet papiestwa bardzo się umocnił.

Przeorem konwentu był wówczas Antonino Pierozzi, w XVI w. uznany za świętego. Erudyta i zarazem człowiek głębokiej wiary udostępnił księgozbiór San Marco wszystkim chętnym, stając się w ten sposób twórcą pierwszej publicznej biblioteki w Europie. Godność arcybiskupa Florencji zawdzięczał utalentowanemu koledze. Fra Giovanni odmawiając przyjęcia mitry, zdołał bowiem przekonać papieża Eugeniusza IV, że idealnym kandydatem na to stanowisko jest Antonino.

Czterdzieści tysięcy florenów na rozbudowę San Marco wyłożył niekoronowany władca miasta Kosma Medyceusz. Rówieśnik malarza, nękany wyrzutami sumienia z powodu lichwy, której zawdzięczał swój gigantyczny majątek, prowadził interesy kurii rzymskiej. W klasztorze miał zarezerwowaną największą, podwójną celę, udekorowaną freskiem „Pokłon trzech króli”, ponieważ należał do religijnego bractwa pod tym wezwaniem. Toczył w niej dyskusje teologiczne z przeorem.

NA SKRZYDŁACH MOTYLA

Misję ozdobienia klasztoru freskami powierzono bratu Giovanniemu. Było to zadanie przerastające siły jednego człowieka (zwłaszcza obarczonego realizacją innych zamówień), więc pomagali mu współpracownicy – najzdolniejszym był Benozzo Gozzola. Wśród 45 zachowanych malowideł wyróżnia się „Zwiastowanie”, które mistrz wykonał osobiście. Mierzył się z tym tematem wiele razy. Atutem wcześniejszych, ołtarzowych wersji z Fiesole (dziś w madryckim Prado), Cortony i San Giovanni Valdarno jest dekoracyjność. Maria, odziana jak królowa, siedzi na złotym tronie. Na kolanach trzyma księgę z proroctwem Izajasza, zapowiadającego, że „Dziewica pocznie syna”. Gabrielowi asystują Bóg Ojciec – jego wizerunek znajduje się we wnęce renesansowego portyku – i gołębica, symbol Ducha Świętego.

W tle dominikanin namalował wygnanie Adama i Ewy z raju. Ich grzech za chwilę zostanie odkupiony. Fresk z San Marco jest uboższy w szczegóły. Oblubienica siedzi na stołku, ma na sobie zwykłą lnianą sukienkę. Zaskoczona słowami motyloskrzydłego archanioła naśladuje jego pokorny gest poddania się woli Stwórcy. Mimo prostoty (a może właśnie z jej powodu) ten wariant „Zwiastowania” robi największe wrażenie. Rzecz jasna, krytycy sztuki utyskują na uwstecznienie artysty. Brat Giovanni, zwykle biegły w zarządzaniu przestrzenią, starzejąc się, zaczął lekceważyć zasady geometrii.

O tym, że Tajemnicę Wcielenia można zilustrować w zgoła inny sposób, świadczy ściągnięty z Waszyngtonu obraz Giovanniego di Paolo. W 1435 r. młodszy o pokolenie Sieneńczyk wpuścił do rajskiego ogrodu stado zajączków, a w zamkniętej izbie umieścił grzejącego się przy kominku starca z aureolą (czyżby św. Józef?). Pięć lat później Filippo Lippi namalował dla florenckiego kościoła św. Wawrzyńca scenę godną teatru: trzech wysłanników niebios nagabuje zaskoczoną Marię w portyku, wpisanym w krajobraz renesansowego miasta. Dzieła przednie, lecz stawiające religijność autorów pod dużym znakiem zapytania.

GOTYCKI RENESANS

Brat Anielski żył w czasach przełomu. Reforma Kościoła ostatecznie spełzła na niczym. Jana Husa i Joannę d’Arc spalono na stosie. Pieniądz coraz częściej wygrywał z mieczem, a wynalazek druku dał początek kulturowej rewolucji. Zakon krzyżacki został zmiażdżony pod Grunwaldem, Cesarstwo Niemieckie znajdowało się w stanie rozkładu. Przyszłość należała do monarchii narodowych. W wojnie zwanej stuletnią, Anglicy kolejny raz rzucili Francuzów na kolana, by ostatecznie ponieść klęskę i utracić posiadłości na kontynencie. Hiszpania znalazła się na drodze do zjednoczenia, portugalscy żeglarze coraz śmielej penetrowali wybrzeża Afryki. Imperium tureckie rosło w siłę i coraz bardziej zagrażało Europie, łupem sułtanów padły Bałkany i drugi Rzym, czyli Konstantynopol, co przypieczętowało rozbrat włoskiej sztuki z dominującą od stuleci bizantyjską tradycją.

Przejście od statyczności do iluzji ruchu i od schematyzmu do naśladowania życia było po części zasługą naszego bohatera. Można go śmiało nazwać pionierem malarstwa pejzażowego. Rzecz jasna, nie żył w próżni. Czerpał z dorobku Giotta, od swojego mistrza Lorenza Monaco wziął upodobanie do żywych barw i ornamentyki, od Masaccia – ekspresję, od Donatella – realizm. Historycy sztuki dopatrują się też inspiracji flamandzkich. Całkiem to możliwe, gdyż Toskania utrzymywała kontakty handlowe z północną Europą.

Takich wydarzeń reklamować nie trzeba. Od poprzedniej monograficznej wystawy Brata Anielskiego upłynęło siedem dekad FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fecde7f9bb

Angelico unikał patosu. Jego twórczość emanuje spokojem, który daje żarliwa wiara. Dość spojrzeć na „Zdjęcie z krzyża” z kaplicy Strozzich w kościele Santa Trinita. Ołtarz, rozpoczęty przez Lorenza Monaco, jego uczeń wzbogacił o scenę centralną. Na łące pokrytej kwiatami zebrali się smutni, lecz spokojni żałobnicy. Maria Magdalena całuje stopy martwego Mesjasza, Jan dotyka jego boku w geście niedowierzania, w głębi widać mury Jerozolimy i górski pejzaż.

Giorgio Vasari twierdził, że dominikanin „nie wziął pędzla do ręki, zanim nie odmówił modlitwy. Nie namalował krucyfiksu, nie zapłakawszy nad nim”.

Rzadki to wypadek, by biografia i œuvre artysty tak do siebie pasowały. Aż dziw, że do beatyfikacji doszło dopiero w 1982 r. (nawiasem mówiąc, Brat Anielski jest też patronem krytyków sztuki). Inni dominikanie głosili Ewangelię słowem, on – obrazem. Chociaż czasem portretował św. Franciszka, patrona konkurencyjnego zgromadzenia, to autorytet Tomasza z Akwinu był dlań niepodważalny. Mistrz z San Marco uniknął też zauroczenia sztuką antyczną i neopoganizmem, pleniącym się obficie na włoskich dworach, a nawet w papieskim Rzymie (pod latarnią jest zawsze najciemniej).

W tym miejscu pojawia się wątpliwość. Czy nazywanie „ojcem renesansu” artysty, który parał się iluminacją klasztornych manuskryptów i respektował średniowieczne kanony, nie jest aby nadużyciem? Odpowiedzi na to pytanie udzielił sir Ernst Gombrich. Jego zdaniem Angelico należał do twórców, „którzy potrafili wykorzystać nowe odkrycia, nie zmieniając ducha dawnej sztuki”. Potwierdzeniem tych słów jest chociażby namalowany w 1431 r. dla kamedułów „Sąd Ostateczny”. Kompozycja urzeka kolorystyką i przestrzennością, jednak powiela schemat rodem z „Boskiej komedii” Dantego. Autor zmieścił na obrazie 250 postaci. W centrum widać opuszczone groby. Po prawicy Chrystusa anioły prowadzą zbawionych do rajskiego ogrodu, po lewej demony spychają niepoprawnych grzeszników w otchłań piekielną. W wersji sprowadzonej z Rzymu Syn Boży wydaje się trochę zagniewany.

MECENAS W OŁTARZU

Z Bostonu przyjechał lśniący złotem relikwiarz tabernakulum. Zdobią go sceny pogrzebu i koronacji Matki Boskiej. Biblia o tych wydarzeniach milczy. Ich popularność ugruntowały apokryficzne żywoty Maryi. Artefakt natchnął zagorzałą italofilkę Marię Konopnicką do napisania wiersza „Fra Angelico. Wniebowzięcie”. Poetka zdążyła obejrzeć relikwiarz we florenckim kościele Santa Maria Novella, zanim kupili go Amerykanie. W innym utworze wspomniała o „Zwiastowaniu”. Natomiast Zbigniew Herbert, choć nie zdecydował się na publikację młodzieńczego utworu „Fra Angelico: Męczeństwo świętych Kosmy i Damiana”, sztukę dominikanina cenił. Odpowiadały mu jej powaga, dyscyplina i uduchowienie.

Z katedry w Livorno wypożyczono wizerunek Chrystusa w cierniowej koronie. Precyzyjnie oddane szczegóły nadają portretowi Króla Królów niezwykłą siłę wyrazu, wzmocnioną jeszcze przez cytaty z Ewangelii i Apokalipsy św. Jana. Kuratorzy wystawy zestawili go z obrazem Dirka Boutsa, również wybitnego kolorysty obeznanego z anatomią i zasadami perspektywy. Znakiem rozpoznawczym Holendra są nadzwyczaj smukłe sylwetki. Włoscy artyści quattrocenta tej maniery nie podchwycili.

Ekspozycję reklamuje plakat z reprodukcją środkowej części tryptyku franciszkańskiego. Wczesne arcydzieło Brata Anielskiego, przeznaczone dla kościoła Santa Croce, zostało z tej okazji pięknie odrestaurowane i uzupełnione o predelle sprowadzone z Niemiec i Watykanu. Powiódł się również ambitny zamiar rekonstrukcji ołtarza z kościoła San Marco, zamówionego w 1438 r. przez Medyceuszy. Po raz pierwszy od ponad 300 lat połączono 17 z 18 paneli. Zwiezione z najważniejszych muzeów świata (od National Gallery of Art w Waszyngtonie po Alte Pinakothek w Monachium) razem tworzą poliptyk, mogący się ubiegać o miano pierwszego ołtarza w stylu renesansowym.

Centralne malowidło zwiastuje narodziny nowego typu kompozycyjnego: sacra conversazione, czyli świętej rozmowy. Matka Boska z Dzieciątkiem siedzą na tronie w architektonicznej oprawie zaprojektowanej przez Michelozza, otoczeni przez ośmiu aniołów i ośmiu świętych rozmieszczonych wzdłuż dwóch zbiegających się linii perspektywicznych. Wybór oczywiście nie jest przypadkowy. Święty Dominik i św. Marek odnoszą się do patronów zakonu i świątyni. Kosma i Damian symbolizują mecenat Medyceuszy. Obecność świętych Wawrzyńca, Jana, Franciszka i Piotra również przywołuje imiona mężczyzn z rodu rządzącego Florencją. Badania z użyciem nowoczesnych technologii pozwoliły odtworzyć oryginalną strukturę ołtarza i ustalić jego pierwotne wymiary. Niestety, po zamknięciu wystawy pisane jest mu ponowne rozkawałkowanie.

SŁUGA BOŻY

Talent dominikanina zauważono w Rzymie, lecz wola Kosmy i obowiązki zakonne trzymały go w Toskanii. Przyjął zaproszenie nad Tybr, dopiero gdy skończył 50 lat, co wówczas uznawano za wiek sędziwy. Razem z uczniami malował freski w katedrze w Orvieto, należącej do Państwa Kościelnego. Pracę przerwał, gdy wybrano go na przeora klasztoru w Fiesole. Zanim dokonał żywota, zdążył jeszcze upiększyć gabinet i prywatną kaplicę papieża Mikołaja V. Część tych dzieł przetrwała, lecz turyści sfokusowani na „Sądzie Ostatecznym” Michała Anioła mijają je obojętnie.

Doczesne szczątki mnicha artysty spoczęły w Wiecznym Mieście, w kościele Santa Maria sopra Minerva. W ojczyźnie jednak o nim nie zapomniano. Gdy władzę we Florencji przejął Savonarola, złotousty zakonnik z klasztoru św. Marka, stawiał malarzom sztukę Brata Anielskiego za wzór. Obrazy zachęcające do grzechu wrzucano w płomienie. Upadek „chrześcijańskiej republiki” nie zachwiał reputacją naszego bohatera. Podziwiali go nawet twórcy o wątpliwej moralności, wcielający w życie model artysty dworaka.

Beato Angelico, w odróżnieniu od innych gigantów renesansu, nie starał się wyrazić własnej ekspresji, tylko najlepiej, jak umiał, służył Bogu.

„Jego malarstwo było owocem wielkiej harmonii między świątobliwym życiem i otrzymaną przezeń siłą twórczą” – twierdził Vasari. Pierwszemu historykowi sztuki zdarzało się powtarzać plotki, mylić daty, lecz gust miał dobry i z reguły trafiał w sedno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Fra Angelico” we florenckim Palazzo Strozzi i Museo di San Marco jest otwarta do 25 stycznia 2026 r.

eprasa.pl fecde7f9bb

Najlepsze przygody na Święta poleca

fabryka słów
WYDAWNICTWO

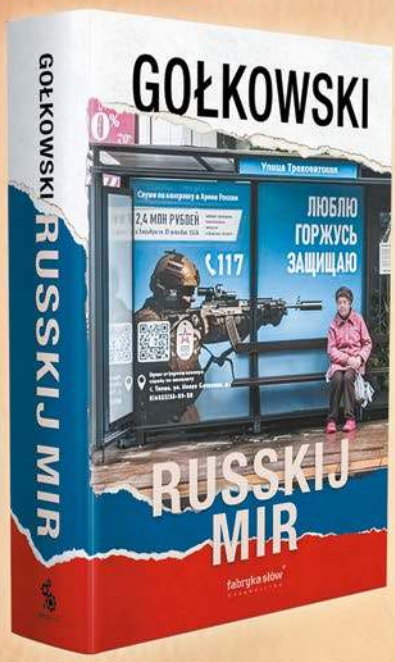

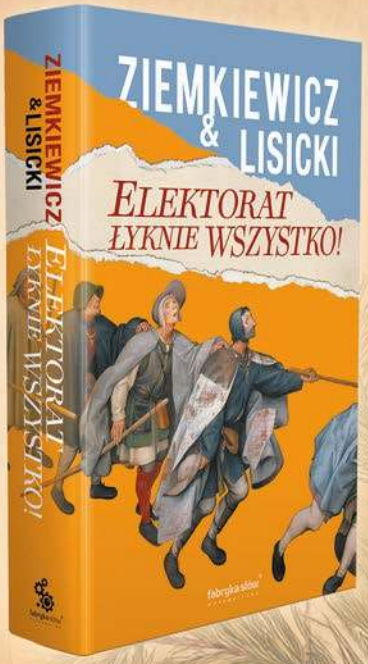

Zaczytanych Świąt!

eprasa.pl fecde7f9bb

Koniec kina czy koniec

Piotr Gociek

Dziesiątki kontrowersji, setki klap, miliony strat – Hollywood ma za sobą jeden z najgorszych sezonów w historii. Czy można odwrócić proces upadku?

Trwają spory, czy rok 2025 był dla Hollywood najgorszym rokiem w historii czy może tylko jednym z najgorszych (oczywiście pomijając feralny rok wybuchu pandemii). Pesymiści nie tylko przeglądają dawne statystyki, lecz także próbują przeliczać niegdysiejsze wpływy, uwzględniając inflację, żeby obraz był jaśniejszy. No i im ten obraz jest jaśniejszy, tym jest jednocześnie ciemniejszy, bo publiczność odwróciła się od kin. Kilka miesięcy temu w biznesie filmowym ukuto nawet hasło „Byle przetrwać rok 2025". Przetrwać się uda. Ale co dalej? Żadnej gwarancji poprawy na horyzoncie nie widać, a problemy Hollywood są poważniejsze, niż się wydaje. Polityka, zmiany cywilizacyjne, zmiany społeczne i gospodarcze kłopoty Ameryki – wszystko to nakłada się na siebie, tworząc scenariusz wielkiej katastrofy. Ten scenariusz już zaczął się urzeczywistniać.

Dane z kin są przerażające i porażające – o ile pod koniec roku amerykańskim kinom pomogły wyniki nowego „Avatara" Jamesa Camerona i animowanego hitu „Zwierzogród 2", o tyle poprzednie miesiące okazały się katastrofalne. Mnóstwo premier, niewiele pieniędzy w kasie; padały zarówno wielkie komercyjne produkcje, jak i filmy mniejsze, ale nieco snobistyczne, okraszone gwiazdami, czyli tytuły, które miały wypełnić listy oskarowych nominacji. I być może te listy wypełnią, ale kieszeni producentów pieniędzmi – już nie.

W październiku 2025 r. wszystkie filmy wprowadzone przez cały miesiąc do amerykańskich kin zarobiły łącznie ok 425 mln dol. Gorzej było tylko w roku 1997 – informuje branżowy magazyn „Variety", kiedy to wynik wyniósł 385 mln. Tyle tylko że uwzględniając inflację w USA, ówczesne 385 mln warte jest tyle, co dzisiejsze 777 mln. Krótko mówiąc, miniony październik był dla Hollywood dwa razy gorszy od miesiąca uznawanego dotąd za… najgorszy we współczesnej historii. A przecież przed pandemią regułą bywało, że po kilkaset milionów dolarów rozmaite superprodukcje zarabiały w samej Ameryce już w pierwszy weekend wyświetlania. Skala upadku jest więc ogromna.

NIC NIE JEST OK

Jakie produkcje ponoszą klęskę w amerykańskich kinach? Niemal wszystkie. Kłopoty mają zarówno kontynuacje kasowych franczyz („Tron: Ares" czy „Predator: Badlands", najnowsza „Mission:

eprasa.pl fecde7f9bb

Hollywood?

FOT. ADOBE STOCK

Impossible", „Ballerina" – nowy film z uniwersum „Johna Wicka") czy nowe wersje dawnych hitów („Królewna Śnieżka", „Uciekinier"), jak i filmy, które miały przyciągnąć publiczność nazwiskami wielkich gwiazd i znanych reżyserów („Jedna bitwa po drugiej", „Zgiń, kochanie", „Eddington", „The Smashing Machine"). Nie szło ani kinowemu uniwersum Marvela („Thunderbolts", „Kapitan Ameryka: Nowy wspaniały świat"), ani DC (umiarkowany sukces nowego „Supermana"), ani animacjom Disneya i Pixara („Elio"). Niektórych filmów publika nawet nie zauważyła i ze wstydem były szybko wycofywane z kin (nowy „Pocałunek kobiety pająka", „After The Hunt").

Oczywiście część tych tytułów ostatecznie trafi do ksiąg rachunkowych z adnotacją „zysk" dzięki dobrym wynikom za granicą, ale dla amerykańskich kiniarzy żadna to pociecha. Biznes, który doznał ciężkich strat w czasie pandemii, dziś stoi na skraju upadku. Oczywiście wiele z tych filmów staje się potem przebojami streamingu, ale nie przynosi to już takich wpływów, na jakie liczono w kinach – choć wielkim koncernom pomaga tu kreatywna księgowość: tu strata, tu zysk, niby wszystko OK. Ale problem w tym, że dziś nic nie jest już OK.

ANATOMIA KATASTROFY

Skąd te kłopoty? Mamy do czynienia ze splotem kilku czynników, które osobno nie były jeszcze tak groźne, ale w przypadku kumulacji, niczym w teorii katastrof lotniczych, składają się na kataklizm. Po pierwsze, filmy są za drogie. Budżety produkcyjne przekraczające 100 czy 150 mln dol. stały się normą. Jednocześnie coraz trudniej je sprzedać, rosną więc wydatki na promocję. W przypadku filmów szykowanych na światowe blockbustery oznacza to zwykle, że drugie tyle przeznacza się na reklamę. A to z kolei znaczy, że niemal każdy droższy czy bardziej spektakularny film musi zarobić 300, 400 mln dol., żeby… wyjść na zero. W Ameryce bardzo zdrożały także bilety kinowe. W czasach sporów o za wysokie ceny jajek, benzyny czy nawet posiłków w fast foodach wydatki na kino zeszły na dalsze miejsce w rodzinnych budżetach.

Hollywoodzkie studia wpadły zarazem w stworzoną przez siebie spiralę śmierci i nie mają pojęcia, jak teraz wyjść z korkociągu. Tak zwane okno dystrybucji kinowej nieustannie się zmniejsza. Widząc, że film nie zarabia tyle, ile się spodziewano w multipleksach, koncerny przyśpieszają premierę w streamingu. Im szybciej film trafia do streamingu, tym mniej powodów ma widz, by na kolejną premierę wybrać się do kina, „bo przecież i tak zaraz obejrzę to w telewizorze". Im mniej chętnie widz wybiera się do kina, tym oczekiwane wpływy są mniejsze. Im wpływy są mniejsze, tym szybciej film trafia do streamingu. Żelazna logika samobójstwa w odcinkach.

Jest jeszcze jedna ważna przyczyna upadku kin, o której jeszcze nie mówi się w Europie, ale która nie uszła uwadze amerykańskich komentatorów. Tyle że o tej przyczynie najwięcej mówi się w programach vlogerów i na forach internetowych, a nie w tradycyjnych mediach. To upadek czegoś, co zwane jest „cinema experience" – doświadczaniem filmu w kinie. Przez długie dekady było to coś na kształt świeckiej mszy dla kinomanów oraz uświęconej świeckiej tradycji dla całych rodzin. Ci pierwsi skrzykiwali się na seanse mistrzów i awangardy w kinach art-house'owych, ci drudzy raz w tygodniu stawiali się w kinach, by razem z małżonkami i dziećmi celebrować wspólnotowe doświadczenie: film, popcorn, cola, potem rodzinny obiad. Dziś takie doświadczenie zrobiło się niemiłosiernie drogie, to raz. Ale amerykańskie sale kinowe zamieniły się również w skrzyżowanie nowojorskiego metra z „Mad Maxem" – publiczność, zwłaszcza nastoletnia, wyje, pohukuje i komentuje na głos to, co widzi, nagrywa filmiki na TikToka, przegląda smartfony i wymienia się głośnymi opiniami itd. Nie jest to najlepsza atmosfera do rodzinnego świętowania spotkania z nowym hitem Pixara. A dlaczego tradycyjne media, w odróżnieniu od youtuberów, o tym milczą? Cóż, to proste: w większości są lewicowo-liberalne, więc zawsze po stronie „róbta, co chceta", a nie po stronie „ważne są zasady i dyscyplina".

eprasa.pl fecde7f9bb

Mamy więc kina, do których mało kto chce chodzić, zbyt wysokie ceny biletów oraz wielką konkurencję ze strony streamingu. Czy to już tłumaczy wszystko? Otóż nie. Nie dotknęliśmy jeszcze jednego ważnego problemu: ludzie przestają chodzić do kin, bo nie znajdują w nowych filmach tego, co znaleźć by chcieli. A dlaczego nie znajdują? O to pytać powinniśmy tych, którzy zamienili Hollywood w pole agresywnej walki ideologicznej i promocji DEI (diversity, equity, inclusion) oraz woke. Nikt nie jest bezpieczny, żadna filmowa franczyza, żadne studio, żaden gatunek filmowy.

Zjawisko to zasługuje na osobne bardzo obszerne omówienie, a jego początków szukać trzeba w procesach społecznych i kulturalnych uruchomionych po wyborze na prezydenta Baracka Obamy. Wtedy to „postępy postępu" (cytując nazwę popularnej rubryki z „Najwyższego Czasu!") przybrały na sile. Nie wszystkie uważnie śledziliśmy, pamiętam, jak jeszcze na łamach oryginalnego „Uważam Rze" opisywałem fenomen gloryfikacji bohaterów homoseksualnych i propagandy na rzecz tzw. małżeństw jednopłciowych w popularnych serialach komediowych. Droga wówczas podjęta doprowadziła amerykańską kulturę do sytuacji, kiedy produkcja filmowa przepełniona jest postaciami girl bosses na siłę wciskanymi do każdej historii, do lesbijskich związków w serialu „Star Wars: Akolita", do homoseksualnych nastolatków w animacjach Disneya itd. A – co gorsza – regulaminy najważniejszych nagród filmowych – Oscarów – zmieniono tak, że ubiegać się o laury mogą tylko filmy, które wypełniają kwoty równościowe zarówno na ekranie, jak i poza nim. Fabuły muszą zatem mówić o odpowiedniej liczbie bohaterów z mniejszości wszelkiego rodzaju, a ekipy produkcyjne mają być w ten sam sposób konstruowane.

BUNT WIDZÓW

Włodarze Hollywood nie dostrzegli jednak narastającego buntu widzów. Pierwszymi oznakami kontrrewolucji było pojawienie się fenomenu niezależnych christian movies i takichże seriali (jak fenomen biblijnego „The Chosen"). Drugim – rosnąca popularność seriali w starym stylu, jak „Yellowstone", gdzie faceci wciąż byli męscy a kobiety nadal piękne, za to akcje równościowe nikogo nie interesowały. Trzecim – odwrót w kierunku rozrywki tyleż niewyszukanej, co oczywistej: ostatnia dekada pełna jest niespodziewanych sukcesów filmów kinowych klasy B, ale z przesłaniem klasy A – kiedy źli ludzie krzywdzą nasze kobiety i dzieci, kiedy niszczą narkotykami i handlem żywym towarem naszą ojczyznę, najlepsza jest metoda Bogusława Lindy z „Psów": „A zabiję ich wszystkich". Tak oto kasową gwiazdą stał się choćby Jason Statham.

Kina przetrwają, ale w takiej formie, jak przetrwały teatry, które z dominującej formy rozrywki zmieniły się w rezerwaty dla wysmakowanej publiczności

Czego oczekiwali amerykańscy widzowie odwracający się nie tylko od skręcających w lewo demokratów, lecz także od przesyconej ideologią rozrywki? Prostych, pozytywnych przekazów. Filmów, w których rodzina nie jest źródłem opresji, a Ameryka – najgorszym krajem świata. O tym, że trzeba kibicować policjantom, nie bandytom – a nie odwrotnie. Filmów, które nie wyszydzają wiary. I tak dalej.

Co dostawali w zamian? Spójrzmy na wybrane premiery mijającego roku. „Jedna bitwa po drugiej" – marksistowska komedia o konieczności przekazywania walki rewolucyjnej z pokolenia na pokolenie, w której postaciami pozytywnymi są komunistyczni terroryści. „Zgiń, kochanie" – dramat o tym, że macierzyństwo to najgorsza rzecz, jaka może przytrafić się kobiecie i która prowadzi do szaleństwa i przemocy. „Królewna Śnieżka", w której główna bohaterka jest rewolucjonistką. „Kapitan Ameryka: Nowy wspaniały świat" – film, w którym amerykański prezydent mówiący o porządku i wartościach okazuje się dosłownie czerwonym krwiożerczym monstrum. Dziwaczna satyra na Trumpa w postaci dystopijnej komedii „Mickey 17". Kolejny „Avatar" o złych kolonialistach (białych i patriarchalnych) mordujących dobrych kolorowych (niebieskich) tubylców. I tak dalej, i tym podobne.

Na wszystkie te przemiany nakłada się w ostatnich tygodniach jeszcze jeden proces: koncentracja kapitału, postępująca oligarchizacja biznesu rozrywkowego. Najważniejszą wiadomością grudnia 2025 r. była wszak wieść o tym, że Netflix kupuje streamingowe i kinowe zasoby Warner Bros./Discovery. Jedocześnie przyzwyczajenia publiczności zmieniają się na dobre. Filmy i seriale oglądane są nie tylko na telewizorach i komputerach, lecz także na smartfonach. Długie formy ustępują krótkim, bo podstawowym narzędziem komunikacji wideo w Internecie stała się kilkudziesięciosekundowa rolka wideo. To już nie tylko przemiany biznesowe, to zmiany cywilizacyjne i społeczne. Wspólna publiczność, dla której stworzono kina, przestała istnieć. Każdy dostaje własną ulubioną rozrywkę do własnej bańki, otulony przyjaznymi podpowiedziami algorytmów analizujących to, co oglądał poprzednio.

KINO JAK TEATR

Kina przetrwają, ale w takiej formie, jak przetrwały teatry, które z dominującej formy rozrywki zmieniły się w rezerwaty dla wysmakowanej publiczności. Czy Hollywood przetrwa? W obecnej formie nie, ale po przemianie – owszem. Przemiana polega na przekierowaniu budżetów do streamingu i na inne niż kinowy film formy rozrywki. Oznacza to, że słabła będzie pozycja producenta, a rosła – dostawcy. Tak jak w świecie usług telekomunikacyjnych, gdzie najwięcej zarabia się nie na produkcji smartfonów, ale na dostarczaniu o nich sygnału. A najwięcej zarobią ci, którzy staną się i producentem, i dostawcą. Amazon ma już MGM, Netflix bierze Warnera. Kto następny?

Czy da się przełamać te oligopole i budować niezależne źródła rozrywki? Nadzieja w przemianach technologicznych. Spadające lawinowo ceny sprzętu oraz możliwości sztucznej inteligencji pozwalają za ułamek dawnych budżetów kręcić filmy. Na razie artystyczne albo krótki metraż. Ale prędzej czy później dojdzie do przełomu – przynajmniej taką należy mieć nadzieję. Tymczasem palącą kwestią stanie się za chwilę walka ze współczesnymi monopolami rozrywkowymi. A kina? Kina są już stracone.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Krzysztof Masłoń

FOT. ADOBE STOCK

Do hymnu!

Nasz naród jest wiele wart, więc i jego nauczyciel jest wiele wart" – pisał w swojej ostatniej przed wojną głośnej polemice Melchior Wańkowicz, domagając się wyższych płac dla pedagogów, jako że dla narodu – wywodził – najważniejsza jest edukacja. I chociaż zwykło się uważać zarobki ówczesnych nauczycieli za przyzwoite, to jego zdaniem były one zbyt niskie i porównywał je – w artykule pomieszczonym w arcypopularnym „IKC" – do marnie opłacanej służby palaczy na szykującym się do walki okręcie, a przecież „żar w tych kotłach, z których się bierze pęd okrętu, utrzymują oni".

Dziś najważniejsze są płace lekarzy, co w kontekście stanu chylącej się ku upadkowi służby zdrowia wydaje się nawet zasadne, choć może nie do końca, ale że wszystkim zależy, byśmy zdrowi byli, to i nie dziwimy się już niczemu. A w to, że to nauczyciele właśnie utrzymują obecnie żar w narodowych kotłach, uwierzyć jest coraz trudniej, jako że żar ów jakby wygasł, a i przekonania o wysokiej wartości narodu zaczyna brakować. I niestety niejednemu z nas z tyłu głowy odzywa się wieszczenie Piotra Skargi, prorokującego, że „głupcy dzieci wasze uczyć będą".

Ani mi w głowie postponować naszych edukatorów, którzy zresztą lada dzień znów pewnie zaczną się upominać o podwyżki uposażeń, tyle że mało kto dziś daje wiarę, że ich wyższe zarobki wpłyną na podwyższenie jakości kształcenia. W szkolnictwie zarządzanym przez Barbarę Nowacką jest to niemożliwe, ponieważ w placówkach rzekomo oświatowych, w których się nie uczy, nie można uczyć lepiej czy gorzej, a jedynie podtrzymuje się fikcję.

Wiedzę dzisiejszym uczniom dostarczają nie szkoły, lecz smartfony. W szkołach młódź jedynie spędza czas, w którym ich rodzice zarabiają pieniądze, rzekomo na dalszą edukację swoich pociech. Dziatwa tymczasem jeździ na wycieczki, chodzi do kina, gdzie nudzi się na zalecanych przez wychowawców filmach, a ponadto uczestniczy w najróżniejszych eventach, niegdyś ograniczanych do apeli i akademii, a obecnie znacznie bardziej urozmaiconych. Na takich eventach obowiązkowo wyśpiewuje „Mazurek Dąbrowskiego", udowadniając, że jakiś proces dydaktyczny w polskiej oświacie jednak się toczy, gdyż uczniowie znają wszystkie zwrotki naszego hymnu narodowego, a nawet zdecydowana ich większość pamięta o tym, by śpiewać, że „jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy", a nie „póki my żyjemy". Od polityków wiedzą wszak, że ta pomyłka jest karygodna jak żadna inna. Co do reszty hymnu, to raczej nie zastanawiają się nad tym, dlaczego „nasi biją w tarabany" i czym właściwie te tarabany są czy też z jakiej paki zajmować się mają przędzalnictwem, i to wymyślnym, wszak „przędziem Wisłę, przędziem Wartę". Z jakiego powodu ojciec Basi leje ślozy, również nikt nie docieka, a ewentualne wyjaśniania polonisty, że to błędna wymowa zadecydować miała o tym, że to on płacze w hymnie, a nie jego córeczka, tak naprawdę nie docierają do nikogo. Nie docieka się także, jakich to przykładów dostarczył nam Napoleon, byśmy zwyciężali. On sam, zdaje się, dostał łomot i zesłany został na jakąś wyspę, jedną, potem drugą. A myśmy poradzili sobie z wrogiem pod Grunwaldem i pod Warszawą w roku 1920. Bez Bonapartego.

Ale, ale, podobno z uwagi na sytuację międzynarodową i nasze mocno napięte stosunki z Rosją obowiązkowa stać się ma jeszcze jedna zwrotka hymnu: „Moskal Polski nie posiędzie / Dobywszy pałasza / Hasłem wszystkich wolność będzie / I Ojczyzna nasza". Strofa ta ma też inną wersję, w której Niemiec występuje obok Moskala, ale nie wnikajmy w szczegóły. Już minister Nowacka zadecyduje, jak młodzi Polacy śpiewać będą „Mazurka". I pilnować, by się nie rozpędzili i nie dodali, stadionowym wzorem, jakichś rymów o Donaldzie i kimś tam jeszcze czy nie o Oli.

Ze szkół natomiast, jak najsłuszniej, usuwa się „Rotę", swego czasu aspirującą również do tego, by stać się hymnem narodowym. Jeszcze tego brakowało, byśmy napinali muskuły, nie godząc się, by „Niemiec pluł nam w twarz"! Dalej mówi się tam jeszcze o tym, że: „Nie damy miana Polski zgnieść / Nie pójdziem żywo w trumnę". Cóż to? Letargiem nam się grozi, a poza tym światli obywatele poddawani zostają kremacji i w urnach takie numery nie przechodzą?

O „Bogurodzicy" nie ma sensu w tym miejscu rozprawiać, bo tę ponurą historię należycie podsumował już poeta Podsiadło i na pewno w szkołach między Bugiem a Odrą nie ma na nią miejsca. Będzie w nich rozbrzmiewała „Jeszcze Polska nie zginęła" w jednym chórze ze „Szcze ne wmerła Ukraina", jako że dwujęzyczność naszej oświaty mamy jak w banku.

Na koniec tych rozważań ośmielam się polecić uwadze pani Nowackiej et consortes dawny hymn Królestwa Polskiego. Ta „Pieśń narodu za pomyślność króla" odnosiła się wprawdzie do – jakby to delikatnie ująć – rosyjskiego cara, który raczył mianować się i polskim królem, ale nie przejmowałbym się tym zanadto, gdyż po pierwsze, w nieco zmodyfikowanym wariancie pieśń zadomowiła się w kościołach, a po drugie – i nawet ważniejsze – czyż nie nabrałaby nowego blasku jako suplika tej treści: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, / Donalda Tuska zachowaj nam Panie".

W szkołach nauka tego, rzekłbym – rezerwowego, hymnu odbywałaby się na lekcjach religii. Może w takiej sytuacji znów obowiązkowych? ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

Z Aleksandrą Szarłat, autorką biografii Jana Nowickiego „Trochę anioł, trochę bies”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Ketling, Magnat i Wielki Szu

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/DDTVN/EAST NEWS

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Centrum świata Jana Nowickiego leżało na Kujawach?

ALEKSANDRA SZARŁAT: Można tak to ująć, ponieważ stamtąd pochodził i tam też w jakimś momencie życia powrócił. Droga życiowa aktora zatoczyła wielkie koło. W miasteczku Kowal przyszedł na świat, a pożegnał go w Krzewencie. Obie miejscowości dzieli niespełna 7 km. Przez całe życie przywoływał krainę swojego dzieciństwa w rozmowach, wspomnieniach, prozie…

Dzieciństwo miał ubogie, lecz szczęśliwe?

Silnie naznaczyły je obroty koła historii. Urodził się w 1939 r., już po wybuchu drugiej wojny światowej. Najmłodsze lata przyszło mu spędzić pod okupacją niemiecką, obszar Kujaw przyłączono do Rzeszy. W domu rodzinnym niekiedy nie było czego wrzucić do garnka. Ojca, szewca z zawodu, zapamiętał głównie w pozycji poziomej – leżącego w łóżku. Chorował na gruźlicę, leczoną psim smalcem. Do ojczyma, kierowcy i mechanika, długo zwracał się per „panie Stasiu”. Przy czym obaj mężczyźni, zarówno ojciec, jak i ojczym, mieli słabość do alkoholu. Ale mały Janek poznał też wtedy czułość matki, jej troskę i miłość. Dziwiło mnie, że z tak wielką nostalgią przywoływał wczesne lata powojenne, to był przecież zenit stalinizmu. Jednak w zakamarkach jego pamięci ideologię przykrywały obrazy ludzkiej integracji. Na każdym kroku okazywano sobie wzajemne wsparcie, życzliwość była na porządku dziennym, kwitło życie sąsiedzkie. A przy tym wszystkim jako dziecko miał ogromne poczucie wolności, cieszył się pięknem natury, pływał w okolicznych jeziorach, wędrował po lasach, bawił się z kolegami i czytał książki.

A jakim był uczniem?

Zdolnym, lecz niesubordynowanym, toteż relegowano go z kolejnych szkół średnich. Zaliczył ich aż siedem! W Zasadniczej Szkole Zawodowej we Włocławku usiłowano zrobić z niego frezera, w Technikum Przemysłowo-Pedagogicznym Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego w Radziejowie poznawał tajniki ślusarstwa, skosztował nauki w bydgoskim liceum kulturalno-oświatowym oraz poznańskim liceum ogólnokształcącym, by w końcu odebrać świadectwo maturalne w „ogólniaku” łódzkim.

Pierwsze podejście do aktorstwa zakończyło się fiaskiem?

Po półtorarocznej nauce został skreślony z listy studentów Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Znowu dało o sobie znać niepokorne usposobienie Nowickiego.

Szkołę życia przeszedł pod ziemią?

Aby uniknąć zasadniczej służby wojskowej, znalazł zatrudnienie w górnictwie. Fedrował węgiel w Kopalni „Bytom VIII – Miechowice”. Po latach przyznawał, że ta harówka w znacznym stopniu go ukształtowała. Poczuł się silniejszy. I fizycznie, i mentalnie. A wracając do kwestii militarnych, ukończył (w stopniu kaprala podchorążego) Studium Wojskowe przy krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, której absolwentem został w roku 1964.

Pod Wawelem osiadł z wyboru Melpomeny?

Wkrótce po otrzymaniu dyplomu angaż do Starego Teatru zaproponował mu Zygmunt Hübner, ówczesny dyrektor. To była wtedy jedna z najlepszych scen w kraju. Jan debiutował rolą Birona w dramacie Szekspira „Stracone zachody miłości” w reżyserii Haliny Gryglaszewskiej. W Starym miał okazję pracować z twórcami tej miary co właśnie Hübner, Jerzy Jarocki (m.in. Józef K. w inscenizacji „Procesu” Franza Kafki) czy Andrzej Wajda. Pod okiem tego ostatniego stworzył kreacje wybitne w adaptacjach prozy Fiodora Dostojewskiego – Stawrogina w „Bie-

eprasa.pl fecde7f9bb

sach" oraz Rogożyna w „Nastazji Filipownej" (na kanwie powieści „Idiota"). W Krakowie nawiązał też przyjaźń z Piotrem Skrzyneckim, spiritus movens Piwnicy pod Baranami.

Budapeszt stał się przystankiem życiowym aktora za sprawą Amora?

Wybitną węgierską reżyserkę filmową Martę Meszaros poznał w 1975 r. Ponad trzy dekady tworzyli nieformalny związek. Mieli osobne mieszkania – w Krakowie oraz Budapeszcie. Pod koniec zamieszkali we wspólnie kupionym mieszkaniu w Krakowie, co – zdaniem przyjaciół – przyczyniło się w znacznym stopniu do rozstania pary.

Kobiety w biografii artysty stanowią temat tabu?

Nie stanowią. Miłość to przecież znacząca część życia, również artysty. Tym bardziej że Jan uosabiał czołowego amanta polskiego filmu, vide: Ketling w ekranizacji „Pana Wołodyjowskiego" (reż. Jerzy Hoffman), a zwłaszcza rola w bardzo śmiałym – jak na owe czasy (rok 1972) – obrazie Romana Załuskiego pt. „Anatomia miłości", toteż adoratorek mu nie brakowało. Ze sprinterką, medalistką olimpijską Barbarą Lerczak-Janiszewską-Sobottą doczekał się syna Łukasza (aktor i prezenter telewizyjny); Irena Paszyn urodziła mu córkę, Sajanę. O Marcie Meszaros już napomknęłam, dodam jedynie, że zagrał w jej 19 (!) filmach. Między innymi wcielił się w postać premiera Węgier Imre Nagya w dramacie politycznym „Niepochowany". Miał też kilkuletni związek z Małgorzatą Bajurą. Małżeństwo zawierał dwukrotnie. Najpierw z tancerką i choreografką Małgorzatą Potocką, następnie z Anną Kondratowicz, swoją menedżerką. Ale najważniejszą kobietą w jego życiu była matka.

Zawsze o niej pamiętał. Zmarła w pierwszych tygodniach stanu wojennego. Ubolewał, że nie może dotrzeć na pogrzeb. Z czułością opowiadał mi o tej relacji: „Ja piszę jej o swoich sukcesach teatralnych w Argentynie, a ona zamiast o sukcesy pyta mnie, czy zabrałem ciepły sweter i kalesony. Gdy pojawiałem się w pięknym samochodzie obok pięknej kobiety, moja matka pytała raczej, czy mam zapasową oponę albo czy ta pani przykrywa mnie w nocy, gdy się rozkopię. Nigdy nie powiedziała: »Ach, przyjechałeś z gwiazdą, a jakie masz piękne auto...«". Był też mocno związany z siostrą Hanią.

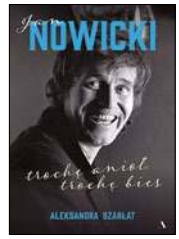

ALEKSANDRA SZARŁAT „JAN NOWICKI. TROCHĘ ANIOŁ, TROCHĘ BIES" AGORA 2025

Z Małgorzatą Potocką zamieszkał na Żoliborzu, podczas wcześniejszych, licznych pobytów w stolicy kwaterował przy pl. Konstytucji.

Należał do regularnych i oczekiwanych gości w hotelu MDM. Zżył się z jego personelem. Zatrzymywał się zawsze w tym samym pokoju. Numer 214.

Po naszej transformacji ustrojowej próbował sił w interesach. Z jakim rezultatem?

Fatalnym. Postanowił wykorzystać rozpoznawalność i założył Dom Mody „Szu", oferujący wytworną konfekcję męską. Nazwa dyskontowała chyba najpopularniejsze wcielenie ekranowe Nowickiego, wybitną kreację w filmie „Wielki Szu" w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego. Niemało w to przedsięwzięcie zainwestował. Niestety, sława artystyczna nie przyniosła firmie powodzenia. Po kilkunastu miesiącach działalności doszło do plajty, a Jan mówił o stracie rzędu 100 tys. dol.! To była wówczas gigantyczna kwota! Nie każdy ma dryg do biznesu. Nie rozpaczał. Przeciwnie, sam z siebie kpił.

Utrzymywał, że jego największym przyjacielem jest książka.

Ale dopiero po Piotrze Skrzyneckim. (śmiech) Rzeczywiście czytał dużo i łapczywie od dziecka. To była jego główna rozrywka obok kopania piłki oraz pożarów i pogrzebów – z racji teatralności. Zapoznał się niemal z całym księgozbiorem lokalnej biblioteki. Zapewne stąd wzięła się jego erudycyjna pasja. Jednocześnie przez całe życie zgłębiał prozę Dostojewskiego.

W roli pisarza zadebiutował stosunkowo późno...

Może wcześniej zabrakło mu na to czasu? W końcu zagrał w 200 filmach i wystąpił w 50 spektaklach teatralnych. Uprawiał różne formy literatury: opowiadania, nowele, felietony, powieści, epistolografię. Był także poetą i autorem tekstów piosenek. Jego felietonistykę prezentowano nawet na deskach teatralnych.

Sport rzutował mu na życiorys?

Fascynowała go piłka nożna, choć w orbicie zainteresowań znajdowały się również lekkoatletyka, tenis i piłka ręczna. Kibicował Wiśle Kraków. Regularnie zasiadał na trybunach jej stadionu. Kolegował się z piłkarzami. Z napastnikiem Ryszardem Sarnatem przyjaźnił się całe życie. A którejś zimy razem z kibicami odśnieżał boisko klubowe przed meczem z Lazio – w ramach rozgrywek Pucharu UEFA.

Krąży legenda, że napisał słowa do hymnu Garbarni.

Na prośbę piłkarzy tego klubu napisał wiersz, jak określił go przyjaciel Nowickiego, „w stylu nasze barwy są brązowo-białe po to, żeby panny nas kochały". Hymn do muzyki Zygmunta Koniecznego jest wykonywany do dziś. Kiedy trwał mundial albo odbywały się igrzyska olimpijskie, Jan ograniczał do minimum wszelkie sprawy, żeby tylko móc oglądać transmisje telewizyjne.

Zanadto sportowego trybu życia jednak nie prowadził.

Przez siedem dekad był nałogowym palaczem papierosów. Nie unikał też alkoholu, dobrze się na nim znał. „Przecież zdrowia ze sobą do grobu nie zabiorę" – żartował. Kondycja długo mu dopisywała. Szwankować zaczęła dopiero pod koniec życia. Najgroźniejsze okazały się zaburzenia krążenia. Zmarł wskutek miażdżycy w wieku 83 lat. Zgodnie z ostatnią wolą ciało ubrano w mundur strażacki (był honorowym druhem Ochotniczej Straży Pożarnej) i skremowano. Spoczął w grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Kowalu. Sam sobie napisał nekrolog: „Jasiu, żyło nam się razem dobrze, ale już wystarczy. Jan Nowicki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Aleksandra Szarłat** – absolwentka filologii polskiej, dziennikarka („Sztandar Młodych", „Pani", „Twój Styl", „Gala" „Elle", „Sens", „Sukces", „Rzeczpospolita", „Przegląd") i pisarka, autorka książek, m.in: „Prezenterki tele PRL", „Pierwsze damy III RP", „Żuławski. Szaman", „SPATiF. Upajający pozór wolności" i najnowszej „Jan Nowicki. Trochę anioł, trochę bies".*

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Liverpoolskie dzieciaki

Dla fanów The Beatles seria dokumentalna „Anthology" z roku 1995 była jak spełnienie zaklęcia „Sezamie, otwórz się!". Z okazji premiery płytowej kolekcji (zatytułowanej tak samo i promowanej singlem „Free As a Bird") telewizja ITV wyemitowała ośmioodcinkową produkcję pełną unikatowych zdjęć, wypowiedzi i nagrań. Potem drugie życie serial otrzymał na płytach DVD. Teraz trafił do serwisu Disney+, ale choć jest ten sam, to już nie taki sam: cyfrowo odnowiony, rozszerzony, z dokręconym odcinkiem dziewiątym.

Odcinek dodatkowy powstał z nagrań zarejestrowanych w latach 1994–1995, gdy Paul McCartney, George Harrison i Ringo Starr pracowali nad przygotowaniem „Antologii" i nagrywali „Free As a Bird" (aranżując dawną kompozycję Lennona). Za odrestaurowanie materiałów odpowiada m.in. Peter Jackson (tak, ten od „Władcy Pierścieni"), który w 2021 r. nakręcił trzyczęściowy dokument „Get Back" o kulisach nagrywania albumu „Let It Be".

Efekt jest piorunujący: obraz i dźwięk są perfekcyjne, natomiast największą zaletą był (i pozostaje) fakt, że narracja prowadzona jest opowieściami samych członków zespołu (oraz ich najbliższych współpracowników), otrzymujemy zatem historię subiektywną, ale mam wrażenie, że bardzo prawdziwą. We wczesnych latach grupka dzieciaków, które nim wejdą w dorosłość, już uczą się twardego życia koncertowego wyjadacza w Hamburgu. Potem ekipa na dorobku, jeżdżąca bez końca podstarzałą furgonetką po Anglii. Grupa odrzucana przez kolejnych wydawców, bo „gitary wychodzą już z mody". I tak dalej. Sława, single, wyjazdy zagraniczne. Zdumienie, że w Paryżu na koncercie przeważają chłopcy, a nie nastolatki. Ameryka i wieczór z Elvisem oraz szalona impreza z Dylanem. I tak dalej.

To subiektywna historia The Beatles, ale w tym przypadku subiektywna oznacza autentyczną. I kiedy już zostawimy za sobą wrzeszczące tłumy, flirty z narkotykami, naiwne fascynacje wschodnim mistycyzmem i niezbyt mądre polityczne deklaracje (w których przodował Lennon), to co zostaje? Czterech chłopaków, którzy nie mieli kiedy dorosnąć, uwielbiali razem grać i zawsze chcieli być w swej muzyce lepsi niż wczoraj. I dali milionom ludzi tak wiele radości, że trudno nie patrzeć na nich z sympatią. ©℗

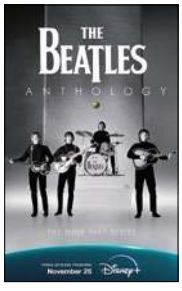

★★★★★★
„THE BEATLES: ANTOLOGIA"
WIELKA BRYTANIA 2025

GRA TYGODNIA: „ANNO 117: PAX ROMANA" ★★★★★☆

Ubisoft podszedł do tematu bardzo bezpiecznie. Na wielu poziomach „Pax Romana" przypomina „Anno 1800". Czy to źle? Nie dla osób, które nie oczekiwały rewolucji, bo czerpano z bardzo dobrego tytułu. Są również nowości, by wspomnieć tu mechanikę wyboru bóstwa na patrona, a co za tym idzie – odpowiednich bonusów. Ciekawa kampania, przyjemna rozbudowa, koloryt i klimat antyku, a do tego bardzo dobra oprawa audio-wizualna. Bardzo dobra i wciągająca strategia. Jeśli szukają państwo wartościowej gry na prezent, to zdecydowanie warto rozważyć. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***strategiczna***
- ***Platforma:*** ***PS5, XSX, PC***
- ***Producent, wydawca:*** ***Ubisoft***

eprasa.pl fecde7f9bb

Ostatni dzwonek

KINO

Kto przy zdrowych zmysłach chciałby przeprowadzić się z Rzymu do zabitej deskami prowincji, gdzie nocami słychać wycie wilków? Tylko niepoprawny idealista. Michele, pedagog z zawodu i powołania, cierpiał w stolicy istne męki. Z entuzjazmem przyjął więc propozycję pracy w Abruzzo, sądząc, że spotka tam ludzi z otwartymi głowami tudzież uczniów niezepsutych jeszcze cyfrową rewolucją. Oczywiście sprawy mają się zgoła inaczej. Modne teorie antropologiczne i perswazje rodem z poradnika „Jak zmienić świat przed obiadem" zamiast budować autorytet nauczyciela, tylko go ośmieszają. W oczach lokalsów Michele jest odklejonym od rzeczywistości ofermą, który nie umie nawet rozpalić ognia w piecu. Nad wyraz rozwinięte dzieciaki marzą zaś, by zostać youtuberami.

To dopiero początek schodów. Gdy nasz jajogłowy się ogarnie, odkryje, że w Rupe rządzą dwie królowe: Apatia i Rezygnacja. Okolica jest usiana ruinami, bynajmniej nie antycznymi. To efekt demograficznej zapaści. Miasteczko pustoszeje, a szkole grozi likwidacja, co będzie początkiem końca całej wspólnoty. Brzmi znajomo? Rozwiązanie, zastosowane przez Abruzyjczyków, u nas raczej poparcia nie znajdzie, lecz mieści się w tradycji komedii, które drzewiej stanowiły o potędze włoskiej kinematografii. Potwierdza też stereotyp makaroniarza spryciarza, który sztukę omijania prawa i naginania przepisów wyssał z mlekiem matki.

Im bliżej końca, tym bardziej intryga dryfuje w kierunku baśni i bezwstydnej reklamy uroków Parku Narodowego Abruzzo. Nic w tym złego, podobnie jak w wykorzystywaniu fabularnych gotowców typu „od zera do bohatera". W obliczu nadchodzących świąt ekrany (duże i małe) zalewa sentymentalna pulpa, w której stężenie sacharyny przekracza wszystkie unijne normy. Podobno jest ona przyczyną przedwczesnych zgonów karpi, pływających w wannach z widokiem na telewizor. Na tym tle film Riccarda Milaniego, dość blisko spokrewniony z francuską komedią „Jeszcze dalej niż północ" jest produktem wartym polecenia. Z artystami bywa różnie, sprawni rzemieślnicy bubli nie tworzą. Przestrzegam jednak przed kupowaniem w Italii używanych aut lub „prawie nowych" opon. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. RICCARDO MILANI
„W INNYM ŚWIECIE" („UN MONDO A PARTE")
WŁOCHY 2024

wyst. Antonio Albanese, Virginia Raffaele, Sergio Saltarelli

ZOSTAĆ LORDEM

Bogactwo i społeczny prestiż źródłem utrapienia. Takie rzeczy tylko u Brytyjczyków. Im bardziej Redmond Barry stara się zostać dżentelmenem, tym mniej szczęście mu sprzyja. Życie młodego lowelasa ma swoje uroki. Gdy wyrastasz na oszusta i oportunistę, zaczyna się komplikować. Wnioski? Pierwszy: kariera bywa dziełem przypadku, a na klęskę trzeba solidnie zapracować. Drugi: prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż Irlandczyk zostanie zaakceptowany przez Anglików. Cokolwiek ironiczna powieść Thackeraya na ekranie zyskała epicki wymiar. Uroda kadrów i ścieżki dźwiękowej prowokuje do wizyty w londyńskiej National Gallery i najbliższej filharmonii. Pół wieku po premierze „Barry Lyndona" zaryzykuję tezę, że kręcąc „2001: Odyseję kosmiczną" i „Mechaniczną pomarańczę" Kubrick był w nieco słabszej formie. ©℗

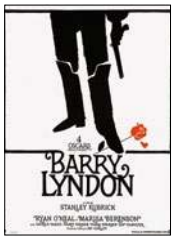

★★★★★☆

REŻ. STANLEY KUBRICK
„BARRY LYNDON"
WIELKA BRYTANIA 1975

wyst. Ryan O'Neal, Marisa Berenson, Leon Vitali

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Szopki krakowskie

W tegorocznej edycji Konkursu Szopek Krakowskich jurorzy wybierali najpiękniejsze prace spośród 238 ośmiu prac biorących udział w plebiscycie. Na pokonkursowej wystawie prezentowanych jest ponad 250 szopek krakowskich. To rekordowa liczba, a organizatorów konkursu i pozostałe osoby, którym zależy na trwaniu tego pięknego zwyczaju, cieszy fakt, że w konkursie startuje coraz więcej młodych uczestników. – Liczba szopek zgłoszona na tegoroczny konkurs nas zaskoczyła, ale jednocześnie ucieszyła. Widać, że młodsze pokolenia coraz odważniej startują do tej rywalizacji, a ich prace są coraz piękniejsze i dokładniejsze. Mamy nadzieję, że to efekt warsztatów, które prowadzimy i które naprawdę zachęcają do budowania szopek – ocenia Małgorzata Niechaj, kustosz Muzeum Krakowa.

FOT. KASAI - PODRÓŻE W SIECI/FACEBOOK

Na pokonkursowej wystawie można podziwiać szopki małe, w miniaturowej skali, i duże, dwumetrowe. Wśród nagrodzonych jest szopka nawiązująca do korony Bolesława Chrobrego, co ma oczywiście związek z przypadającą w tym roku rocznicą koronacji. ©℗

GDZIE? ***Pałac Krzysztofory/ Muzeum Krakowa***
KIEDY? ***do 1 marca 2026 r.***

eprasa.pl fecde7f9bb

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Muzyka Pana Piotra

Trzydzieści dwa lata temu, w 1993 r., Piotr Wierzbicki, autor tak ważnych tytułów jak „Myśli staroświeckiego Polaka", „Traktat o gnidach" czy „Bitwa o Wałęsę", wydał zgoła inną książkę – „Życie z muzyką" – ukazującą największą chyba pasję tego niezwykłego człowieka – muzykę właśnie – o której pisać potrafił jak mało kto, przy czym warto zaakcentować, że nie był z nią związany zawodowo, a po prostu ją kochał – bezinteresownie.

Teraz, po latach, PIW wznowił „Życie z muzyką", rozszerzone o teksty z innych, muzycznych książek Pana Piotra, a było ich kilka, nie tylko o Chopinie i Bachu. Osobiście bardzo polubiłem jego swoisty poradnik sprzed pięciu lat – „Wierzbicki o muzyce". Miał o czym pisać, bo słuchał jej od dziecka, co było zasługą matki, Teodory Wierzbickiej, absolwentki Krakowskiej Szkoły Muzycznej im. Władysława Żeleńskiego. Tyle że kończąc liceum, miał – wspomina – „dobrą, lepszą od przeciętnej, pamięć muzyczną, nie wyżej niż niezły słuch i palce sztywne jak patyki. Wybitna była we mnie tylko wola obcowania z muzyką i siła mej duchowej z nią więzi".

Wiele lat później popularyzować będzie muzykę poważną na antenie Polskiego Radia, w audycjach Jedynki i Czwórki, oddając dług zaciągnięty dawno temu, gdy słuchał nagrań Artura Rubinsteina, „które – czytamy – w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych często szły przez radio w środowych i niedzielnych koncertach chopinowskich", i to na nich wychował się „w tym samym stopniu, co na »Panu Tadeuszu«".

Charakterystyczne, że miłość do poezji naszego wieszcza nie przeszkadzała Piotrowi Wierzbickiemu – czego dowiódł w „Powrocie do Mickiewicza" (2020) – zachowywać dystansu, a nawet krytycyzmu do części twórczego dorobku twórcy III części „Dziadów". Z „Grażyną" np. rozprawiał się krótko: „Nie przechodzi próby czasu". „»Konrad Wallenrod« – pisze dalej – owszem, ale tylko we fragmentach". A już całkiem źle dzieje się z IV częścią „Dziadów": „Rozhisteryzowany wyrostek wtargnął na plebanię i zadręcza księdza historią swej męki. Straszy samobójstwem, wymachując nożem, mądrzy się przy tym niesłychanie. Gdybyż to była satyra na manierę romantyczną! Niestety".

Na szczęście mamy „Redutę Ordona" i „Do Matki Polki", „Rozmowę wieczorną" i „Snuć miłość" (znajdziemy te utwory w dodatku finalizującym książkę) i oczywiście „Pana Tadeusza", bezwzględnie najważniejszą i najpiękniejszą polską książkę kiedykolwiek napisaną.

O muzyce Pan Piotr pisał tak samo mądrze, z tą samą też pasją, co o polityce, o życiu społecznym, o wszystkim zresztą. Przestrzegając Czechowowskich wskazań dla pisarzy, których cechować winno – jego zdaniem: po pierwsze – brak wodolejstwa natury polityczno-społeczno-ekonomicznej, po drugie – kompletny obiektywizm. po trzecie – wierność w opisach postaci i przedmiotów, po czwarte – arcyzwięzłość, po piąte oryginalność i śmiałość – unikaj szablonu, po szóste – serdeczność.

Cytował Wierzbicki te zasady w „Domku Baby Jagi" (2022). Pisałem o tej książce, jak i o wielu innych, włącznie z jego „Entuzjastą w szkole" jeszcze z końca lat 70. zeszłego wieku. Doskonale pamiętam też jego „Cyrk", robiący furorę w raczkującym drugim obiegu, jednak ta historia o Najmniejszym z Całego Świata nie wszystkim się podobała, a w rezultacie miała bardzo, oj bardzo ograniczony zasięg. Sławnego „Traktatu o gnidach" przemilczeć już się nie dało. Że o „Myślach staroświeckiego Polaka" tylko napomknę, bo to dziś klasyka.

W ostatnich latach pisał też Pan Piotr i wydawał książki, teoretycznie, dla dzieci, takie jak „Lilianik" (2015), zabawne i jak zawsze… niepoprawne politycznie.

Czytając obecnie „Burzę śnieżną w Bostonie", zwróciłem uwagę na rozdzialik poświęcony komuś takiemu samemu, jak autor książki – Januszowi Szpotańskiemu, sławnemu satyrykowi, twórcy „Cichych i gęgaczy" i „Carycy i zwierciadła", także wielkiemu melomanowi, gustującemu zresztą w kompozytorach niemieckich. O Beethovenie, którego cenił jak nikogo innego, mówił z poufałością: „Lutek". Generalnie Szpot „umiał słuchać muzyki. Potrafił o niej mądrze mówić. Ale jego rysem megalomańskim najbardziej osobliwym był pewien obyczaj, skądinąd absolutnie zakazany. Tłumaczył muzykę na obrazy! Miał specyficzny dar interpretacji. To nie miało nic wspólnego z pseudoromantyczną i neoromantyczną manierą dorabiania dziełom muzycznym kretyńskich elfów, rusałek, świtezianek. To było odgrywanie scen. W »Arietcie«, części drugiej »Sonaty c-moll« opus 111 Beethovena, muzyka wznosi się, a potem – z wolna, falując jeszcze w ostatnich zrywach i podrygach, gaśnie. Słyszę te ostatnie takty »Arietty« grane przez Wilhelma Backhausa. Szpotański gestykuluje, raźnie coś tam wykrzykuje i widzę, jak ten jego Lutek z kapeluszem w ręku kłania się nam nisko a uprzejmie i znika z ostatnim »do widzenia, do widzenia, do widzenia«".

28 listopada autor „Burzy śnieżnej w Bostonie" zmarł. Do widzenia, Panie Piotrze. Do widzenia. ©℗

PIOTR WIERZBICKI „BURZA ŚNIEŻNA W BOSTONIE. POWRÓT DO »ŻYCIA Z MUZYKĄ«"
PIW, WARSZAWA 2025

eprasa.pl fecde7f9bb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Tamten grudzień

Dopiero co Krzysztof Masłoń omawiał na naszych łamach świetną książkę Macieja Urbanowskiego „Literatura stanu wojennego", a ja już trzymam w dłoniach jej cenne uzupełnienie. „Niech świadczy za mną albo przeciwko mnie; istotne jest to, co się wtedy działo" – pisze Marek Oramus w przedmowie do swego dziennika prowadzonego od 13 grudnia 1981 r. do 13 września 1983 r.

„Pieśń rąbanego lasu" ukazuje się bez skrótów, poprawek redakcyjnych – to dokładnie to, co 30-letni wówczas pisarz w swym kajecie zapisał. Przejmująca to lektura. Stan wojenny miażdży życie Oramusa (podobnie jak setek tysięcy innych ludzi): negatywnie zweryfikowany jako dziennikarz, z zakazem pisania, koczuje w Warszawie w rozmaitych lokacjach. W Rybniku na wypłaty i kartki na żywność czekają żona i maleńka córeczka, w Myślenicach ojciec umiera na raka. Debiut powieściowy leży od czterech lat w wydawnictwie i nie wiadomo, kiedy (i czy w ogóle) się ukaże. Kumulacją nieszczęść określa Oramus to, co dzieje się w tym czasie, główną wagę przykładając jednak do nieszczęść ogólnonarodowych.

W chwili próby naród okazuje się zaskakująco łatwy do spacyfikowania, krwawe czyny z początku stanu wojennego budzą gniew, ale zamiast wzniecać opór, przynoszą zamierzony przez władze efekt: pogodzenie z losem. Nic nie da się zrobić. Jedni podpisują lojalki, inni szykują się do emigracji, nieliczni coś próbują organizować: maszyny do pisania, powielacze, druk ulotek.

„Jesteśmy przetrwonionym pokoleniem" – zapisuje Oramus w jednym miejscu. W innym dodaje: „Wyhamowane pokolenie, pokolenie cofnięte, skierowane w tył, stłamszone, zgłuszone. Pokolenie zgiętych w łuk pleców i otumanionych mózgów". Czemu władzy tak łatwo było wszystkich przestraszyć? Dlaczego tak wielu wierzy propagandzie? Czemu tak niewielu mówi „nie"? – szarpie się z tymi kwestiami Oramus w notatkach. A jako że nie czynił ich z myślą o druku, jest w nich też wiele rozważań czysto prywatnych, od wspomnianego już, rozciągniętego na wiele miesięcy pożegnania ojca, do szarpaniny z materią pisarską. Czy uda mu się skończyć jeszcze jakąkolwiek książkę? Czy powinien szukać innego zawodu: sprzątać ogrody, wyrabiać szczotki?

To poruszające świadectwo. Czy kogoś dziś jeszcze zainteresuje? Powinno. Nie tylko historyków. Do nabycia jedynie w księgarni esef.com.pl. ©℗

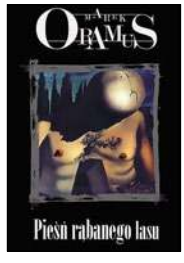

★★★★☆☆
MAREK ORAMUS „PIEŚŃ RĄBANEGO LASU" STALKER BOOKS 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najpiękniejsza świąteczna premiera tego roku: „Wyśpiewaj, duszo moja, ten cud" – mówi Maryja, otwierając krótki, wzruszający monolog o dzieciątku, które powierzył jej Bóg. Wspaniałe, sugestywne ilustracje Lisy Aisato – cacko!

KATHERINE PATERSON „TEJ NOCY PRZYSZEDŁEŚ NA ŚWIAT" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Niemal 60 autorów, ponad 100 tematów – kolejny przewodnik duchowy (po publikacji poświęconej Triduum Paschalnemu) dla tych, dla których Boże Narodzenie to nie czas Santa Clausa, tylko powitanie Jezusa Chrystusa.

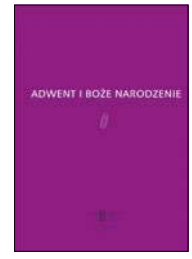

AUTORZY RÓŻNI „ADWENT I BOŻE NARODZENIE. PRZEWODNIK" W DRODZE

Skoro mieliśmy już jesień, lato, urodziny i słówka z ulicy Czereśniowej, to czas najwyższy na Boże Narodzenie. Rymowane opowiastki są uzupełnione uroczymi ilustracjami. Cała seria to książki bezpieczne dla maluchów.

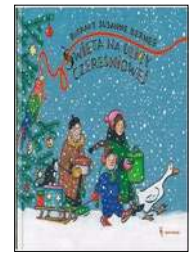

ROTRAUT SUSANNE BERNER „ŚWIĘTA NA ULICY CZEREŚNIOWEJ" DWIE SIOSTRY

Boże Narodzenie w hrabstwie Kent: wokół śnieżna idylla, ale nagła śmierć lorda Metcalfe'a odmienia wszystko. Sprawę rozwikłać chce inspektor Hugh Gordon, któremu bardzo pomóc chce rezolutna Liane. Nie takie to proste. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

SUSAN GILRUTH „ZAGADKA ŚWIĄTECZNEJ ZBRODNI" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: GALAKTYKA POD KRESKĄ

Nie tylko dla sentymentalnych: twórcy komiksu „Wojny Lucasa" kuszą oczywiście oko ikonicznymi postaciami i kadrami z gwiezdnej sagi, ale przecież ważniejsze jest co innego: to opowieść non-fiction o tym, jak powstawały filmy z serii „Star Wars" – coś jak serial „The Offer" o kulisach kręcenia „Ojca chrzestnego", tylko w wersji obrazkowej. W tomie drugim „Imperium kontratakuje". ©℗

Piotr Gociek

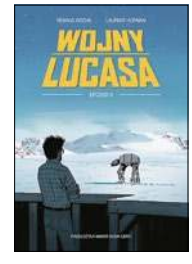

LAURENT HOPMAN, RENAUD ROCHE „WOJNY LUCASA. EPIZOD II" LOST IN TIME 2025

eprasa.pl fecde7f9bb

Chwalcy katastrof

Janusz Korwin-Mikke

Jeśli rozmaite kretynizmy, potępiane zarówno przeze mnie, jak i przez wszystkich kolejnych papieży, uważane są za osiągnięcia polskiej polityki – które tylko przypadkiem zakończyły się klęską – to znaczy, że lada moment podejmiemy kolejną koszmarną decyzję – np. wypowiedzenie wojny Rosji albo i Stanom Zjednoczonym, jeśli będą zanadto podskakiwać kochanej Unii Europejskiej

Piszę te kilka zdań nie po to, by stwierdzić, że nasi przodkowie robili błędy, w wyniku których I Rzeczpospolita upadła. To byłoby niesprawiedliwe. I RP upadła, bo upaść musiała. D***kracja (ja to obrzydliwe słowo wygwiazdkowuję) szlachecka i tak nie miała wielkich szans w konkurencji z całkiem sprawnymi monarchiami – ale ta d***kracja była szczególna.

Pierwszy całkowicie elekcyjny „król", Henryk de Valois, by szlachta raczyła wybrać go na „króla" (pozycja „króla

eprasa.pl fecde7f9bb

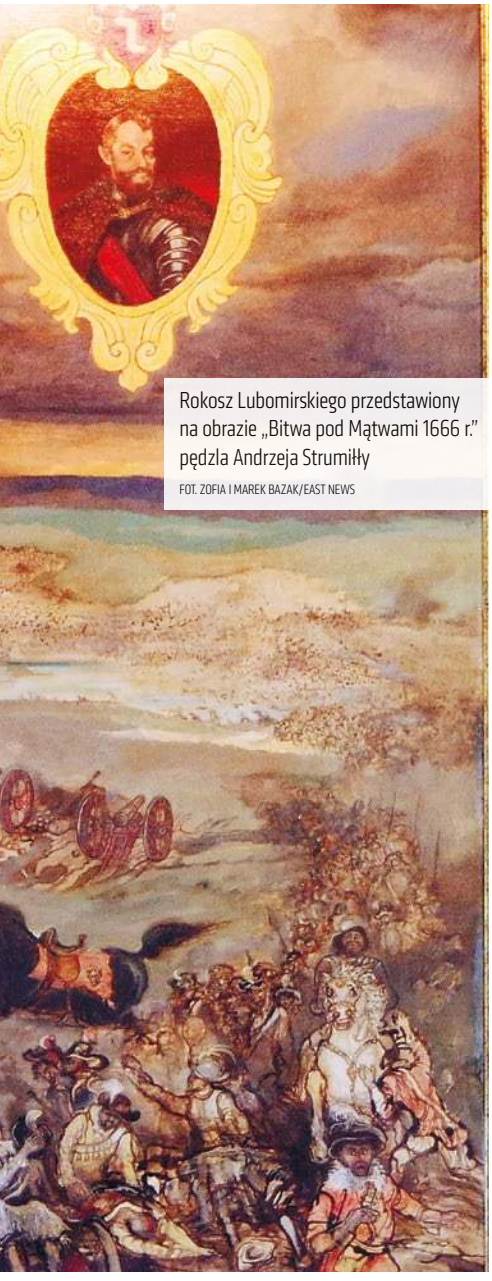

Rokosz Lubomirskiego przedstawiony na obrazie „Bitwa pod Mątwami 1666 r." pędzla Andrzeja Strumiłły

FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

elekcyjnego" ma więcej wspólnego ze stanowiskiem I sekretarza KPZS niż z pozycją monarchy w normalnym kraju), podpisał „artykuły henrykowskie", które czyniły to państwo całkowicie niesprawnym. Podejrzewam, że podpisał je z powodu tendencyjnego tłumaczenia, nie pojmując, że takie nonsensy jak prawo do rokoszu (jak to jest po łacinie?) ktoś mógłby serio proponować – więc sądził, że źle to zrozumiał. W każdym razie, gdy zobaczył, jak to działa, czym prędzej uciekł do normalnego państwa.

Nie piszę też tego dlatego, że nasi przodkowie, ogłupieni d***kracją, robili błędy, które ten upadek przyśpieszały. Piszę dlatego, że każdy kolejny błąd był natychmiast przedstawiany jako Jedynie Słuszne Posunięcie – tylko, niestety, zbieg okoliczności spowodował, że się nie udało.

To zjawisko jest świetnie opisane w psychologii. Człowiek robiący piramidalne głupstwo natychmiast wynajduje setki powodów, dla których to posunięcie było słuszne. Ten bardzo ważny mechanizm obronny pozwala człowiekowi – zamiast powiesić się – pozostać w przekonaniu, że nie jest całkowitym bęcwałem. I dalej funkcjonować – bez pogrążenia się w czarnej rozpaczy.

Musimy zrobić pełen reset – wymienić wszystkie podręczniki historii – oraz wymienić elity, które uczone były w szkole na tych podręcznikach

Co jest dobre na poziomie jednostki, jest jednak zgubne na poziomie państw. Elity, które popełniły kardynalny błąd, powinny być natychmiast eliminowane, a podręczniki (dla elit!) pełne wyjaśnień, że elity nie popełniły żadnego błędu – tylko źli sąsiedzi... – usuwane.

Nie chodzi o ukrywanie faktów; chodzi o ukrywanie kompromitujących interpretacyj. U nas podręczniki pełne są kłamstw, często kompletnie absurdalnych. Na przykład: „Piłsudski robił kretynizmy – ale gdyby nie Piłsudski, nie uzyskalibyśmy niepodległości" – podczas gdy łatwo zauważyć, że np. Łotwa, Czechy czy Estonia, nie mając Piłsudskich, jakoś niepodległość w tym samym czasie uzyskały.

Nieuniknionym ubocznym efektem takiego treningu jest to, że dzisiejszy Polak jest przekonany, iż cały świat nic innego nie robi, tylko spiskuje przeciwko Polsce. Co sprzyja podejmowaniu kolejnych błędnych decyzyj.

Co ciekawe: elity nalegają na nauczanie historii, twierdząc, że jest bardzo ważne dla edukacji. Wyobraźmy więc sobie, że na fizyce uczono by dzieci, że przedmiot rzucony w górę jeszcze przyspiesza – a na lekcjach astronomii, że Księżyc to kula z żółtego sera – przy czym edukatorzy domagaliby się, by zwiększyć liczbę godzin fizyki i astronomii. Jeśli ktoś po przeczytaniu tego artykułu nie dojdzie do (jedynie słusznego) wniosku, że podręczniki historii Polski od czasów unii lubelskiej należy spalić i napisać na nowo – to znaczy, że ten ktoś ma kłopoty z podejmowaniem odważnych decyzyj.

Przykłady destrukcyjnego działania „artykułów henrykowskich" są tak liczne, że to temat na osobną książkę (co, oczywiście, nie przeszkadza temu, że są one przedstawiane jako ogromny sukces d***kracji w walce z absolutyzmem!). Tu podam jeden.

ROKOSZ LUBOMIRSKIEGO

Świętej pamięci Jerzemu Lubomirskiemu, hetmanowi koronnemu, d***kracie i obrońcy praw szlachty, który właściwie sam wypędził z Polski Szwedów, nie spodobało się, że śp. Jan II Kazimierz chce wprowadzić elekcję „vivente rege" – co, Jego zdaniem, naruszało wolność wyboru szlachty. Poza Jego prywatną armią opowiedziała się za Nim część wojsk koronnych, zwłaszcza wielkopolskich (bo to przecież rokosz, legalne!). Wojska popierające „króla", w tym litewskie, goniły rokoszanina na piechotę, bo On miał głównie konnicę. Wreszcie dopadły Go pod Częstochową. Lubomirski pobił je na głowę, biorąc 1,2 tys. jeńców, których w końcu wypuścił. Bo co miał z nimi zrobić? Po roku został dopadnięty pod Inowrocławiem, gdzie rozbił je w sławetnej bitwie pod Mątwami – z powodu skandalicznego dowodzenia przez Jana Kazimierza i Jana Sobieskiego. Tym razem rokoszanie wymordowali 3,5 tys. jeńców (!!!), z najlepszych chorągwi polskich. W efekcie doszło do ugody, Lubomirski musiał przeprosić i wyjechać z Polski, majątki zachował, urzędy stracił (ale w 1669 został zrehabilitowany!!!). Jan II Kazimierz Waza (admirał portugalski i kardynał – zdolny człowiek, ale o słabej woli) nie zdołał naprawić państwa i w 1668 r. abdykował, zostawiając po sobie proroctwo:

„Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z nimi języka i Litwę dla siebie przeznaczą; granice Wielkopolski staną

eprasa.pl fecde7f9bb

otworem dla Brandenburczyka, a przypuszczać należy, iż o całe Prusy certować się zechce, wreszcie Dom Austriacki spoglądający łakomie na Kraków nie opuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnym rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru".

Dixit.

KONFEDERACJA „BARSKA"

Po sekwencji różnych „króli", którzy w tym stanie prawnym niewiele mogli zrobić, nastąpił śp. Stanisław August Poniatowski – jak się okazało: ostatni „król" Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Połowa Polaków była przeciwko familii Czartoryskich, która Go wyforowała, a inna połowa boczyła się, bo go popierała Katarzyna II Wielka, której był w przeszłości kochankiem. Caryca marzyła o przyjaznej Polsce, stanowiącej poduszkę przed Austriakami i Prusakami – niestety, w Polsce natychmiast zawiązała się konfederacja, której celem było odseparowanie się od Rosji. Konfederacja „barska" stawiała sobie przy tym szczytny cel walki o wiarę katolicką – sprowadzało się to do mordowania żydów, prawosławnych i czasem protestantów – co nie podobało się sąsiednim władcom i w ogóle było niemodne w idącej ku oświeceniu Europie.

„Król" chciał przywrócić wszystkie prawa innowierców, co przecież obowiązywało w II Królestwie Polskim, zanim katolicka (tfu) Większość d***kratycznie im je odebrała. Co wzbudziło opór katolickiej (tfu!) Większości. Teraz i różnowiercy, i katolicy zaczęli zakładać konfederacje. Wreszcie w roku 1767 Sejm pod naciskiem „króla" te prawa przywrócił. Jednak d***kracja to d***kracja – zaczęto prawosławnych rżnąć. W odpowiedzi Katarzyna II ogłosiła się Obrończynią Prawosławnych, więc stała się do reszty znienawidzona. Wprowadziła w ich obronie 20 tys. żołnierzy. Pod tym naciskiem 24 lutego 1768 r. Rzeczpospolita związała sobie ręce, podpisując z Rosją traktat „wieczystej przyjaźni". Katarzyna II gwarantowała nienaruszalność granic i ustroju wewnętrznego Rzeczypospolitej, z czego tradycjonaliści powinni być zadowoleni – ale te prawa dla innowierców...

Tak czy owak, Polska pozostałaby w jednym kawałku z nienaruszalnymi prawami.

Przyszli „barzanie" opuścili Sejm, który 26 lutego uchwalił prawa kardynalne dla innowierców. A 66 lokalnych katolickich konfederacyj połączyło się w Konfederację Generalną, która mordowała przeciwników, brała pieniądze od Francuzów i weszła w sojusz z Turcją, która rzeczywiście wypowiedziała wojnę Rosji (co zakończyło się w roku 1774 jej klęską i ogromnym sukcesem Rosji). Co ciekawe, gdy Turcja poparła Konfederatów, Katarzyna logicznie zaproponowała Stanisławowi Augustowi sojusz przeciwko Turcji, oddając nawet Polakowi dowództwo nad połączoną armią! (Poniatowski, obawiając się reakcji szlachty, odmówił...).

W końcu „król" i Senat wezwali Katarzynę – w końcu gwarantkę – do zaprowadzenia porządku w Polsce. Konfederacja nabrała charakteru patriotycznego zrywu antyrosyjskiego, co ostatecznie odstręczyło od Polski Katarzynę. Na swoje nieszczęście śp. Kazimierz Pułaski porwał Stanisława Augusta, co przecięło wszelkie sympatie koronowanych głów dla konfederatów jako „królobójców" (choć porwanie skończyło się wręcz komicznie).

Teraz ideę rozbioru Polski z dużą energią zaczął forsować śp. Fryderyk II Wielki – który chciał połączyć Brandenburgię z Prusami. Austriacy i Prusacy popierali barzan (by osłabić wpływy rosyjskie, bo nie chcieli zachowania Rzeczypospolitej w całości pod wpływami Rosji). Wykorzystując sytuację, Ukraińcy zaczęli rżnąć Żydów, Polaków i Rosjan (koliszczyzna). Świętej pamięci Maria Teresa, śp. Józef II i Katarzyna II dali się wreszcie w roku 1771 przekonać do idei rozbioru Polski. Co nastąpiło w 1772 r. Konfederaci barscy bardzo się nad tym napracowali. Co ciekawe, Katarzyna uszczknęła tylko część ostatnich zdobyczy W. Ks. Litewskiego!

Papieże Klemens XIII i Klemens XIV potępili konfederację barską jako warcholstwo.

KONSTYTUCJA 3 MAJA

Teraz do dzieła wzięli się historiozofowie upatrujący przyczynę rozbioru nie w warcholstwie i głupocie szlachty, lecz... w braku d***kracji. Celowali w tym masoni – i podjęli się naprawy Rzeczypospolitej przez wprowadzenie konstytucji (mit „dobrej konstytucji", która rozwiąże wszystkie problemy, pokutuje do dzisiaj!!!). Wybrali sobie na to jak najgorszy czas: rok 1791. Od dwóch lat w Europie panowała panika, w Paryżu motłoch mordował najlepszych synów Francji i szykował się do zamordowania Króla i Królowej, a żulia we wszystkich stolicach Europy ostrzyła noże w pogotowiu. Ustawa Rządowa z 3 maja powinna się właściwie naszym sąsiadom podobać, bo wprowadzała dziedziczną monarchię – niestety w preambule stwierdzała, że źródłem władzy jest... Lud!!!

Tym razem Prusy i Rosja wkroczyły zdecydowanie, przez II rozbiór Polski i Litwy sprowadzając Rzeczpospolitą do takiego rozmiaru, by przejęcie władzy przez rewolucjonistów nie zachwiało porządkiem w Europie.

Tym niemniej państwo polskie istniało i spokojnie doczekałoby przejęcia władzy przez Napoleona. Proszę zauważyć: jak inna byłaby sytuacja Polaków, gdyby Rzeczpospolita mogła wystąpić jako sojusznik Francji – niż była wtedy, by musiała błagać Buonapartego o utworzenie jakiejś namiastki państwa polskiego!

Papież Pius VI potępił Konstytucję 3 maja jako zagrożenie dla Monarchii i Kościoła. Jak wiadomo: państwo polskie nie doczekało.

POWSTANIE „KOŚCIUSZKOWSKIE"

Kolejnym patriotycznym zrywem było powstanie „kościuszkowskie", czyli insurrekcja.

Dzieło zapoczątkowali: Hugo Kołłątaj, Tadeusz Kościuszko, Ignacy Potocki. Co prawda, Kościuszko pisał rozsądnie: „Tak chwalebny cel wydźwignienia Narodu z jarzma niewoli pośród najtrudniejszych zawad powinien być dobrze zważony, nie w prędkości uczucia obywatelskiego, ale w zimnym rozsądku, zastanawiającym się na wszystko, aby nie pogrążyć kraj w większą niewolę jeszcze zatraceniem nawet kiedyś nadziei odzyskania onej" – ale w praktyce wyszło dokładnie odwrotnie.

Z punktu widzenia wojskowego insurrekcja była bezsensem. Politycznie była ciekawa: był to rok stracenia Ludwika XVI, pojawili się więc polscy jakobini, lud wdarł się do ambasady rosyjskiej i wyciągnął, kto brał pieniądze od Dworu rosyjskiego. Sześciu jurgieltników powieszono, potem Kościuszko kazał powiesić tych, którzy bez sądu wieszali – i ten rozkaz też nie został wykonany...

eprasa.pl fecde7f9bb

Tym razem nawet Katarzyna II straciła cierpliwość i napisała do władców Austrii i Prus: „Nadszedł czas, aby trzy Dwory podjęły kroki nie tylko dla ugaszenia ostatniej iskry pożaru, który wybuchł w sąsiednim kraju – ale także dla zapobieżenia, aby kiedykolwiek jeszcze z popiołów powstał nowy płomień".

Papież Pius VI nazwał insurrekcję jak najsłuszniej: „Przedsięwzięciem bezbożnym". Nie dodał tylko: „... i bezrozumnym". Trzy Czarne Orły zdecydowały, że już nigdy nie dopuszczą do powstania państwa polskiego.

Notabene rdzenna Polska została rozgrabiona w zasadzie przez dwa państwa. Z obecnego terytorium III RP w zaborze rosyjskim była tylko jedna mała wieś na Polesiu. Warszawa była w zaborze pruskim, Lwów i Lublin – w austriackim.

POWSTANIE „LISTOPADOWE"

Nieoczekiwanie pojawił się Napoleon i jednym z 48 państw, które sobie utworzył, było Księstwo Warszawskie. Na prośbę szlachty, której waleczność Napoleon wysoko cenił, było jedynym państwem, w którym nie zniesiono pańszczyzny.

Niestety, znów związaliśmy się z przegranym – więc (tym razem bez własnej winy!) przegraliśmy. Ale stał się cud: Aleksander I lubił Polaków i na kongresie wiedeńskim wywalczył odtworzenie Królestwa Polskiego, którego został królem!

Królestwo było w pełni niepodległe, miało własnego króla, sejm, senat, skarb, walutę i wojsko (z oficerami napoleońskimi, na ogół) – w unii personalnej z Rosją. Tak: Rosja nie miała wyboru, miała za cara króla Polski, który w dodatku wolał Polaków od Rosjan. Dodajmy: Aleksander I (w Polsce II) był czystej krwi Niemcem.

Niestety, umarł – a polska szlachta przywykła, że każdy następny władca musi przed koronacją rozszerzać jej przywileje. Tymczasem Mikołaj I Polaków nie lubił – a miał w Rosji kłopoty, bo szlachta pomrukiwała, że chce takich przywilejów, jakie ma Polska. Więc ani Mu w głowie było ich rozszerzanie. Na pomruki niezadowolenia reagował represjami. Co prawda, namiestnik na Królestwo, książę Konstanty, akurat Polaków kochał, ale podległych Mu wojskowych traktował po mongolsku. Co skłoniło podchorążych do powstania. Na początek zamordowali sześciu generałów napoleońskich za to, że... nie chcieli stanąć na jego czele! Powinniśmy notabene odbudować postawiony ku ich pamięci pomnik.

Powstanie było podobno zainspirowane przez Anglików, którzy popierali rozbicie Niderlandów na Belgię i Holandię – a Mikołaj szykował wojska na pomoc Niderlandom. Przydały się jak znalazł do stłumienia powstania, ale Belgia ocalała.

Papież Grzegorz XVI potępił powstanie jako „bunt". Przez grzeczność nie dodał: „... i jako kretynizm".

Królestwo utraciło niepodległość, Mikołaj I nie był już królem konstytucyjnym, lecz zdobył Polskę siłą miecza, więc mógł robić, co chce. Ale pewną autonomię (i nazwę) zachował.

POWSTANIE „STYCZNIOWE"

I oto „stał się cud" – typowy w monarchii dziedzicznej, gdzie Władca raz jest taki, a raz inny. Aleksander II/III Polaków lubił. Dał więc księciu Aleksandrowi hr. Wielopolskiemu, markizowi Gonzadze, pełnomocnictwa do wyzwolenia Polski spod wpływów rosyjskich. Margrabia w dwa lata spolszczył administrację, utworzył polskie szkolnictwo, rozszerzył autonomię – więc patrioci zrobili na Niego zamach (nieudany) i nieudane, zupełnie już kretyńskie, powstanie „styczniowe". Wybuchowi powstania sprzyjała po cichu rosyjska biurokracja, która z oburzeniem patrzyła, jak car faworyzuje Polaków.

Ale cóż: i szlachta, i chłopi wiedzieli, że car już w Rosji zniósł pańszczyznę i lada miesiąc zrobi to również w Polsce. Więc powstanie trzeba było zrobić.

Wskutek powstania Wielopolski poszedł w odstawkę, rosyjscy urzędnicy wrócili, utraciliśmy autonomię, z „Królestwa" zrobił się „Kraj Nadwiślański". A Aleksandra II/III zamordował potem polski szlachcic rewolucjonista. Na Jego miejsce przyszedł Aleksander III/IV, który Polaków nie lubił w ogóle, a po zamordowaniu Ojca...

Papież Pius IX powstanie „styczniowe" potępił – oceniając je, już rzeczowo, jako błąd.

WOJNA NIEMIECKO-POLSKA

Polska nieoczekiwanie zerwała obgadaną już współpracę z Niemcami, przypieczętowaną zajęciem Zaolzia i części Orawy i Spiszu – i pod idiotycznym pretekstem dała się użyć przez Anglię jako poduszka do bicia przez Niemcy. A mogliśmy razem z III Rzeszą i Cesarstwem Japonii rozwalić Związek Sowiecki pół wieku wcześniej!!!

POWSTANIE „WARSZAWSKIE"

Tego, że był to kompletny kretynizm, zrealizowany na sowieckie zamówienie, nie muszę powtarzać, bo żyją jeszcze ludzie, którzy to pamiętają.

CO BĘDZIE DALEJ?

„Fałszywa historia jest matką błędnej polityki". Jeśli wymienione kretynizmy, potępiane zarówno przeze mnie, jak i przez wszystkich kolejnych papieży, uważane są za osiągnięcia polskiej polityki – które tylko przypadkiem zakończyły się katastrofą – to znaczy, że lada moment podejmiemy kolejną katastrofalną decyzję – np. wypowiedzenie wojny Rosji albo i Stanom Zjednoczonym, jeśli będą zanadto podskakiwać kochanej Unii Europejskiej.

I niewątpliwie znajdziemy setki uzasadnień dla każdego takiego kretynizmu – że „tak trzeba było". No, mus dziejowy – i koniec.

Powtarzam: musimy zrobić pełen reset – wymienić wszystkie podręczniki historii – oraz wymienić elity, które uczone były w szkole na tych podręcznikach.

Zanim będzie za późno.

Po pierwszym rozbiorze do dzieła wzięli się historiozofowie upatrujący jego przyczynę nie w warcholstwie i głupocie szlachty, lecz... w braku d*kracji**

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Nieme oburzenie

Łukasz Warzecha

Ameryka zapowiada duże zaangażowanie dyplomatyczne, aby doprowadzić do strategicznej stabilizacji na terenie Eurazji i ograniczyć ryzyko konfliktu pomiędzy Rosją a Europą. Można postawić tezę, że jeżeli ktoś tak sformułowany zamiar krytykuje, to po prostu chce, aby pomiędzy Europą a Rosją wybuchła wojna

FOT. AARON SCHWARTZ/CNP/ZUMA PRESS/FORUM

Lamenty, które w Polsce wywołała nowa strategia bezpieczeństwa USA, można by uznać wręcz za groteskowe, gdyby nie fakt, że przekłada się to na politykę państwa, które w decydującej fazie działań wokół Ukrainy pozostało całkowicie z boku. „Ameryka opuszcza Europę", „Kreml zadowolony z amerykańskiej strategii" – takie mniej więcej tytuły pojawiały się w mediach głównego nurtu. Ich autorami byli zapewne w większości ludzie, którzy do wspomnianego dokumentu nawet nie zajrzeli. Ewentualne refleksje dotyczą wyłącznie rozdziału poświęconego Europie, tymczasem patrzenie na ten niezbyt przecież długi dokument jedynie przez pryzmat jednej jego części jest kompletnym nieporozumieniem. Strategię trzeba czytać w całości.

A jest ona w wielu aspektach nowatorska albo nawet przełomowa. Tymczasem jedyną reakcją ze strony koalicji oraz sprzyjających jej mediów jest święte oburzenie, a ze strony największej partii opozycyjnej i jej medialnych sojuszników – głównie milczenie, bo obowiązująca narracja nie została od razu ustalona – to miara naszej porażki. Tymczasem – zakładając, że następcą Donalda Trumpa w Białym Domu będzie kolejny republikanin, najpewniej J.D. Vance – mamy do czynienia z trwałym przewartościowaniem, na które mogliśmy się przygotować, bo były ku temu wszelkie przesłanki.

„DOKTRYNA DONROE"

Czytanie nowej doktryny trzeba jednak zacząć od przypomnienia wydarzenia sprzed 252 lat. 2 grudnia 1823 r. w wystąpieniu przed Kongresem prezydent USA James Monroe oznajmił, że Ameryka, młode państwo, zamierza chronić inne narody półkuli zachodniej przed zewnętrznymi wpływami imperializmów. Zarazem zastrzegł, że w zamian za przestrzeganie przez Europejczyków zasady niemieszania się w sprawy zachodniej hemisfery Stany Zjednoczone nie będą mieszały się w sprawy europejskie. W tamtym czasie – to zastrzeżenie konieczne w kontekście nowej doktryny – Chiny nie miały znaczenia dla USA. Były państwem nie tylko dalekim od swojej dzisiejszej mocy, lecz także zamkniętym na świat. Pierwsza z serii wojen opiumowych z Wielką Brytanią, które miały na celu wymuszenie otwarcia Chin, wybuchła dopiero 16 lat po wystąpieniu Monroego.

Dzisiaj wiele międzynarodowych mediów, komentując nową strategię USA, używa terminu „doktryna Donroe". Sama strategia wprost odwołuje się do słynnego wystąpienia piątego prezydenta USA, stwierdzając, że zaprezentowana wówczas doktryna otrzymuje „uzupełnienie Trumpa" („Trump Corollary").

Zanim powrócimy do wątku chińskiego, który dla „doktryny Donroe" jest kluczowy, spójrzmy na dwa fundamenty strategii. Pierwszy to założenie, że sama strategia oraz USA jako państwo nie mogą zajmować się wszystkim. Dotychczasowe strategie z ostatnich dwóch czy nawet trzech dekad zakładały, że trzeba odnieść się do każdego drobiazgu, a USA mają moralne zobowiązanie wobec świata, aby być globalnym żandarmem i nikogo nie pominąć ani nie urazić. Z tym koniec. Strategia ma się zajmować jedynie tym, co najważniejsze, a Ameryka kończy z rolą hegemona, choć nadal będzie swoje interesy realizowała globalnie – tyle że poprzez dyplomację i atrakcyjność handlową, a nie z poczuciem przymusu interweniowania w każdym przypadku. Uzupełnieniem tego punktu jest wyraźne zdystansowanie się w kilku miejscach od kursu, który w czasach zwłaszcza pierwszej kadencji George'a W. Busha wspierali tzw. neokonserwatyści. Polegał ona na próbach zaszczepienia w różnych krajach – głównie na Bliskim Wschodzie – demokracji na wzór amerykański. Skutki tych poczynań zwykle były katastrofalne i odczuwamy je do dzisiaj. USA od takich działań mają odejść. Nie będą podejmowały prób narzucania innym form rządów sprzecznych z ich tradycjami politycznymi czy historią. Mogą najwyżej wspierać całkowicie spontaniczne i oddolne ruchy. Ten passus wywołał oburzenie również w Polsce. Pojawiły się głosy, że USA nie będą bronić praw człowieka. To bardzo wymowne starcie oderwanego od rzeczywistości idealizmu z realizmem. Warto przypomnieć, że taka „obrona praw człowieka" w Kosowie dała Rosji do ręki używany do dziś argument o możliwości zmiany granic siłą oraz zainstalowała w Europie mafijne pseudopaństewko.

Drugie założenie dotyczy realistycznej oceny celów i posiadanych środków, za których pomocą te cele można osiągnąć. Jedno musi być dopasowane do drugiego. To elementarz realistycznego podejścia do polityki, ale dla wielu może to być ogromne odkrycie. Właśnie to założenie

eprasa.pl fecde7f9bb

stoi u podstawy przeświadczenia, że Stany Zjednoczone muszą bardzo dokładnie i bez rozrzutności zdefiniować swoje cele, aby móc je faktycznie zrealizować za pomocą tych wciąż bardzo wielu posiadanych narzędzi i atutów.

Tu warto zadać sobie pytanie, jak to wygląda w przypadku Polski. Choć będzie to raczej pytanie retoryczne. Już na etapie zdefiniowania celów wypadamy marnie. Informacje ministrów spraw zagranicznych o kierunkach polskiej polityki zagranicznej są zwykle pokazami myślenia życzeniowego, z których nic nie wynika.

Zdarzają się wyjątki – bywają wystąpienia jasno i klarownie definiujące cele. Tak było z przemówieniem prezydenta Karola Nawrockiego na Uniwersytecie Karola w Pradze, podczas którego polska głowa państwa przedstawiła swoje propozycje kierunku, w którym powinna podążać Unia Europejska. Kłopot w tym, że – inaczej, niż to jest w przypadku strategii bezpieczeństwa USA – tam mowa była tylko o celach, bez wspomnienia o środkach, których w gruncie rzeczy nie mamy, a już na pewno nie posiada ich prezydent, który pod względem spojrzenia na UE jest w zasadzie na antypodach obecnej władzy, więc tym bardziej nie sposób tego programu uznawać w tym momencie za realny.

AMERICA FIRST

Powróćmy do „doktryny Donroe" i do Chin, łącząc zasadnicze wątki dokumentu.

Po pierwsze zatem – America First, Ameryka przede wszystkim. Cała strategia jest napisana w interesie USA i ma służyć Stanom Zjednoczonym. Sformułowanie „nasze interesy" pojawia się w niej wielokrotnie. Teoretycznie nie jest to nic nowego, nie tylko, gdy idzie o USA (choć, zdaniem autorów tego dokumentu, różnie to w przeszłości bywało), lecz także gdy mowa o stosunkach międzynarodowych. Mimo to jest to wątek, który wywołał w Polsce niedowierzanie pomieszane z oburzeniem. Jak to?! Waszyngton w tak jawny sposób oznajmia, że będzie teraz dbał głównie o siebie? Z tym podejściem największy problem będą mieć ci, którzy w USA upatrują naszego wiecznego protektora i zbawcy, zapominając, że nasze interesy są w pewnych punktach zbieżne, ale na pewno nie są ogólnie tożsame.

Po drugie – Chiny są obecne w całej strategii. Pod własną nazwą występują co prawda jedynie w części poświęconej Azji, jednak w innych miejscach zjawiają się pod takimi określeniami jak „siła zewnętrzna", „obca siła", „zewnętrzni aktorzy", „inni". Trudno w tym specyficznym kodzie nie dopatrzyć się przede wszystkim Państwa Środka. To zresztą bardzo znamienne, że znacznie rzadziej można by sądzić, iż chodzi o Rosję.

USA zamierzają rywalizować z Chinami w wielu regionach świata poprzez takie kształtowanie propozycji dla chcących z nimi współpracować państw, aby być atrakcyjniejszym od Pekinu partnerem dzięki udostępnieniu swojego rynku czy technologii. Zaletą amerykańskiej oferty ma być to, że będzie przejrzystsza i – jak zakłada strategia – oparta na obustronnych korzyściach, a nie na wykorzystywaniu innych. „Chcemy być partnerem pierwszego wyboru" – ogłasza Waszyngton.

Między wierszami można tu jednak wyczytać groźbę. Jeżeli inne państwa nie będą działać zgodnie z założeniami Ameryki, to mogą się stać obiektem presji. Jednak przede wszystkim ma działać marchewka, nie kij.

Po trzecie – to koniec ery masowych migracji. Są one bardzo groźne dla państw imigracyjnych, mogą radykalnie zmienić ich kształt, a na to USA nie mogą sobie pozwolić. Dotyczy to głównie zachodniej półkuli, ale ten wątek pojawia się również w rozdziale poświęconym Europie.

Po czwarte – USA rezygnują z nation-building, czyli odgórnego narzucania innym państwom systemu politycznego i ustrojowych rozwiązań, a więc ulubionej zabawy neokonserwatystów.

P***o piąte*** – USA nie zamierzają się nigdzie trwale angażować militarnie. Jeżeli sytuacja będzie tego koniecznie wymagać, to amerykańska armia – najpotężniejsza na świecie, jak podkreśla dokument – ma być zdolna do szybkiego i efektywnego rozwiązania problemu bez długiego pozostawania na miejscu. Od konfliktów ma odstraszać potęga Ameryki.

Po szóste – i jest to być może najważniejsza nowość w podejściu do pojęcia bezpieczeństwa – siła zarówno USA, jak i jego sprzymierzeńców zależy od wartości, na których te państwa się opierają. Stany Zjednoczone mają ogromny potencjał, jak wskazuje dokument, ale muszą mieć również przekonanie swoich obywateli, że warto tam żyć, pracować, dawać z siebie wiele. To zostanie docenione. Aby jednak obywatele mieli pewność siebie, odwagę i determinację, państwo musi się opierać na sprawdzonych, tradycyjnych wartościach. Z tego pragmatycznie uzasadnionego przekonania wynika rezygnacja z ideologicznie motywowanego programu Diversity, Equity, Inclusion, czyli z równościowych regulacji, paraliżujących m.in. amerykańską armię.

To samo dotyczy najważniejszych europejskich sojuszników Ameryki (o tym więcej w dalszej części).

Po siódme – rezygnacja z wszelkich regulacji, sztucznie krępujących amerykański przemysł, w tym ten zajmujący się wydobyciem surowców naturalnych: ropy, gazu, węgla. Zielony Ład we wszelkiej postaci zostaje wyrzucony do kosza. Liczyć się mają bezpieczeństwo oraz dobro amerykańskich firm i pracowników, a nie zielone urojenia.

Wszystkie te wytyczne dają razem czytelny obraz strategicznego kierunku, który w żadnym razie nie powinien być zaskakujący. Raz, że jest to wyostrzony co prawda, ale jednak obecny od dawna w polityce USA sposób myślenia, ogólnie oparty na założeniach politycznego realizmu. Dwa, że taki właśnie kurs można było wyczytać bez problemu z nazwisk i poglądów ludzi, którzy zajęli miejsce u boku Trumpa lub mają wpływ na jego działania. To przede wszystkim Elbridge Colby – analityk bezpieczeństwa, dziś podsekretarz stanu w Departamencie Wojny (dawnym Departamencie Obrony), jeden z czołowych realistów, którego poglądy nie konweniują z frakcją przepełnionych poczuciem misji neokonserwatystów. To Marco Rubio, sekretarz stanu. To wreszcie wiceprezydent J.D. Vance, typowany na potencjalnego następcę Trumpa, dla którego sprawy ideowe wydają się odgrywać istotną rolę, choć Vance łączy je z praktycznie ocenianymi skutkami.

Tę konstrukcję dopełnia przegląd regionów, zgodnie z założeniem strategii ograniczony do zagadnień, które USA uznają za priorytetowe. Jako że u podstawy leży doktryna Monroego z uzupełnieniem Trumpa, na pierwszym miejscu znalazła się półkula zachodnia, którą

eprasa.pl fecde7f9bb

Ameryka uznaje za swoje władztwo. Strategia niemal wprost stwierdza, że w tym regionie nikt nie powinien się panoszyć ani starać się budować swoich wpływów, które mogłyby w jakikolwiek sposób zagrozić amerykańskim żywotnym interesom.

Na drugim miejscu jest Azja. Ten rozdział jest znacząco zatytułowany „Wygrać gospodarczą przyszłość, zapobiec konfrontacji militarnej". Tu właśnie Chiny pojawiają się pod własną nazwą. W tym rozdziale, a także w innych miejscach strategii, podkreśla się, że niedopuszczalne są nieuczciwe praktyki handlowe, nieuczciwe traktowanie Stanów Zjednoczonych, w tym agresywna polityka subsydiów. A więc to, z czego Chiny są znane.

Dopiero na trzecim miejscu jest Europa (o niej więcej za moment), dalej zaś Bliski Wschód. Tu niektórzy mogą być także zszokowani. Ten region, zawsze priorytetowy dla USA, teraz traci tę rangę. Autorzy strategii stwierdzają, że wobec nacisku na wydobycie surowców w samej Ameryce znaczenie Bliskiego Wschodu jako rezerwuaru ropy i gazu radykalnie spada, a poza tym Iran, główny mąciciel w regionie, został przywołany do porządku. Teraz region ma mieć głównie znaczenie jako obszar ciekawy inwestycyjnie.

Na ostatnim miejscu jest Afryka, gdzie wybrane kraje mają być wciągane do korzystnej dla nich współpracy gospodarczej i politycznej ze Stanami Zjednoczonymi.

PRZECIW GŁÓWNEMU NURTOWI UE

Co strategia mówi o Europie? W niektórych polskich mediach ten rozdział relacjonowano wprost kłamliwie. Na przykład w „Rzeczpospolitej" Jędrzej Bielecki pisał: „Dokument już w sposób całkiem otwarty wskazuje Europę jako przeciwnika Ameryki i obarcza ją odpowiedzialnością za to, że Ukraińcy nie chcą poddać się dyktatowi Kremla".

Spójrzmy zatem, co możemy przeczytać w strategii na temat Europy:

„A jednak Europa pozostaje strategicznie i kulturowo kluczowa dla USA. Handel transatlantycki pozostaje jednym z filarów globalnej ekonomii i amerykańskiej pomyślności. Europejskie branże od produkcji, poprzez technologie, po energetykę są nadal wśród najsprawniejszych na świecie. To w Europie prowadzone są przełomowe badania naukowe i tam mają siedzibę najważniejsze instytucje kulturalne świata. Nie tylko nie możemy sobie pozwolić na spisanie Europy na straty, ale byłoby to wręcz radykalnie sprzeczne z celami tej strategii".

Skąd zatem ewidentnie kłamliwa narracja „Rzeczpospolitej" i innych podobnych mediów? To proste: dla nich Europa to to samo, co Unia Europejska, tymczasem to ta ostatnia jest obiektem krytyki, opartej na wcześniej opisanym założeniu, że o sile państw stanowi również ich wewnętrzny kościec. I jest to, trzeba przyznać, krytyka potężna i jak na tego typu dokument bardzo wprost wyrażona. Znać tu prawdopodobnie rękę J.D. Vance'a, bo w tym rozdziale pobrzmiewa echo jego głośnego wystąpienia na konferencji bezpieczeństwa w Monachium w lutym tego roku. Uderzanie w wolności obywatelskie, krępowanie wolności słowa, absurdalna hiperregulacja, niszczenie własnego potencjału gospodarczego, dramatyczna demografia i katastrofalna polityka imigracyjna – to wszystko są skutki rządów elity działającej wbrew woli zwykłych obywateli. „Jeżeli obecne trendy będą trwały, to kontynent zmieni się nie do poznania w ciągu 20 albo nawet mniej lat" – czytamy w dokumencie.

Stąd wyrażona bez ogródek deklaracja, że USA będą wspierały w Europie siły dążące do zmiany tej sytuacji, a więc przeciwstawiające się głównemu nurtowi UE. Czy można się wobec tego dziwić, że ta zapowiedź staje się pożywką do tez tak absurdalnych jak te w „Rzeczpospolitej", bez reszty zaangażowanej po stronie unijnego mainstreamu? Za tym wątkiem strategii stoi przekonanie, że obecny kurs osłabia europejskich sprzymierzeńców USA, a zapewne także to, że łatwiej zawiązywać specyficzne sojusze z poszczególnymi krajami, niż mieć problem ze sklerotycznymi strukturami europejskimi. Można ten wątek odczytać jako zapowiedź próby doprowadzenia do rozpadu Unii Europejskiej. Ale można go również odczytać literalnie, a więc jako zapowiedź próby skierowania jej na inne tory.

Co do Rosji i Ukrainy, Ameryka zapowiada duże zaangażowanie dyplomatyczne, aby doprowadzić do strategicznej stabilizacji na terenie Eurazji (to już klasyczny język geopolityki) oraz – uwaga! – aby ograniczyć ryzyko konfliktu pomiędzy Rosją a Europą. Można postawić tezę, że jeżeli ktoś tak sformułowany zamiar krytykuje, to po prostu chce, aby pomiędzy Europą a Rosją wybuchła wojna. I faktycznie wielu polityków na kontynencie, a także w Polsce, sprawia wrażenie, jakby było to ich największe pragnienie.

Warunkiem doprowadzenia do strategicznej stabilizacji musi być – mówi dokument – jak najszybsze zakończenie walk na Ukrainie. Chodzi również o to, żeby zapobiec wymknięciu się sytuacji spod kontroli, eskalacji, a także aby ustabilizować europejskie gospodarki. I znów można zadać sobie pytanie, kto mógłby mieć problem z tak sformułowanymi celami. Chyba jedynie ci, którzy w wojnie upatrują swoich oficjalnie niedeklarowanych celów politycznych albo finansowych.

Na koniec można zadać pytanie: Gdzie jest w tym wszystkim Polska (nazwa naszego kraju nie pojawia się w strategii w ogóle, co również powinno być dla wielu trzeźwiące)? Odpowiedź będzie krótka: nigdzie. Widać to po ostatniej fazie amerykańskich i europejskich zabiegów wokół Ukrainy. Mimo rzekomo wspaniałych relacji pomiędzy Białym Domem a Karolem Nawrockim Polska została kompletnie zaskoczona rozpoczęciem nowej fazy rokowań i tym, że znaleźliśmy się – w roli przedmiotowej – w cytowanej przez media pierwszej wersji planu pokojowego. Z kolei genialne wpływy Donalda Tuska, trzęsącego Europą w imieniu Polski, zapewniły mu, że po spotkaniu nowego triumwiratu w Londynie – Keira Starmera, Friedricha Merza oraz Emmanuela Macrona z udziałem specjalnym Wołodymyra Zełenskiego – ten pierwszy przywódca nawet się z Tuskiem skontaktował i zakomunikował mu ustalenia! To się nazywa mieć potężną pozycję na kontynencie!

Polski zatem w tej nowej światowej układance po prostu nie ma. A może raczej jest ze – za przeproszeniem – ściągniętymi niespodziewanie gaciami w garści, z rozdziawioną gębą i zamarłym na niej wciąż tym samym pytaniem: „Ale jak to tak? To tak można?". I z tym niemym oburzeniem, że świat rządzi się interesem, korzyścią i realną siłą, chyba już zostaniemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Wojna sprawiedliwa? Nie w Polsce

Wojciech Golonka

Dopóki będą istniały odrębne, silne państwa o sprzecznych interesach, dopóty na pewno będzie dochodzić do konfrontacji natury wojennej i zbrojnej – niezależnie od tego, jak w kazuistyce na potrzeby chwili będą one nazywane

Paradoksem państwa będącego „chorążym wolności narodów" bywa dość wybiórcze i w sumie elastyczne podejście do wolności własnych obywateli, podlegającej z czasem najróżniejszym regulacjom ograniczającym ostatecznie ich wolności osobiste. Jeśli np. w czasach dawnych przymiotem człowieka wolnego, obywatela, było prawo (a czasem nawet obowiązek) noszenia broni, to rozszerzenie przywilejów obywatelskich na całe społeczeństwo pociągnęło za sobą ich znaczącą dewaluację, czego w Polsce akurat kwestia dostępu do broni jest wymownym przykładem. Nie inaczej niestety bywa z samą swobodą wypowiedzi.

Wprawdzie z jednej strony uległa ona radykalnej liberalizacji (największe bluźnierstwa i pełne nienawiści ataki na religię bywają w naszym społeczeństwie w praktyce chronione przez wymiar sprawiedliwości, np. z racji czyjejś rzekomej ekspresji artystycznej), ale z drugiej ogólna tendencja jest taka, aby ograniczać i penalizować wszystko, gdy tylko uderza się już nie w bóstwo i jego prawa – tu wszystko jest dozwolone – ale w czyjejś samopoczucie, lewicową poprawność polityczno-społeczną czy jedynie słuszną linię partii stojącej akurat przy władzy (wspomnijmy, jak rząd Zjednoczonej Prawicy kneblował myślących nieprawowiernie podczas epizodu COVID-19 i wojny na Ukrainie). Otóż wśród różnych narzędzi mogących w ten sposób ograniczać swobodę wypowiedzi, a nawet samej dyskusji, należałoby wymienić dość osobliwy paragraf Kodeksu karnego, penalizujący nawoływanie do wszczęcia wojny napastniczej lub pochwałę takiej wojny (art. 117.3).

Ma się rozumieć, że na pierwszy rzut oka można by temu przepisowi nadać zdroworozsądkową wykładnię, choć zauważmy od razu, że zdrowy rozsądek jest w dzisiejszych czasach towarem deficytowym. Sam ten paragraf jest zresztą pokłosiem m.in. art. 20 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych z 1966 r., którego to Polska Ludowa została stroną w 1977 r., a który określa, że „wszelka propaganda wojenna powinna być ustawowo zakazana". Brzmi pięknie i różowo, jak ówczesne hippisowskie hasła o wiecznym pokoju i miłości, ale już wstępna refleksja wyłapuje w tym pragnieniu utopii dość kuriozalne paradoksy, począwszy od faktu, że pakt mający bronić praw obywatelskich określa to, co stanowczo prawem ma nie być, a zatem jest czymś w tym wypadku radykalnie restrykcyjnym. Przede wszystkim, jeśli „wszelka propaganda wojenna powinna być ustawowo zakazana", bez rozróżnienia, to również, obok pochwał tzw. wojny napastniczej, należałoby uznać – oczywiście wbrew zdrowemu rozsądkowi – za karygodną narrację wspierającą wojny obrończe. W każdym razie nie ma wątpliwości, że cała dość krzykliwa, emocjonalna, a zarazem konkretna i kosztowna polityka prowadzona od przeszło czterech lat przez Rzeczpospolitą na rzecz walczącej Ukrainy podpada negatywnie pod ten artykuł dosłownie rozumianej „wszelkiej propagandy wojennej", tym bardziej jeśli wspomniane zaangażowanie uniemożliwia – a tak się przecież stało wiosną 2022 r. – działaniom dyplomatycznym zatrzymać dany konflikt w oparciu o proporcje sił i realia w terenie. W końcu kolejnym niezwykle wymownym paradoksem jest to, że choć wspomniany pakt powstał w Nowym Jorku, to same Stany Zjednoczone przyjęły go z poważnymi restrykcjami, zastrzegając m.in., że żaden z jego artykułów nie może ograniczać konstytucyjnej wolności słowa, traktowanej w USA nie wybiórczo i elastycznie, jak w przypadku krajów europejskich, a wciąż dość na poważnie i gruntownie. W konsekwencji w pakcie praw przyjętym przez USA nie może być mowy o zakazywaniu obywatelom mówienia czegokolwiek, co nie byłoby zakazane przez tamtejszy porządek prawny – w praktyce zatem w ojczyźnie wolności słowa art. 20 tegoż paktu są po prostu martwe.

ULTIMA RATIO REGIS

Nie chodzi mi tu jednak, w pierwszym rzędzie, o rozważania nad pożądanymi lub nie ograniczeniami wolności słowa, a o pytanie, czy sam klasyczny w filozofii i teologii koncept wojny sprawiedliwej jest dziś jeszcze możliwy do stosowania w polityce międzynarodowej, w której – chcąc nie chcąc – cały czas toczą się wojny, i to zarówno te rzucające się w oczy, jak i te mniej dostrzegalne, choć niemniej rzeczywiste, jeśli chodzi o skutki uderzające w czyjąś suwerenność i dominium, tj. konflikty natury hybrydowej, a nawet w formie czysto gospodarczej, niebędące pospolitą rywalizacją ekonomiczną, a właśnie gospodarczym podbojem. Zauważmy przy tym, że jakkolwiek by penalizować pochwały konfliktów zbrojnych, państwa w pełni suwerenne

eprasa.pl fecde7f9bb

rzeczywiście wciąż „klasycznie" traktują wojnę jako instrument polityki – coś, co Carl von Clausewitz nazywał „przedłużeniem polityki innymi środkami", a co ongiś wyrażano lapidarnie, grawerując na armatach maksymę „Ultima ratio regis" – ostateczny argument króla. Innymi słowy, cokolwiek by zapisano w ich kodeksach karnych, mocarstwa i tak dokonują projekcji siły, także militarnej, tam, gdzie zachodzi obrona ich interesów narodowych lub po prostu, być może najczęściej, oligarchicznych. Co więcej, prawidło to nie dotyczy tylko samych Stanów Zjednoczonych, z ich trzema dekadami (a nawet znacznie więcej) wojen o demokrację czy obecnym prężeniem muskułów US Navy, z całym jej śmiercionośnym arsenałem, wokół wybrzeży Wenezueli. Przecież znacznie bliżej nas Francja przez ostatnie półwiecze przeszło 40 razy dokonywała interwencji zbrojnych w poszczególnych krajach Afryki, zabezpieczając głównie własne interesy gospodarcze, życie mieszkających tam Europejczyków czy prowadząc na miejscu realną prewencję antyterrorystyczną, m.in. celem utrzymania przy władzy przychylnych jej stronnictw politycznych. Jeśli interwencjonizm francuski został ostatnimi laty w dużej mierze wyparty z Afryki przez wpływy rosyjskie, to dotychczas występował dlatego, że Francja w dobie postkolonialnej wciąż pozostawała regionalnym mocarstwem, zdolnym do projekcji siły tam, gdzie uważała to dlań za konieczne lub silnie pożądane, pozostawiając prawnikom, dziennikarzom czy innym retorom uzasadnienie tych decyzji względem krajowej i międzynarodowej opinii publicznej.

Chcę przez to powiedzieć, że jakichkolwiek nie kreować mechanizmów prawnych na rzecz lepszego jutra pozbawionego wojen, dopóki będą istniały odrębne, silne państwa o sprzecznych interesach, dopóty na pewno, siłą rzeczy, będą istniały konfrontacje natury wojennej i zbrojnej, niezależnie, jak w kazuistyce na potrzeby chwili będą one nazywane. Zakaz głoszenia na ten temat różnych opinii w Polsce, nawet tych najbardziej odklejonych od rzeczywistości i wprost błędnych, tego twardego faktu nie zmieni, a co najwyżej podtrzyma w nas przeświadczenie, że o wojnach, w których ewentualnie Rzeczpospolita bierze udział, jako podwykonawca (tak jak w przypadku wojny irackiej i afgańskiej), decydują ci, którzy – jak ongiś wolny człowiek – wciąż posiadają prawo miecza. Ba, interwencjonizmu zbrojnego jako takiego nie zniesie nawet wprowadzenie jednego rządu światowego, który historycznie prędzej czy później nastąpi, choćby w postaci jednowładztwa Antychrysta, ponieważ – choć nie będzie wówczas przestrzeni do właściwych wojen między państwami – konflikty wewnątrz jednego globalnego państwa będą nazywać się powstaniami lub wojnami domowymi.

NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

A gdzie w tym wszystkim w takim razie jest wciąż miejsce na pojęcie wojny sprawiedliwej? Poniekąd to omawiany na początku paragraf polskiego Kodeksu karnego daje tu zalążek odpowiedzi, sugerując, że wojna nienapastnicza, w domyśle defensywna, jest godna pochwały, choć w rzeczywistości zachodzi tu dwuznaczna kazuistyka. Dlaczego? Wspomnijmy choćby niedawny atak Izraela na Iran, który był przez zwolenników uzasadniany prewencyjnym uderzeniem defensywnym, co nie zmienia faktu (jakkolwiek brać to uzasadnienie na poważnie czy nie), że w praktyce była to napaść, i to niezwykle ostra, zdublowana zresztą próbą podmiany władz w Teheranie poprzez brutalną destabilizację łańcucha dowodzenia kraju. Otóż – cokolwiek by sądzić o zasadności napaści Izraela na Iran – dwuznaczności takiej nie mamy, jeśli posługujemy się terminem wojny sprawiedliwej, która, choć w swym zamiarze zawsze jest defensywna, uwzględnia także uderzenia prewencyjne etc. Innymi słowy, polski Kodeks karny byłby o wiele bardziej sensowny i precyzyjny, gdyby – nawiązując do klasycznego dziedzictwa umysłowego naszej cywilizacji – penalizował pochwałę wojny właściwie niesprawiedliwej, czyli moralnie niesprawiedliwej, co z jednej strony współgrałoby z realiami polityki międzynarodowej, które nie znikną za dotknięciem różdżki polskiej cenzury, a z drugiej nie ograniczałoby debaty o słusznościach i niesłusznościach każdej

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. ADOBE STOCK

z walczących stron (co z kolei potwierdzałoby, że konflikty zbrojne potrafią, w swych racjach, być nieco bardziej złożone, niż na to zazwyczaj wskazuje upraszczająca je na pożytek propagandy narracja).

Na pograniczu filozofii politycznej i teologii moralnej koncept wojny sprawiedliwej nie jest panaceum na wszystko, jednakże jego zasługi historyczne są bezsprzeczne. Stosując go i promując Kościół katolicki, teolodzy i biskupi w praktyce ucywilizowali wojnę na tyle, na ile to możliwe, czyniąc ją mniej destruktywną, mniej śmiercionośną… mniej niesprawiedliwą nawet tam, gdzie usprawiedliwić byłoby ją nie sposób. Wprawdzie na skutek realiów pustoszejących Europę wojen religijnych, hekatomby wojen napoleońskich, a zwłaszcza po dwóch konfliktach światowych fakt ten może się nam zdawać czystą abstrakcją, to jednak właśnie dlatego, że w czasach, kiedy Magisterium Kościoła było w miarę szanowane, kiedy wprowadzono kanonicznie wiele ograniczeń dla chrześcijan w kwestii konfliktów zbrojnych – podsumowanych słynnym określeniem „treuga Dei" (pokoju Bożego) – zasady te zakorzeniły się na dłużej w zachodniej cywilizacji, a ostatecznie znalazły swój wyraz w samym prawie międzynarodowym, które w przestrzeni publicznej wypełniło, z różnym skutkiem, pustkę po odejściu narodów od posłuchu głosu nauczycielskiego Kościoła. Prawdą jest, że wobec skali okropieństw i niesprawiedliwości ostatnich dwóch konfliktów światowych sam głos Kościoła stał się sceptyczny wobec konceptu wojny sprawiedliwej – skrajny wyraz tego stanowiska dał papież Franciszek w swej encyklice „Fratelli tutti" („Bardzo trudno jest dziś utrzymać racjonalne kryteria, które wypracowano w poprzednich wiekach, by mówić o możliwości »wojny sprawiedliwej«. Nigdy więcej wojny!"), ale już Pius XII, po katastrofie drugiej wojny światowej, nagminnie popierał rozrost instytucji międzynarodowych, mających przejąć część decyzyjności państw narodowych (co w praktyce doprowadziło do globalizacji, która dziś, ewidentnie, z chrystianizmem nie ma nic wspólnego).

Tymczasem w przedmowie do polskiego wydania „Wojny sprawiedliwej" wybitnego tomisty, o. Thomasa Pèguesa (DeReggio 2025), napisanej zresztą podczas pierwszej wojny światowej, współczesny francuski teolog, ks. Jean-Michel Gleize, wskazuje, że sedno konceptu wojny sprawiedliwej wiąże się z jej celowością, tj. przywróceniem pokoju będącego – jak określał to św. Augustyn – pochodną sprawiedliwego ładu, a przez to, mimo apeli o powszechny pokój papieża Franciszka, interwencje zbrojne mogą być wręcz konieczne dopóty, dopóki nasza ludzka rzeczywistość będzie – a przecież będzie! – naznaczona skutkami grzechu pierworodnego. Bodaj najoczywistszym przykładem ewentualnego uzasadnienia interwencji zbrojnej jest przecież ludobójstwo, w którego przypadku każdy sensowny człowiek zgodzi się, że zachodzi imperatyw moralny unieszkodliwienia sprawców, puszczając ich (z ich reżimem) z dymem. Paradoksalnie jednak takich słusznych interwencji zatrzymujących rozlew krwi jest najmniej, jeśli są w ogóle. Cóż powiedzieć o kazusie Nigerii czy depopulacji Gazy? A jeśli już się pojawiają, to jako dyskusyjny pretekst (Irak, Syria) w uzasadnieniu starcia stricte geopolitycznego.

Innymi słowy, wydaje się, że nałożenie apriorycznych, czysto legalnych, w sumie sztucznych kryteriów oceny konfliktów zbrojnych nie tyle przyczyniło się do ich wyplewienia w ogóle na świecie, ile – na dłuższą metę – bardziej uniemożliwiło nam postrzeganie ich w kategoriach sprawiedliwości definiowanej podług przyrodzonej etyki lub teologii moralnej. Jak wskazuje o. Pègues w swej analizie wojny przez pryzmat jej czterech przyczyn (celowej, sprawczej, formalnej i materialnej), jej sprawiedliwość jest czymś złożonym i zarazem niestałym. Dominikanin argumentuje to, wskazując, że np. sprawiedliwy powód do interwencji nie czyni jej z automatu sprawiedliwą, a w konsekwencji potencjalny atakowany, choć sam zaburzał ład sprawiedliwości, może w niektórych przypadkach zyskać moralne prawo do obrony. Poniekąd instynktownie rozumiemy te rozróżnienia, ale dobrze w dobie nasilonych światowych napięć i geopolitycznych tąpnięć je sobie wprost uświadomić. W kontekście świąt Bożego Narodzenia dodajmy, że nadejście pokoju Chrystusowego nie tyle wyrugowało fizyczne zło wojny z dziejów ludzkości, ile częściowo je skanalizowało, a sam zawód żołnierski wyniosło do godności rycerskiej. W rzeczy samej, nie podżegając do czegokolwiek, zauważmy, że wielu świętych żołnierzy kanonizowanych przez Kościół nie zostało wyniesionych na ołtarze za wyznawanie pacyfizmu, lecz za sprawiedliwe i szlachetne wypełnianie swych obowiązków względem Boga i ojczyzny, stąd jak najbardziej warto dyskutować w złożonych kategoriach wojny sprawiedliwej.

Nadejście pokoju Chrystusowego nie tyle wyrugowało fizyczne zło wojny z dziejów ludzkości, ile częściowo je skanalizowało, a sam zawód żołnierski wyniosło do godności rycerskiej

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Pokusa nieśmiertelności

Filip Memches

Nikołaj Fiodorow uważał, że trzeba przyrodę ujarzmić, czyli pokonać śmierć, która jest moralnym skandalem. Chodzi więc o postawienie ludzkości tak ambitnego zadania, jak wskrzeszenie ogółu zmarłych przodków

Nieśmiertelność jest odwiecznym marzeniem ludzkości. Dotyczy to zwłaszcza możnych tego świata. Mają oni poczucie, że dzierżą w swoich rękach wielką władzę. To zaś skłania ich do wniosku, że są również panami życia i śmierci.

Czy tak jest w przypadku przywódców Federacji Rosyjskiej i Chińskiej Republiki Ludowej? To pytanie nasuwa się w związku z pewną scenką, która obiegła media na początku września 2025 r. W Pekinie odbyły się wtedy uroczystości z okazji 80. zakończenia drugiej wojny światowej na Dalekim Wschodzie. Wśród gości, którzy przybyli do stolicy ChRL, był Władimir Putin. W trakcie spotkania z gospodarzem wydarzenia, Xi Jinpingiem, usłyszał od niego słowa: „W przeszłości mówiło się, że ludzie rzadko dożywają siedemdziesiątki. Ale dziś w wieku 70 lat wciąż jest się właściwie dzieckiem". Na to prezydent Rosji odrzekł: „Za kilka lat, wraz z rozwojem biotechnologii, ludzkie organy będą mogły być cały czas przeszczepiane, przez co ludzie będą się odmładzać, a być może nawet żyć wiecznie". Wtedy przywódca komunistycznych Chin oznajmił: „Do końca tego stulecia ludzie być może będą żyli nawet 150 lat" (ten epizod relacjonował i omawiał Piotr Włoczyk w „Do Rzeczy" nr 39/2025).

Nie da się ukryć, że to, o czym krótko rozmawiali Putin i Xi Jinping, nie jest jakąś fantazją. W laboratoriach różnych państw (ChRL jest w ich czołówce) prowadzone są eksperymenty mające na celu uzyskanie kontroli nad procesami starzenia się organizmu ludzkiego. Ponadto takie kwestie jak długowieczność (choć jest to pojęcie względne) czy nieśmiertelność stanowią przedmiot rozważań w ramach transhumanizmu. Przedstawiciele tego nurtu filozoficznego postulują przekroczenie – przy pomocy zdobyczy nauki – naturalnych granic kondycji ludzkiej.

EKSCENTRYCZNY MĘDRZEC

Tymczasem w Rosji myśl o tym, żeby rzucić wyzwanie śmiertelności człowieka, ma tradycję sięgającą czasów, w których wiedza naukowa była bardzo daleko od stanu, w którym jest dziś. Chodzi o XIX w. To właśnie wtedy żył Nikołaj Fiodorow. Zawodowo pracował on jako

eprasa.pl fecde7f9bb

Obraz Andrieja Sokołowa, malarza czasów sowieckich, inspirującego się w swojej twórczości rosyjskim kosmizmem FOT. MAXUTA.COM

bibliotekarz w moskiewskim Muzeum Rumiancewa, ale poza godzinami swojej pracy oddawał się filozofii. Warunki, w jakich funkcjonował, i to dobrowolnie, były skromne i surowe. Wybrał też bezżenność. Już wówczas wokół Fiodorowa narosła legenda mędrca o ekscentrycznym i zarazem szlachetnym usposobieniu. Z ludźmi, których postrzegał jako osoby w potrzebie, dzielił się tym, co miał, a było tego i tak mało. Sam ponoć sypiał w niewygodnej pozycji na kufrze, swoją dietę zaś ograniczał do suchego chleba i gorzkiej mocnej herbaty. Nie pozwalał się portretować, a to dlatego, że deklarując się jako wyznawca wiary prawosławnej (pojmował ją jednak – o czym będzie jeszcze mowa – bardzo osobliwie), stał na stanowisku, że przedstawianie ludzkich wizerunków powinno być zarezerwowane wyłącznie dla twórców ikon. Niemniej dwóm malarzom – Leonidowi Pasternakowi (ojcowi Borysa, znanego pisarza noblisty) oraz Siergiejowi Korowinowi – udało się „zaocznie" uwiecznić jego twarz. Ponadto Fiodorow to autor wielu pism, które zostały już po jego śmierci zebrane w dwa tomy zatytułowane „Filozofia wspólnego dzieła" (można też przetłumaczyć: „Filozofia wspólnego czynu"). Początkowo publikacja ta nie była sprzedawana, lecz… rozdawana. Fiodorow twierdził bowiem, że to, co stanowi owoc wysiłku podejmowanego przez ludzki umysł, jest wspólną własnością ludzkości i nie powinno być towarem.

Myśl rosyjskiego filozofa można streścić następująco: relacje międzyludzkie są skażone rozmaitymi antagonizmami. Ludzi rozdzierają konflikty urastające – na poziomie stosunków między państwami – do rozmiaru krwawych wojen. Zupełnie jednak nieoczywistym antagonizmem, który wskazywał Fiodorow, jest ten, który dzieli pokolenia. Cechę konstytutywną przyrody stanowi cykl życia i śmierci. Młodość wypiera starość. To bowiem, że ktoś się rodzi, oznacza zarazem, że z każdym dniem będzie się starzeć i prędzej czy później w końcu umrze. Ci, którzy przychodzą na świat, są w uprzywilejowanej pozycji wobec tych, którzy z niego odchodzą. Akt rozmnażania się stanowi zaś wyraz nielojalnego odwrócenia się od zmarłych przodków. Fiodorow diagnozował: ludzkość jest niedojrzała. Brakuje jej braterstwa. Nadeszła zatem epoka, w której ma do niego dojrzeć.

Wobec tego stanu rzeczy rosyjski filozof skonstatował, że ludzi nie powinny dzielić żadne antagonizmy, bo ich prawdziwym, lecz przez nich nieuświadomionym wrogiem jest okrutna przyroda. To właśnie cykl życia i śmierci stawia człowieka w tragicznym położeniu (tym samym Fiodorow antycypował podjętą w XX stuleciu refleksję egzystencjalistów nad skończonością ludzkiej kondycji). Dlatego trzeba dać przyrodzie odpór i ją ujarzmić, czyli pokonać śmierć, która jest moralnym skandalem. Chodzi zatem o postawienie ludzkości tak ambitnego zadania, jak wskrzeszenie ogółu zmarłych przodków. Fiodorow miał nadzieję na to, że postęp nauki to w przyszłości umożliwi, należy zatem już od razu podjąć się działań na rzecz owego – jednoczącego ludzkość – „wspólnego dzieła". To powszechny moralny obowiązek ludzkości.

Fiodorow krytykował nowożytną przemysłową cywilizację zachodnią z jej klasowym wyzyskiem społecznym oraz koncentracją na konsumpcji i seksie (już wtedy dostrzegał procesy, które nabrały impetu w XX w.). Potępiał zachłanność, a jej konsekwencje widział nie tylko w wojnach, lecz także w dewastacji przyrody podporządkowywanej ludziom nie w imię „wspólnego dzieła", lecz po to, aby zaspokajać egoistyczne żądze poszczególnych jednostek oraz rozmaitych grup interesów. Alternatywą dla wielkomiejskiego Zachodu miał być – zdaniem Fiodorowa – charakteryzujący się kultem przodków i religijnością patriarchalny model społeczny wsi rosyjskiej. To przypisywanie swojej ojczyźnie szczególnej roli w świecie zbliżało filozofa do Fiodora Dostojewskiego czy środowisk słowianofilskich, choć niewątpliwie zachowywał on swoją intelektualną odrębność.

Rzecz jasna, nasuwa się pytanie, na czym wskrzeszenie, o którym pisał Fiodorow, miałoby polegać. Otóż według autora „Filozofii wspólnego dzieła" każdy człowiek składa się z materii, a w przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia formę. W przyszłości nauka ma dostarczyć narzędzi, które – jakkolwiek brzmiałoby to niesamowicie – umożliwią zebranie w Kosmosie cząstek dawnych ludzkich organizmów, a następnie rekonstrukcję i ożywienie ciał zmarłych osób. Przy czym Fiodorow, apelując o podjęcie działań na rzecz „wspólnego dzieła", odwoływał się do chrześcijaństwa. W człowieku upatrywał korony stworzenia – wyjątkowego gatunku powołanego do tego, żeby czynić sobie ziemię poddaną i naśladować Jezusa Chrystusa, który udowodnił, że zmartwychwstanie jest możliwe. „Wspólne dzieło" miałoby być aktem „bogoczłowieczeństwa", zmierzającym do przebóstwienia przyrody. Fiodorow żywił przeświadczenie, że to spowoduje, iż ze świata zniknie grzech – jego źródła upatrywał w lęku człowieka przed śmiercią – i uda się uniknąć dramatycznego kresu dziejów przepowiadanego w Apokalipsie św. Jana. Istotą tego, co

eprasa.pl fecde7f9bb

głosił bibliotekarz z Muzeum Rumiancewa, jest zatem mesjanizm chrześcijański tak radykalny (wizja życia wiecznego – osiągniętego metodami naukowymi – w „tym świecie", a nie w „przyszłym"), że jednocześnie zaprzeczający jednej z podstawowych prawd chrześcijaństwa – tej, iż człowiek nie jest Bogiem, choć rosyjski filozof z taką interpretacją swojej koncepcji by się nie zgodził.

Władimir Wiernadski sformułował tezę o tym, że rozwój ludzkiego układu nerwowego dojdzie do takiego poziomu, iż mózg człowieka będzie zarządzał procesami w przyrodzie

Wskrzeszenie zmarłych przodków postawiłoby jednak ludzkość przed dylematem demograficznym. Nasza planeta przecież nie pomieściłaby wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek przyszli na świat. Dlatego Fiodorow uznał, że ludzkość powinna zacząć szukać dla siebie nowych miejsc osiedlenia w Kosmosie. W tym również przejawiałby się postęp nauki – tak konieczny dla realizacji „wspólnego dzieła".

ROSYJSKI KOSMIZM

Nie przypadkiem wśród osób, które znalazły się w kręgu oddziaływania rosyjskiego filozofa, był Konstantin Ciołkowski. Po ukończeniu 60. roku życia był on świadkiem odejścia w swoim kraju starej epoki (caratu) i nastania nowej (sowietyzmu). Ten matematyk i fizyk (polskiego pochodzenia po mieczu) uchodzi za pioniera sowieckiej kosmonautyki. Opracował on teorię ruchu rakiet. Jego pracami naukowymi inspirował się Siergiej Korolow, inżynier mechanik, który był twórcą sowieckiego programu kosmicznego.

Ciołkowski zetknął się z Fiodorowem, gdy ten pracował w Muzeum Rumiancewa. Choć nie podzielał religijnych elementów koncepcji filozofa, to tak jak on uważał, że postęp nauki może doprowadzić do tego, iż nieśmiertelność człowieka stanie się faktem. Twierdził również, że ludzkość powinna uregulować swoim rozumem przyrodę i kolonizować Kosmos.

Jednym z ideowych spadkobierców koncepcji Fiodorowa był też geolog Władimir Wiernadski (żyjący mniej więcej w tym samym czasie co Ciołkowski). Sformułował on tezę o tym, że rozwój ludzkiego układu nerwowego dojdzie do takiego poziomu, iż mózg człowieka będzie zarządzał procesami w przyrodzie. Tym samym w ewolucji Ziemi nastąpi przejście od etapu biosfery do etapu noosfery.

Fiodorow, Ciołkowski, Wiernadski to nazwiska nieodłącznie związane z pojęciem rosyjskiego kosmizmu. Pod tym terminem kryje się nurt w kulturze rosyjskiej przełomu wieków XIX i XX, w którego ramach łączono zagadnienia religijne z nauką i stawiano przed człowiekiem zadanie pokierowania ewolucją Kosmosu.

Po przewrocie bolszewickim rosyjski kosmizm nie został zepchnięty do podziemia. Natomiast wątki religijne koncepcji Fiodorowa stały się w ZSRS mocno kłopotliwe, dlatego z upływem czasu do dziedzictwa filozofa przestano się odwoływać. Dopiero w okresie „odwilży" (w latach 60.) – gdy nabrała znaczenia sowiecka kosmonautyka – do twórczości autora „Filozofii wspólnego dzieła" zaczęto ostrożnie wracać, choć kładziono akcent na kwestie naukowe, które poruszał.

Natomiast sam rosyjski kosmizm ze swoim w gruncie rzeczy modernistyczno-progresywnym paradygmatem wkomponowywał się w klimat kultury w Związku Sowieckim, zwłaszcza w latach 20. Pierwsze państwo komunistyczne świata miało być w awangardzie nie tylko walki o budowę najbardziej sprawiedliwego ustroju w dziejach ludzkości, lecz także gromadzenia przełomowych zdobyczy naukowych. Badacz próbujący rozwikłać zagadkę nieśmiertelności podejmowałby się heroicznego trudu. Swoją pracą ujarzmiałby przyrodę i tym samym miałby w sobie coś z robotnika stachanowca śrubującego normy produkcyjne w fabryce.

TAJEMNICZY GŁOS

Niemniej rosyjski kosmizm – tak jak współcześnie transhumanizm – ma mroczną stronę. I to ją należy eksponować. Wszystko w życiu niesie jakieś koszty – stawianie człowieka w roli Boga również. Dlatego warto odwołać się do dorobku Władimira Sołowjowa, XIX-wiecznego rosyjskiego filozofa pozostającego w polu oddziaływania myśli Fiodorowa, choć chadzającego intelektualnie własnymi ścieżkami. On również zastanawiał się nad kwestią „bogoczłowieczeństwa". Niemniej mimo podobieństw łączących koncepcje obydwu Rosjan należy zauważyć, że Sołowjow pod koniec swojego życia napisał utwór, który być może jest przestrogą przed konsekwencjami podejmowania się „wspólnego dzieła".

To „Krótka opowieść o Antychryście". Znamienne, że dziś o zainteresowaniu nią mówi w swoich publicznych wypowiedziach Peter Thiel, potentat finansowy z Doliny Krzemowej, który z jednej strony inwestuje w projekty badawcze dotyczące długowieczności, a z drugiej – jak może wynikać z tego, co dociera do mediów – dostrzega pułapki transhumanizmu.

Utwór Sołowjowa to proza dystopijno-religijna. Przedstawia świat, w którym władza nad nim trafia w ręce pewnego biznesmena i filantropa. Ów człowiek chce dla ludzkości pokoju i dobrobytu. Wydawałoby się, że pobudki, którymi się kieruje, są właściwe. Tymczasem zostaje przez jakąś siłę obdarzony nadludzką mocą i daje się namówić tajemniczemu głosowi, żeby odrzucić Boga. Słyszy, że śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu zasługuje na pogardę, a ludzi należy uszczęśliwiać, zaspokajając ich doczesne pragnienia. I ulegając temu podszeptowi, okazuje się tytułową postacią utworu Sołowjowa, co bynajmniej – zgodnie z apokaliptycznym proroctwem – nie przynosi mu zwycięstwa.

Czy potraktowanie „Krótkiej opowieści o Antychryście" jako aktu oskarżenia przeciw marzeniom o długowieczności i nieśmiertelności nie jest przesadą? Być może jest to zbędne wytaczanie ciężkiej artylerii. Niemniej zawsze warto pamiętać, że jedną z największych pokus ludzkiego rozumu stanowi pycha. Ona zaś przecież kroczy przed upadkiem. Zwolenników transhumanizmu również to dotyczy. A ich może nawet szczególnie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Nadodrzańscy Aborygeni

Robert Bogdański

Od maja w sejmowej „zamrażarce" spoczywa ustawa o nadaniu osobowości prawnej rzece Odrze. Z pozoru wszystko w tej ustawie wygląda pięknie. Tylko gdy przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że empatyczni obrońcy przyrody będą się po prostu chcieli na niej uwłaszczyć

Jednym z mało oczekiwanych skutków zamiany marszałka Hołowni na marszałka Czarzastego może być podjęcie prac nad ustawą, która może w konsekwencji wywrócić polski system prawny w części związanej z pojęciem własności. Powie ktoś, że polski system prawny już i tak ledwie dycha po tym, co wykonali przez ostatnie dziesięciolecie ministrowie wespół ze wzmożonymi prawnikami z rozmaitych stowarzyszeń, i pewnie będzie miał rację, ja jednak będę się upierał, że ta zmiana może być naprawdę brzemienna w skutki i może otworzyć drogę do nadużyć, o jakich nam się nie śniło.

Otóż od maja w sejmowej „zamrażarce" spoczywa ustawa o nadaniu osobowości prawnej rzece Odrze. Podpisało ją kilkudziesięciu posłów z Lewicy, Razem, Trzeciej Drogi i KO, a wśród nich znalazł się poseł Włodzimierz Czarzasty. O ile Szymon Hołownia jakoś się tym, że jego ludzie podpisali się pod projektem, zanadto nie przejął, zresztą to są coraz mniej „jego ludzie", o tyle można przypuszczać, że do Czarzastego jako marszałka wnet przyjdą jego partyjni koledzy i przypomną mu, że postęp wymaga ofiar, a ponieważ konkretnie to inni mają te ofiary składać, więc prędko należy się zabrać do budowania ofiarnego ołtarza. Nie trzeba dodawać, że jak i w innych tego rodzaju sytuacjach deklarowane intencje będą szlachetne i zmiana ma zostać przeprowadzona rękami „dobrych ludzi", którzy utorują drogę realnym beneficjentom.

W Polsce pierwsze próby eksperymentowania z osobowością prawną przyrody nieożywionej są związane z barwną postacią Joanny Erbel, aktywistki miejskiej desygnowanej swego czasu przez Zielonych na prezydenta Warszawy, która jeździła na rowerze w wysokich obcasach i intrygowała deklaracją, że jest „poliamorystką". Potem się ustatkowała, zrobiła doktorat i dwa lata temu założyła z kolegami miejską farmę spółdzielczą na Siekierkach, do której to farmy postanowiła zaprosić także ziemię uprawną jako członka. Tę „nie-ludzką osobę" nazwano Adamah, imieniem wiążącym się z legendą o ziemi, z jakiej miał zostać ulepiony biblijny Adam, i ustalono, w jaki sposób „reprezentanci" tej ziemi będą się z nią komunikować, aby dowiedzieć się, czego ona sobie życzy. Wśród metod znalazły się seanse magiczne i użycie sztucznej inteligencji, czyli wszystko doskonale pasujące do umysłowości wielkomiejskiej początków XXI w.

Sprawa była na dobrej drodze, niestety sąd rejestrowy nie docenił finezji pomysłu i nie zarejestrował tego nowatorskiego spółdzielcy. Jeżeli więc się nie mylę, to próba nadania Odrze osobowości prawnej jest następnym krokiem w tym kierunku w naszym kraju. Krokiem, dodajmy, o wiele poważniejszym i uczynionym z większym rozmachem. Bo ustawa o nadaniu praw rzece Odrze choć nie jest pierwsza, to na swój sposób może być nowatorska w skali światowej.

POLSCY MAORYSI

Zacznijmy od problemu użycia narzędzia prawnego stworzonego w innym celu i dla rozwiązania innych problemów, w sposób oderwany od kontekstu. Najpowszechniej przywoływanym argumentem za nadawaniem osobowości prawnej elementom przyrody jest ustawa o nowozelandzkiej rzece Wanganui z 2017 r. Także ustawodawcy nadodrzańscy się na nią powołują. Doszło w tamtej ustawie do stworzenia swego rodzaju prawniczego amalgamatu między brytyjskim systemem prawnym a prawem zwyczajowym Maorysów. Wprowadzenie ustawy zakończyło trwający prawie półtora wieku konflikt o sposób korzystania z rzeki między ludnością rdzenną a kolonizatorami.

Już pod koniec XIX w. Korona Brytyjska i Maorysi zawarli porozumienie, ale było ono nagminnie łamane i powodowało tarcia. Wreszcie, po latach sporów, zdecydowano się nadać rzece osobowość prawną, co miało swoje zakorzenienie w maoryskich wierzeniach, a na jej reprezentanta wyznaczono po przedstawicielu każdej ze stron. Czyli dwuosobowe przedstawicielstwo musi za każdym razem dojść do porozumienia, aby podjąć jakieś działanie. W opublikowanym przez „International Journal of Human Rights" artykule opisującym stan rzeczy, który ze względów oczywistych wzbudził zainteresowanie prawników, stwierdzono, że „nadanie osobowości prawnej stanowiło obejście skomplikowanej kwestii własności".

I tu leży sedno problemu: to rozwiązanie zostało tak naprawdę wprowadzone po to, aby chronić prawa zamieszkujących nad rzeką Maorysów, którym już w XIX w. parostatki białych

eprasa.pl fecde7f9bb

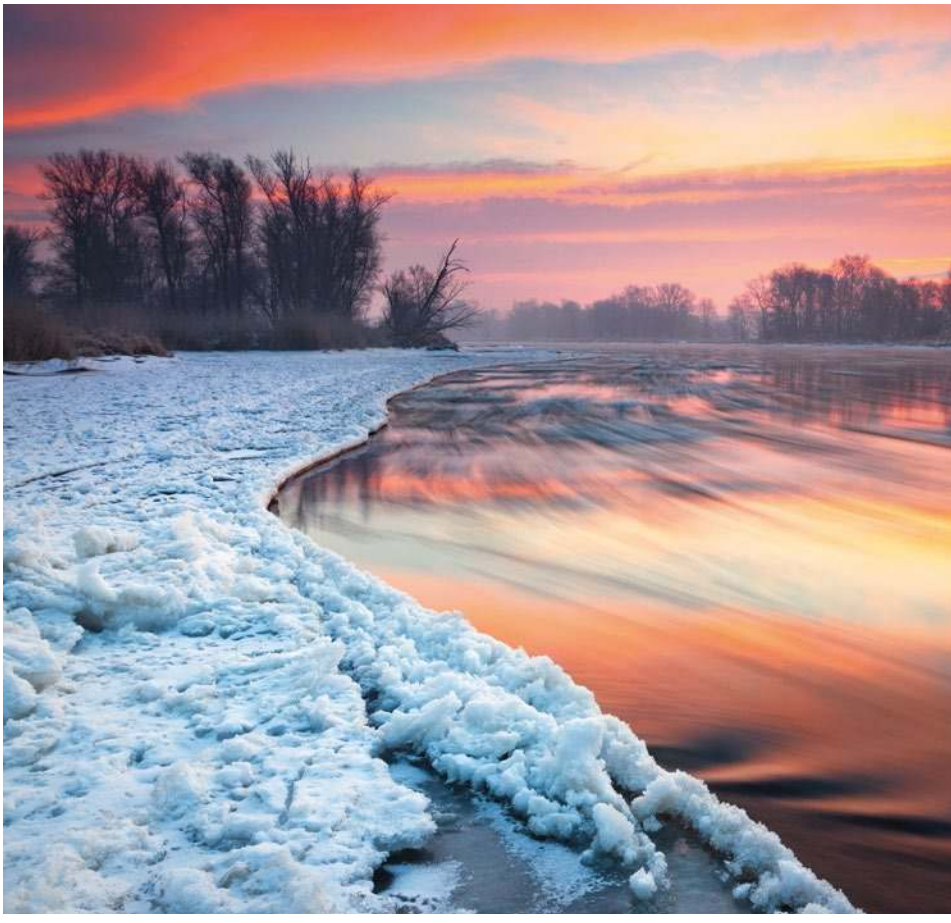

kolonizatorów niszczyły siedliska węgorzy, a właściciele tartaków niszczyli lasy. Nie mogli oni w żaden sposób przeciwstawiać się legalnie działaniom białych, bo nie byli właścicielami rzeki ani terenów nad nią leżących. Teraz nadal nie będą mieli prawa własności, ale będą mogli blokować pewne posunięcia, porozumiewając się przy tym z przedstawicielami rządu. W dodatku rzeka posiadająca osobowość prawną jest dobrym wehikułem finansowym do przekazywania środków na rzecz lokalnych społeczności, co się zresztą w Nowej Zelandii dzieje.

Wracając nad Odrę, należałoby zadać pytanie: Gdzie są tutejsi Maorysi? Czy mamy tu jakieś plemiona narażone na eksploatację swoich siedzib ze strony jakichś współczesnych ekonomicznych kolonizatorów? Nie chcę być nadmiernie złośliwy, ale wygląda mi na to, że ekipa od Czarzastego postanowiła się pod te zapisy podczepić i wirtualnie przebrać w ubrania z piór i gałązek, żeby wystąpić jako pierwotne plemię broniące rzeki leżącej w środku Europy, czyli kontynentu całkiem nieźle zagospodarowanego. W dodatku zamierza go bronić przed swoimi rodakami i wolno sądzić, że ta obrona będzie słono tych rodaków kosztować, a sama rzeka Odra wyjdzie na tej obronie jak Zabłocki na mydle. Gdyby taka ustawa została uchwalona, mechanizm prawny stworzony dla obrony słusznych interesów ludności rdzennej przed kolonizatorami w takich państwach jak Nowa Zelandia, Australia czy Kanada zostałby użyty w sposób rozszerzający w kraju, gdzie nie ma ani jednych, ani drugich, a miejsce Aborygenów zajęliby z wdziękiem działacze i aktywiści. Pogratulować kreatywności.

Pojawia się teraz następny problem, czyli kwestia reprezentacji. W chwili nadania praw osobistych rzece pojawi się natychmiast, bo nawet najbardziej empatyczni ekolodzy uznają, że przyroda nieożywiona nie jest w stanie się w żaden sposób komunikować ze światem, podpisywać oświadczeń woli itd. Ktoś musi to za nią zrobić. Spółdzielcy z Siekierek chcieli rozwiązać ten problem przy pomocy praktyk magicznych i algorytmów, co było uroczo poetyckie. Ustawodawcy z Lewicy proponują inne rozwiązanie: rzekę reprezentować będzie komitet składający się z przedstawicieli ministerstwa, urzędów, samorządów i organizacji pozarządowych. Zwłaszcza te ostatnie będą miały silną pozycję, bo na 15 członków one desygnowałyby sześciu. Ach, oczywiście wśród tej szóstki znajdą się przedstawiciele „grupy inicjatywnej", która zapoczątkowała ruch na rzecz wprowadzenia ustawy, ale to się rozumie samo przez się.

Działalność tego komitetu będzie finansowana przez ministerstwo, a rzeka będzie mogła otrzymywać także zwolnione od podatku zapisy, spadki i darowizny, którymi rzecz jasna zarządzać będzie komitet. Tenże komitet będzie także mógł wytaczać sprawy o odszkodowanie, a po zasądzeniu odpowiednich kwot będzie zarządzał także nimi. Sama natomiast Odra, czyli także jej komitet, będzie ustawowo uwolniona od jakiejkolwiek odpowiedzialności. I słusznie. Bo kto by był na tyle okrutny, aby zaskarżyć niewinną rzekę czy (zwłaszcza!) jej reprezentantów?

Wątpiącym w słuszność rozwiązania, które nadaje prawa bez nakładania obowiązków, projektodawcy ustawy suflują fragment orzeczenia niemieckiego sądu, gdzie stwierdza się, że przecież podobną zasadę stosuje się do niemowląt lub osób w stanie wegetatywnym. Na miejscu Odry czułbym się nieco urażony tym porównaniem, ale niemiecki sąd nie mógł mieć nic zdrożnego na myśli. Wolno więc sądzić, że członkostwo w komitecie będzie naprawdę całkiem przyjemną synekurą, a potęga gospodarcza i polityczna komitetu będzie wprost proporcjonalna do zaradności jego członkowi sprawności reprezentujących go prawników. Szczerze wierzę i w jedno, i w drugie.

GÓRA Z RZEKĄ SP. Z O.O.

Na koniec najważniejsze, czyli zapowiedź prawdziwego wyłomu w systemie prawnym, dla niepoznaki ubrana w formę zaprzeczenia, że się czegoś takiego chce dokonać. Otóż wśród licznych praw, które ma mieć Odra, znajduje się też jedno bardzo interesujące ograniczenie. Paragraf 11 głosi, że „Rzeka Odra nie może prowadzić działalności gospodarczej". To niezwykle interesujący zapis, bo wskazuje on kierunek rozwoju przyszłych przepisów „upodmiotowujących" naturę. Czemu tak sądzę? Ano, każdy zdrowo

eprasa.pl fecde7f9bb

Odra jest rzeką graniczną, ale jej „osobowość prawna" miałaby dotyczyć tylko części położonej w granicach RP

FOT. ADOBE STOCK

myślący człowiek wie, że do prowadzenia działalności gospodarczej potrzebna jest sprawczość. Przyroda nieożywiona takiej sprawczości nie posiada z natury. Taka jest i już. Jeżeli więc nasi nadodrzańscy Aborygeni z Lewicy zdecydowali się zwrócić na ten element uwagę, to znaczy, że w ich środowisku toczyła się dyskusja nad tym, czy w przyszłości nie udałoby się jednak umożliwić rzekom i górom prowadzenia działalności.

Wyobraźmy sobie jednak, co by było, gdyby ustawę o Odrze uchwalono, a za rok ktoś by zaproponował, aby rzeka mogła prowadzić działalność gospodarczą. Pojawiłoby się niechybnie niezdrowe zainteresowanie tematem. Zaczęłyby się pytania: Po co? Jak? Czemu? Media zamiast trwać w zachwycie nad tym, że ochrona przyrody wzniosła się na wyższy poziom, przyglądałyby się sprawie podejrzliwie. W ogóle pojawiłaby się jakaś „sprawa". A tak żadnej sprawy nie ma. Po prostu zapis ten w pewnym momencie się usunie, a rzeka zacznie być używana jako podmiot gospodarczy, bo skoro dawniej miała zakaz, to po jego usunięciu taka możliwość się pojawi. To

Rzeka, góra czy zagajnik z osobowością prawną, prowadzące przy użyciu sprytnego komitetu działalność gospodarczą, byłyby wymarzonymi partnerami w spółkach

logiczne, prawda? No i wówczas taka rzeka mogłaby np. zostać udziałowcem spółki, może spółki jawnej. Bo czemu nie? I jako udziałowiec takiej spółki odpowiadałaby całym swoim majątkiem za jej długi, to jasne, nie wolno naginać prawa. A ponieważ za zobowiązania spółki jej wspólnicy odpowiadają solidarnie, a rzekę – w odróżnieniu od jej partnerów w spółce – zawsze łatwo by można przyskrzynić, więc zobowiązania ściągano by z jej majątku. Prawda, że kusząca perspektywa?

Taka rzeka, góra czy zagajnik z osobowością prawną, prowadzące przy użyciu sprytnego komitetu działalność gospodarczą, byłyby wymarzonymi partnerami w spółkach. Nic, tylko zaciągać długi i oddalać się z godnością w chwili, gdy na horyzoncie pojawią się wierzyciele, wskazując na rzekę i jej zasoby jako źródło pokrycia wierzytelności. Jak dokładnie czerpano by pieniądze na pokrycie strat i długów, zależałoby od inwencji i nie zamierzam wiele podpowiadać. Na pewno lepiej by mieli administratorzy rzek finansowanych z budżetu, jak to jest planowane w ustawie o Odrze, gdzie wprost zapisano, że pokrycie kosztów ma zapewnić Ministerstwo Środowiska. Jednak zapewne nie wszystkie rzeki i góry znajdowałyby się w tak komfortowej sytuacji i wiele z nich musiałoby wyprzedawać zasoby, aby pokryć koszty swojej działalności. Nadal jednak byłyby poszukiwane jako dłużnicy, których najłatwiej złapać.

Wyobrażam sobie te ogłoszenia: „Spółkę z rzeką bez zadłużenia sprzedam" albo: „Górę na komplementariusza do spółki komandytowej przyjmę, tylko uczciwe fotooferty" czy wreszcie: „Rzeka finansowana przez Skarb Państwa z niezbyt chciwym komitetem obstawionym przez wszystkie duże partie przystąpi do spółki". Ostatnie ogłoszenie pojawiałoby się raczej w wewnętrznych biuletynach. To jednak przyszłość, być może niedaleka, ale jednak przyszłość. Na razie trzeba chronić przyrodę i grać na strunie troski o planetę i matkę Ziemię. Czas na naprawdę wielkie interesy przyjdzie, teraz trzeba uczynić wyłom w postaci zagarnięcia rzeki przez Komitet.

SĄSIAD MOŻE, A MY NIE

Ostatnia kwestia to zawarty w ustawie silny element polityczny. Odra jest rzeką graniczną, ale jej „osobowość prawna" miałaby dotyczyć tylko części położonej w granicach RP. Prawa nadawano by więc tylko fragmentowi rzeki, twierdząc, że otrzymuje je całość. I tylko ten fragment byłby związany szczytnymi hasłami o ochronie i dobrostanie. Tylko on podlegałby szczególnej ochronie nadzorowanej przez aktywistów ekologicznych z grupy inicjatywnej. Nikt nie oczekuje rzecz jasna, aby polski Sejm zajmował się ingerowaniem prawnym w tereny leżące poza granicami Polski, ale poddanie Odry po stronie polskiej ograniczeniom, które byłyby kontrolowane częściowo przez organizacje ekologiczne, być może finansowane przez inne państwa, przy jednoczesnym pozostawieniu Niemcom pełnej swobody decyzji co do korzystania z rzeki, która u nich nagle w magiczny sposób przestawałaby być „osobą", jest co najmniej zastanawiające. Zapisy ustawy są zwyczajnie niekorzystne dla Polski i nakładają na nasze państwo ograniczenia, którym nie podlega w sposób symetryczny państwo sąsiednie. Jakby powiedział Kisiel: „Zgadnij, Koteczku, dlaczego?".

Z pozoru więc wszystko w tej ustawie wygląda pięknie, niczym w filmie „Avatar", na którym w końcowych sekwencjach matka planeta się wściekła i pogoniła antypatycznych kapitalistów. Tylko gdy przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że empatyczni obrońcy przyrody będą się po prostu chcieli na niej uwłaszczyć, czyniąc to tak sprytnie, że nikt nie będzie śmiał tego w ten sposób nazwać, i oczywiście unikając w związku z tym wszelkiej odpowiedzialności, która spoczywa na właścicielu ziemi czy nieruchomości, i tworząc w ten sposób Nowy Wspaniały Świat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Jak oligarchia kozacka zrujnowała

Jacek Komuda

Zaczątki oligarchii, której działalność szkodzi dziś uwikłanej w wojnie Ukrainie, można odnaleźć już w działalności hetmanów i urzędników wojska zaporoskiego w połowie XVII w.

Bohdan Chmielnicki, hetman kozacki, którego znamy z „Trylogii" Henryka Sienkiewicza, zbudował kozackie księstwo, którego ceną autonomii politycznej miało być nominalne zwierzchnictwo Moskwy. Jednak car szybko dał się poznać jako samowładca, który nie liczył się z głosem Kozaków. W czasie rokowań z Rzecząpospolitą w Niemierzy ich posłowie nie zostali dopuszczeni do rozmów. Chmielnicki rozgniewał się wówczas i rozwinął własną akcję, porozumiewając się ze Szwecją i z Siedmiogrodem, wysłał też posiłki Jerzemu II Rakoczemu. Na więcej nie pozwolił mu stan zdrowia. 16 kwietnia 1657 r. zwołał radę starszyzny i przekazał buławę synowi Jurijowi; 6 sierpnia zmarł w Czehryniu. Kozackie księstwo było wówczas u szczytu potęgi; jednak tylko za sprawą osoby hetmana, który jako pogromca Lachów cieszył się ogromnym autorytetem, prowadził sprytną politykę, a wszelkie przejawy buntu brutalnie likwidował. Jego następcy nie mieli takiej charyzmy, zwykle też swój własny interes stawiali ponad dobrem kozackiego państwa, stając się pierwowzorem dzisiejszych oligarchów. Doprowadzili Ukrainę kozacką do kompletnej ruiny i podziału pomiędzy Polskę, Moskwę i Turcję.

TRZY STRONNICTWA

Po śmierci Chmielnickiego Kozaczyzna podzielona była na stronnictwa, skupione wokół pułkowników i atamanów. Zaciekle rywalizowały one o władzę i wpływy. Jednym z większych stronnictw była partia szlachetnie urodzonych Kozaków skupiona wokół Iwana Wyhowskiego, których celem było utrwalenie władzy i majątków uzyskanych w czasie powstania. Przedstawiciele tego stronnictwa doszli do znacznych bogactw, stając się odpowiednikiem szlachty, a nawet magnaterii na łonie Kozaczyzny. Cóż jednak z tego, skoro w realiach wojskowej demokracji zaporoskiej w każdej chwili mogli je stracić, a nawet zostać pozbawieni urzędów i godności, gdyby zwrócił się przeciwko nim gniew zaporożców. Dlatego szukali oparcia w przejściu pod panowanie suwerena, który zagwarantowałby ich przywileje i stan posiadania, niezależnie od kół generalnych – to wynoszących nowych hetmanów i pułkowników, to obalających ich w zależności od humorów czerni i Kozaków siczowych. Kimś takim miał stać się car; ten jednak brutalnie ograniczał kozackie wolności. Lepszym gwarantem okazała się Rzeczpospolita; tym bardziej że wielu popleczników Wyhowskiego, jak magnat Jerzy Niemirycz, znany wódz Hrehory Hulanicki czy Paweł Tetera, wykształcony i obyty w świecie, pochodziło wprost ze szlachty, która przyłączyła się do Kozaków Chmielnickiego dobrowolnie lub została zmuszona. Sam przywódca był szlachcicem wziętym przez Tatarów do niewoli nad Żółtymi Wodami i wykupionym przez Kozaków.

To stronnictwo wzięło na razie górę, gdyż 4 września 1657 r. rada starszyzny, a potem rada generalna Kozaków w Korsuniu przekazała buławę Iwanowi Wyhowskiemu, do czasu uzyskania pełnoletniości przez Jurija Chmielnickiego. Stronnictwo szlacheckie miało jednak wrogów, którzy zazdrościli im znaczenia i wpływów, zwłaszcza po tym, kiedy Wyhowski otrzymał buławę. Oni także szukali protektora, który pomógłby im zdobyć władzę. Byli wśród nich krewni starego Chmielnickiego – Jakym Somka i Wasyl Zołotarenko, niezadowoleni, że nie im powierzono opiekę nad małoletnim Chmielnickim. Był także Martyn Puszkar, zazdroszczący, że nie on został hetmanem. W przeciwieństwie do Wyhowskiego jednak to nie oni rozpętali piekło.

BUNTY OLIGARCHÓW KOZACKICH

Uczyniło to kolejne kozackie stronnictwo – towarzystwo złożone z najstarszych, najbardziej doświadczonych w bojach Kozaków, którzy stale mieszkali na Siczy i Dnieprowym Niżu. Byli to ludzie prowadzący niezależną od hetmanów politykę. W dzisiejszych czasach ich rolę na Ukrainie odgrywać będą być może weterani wojny z Rosją, obyci z bronią

eprasa.pl fecde7f9bb

Ukrainę

Obraz Michaiła Chmielki przedstawiający zawarcie ugody perejasławskiej
FOT. DOMENA PUBLICZNA

i niebezpieczni. Siczowi Kozacy opowiadali się za anarchią, odpowiadał im stan, w którym Kozaczyzna albo byłaby niezależna, albo – jak za Chmielnickiego – wiązała się po kolei z każdym sąsiadów, zdradzając go w zależności od koniunktury i porzucając. Wówczas mogliby dobrze żyć z łupów i zdobywać mołojecką sławę. Bogatej starszyzny „towarzystwo" nienawidziło, gdyż wchodziła ona w rolę szlachty, ograniczając ich swobody.

Sicz zatem zbuntowała się pierwsza pod pozorem niezaproszenia „towarzystwa" na wybory nowego hetmana. Ataman Jakub Barabasz wyruszył z Niżu, po czym zaatakował posiadłości starszyzny. W odpowiedzi Wyhowski zarządził blokadę Zaporoża. Zaczęła więc powtarzać się sytuacja z 1648 r., kiedy Chmielnicki uciekł na Niż, tyle że w rolę hetmana Potockiego wszedł tym razem… Wyhowski.

Wkrótce wystąpiła promoskiewska opozycja w osobie Martyna Puszkara, pułkownika połtawskiego, który wspólnie z Barabaszem napisał donos do cara, nazywając Wyhowskiego „Lachem" i oskarżając, że zamierza „sprzedać Ukrainę Polsce", wzywając Moskali do interwencji. Jesienią wybuchło na Zadnieprzu powstanie czerni, która jak w 1648 r. tym razem zbuntowała się przeciwko uciskowi kozackiej szlachty. Wyhowski jednak był szybszy – odnowił sojusz z chanem – tym razem skierowany przeciwko buntownikom – i w maju 1658 r. zaatakował Połtawę. Udało mu się pobić Puszkara, który zginął w walce, spalić miasto; Kozacy schwytali Jakuba Barabasza, którego za bunt Wyhowski kazał powiesić. Jednocześnie stronnictwo szlacheckie samo postawiło się w sytuacji buntowników – zlikwidowało wszak zwolenników Moskwy. Dlatego Wyhowski, korzystając z pośrednictwa Niemirycza, rozpoczął negocjacje z Rzecząpospolitą, co zaowocowało podpisaniem ugody hadziackiej powołującej do istnienia Księstwo Ruskie.

„OPERACJA SPECJALNA"

Na reakcję nie trzeba było długo czekać – car wysłał wojska, aby rozpoczęły pacyfikację Kozaczyzny. Na Zadnieprzu przyłączyły się do nich elementy pułku mirhorodzkiego i pułk połtawski – zdradzając Wyhowskiego. Hetmanowi nie udało się zdobyć Kijowa, co w połączeniu z zajęciem wroga Łubnów sprawiło, że Kozacy zaczęli krytykować hetmana oraz domagać się pomocy od króla Jana Kazimierza i chana tatarskiego. Pomimo tego Wyhowski pobił w lipcu 1659 r. armię Trubeckiego pod Konotopem, uwalniając oblężonego w mieście Hulanickiego, ale to był szczyt możliwości hetmana, którego władza słabła z miesiąca na miesiąc. Największy cios zadał mu… sejm Rzeczypospolitej, który zatwierdził ugodę, ale ją okroił – ograniczając znacznie suwerenność Księstwa Ruskiego. W tym samym czasie kniaź Aleksy Trubecki, dowodzący wyprawą pacyfikacyjną, rozpoczął organizowanie opozycji przeciwko Wyhowskiemu, przeciągając na swoją stronę atamanów i pułkowników, którzy krytykowali hetmana; byli to m.in. Iwan Bezpały, Stiepan Dowgal oraz Iwan Doniec.

Wkrótce na Zadnieprzu zbuntował się Tymofiej Cieciura, pułkownik perejasławski, który wprost zaprosił Trubeckiego na Ukrainę. Jego poplecznikami zostali wspomniani wcześniej Jakim Sonka i Wasyl Zołotarenko, wzmacniając stronnictwo promoskiewskie. Jednocześnie wybuchł drugi bunt na Siczy – nowy ataman koszowy Iwan Sirko zaatakował ułusy Ordy Nohajskiej, podczas gdy ta brała udział w bitwie pod Konotopem, aby odciągnąć ją od pomocy Wyhowskiemu.

GAMBIT TRUBECKIEGO

We wrześniu 1659 r. opozycjoniści ogłosili zebranie czarnej rady w Germanówce pod Kijowem. 11 września starły się tutaj stronnictwa: Wyhowskiego, opowiadające się za współpracą z Rzecząpospolitą, i Iwana Sirki oraz Jurija Chmielnickiego, syna nieżyjącego od dwóch lat hetmana. Rada skończyła się krwawym konfliktem, w którym rozsiekano kozackich posłów na sejm Rzeczypospolitej: Prokopa Wereszczakę

eprasa.pl fecde7f9bb

i Stefana Sulimę. Wyhowskiego zrzucono z urzędu hetmana – musiał uciekać z Ukrainy, dołączając do wojsk Rzeczypospolitej – był zresztą z nominacji Jana Kazimierza wojewodą kijowskim i starostą barskim. Nie odegrał już jednak żadnej roli politycznej, a w 1664 r. hetman Tetera oskarżył go o spiskowanie z Moskwą i kazał rozstrzelać.

Zwycięzcy zwołali kolejną radę w Białej Cerkwi, na której już oficjalnie wybrano na hetmana Jurija Chmielnickiego, słabego, mało zdolnego i bezwolnego młodzieńca, który był tylko cieniem starego ojca. Chmielnicki zgodził się na wszystko, co podpowiadali mu Sirko, Sonka i Zołotarenko, którzy zamierzali zawrzeć z carem nową ugodę perejasławską, tyle tylko że na nowych zasadach. Wysłał do księcia Aleksego Trubeckiego posłów z listami, w których zaporożcy domagali się, aby wojsko moskiewskie mogło stacjonować tylko w Kijowie, a carscy urzędnicy nie mogli kontaktować się z kozacką starszyzną bez wiedzy hetmana. A także aby we wszystkich ustaleniach dyplomatycznych dotyczących Ukrainy brali udział posłowie wojska zaporoskiego.

Były to żądania bardzo wygórowane, a starszyzna przeliczyła się z własnymi możliwościami. Oligarchowie kozaccy nie pomyśleli bowiem, że prowadząc politykę ciągłego zmieniania stron, obalając kolejnych hetmanów i zrywając ugody – to z Moskwą, to z Rzecząpospolitą – sprawią, że warunki, na które zgodzą się wysłannicy cara i króla, będą coraz gorsze, a dla Ukrainy rozpocznie się powolny upadek. To, jak Trubecki potraktował młodego Chmielnickiego, pokazywało, że Moskwa nie widzi w Kozakach partnera, a raczej zbuntowanego poddanego – chołopa. Jednak sposób, w jaki kniaź rozegrał młodego Chmielnickiego, zasługuje dziś na podziw; to dyplomatyczny majstersztyk w stylu obecnej putinowskiej dyplomacji.

Po pierwsze, Trubecki zadbał o to, aby na Lewobrzeżnej Ukrainie powołać własne stronnictwo – uczynił to, wywyższając lub przekupując część starszyzny z lokalnych pułków, która wcześniej zazdrościła pozycji i znaczenia Wyhowskiemu, a teraz – stronnictwu Jurija Chmielnickiego. Następnie zaprosił hetmana na osobiste pertraktacje do Perejasławia. Na miejscu

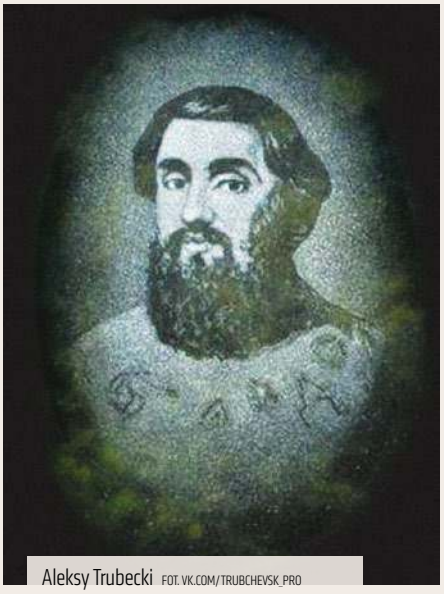
Aleksy Trubecki FOT. VK.COM/TRUBCHEVSK_PRO

Jurij Chmielnicki FOT. DOMENA PUBLICZNA

okazało się, że wpadł w pułapkę – Perejasław otoczony był przez wojsko moskiewskie, wśród którego, owszem, znajdowali się Kozacy z Zadnieprza – ale tylko ci przekupieni przez Trubeckiego; gdyby nawet usiłowali protestować, zostaliby szybko uciszeni przez carskie oddziały. Kniaź Aleksy w pierwszej kolejności zwołał „radę" zaporoską i jeszcze raz kazał obwołać Chmielnickiego hetmanem – pokazując mu, że ten może trzymać buławę tylko za pozwoleniem cara. Potem przedłożył mu do podpisu przygotowany wcześniej tekst ugody znany później jako artykuły perejasławskie, ograniczające autonomię Kozaków, którzy spadli do roli zwykłych sług. Ich hetman nie mógł prowadzić polityki, musiał dostarczać pomocy wojskowej carowi na każde żądanie, nie był w stanie nawet odwoływać pułkowników; co więcej, metropolita kijowski musiał uznać zwierzchnictwo patriarchy moskiewskiego.

KRWAWA RYWALIZACJA

Traktat z carem obowiązywał tylko rok. Jesienią roku 1660 Moskwa urządziła dwie wielkie wyprawy na Rzeczpospolitą. Jednak wojsko carskie zostało otoczone i zmuszone do kapitulacji pod Cudnowem przez armię koronną pod dowództwem hetmanów koronnych wspartych przez ordę tatarską. Idące z pomocą oddziały kozackie zostały otoczone pod Słobodyszczem; tutaj w obliczu klęski Jurij Chmielnicki podpisał z Rzecząpospolitą ugodę zwaną później cudnowską, przywracającą część ustaleń ugody hadziackiej – tyle tylko że nie było mowy o Księstwie Ruskim. Był to więc kolejny krok w tył dla Kozaków – tym razem w stosunkach ze stroną polską.

Ugoda została zatwierdzona przez radę kozacką w Korsuniu, jednak była początkiem faktycznego podziału wojska zaporoskiego. W tym samym czasie bowiem, jak pisze Natalia Jakowlenko, trzy pułki zadnieprzańskie – perejasławski, niżyński i czernichowski – wróciły pod władzę cara, a Jakim Somko powtórnie złożył w Perejasławiu przysięgę na wierność władcy Moskwy, za co został nagrodzony przyznaniem mu tytułu hetmana „nakaźnego" lewego brzegu Dniepru. Tak pojawił się kolejny element polityki carskiej. Od teraz Moskwa zawsze miała w zanadrzu kilku pułkowników lub atamanów, których w razie potrzeby gotowa była wynieść do godności hetmańskiej, aby zdyskontować i osłabić władzę Jurija Chmielnickiego i każdego z jego następców.

Ugruntował się także drugi mechanizm oligarchii. Oto dochodzący do władzy kozaccy pułkownicy zawsze szukali oparcia w jakiejś zewnętrznej sile, która

Sposób, w jaki książę Aleksy Trubecki rozegrał Jurija Chmielnickiego, syna Bohdana, zasługuje dziś na podziw. To dyplomatyczny majstersztyk w stylu obecnej putinowskiej dyplomacji

eprasa.pl fecde7f9bb

pomogłaby nie tylko utrzymać ich władzę i pozycję. To zjawisko doprowadziło do katastrofalnego upadku Kozaczyzny, gdyż wielu atamanów zmieniało protektorów w zależności od tego, która ze stron walczących o Ukrainę była silniejsza – Rzeczpospolita czy Moskwa; później zaś zaczęli orientować się na Turcję, a w XVIII w. – nawet na Szwecję. Doszło także do ich rywalizacji o względy suwerena. Kiedy hetmanem na Zadnieprzu został wspomniany Somka, przeciwko niemu wystąpił jego dawny sojusznik – Wasyl Zołotarenko, który zaczął pisać na konkurenta donosy do cara; Somka odpowiedział mu własnymi, próbując usunąć konkurenta. Wówczas kniaź Grigorij Romodanowski sięgnął po własnego kandydata – Iwana Brzuchowieckiego, Kozaka z Siczy, który z własnym pocztem sam zgłosił się do księcia. W czerwcu 1663 r. na czarnej radzie w Niżynie, gdzie zaporożców otoczyło carskie wojsko, został „wybrany" na hetmana. Nie pomogło nawet czasowe pogodzenie się przeciwników – po stronie Brzuchowieckiego stanęły czerń i władza cara, a po ogłoszeniu nowego hetmana jego rywale zostali zamordowani jako zdrajcy.

Jednak Brzuchowiecki, chociaż doszedł do władzy na karkach czerni, której interesy jakoby reprezentował, szybko zaczął robić karierę jako zaufany sługa cara, poświęcając interesy kozackie. Sam z własnej woli pojechał do Moskwy pokłonić się carowi Aleksemu Michajłowiczowi, za co otrzymał tytuł bojara i rękę księżnej Darii z rodu Dołgorukich. W zamian za to podpisał artykuły moskiewskie które w zasadzie likwidowały autonomię kozacką i na początku następnego roku wywołały powstanie na Zadnieprzu.

Podobne walki wewnętrzne rozgrywały się na Prawobrzeżu. Hetman Jurij Chmielnicki usiłował zjednoczyć Ukrainę – przez dwa kolejne lata organizował wyprawy na drugi brzeg Dniepru wsparte posiłkami tatarskimi. Wszystkie skończyły się klęską, ostatecznie nie był w stanie dźwigać ciężaru władzy, stale zagrożonej przez bunty niezadowolonych Kozaków, i pod koniec 1662 r. złożył buławę, wstępując do klasztoru. Po jego śmierci na hetmana wybrano Pawła Teterę – przedstawiciela tego samego stronnictwa co Wyhowski, szlachcica, który przed powstaniem Chmielnickiego służył w sądzie we Włodzimierzu. Był wierny Rzeczypospolitej, jednak jego panowanie podkopała nieudana polsko-kozacko-tatarska wyprawa na Moskwę w 1663 r. Osłabienie władzy króla na Prawobrzeżu oznaczało, że Kozacy zaczęli znowu orientować się na Moskwę, a Tetera postanowił brutalnie rozprawić się z rzekomą opozycją. Doprowadził do skazania na śmierć Iwana Bohuna oraz Jana Wyhowskiego – oskarżając ich o knucie z Moskwą; walczył z Brzuchowieckim, jednak w 1665 r., kiedy w Rzeczypospolitej rozpoczął się rokosz Jerzego Sebastiana Lubomirskiego i wojska koronne zostały wycofane z Ukrainy, zaczęły tutaj wybuchać bunty. Tetera, obawiając się śmierci, tak jak Wyhowski złożył buławę i uciekł nad Wisłę.

ROZSZARPANI

Na Ukrainie Prawobrzeżnej pojawiło się wówczas kilku samozwańczych pretendentów do buławy. Jednym z nich był wspominany Iwan Sirko, wrogi wobec zarówno Polski, jak i Moskwy, czasem przerzucający się z obozu do obozu. Drugim stał się Wasyl Drozdenko, który ostatecznie pobił i zmusił do ucieczki z Bracławia Teterę. Z kolei Stepan Opara opanował Humań i ogłosił się hetmanem Prawobrzeża, mając poparcie… Tatarów. Został jednak schwytany przez część starszyzny i ordyńców, którzy zaczęli popierać Piotra Doroszenkę. Ten początkowo był przychylny Polsce, jednak kiedy na jaw wyszły rokowania w Andruszowie i przygotowywany podział Ukrainy, zawarł sojusz z Tatarami; w grudniu 1666 r. rozbił pod Brajłowem dywizję Sebastiana Machowskiego, rozpoczynając kolejną wojnę z Rzecząpospolitą i wracając do sytuacji z 1648 r.

Pomimo klęski pod Podhajcami w styczniu 1668 r. na kozackiej radzie w Czehryniu zaproponował starszyźnie poddanie się pod protekcję sułtana. Znamienne, że w tym samym czasie tracący popularność Brzuchowiecki próbował się ratować, zwołując radę Lewobrzeża w Hadziaczu, która również opowiedziała się za rozpoczęciem rozmów z Portą. Wkrótce wybuchło tutaj powstanie przeciwko Moskwie. Doroszenko zaprosił wówczas Brzuchowieckiego na spotkanie, a następnie zamordował go, zostając na kilka miesięcy hetmanem zjednoczonej Ukrainy, jak przed nim Wyhowski i Chmielnicki. Jednak oligarchia okazała się zbyt silna, a Kozaczyzna zbyt słaba, aby utworzyć państwowość niezależną od sąsiadów; trudno nawet domniemywać, że był to cel pułkowników i starszyzny. Kiedy na Zadnieprze spadło moskiewskie uderzenie, na stronę cara przeszedł Demian Mnohohriszny, który w marcu 1669 r. został ogłoszony hetmanem Lewobrzeża. Wkrótce obaliła go klika pułkowników i atamanów, oskarżając o sprzyjanie Doroszence; wydany Moskwie powędrował na zesłanie na Syberię razem z rodziną i sługami. 27 czerwca 1672 r. hetmanem pozostającego pod kontrolą Moskwy Lewobrzeża obwołany został Iwan Samojłowicz, zaciekły wróg Mnohohrisznego.

Oligarchia okazała się zbyt silna, a Kozaczyzna zbyt słaba, aby utworzyć państwowość niezależną od sąsiadów

W tym samym czasie Piotr Doroszenko, który – jak dziś byśmy powiedzieli – z typowo banderowską butą głosił powstanie państwa kozackiego z granicami po Przemyśl, Jarosław, Lwów i Halicz, przeżył kompletne załamanie władzy. Na radzie wojskowej w 1669 r. pod Korsuniem zmusił starszyznę Prawobrzeża do przyjęcia władzy sułtana. Jednak faktycznie oznaczało to ruinę tej części Ukrainy. Pomimo zdobycia Kamieńca w 1672 r. Turcy i Tatarzy doszczętnie złupili Prawobrzeże, w dodatku Moskwa rozpoczęła wojnę z Turcją, próbując wyrwać z rąk tureckich ziemie, do których praw zrzekła się Rzeczpospolita. We wrześniu 1676 r. w Czehryniu Doroszenko opuszczony przez wszystkich skapitulował przed Moskwą i Samojłowiczem, przekazując carskim wojewodom hetmańskie insygnia. Został wywieziony do Moskwy i osadzony w Wiatce, gdzie przez pewien czas był nawet wojewodą. Nigdy nie wrócił na Ukrainę, zrujnowaną, rozdartą i zrytą kopytami trzech armii oraz tatarskiej ordy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Od menela do cesarza

Łukasz Czarnecki

Historia życia zmarłego w 195 r. p.n.e. Liu Banga pokazuje, że w czasach zamętu możliwe są najbardziej nieprawdopodobne kariery. Pijaczek spod sklepu z porzuconej wśród bagien pipidówki, wystrychnąwszy na dudka elity oraz pokonawszy najsłynniejszego wodza swojej epoki, objął władzę nad Chinami, zakładając najdłużej panującą dynastię w dziejach Państwa Środka

Antybohater tej osobliwej historii na kartach kronik zapisać miał się jako Han Gaozu, czyli Czcigodny Przodek Dynastii Han. Po prawdzie ów tytuł pasował doń jak wół do karety, bo określić można go było całą gamą przymiotników, niekoniecznie kulturalnych. Zresztą on sam słynął z bardzo… barwnego języka do tego stopnia, że jego najbliższym doradcom zdarzało się… kneblować pracodawcę w szczególnie newralgicznych momentach.

NOWY PORZĄDEK ŚWIATA

Naszą opowieść zacząć musimy od nakreślenia realiów, które miały stać się sceną dla niezwykłej kariery Liu Banga. Gdy przyszedł na świat, nie było jeszcze takiego państwa jak Chiny. Istniało siedem królestw o nazwach Chu, Han, Qi, Wei, Yan, Zhao oraz Qin. Ich mieszkańców łączyły język, kultura i wierzenia, ale kraje toczyły ze sobą nieustanne wojny. Ostatecznie z owych zapasów zwycięsko wyszło położone na zachodnich rubieżach państwo Qin, które tym różniło się od sąsiadów, że jego królowie zamiast przestrzegać starożytnych tradycji, wprowadzili w swojej domenie ustrój bez mała totalitarny. W polityce zagranicznej nie przestrzegali żadnych reguł, o czym przekonał się na własnej skórze jeden z królów Chu, którego w roku 299 p.n.e. zaproszono do Xianyangu, stolicy Kraju za Przełęczami (jak zwano Qin), na konferencję pokojową. Ufny w protokół dyplomatyczny władca pojechał na zachód i… nigdy już do ojczyzny żywy nie wrócił, bo po dotarciu do celu podróży natychmiast wylądował w lochu, gdzie go zamęczono. Gdy wieści o tej zdradzie dotarły do Chu, królewski brat, którego otaczała sława proroka, wygłosił przepowiednię głoszącą, że choćby ze wszystkich mieszkańców kraju pozostały przy życiu tylko trzy rodziny, to jedna z nich wyda mściciela.

W roku 221 p.n.e. na chińskiej mapie pozostało już tylko państwo Qin. Pozostałe królestwa zostały podbite. Władca Kraju za Przełęczami ogłosił się Pierwszym Cesarzem z dynastii Qin, inne tytuły były mu niepotrzebne, założone przez niego cesarstwo trwać miało do końca czasu, rządzone przez kolejnych cesarzy z jego rodu. Po raz pierwszy w swych dziejach Chiny zostały zjednoczone w jedno państwo. I od razu zakosztowały straszliwej tyranii. Zaczęły się totalna inwigilacja, roboty przymusowe, deportacje, wysokie podatki, masowe egzekucje, palenie nieprawomyślnych książek konfucjańskich (często razem z właścicielami), a także po raz pierwszy w dziejach ludzkości fałszowanie historii na masową skalę – nie tylko zniszczono wszystkie kroniki poza tymi z Qin, lecz także wprowadzono karę śmierci za samo rozmawianie o dawnych czasach!

Pierwszy Cesarz zmarł w roku 210 p.n.e. W testamencie wyznaczył na spadkobiercę swego najstarszego syna, szlachetnego księcia Fusu, którego wygnał na północne pogranicze za zbyt liberalne poglądy. Jednakże już kilka minut po zgonie tyrana zawiązał się spisek dworskiego eunucha Zhao Gao i kanclerza Li Si. Zdrajcy sfałszowali ostatnią wolę zmarłego, wynosząc do władzy jego najmłodszego syna, Huhaia, a prawowitego spadkobiercę zmuszając do samobójstwa. Drugi Cesarz był człowiekiem słabym i głupim. Wycofał się w zacisze haremu, przekazując rządy w ręce kastrata, ten zaś rozpętał taki terror, że czasy Pierwszego Cesarza musiały wydawać się poddanym złotą epoką wolności. Kara śmierci zaczęła grozić za wszystkie, najdrobniejsze nawet przewiny, podatki poszły w górę, branki do robót przymusowych i wojska stały się bezterminowe, a w stolicy rozszalała się czystka, w wyniku której nawet sam Li Si

eprasa.pl fecde7f9bb

trafił do lochu i po okrutnych torturach został poćwiartowany na miejskim rynku.

PIJAK I ZŁODZIEJ

Liu Bang przyszedł na świat w małej wiosce gdzieś na półdzikim pograniczu królestwa Chu w ostatnich dniach jego wolności. Okoliczności narodzin były wyjątkowo skandaliczne, bo mąż jego matki pewnego dnia przyłapał małżonkę z sąsiadem. Kroniki milczą, czy doszło do tego w stogu siana, ale aktywność, której oddawali się pani Liu i jej przyjaciel, była aż nadto oczywista. Liu Duan (bo tak zwał się zdradzony mąż) wpadł w straszny gniew. Gdy dziewięć miesięcy później urodził się nasz bohater, mężczyzna nie uznał go za prawowitego potomka, co więcej – wziął sobie drugą żonę, a niewierną połowicę traktował odtąd niczym służącą. Na dzieci zrodzone z nowego stadła nie szczędził środków i zapewnił im dobre wykształcenie. Liu Bangiem pomiatał, bił go i zmuszał do niewolniczej pracy, w efekcie czego chłopak wyrósł na półanalfabetę głęboko nienawidzącego ojca – czy też ojczyma – oraz wszystkich sąsiadów z wioski.

Jako dorosły mężczyzna Liu Bang był de facto parobkiem bez perspektyw. Rozeźlony topił smutki w alkoholu i wkrótce stoczył się, zostając lokalnym menelem. Chlał ryżowe wino litrami, przepuszczając na nie każdy grosz. A że pieniędzy właściwie nigdy nie miał, więc pił na „bambusową deseczkę" (bo te służyły wówczas za materiał do pisania) lub jakbyśmy dziś powiedzieli – na zeszyt. Jednakże właścicielki dwóch największych gospód w okolicy regularnie umarzały pijaczkowi długi. Szybko bowiem zauważyły, że pijany Liu Bang robi z siebie takie widowisko, iż goście walili do karczm, w których biesiadował, byleby posłuchać bredni wyrzucanych z siebie przez niego w stanie nietrzeźwym.

Kiedy państwo Chu stało się częścią cesarstwa, okręg Pei, w którym mieszkał nasz antybohater, dostał nowego naczelnika, ten zaś zaczął werbować do współpracy miejscowych kolaborantów. Do administracji okupanta natychmiast zgłosiły się najgorsze męty z okolicy. W tym i Liu Bang! Sąsiadom, którzy naśmiewali się z pijaczka, włosy stanęły dęba z przerażenia, bo ten chlejący na kredyt, prawie niepiśmienny menel najpierw został naczelnikiem swojej wioski, a potem awansował na głowę powiatu! Co gorsza, szybko stał się ulubieńcem szefa okręgu, pod którego protekcją na najdziksze sposoby wykorzystywał swoją władzę, wymuszając łapówki i terroryzując wszystkich dookoła. Z dnia na dzień robiło się coraz gorzej, a gdy Liu Bang wrócił z delegacji do stolicy, gdzie odprowadzał grupę robotników przymusowych, i zobaczył (z daleka) Pierwszego Cesarza, to już mu całkiem palma odbiła. Wśród ludności budził grozę i wstręt, lecz wszyscy mu nadskakiwali. Kolaborant nie cofał się przed fałszywymi oskarżeniami wobec sąsiadów, doprowadzając ich do ruiny, a chlał nawet więcej niż dawniej. Nadal zresztą nie płacąc, bo karczmarze zbyt się go teraz bali, by żądać należności. Zresztą nie tylko oni, gdyż bezczelność Liu Banga urosła do tego stopnia, że wynosił towary ze sklepów!

W końcu chyba nawet protektor naszego antybohatera miał go dość, bo już za rządów Drugiego Cesarza powierzył jego pieczy kolejny kontyngent nieszczęśników z branki, których miał odprowadzić do stolicy… tyle że bez pomocy choćby jednego strażnika! Oczywiście efekt był taki, że połowa przymusowych robotników dała nogę. Liu Bang doprowadził ich zresztą tylko do podwórza własnego domu, po czym wszedł do środka, tęgo się napił i wróciwszy na zewnątrz, oświadczył swoim „podopiecznym", że mogą wracać do domu, a on ucieka na bagna, by zostać bandytą. Rozradowani niewolnicy rozbiegli się po okolicy, a część z nich przystała do nowo powstałej bandy i ruszyła ze swym hersztem, by łupić bogatych… oraz biednych. I każdego, kto się nawinie.

GDY WIEJE WIATR HISTORII…

W 209 r. p.n.e. w innej części dawnego państwa Chu zdarzyła się historia dość podobna do tej, która była udziałem Liu Banga… Dwóch oficerów okupanta prowadziło na miejsce zbiórki grupę ofiar branki do wojska. Tak się złożyło, że silne deszcze opóźniły marsz i jasne się stało, że oddział nie dotrze do koszar na czas. Okrutne prawo imperium za opóźnienie karało masową egzekucją wszystkich rekrutów. Niedoszli żołnierze nie mieli ochoty iść jak owce na rzeź. Gdy zrozumieli, jaki los ich czeka, zamordowali oficerów. Dokonawszy tego, również chcieli uciec w lasy i zostać rozbójnikami, ale dwóch sierżantów – Chen Sheng i Wu Guang – zaproponowało alternatywę. Wedle nich o wiele lepszym pomysłem było podnieść sztandar powstania przeciw Krwawej Bestii. Rekruci poparli pomysł i ruszyli na pobliskie miasto, które zdobyli bez walki. Ledwie bowiem do mieszkańców dotarły wieści o rebelii, sami wymordowali cesarskich urzędników i garnizon. Wkrótce podobne sceny powtarzały się w całym Chu, dawne królestwo zrzuciło kajdany, a Chen Sheng koronował się na króla!

Powstańcy zdawali sobie sprawę z tego, jak małe będą mieli szanse, gdy imperium przejdzie do kontrataku. Dlatego Chen natychmiast rozesłał swoich towarzyszy po innych częściach cesarstwa, by nieśli tam zarzewie buntu. Powstanie rozlało się na większą część Chin i proklamowano odrodzenie państw Qi, Wei, Yan, Zhao. Tylko w Han ludziom zabrakło odwagi. Zaledwie dwa lata po śmierci Pierwszego Cesarza jego „wieczne" imperium rozpadło się na kawałki. Metropolia reagowała z opóźnieniem, bo gdy do stolicy dotarli pierwsi kurierzy z niepomyślnymi wieściami, Zhao Gao kazał… ich aresztować. Wiele wody w Rzece Żółtej upłynęło, zanim eunuch przestał udawać, że wszystko jest w porządku, lękając się utraty wpływu na cesarza. Gdy wysłano wreszcie wojska celem stłumienia rebelii, panował już totalny chaos i choć początkowo oddziałom Qin udawało się zwyciężać powstańców, to ledwie żołnierze opuszczali spacyfikowany teren, powstanie wybuchało na nim na nowo. Pierwsi przywódcy buntu, na czele z Cheen Shengiem, zginęli, ale na ich miejsce pojawili się nowi, aż wreszcie głównodowodzącym rebelii został legendarny opozycjonista, arystokrata i generał Xiang Liang. Gdy i ten poległ w 208 r. p.n.e., jego miejsce zajął młodziutki bratanek Xiang Yu, mający przejść do historii jako najwspanialszy rycerz w chińskich dziejach.

Tymczasem w okręgu Pei miejscowa ludność zamordowała dawnego zwierzchnika Liu Banga. Gdy miejscowi, stojąc nad trupem naczelnika, zrozumieli, co zrobili, przerazili się zemsty władz i uradzili, że wyślą posłów do herszta bandytów, prosząc, by przejął nad nimi komendę, a gdy na horyzoncie pojawią się żołnierze imperium, zwalą całą winę za ruchawkę na rozbójników.

Liu Bang wmaszerował do Pei, po czym… ogłosił się księciem. Następnie zajął sąsiedni okręg. Swoim małym księstwem długo się jednak nie nacieszył, bo napadły je oddziały powstańców z odrodzonego

eprasa.pl fecde7f9bb

królestwa Wei i włączyły do swej domeny. Książę Pei zwiał ze swoimi ludźmi, ale po drodze werbował kolejnych i ostatecznie dorobił się całkiem pokaźnej armii. Pomaszerował z nią do głównego obozu rebeliantów i oddał się pod dowództwo Xiang Lianga, ten zaś mianował go generałem.

Nie czas tu i nie miejsce na wyliczanie kolejnych bitew i nazwisk wodzów, które Europejczykom nie mówią kompletnie nic. Ostatecznie głównodowodzącym rebelii został – jak wspomnieliśmy – Xiang Yu, a Liu Bang pomaszerował na Kraj za Przełęczami. Los mu sprzyjał, bo w tym czasie Zhao Gao zamordował Drugiego Cesarza, a gdy nikt nie chciał uznać kastrata królem, postanowił osadzić na tronie brata Pierwszego Cesarza, księcia Ziyinga. Ten jeszcze przed swoją koronacją wraz z synami zadźgał eunucha, używając do tego odłamków garnka. Gdy Liu Bang zbliżał się do stolicy, Ziying wyjechał mu na spotkanie i skapitulował przed niedawnym menelem. Nasz antybohater zabronił swym ludziom rabunków i gwałtów, oczyma duszy widząc się już na tronie Kraju za Przełęczami. Wkrótce jednak w ślad za nim pod Xianyangiem stanęły wojska pałającego fanatyczną nienawiścią do Krwawej Bestii Xiang Yu. Ten już nie znał litości. Przerażony Liu Bang zapakował królewskie archiwa na wozy i wjechał z nimi do obozu głównodowodzącego, złożył mu hołd i zameldował, że zabezpieczył dlań stolicę wroga. Tym samym ocalił własne życie, bo doradcy młodego wodza radzili mu zabić niepewnego, wiecznie pijanego sojusznika. Dawną stolicę imperium mściwy młodzian kazał spalić do fundamentów, mężczyzn wymordować lub wziąć w niewolę, a kobiety zgwałcić i podzielić między żołnierzy. Dokonawszy krwawego dzieła, odjechał do rodzinnego Chu.

WOJNA O TRUPA IMPERIUM

W roku 207 p.n.e. zwycięscy wodzowie podzielili imperium między siebie. Powstało 19 królestw, mających uznawać zwierzchność króla hegemona z państwa Chu. Tym ostatnim ogłoszono ostatniego żywego przedstawiciela tamtejszego rodu panującego, ale zaledwie po kilku dniach został zamordowany, a koronę zagarnął dla siebie Xiang Yu.

Jeśli chodzi o Liu Banga, to przyznano mu ziemie dzisiejszego Syczuanu, które od płynącej przez nie rzeki nazwano królestwem Han (dawne Han istniało nadal, ale mocno okrojone i – by uniknąć pomyłki – historycy określają je od tego momentu mianem Hann). Dawny menel został monarchą, co więcej – panującym nad drugim co do wielkości po Chu z państw sukcesyjnych. Nie zapomniał jednak, że wyrwano mu z rąk Kraj za Przełęczami.

Już w 206 r. p.n.e. dawni towarzysze broni rzucili się sobie do gardeł. Każdy uważał, że przy podziale trupa imperium dostał za mało. Xiang Yu musiał znów ruszać w pole. Gdy był zajęty na wschodzie i południu, Liu Bang wmaszerował do dawnego królestwa Qin i włączył je do swojej domeny. Potem, przekroczywszy przełęcze, ruszył na czele swych wojsk, zasilonych weteranami armii imperialnej, na podbój reszty Chin.

Totalna wojna wszystkich ze wszystkimi trwać miała do roku 202 p.n.e. Sojusze zmieniały się jak w kalejdoskopie. Xiang Yu raz za razem dowodził swego geniuszu i rycerskiego kunsztu, ale podobnie jak Hannibal potrafił wygrywać tylko bitwy – z wojnami szło mu gorzej. Z planszy stopniowo spadali mniejsi gracze, aż konflikt przyjął wreszcie postać konfrontacji między Liu Bangiem a Xiang Yu. Dawny menel sam przyznawał, że konkurent bije go na głowę pod każdym względem jako człowiek i wódz, ale miał nad nim jedną przewagę. Władca Chu kierował się honorem i przestrzegał reguł. Jego przeciwnik zarówno zasady, jak i honor miał gdzieś, co więcej – był kompletnie nieprzewidywalny, bo na najlepsze pomysły wpadał… po pijaku. Wielokrotnie przegrywał bitwy (po jednej z porażek wiał w takiej panice, że wyrzucił z rydwanu własne dzieci, by nie obciążały pojazdu), ale zawsze wracał. Xiang Yu stopniowo tracił siły, a te u Liu Banga rosły i rosły. W ostatniej fazie konfliktu, gdy słynny rycerz z Chu desperacko walczył już w granicach własnej ojczyzny, opuszczać go zaczęli nawet krajanie. W końcu pod Gaixia nadszedł kres. Ogromna armia obległa obóz króla hegemona, przy którego boku zostało ledwie kilka tysięcy żołnierzy. W trakcie swej ostatniej wieczerzy Xiang Yu siedział, słuchając ludowych piosenek z Chu dobiegających od strony obozu wroga – tak wielu jego dawnych poddanych zmieniło już stronę. Spożywszy posiłek, najsłynniejszy rycerz starożytnych Chin udał się do swego namiotu i resztę nocy spędził w towarzystwie ulubionej konkubiny. Rankiem w otoczeniu setki najszybszych jeźdźców przebił się w desperackiej szarży przez pierścień oblężenia i rzucił do ucieczki.

Rozpoczął się szaleńczy pościg. Dramatyczna gonitwa zakończyła się w nadrzecznej wiosce Wujiang. Wierny sołtys, widząc upadłego króla, dal mu łódkę, by przeprawił się na drugi brzeg. Ten jednak oddał swe miejsce w niej najmłodszemu z towarzyszy, każąc mu uciekać, by zachować życie. Resztę wojowników rozpuścił po okolicy, zostało przy nim zaledwie 28. Gdy brodzili przez rzekę, dopadł ich pościg. Otoczony przez wrogów Xiang Yu dobył sztyletu i wbił go sobie w gardło. Żądni nagrody za jego głowę żołnierze Liu Banga rzucili się do walki o ciało samobójcy tak zaciętej, że padły trupy, a zwłoki rycerza rozerwano na kawałki.

Dawny menel został władcą Chin. Ukoronowawszy się na cesarza, podzielił Państwo Środka na 25 prowincji. Piętnaście zatrzymał dla siebie, pozostałe 10 rozdał dawnym towarzyszom broni. Jednak jeszcze w tym samym roku zaczął ich po kolei detronizować i mordować, aż w końcu na tronach prawie wszystkich lennych królestw zasiedli jego najbliżsi krewni.

Liu Bang był teraz panem całego znanego Chińczykom cywilizowanego świata. Jego szczęście było jednak radością ze „zdobytego śmietnika". Państwo Środka leżało w takiej ruinie, że – jak stwierdzić miał sam cesarz – w całym imperium nie mógł znaleźć nawet czterech koni tej samej maści, by zaprząc je do swego rydwanu. Mimo wyniesienia na Tron Smoka menelskich zwyczajów nie wyzbył się do końca życia. Gdy przybyła do niego delegacja konfucjańskich uczonych, prosząc o zniesienie okrutnych antyinteligenckich praw Pierwszego Cesarza, założyciel nowej dynastii pokazał, co myśli o wykształciuchach… sikając im do kapeluszy. Dopiero po pewnym czasie, doszedłszy do wniosku, że ludzie uczeni mogą mu się przydać, przywrócił mędrców do łask. Władzą, do której przebył tak długą drogę (zataczając się przy tym), pijaczyna z Pei nie cieszył się jednak długo. W roku 195 p.n.e. zginął w trakcie kampanii wojennej wymierzonej w jednego z dawnych towarzyszy broni. Założona przez niego dynastia Han panować zaś miała przez 400 lat i mimo szemranych początków zapisać się w dziejach złotymi zgłoskami…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„... jak trzeba”

Nie znamy wydarzeń świadczących o bohaterskiej postawie kobiet w konspiracji i walce. Upływ czasu robi swoje, ponadto nie pojawiają się w głównym nurcie narracji, jeśli są to kobiety „prawicowe”. Prawdziwe historie są wypierane przez propagandowe, ordynarne zmyślenia. Jak zwykły czytelnik czy słuchacz ma odróżniać prawdę od fałszu, jeśli nie ma gdzie tego zweryfikować? Dlatego warto przypominać niezwykłe postawy niezwykłych kobiet. Jedną z nich była Stefania Broniewska „Bogucka”, „Kowalska” (1901–1966), żona przedostatniego dowódcy NSZ, gen. Zygmunta Broniewskiego.

Od początku była w konspiracji wraz z mężem, który pełnił wysokie funkcje. Oboje administrowali rodzinnymi dobrami w Garbowie na Lubelszczyźnie. Ich dwór często był nachodzony przez bandytów ideologicznych (PPR i GL-AL), jak też przez pospolitych rabusiów. Nie można było liczyć na pomoc niemieckich okupantów, zresztą decydował czas, konieczne były szybkie decyzje i samoobrona. Podczas jednego z takich napadów (przez 30-osobową bandę sowiecko-pepeerowską) potrafiła sama obronić dwór. Rozstawiła myśliwskie dubeltówki w oknach piętra i przechodząc kolejno, oddawała salwy do bandziorów. Jeden z nich zginął na miejscu, drugi został ranny. Reszta „bohatersko” uciekła, myśląc, że we dworze stacjonują liczne, „reakcyjne” siły. Jej męża nie było wówczas na miejscu.

Podczas powstania warszawskiego przebywała w stolicy i ochotniczo zgłosiła się do służby powstańczej w szeregach NSZ. W 1945 r. wraz z mężem usiłowała wydostać się z kraju. Udało się jej, ale oczekując na niego, wróciła i dostała się w łapy bezpieki. Przeszła bardzo ciężkie śledztwo i dwa procesy. Jej niezwykła postawa już w więzieniu stała się legendarna.

Katujący ją w śledztwie ubek usłyszał: „Nie jesteś godzien ze mną rozmawiać”, choć zdawała sobie sprawę, jak straszną cenę za to zapłaci. Podczas procesu na oczekiwanie prokuratora: „Niech oskarżona szanuje mundur polski” hardo odparła, biorąc w palce rękaw pilnującego ją ubeka: „Czy tę bolszewicką szmatę żebym uważała za polski mundur?”. Nie przyznawała się do winy. W pierwszym procesie (1946) dostała osiem lat, w drugim (1949) 10 lat więzienia, za to, że będąc w celi, „rozpowszechniała fałszywe wiadomości [...], czyniąc tym przygotowanie do zmiany przemocą ustroju”.

Jej postawa w śledztwie i w więzieniu była wprost heroiczna. Zachowała się „jak trzeba”. Została zwolniona warunkowo w 1955 r., ale była już wrakiem psychicznym i fizycznym. Ostatnie lata życia spędziła w poniewierce, z zakazem powrotu do Warszawy. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Granatowa policja

Wprawdzie siły porządkowe z reguły nie wzbudzają społecznej sympatii, ale Polska Policja Generalnego Gubernatorstwa cieszy się wyjątkowo złą sławą. Nazywana granatową (od kolorów mundurów) uważana jest za symbol kolaboracji i wysługiwania się okupantom. Prawda była jednak znacznie bardziej złożona i po latach nie można tej formacji jednoznacznie oceniać.

Podbój Polski jesienią 1939 r. postawił przed Niemcami poważne problemy organizacyjne. Hitlerowcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że utrzymanie porządku na terenie Generalnego Gubernatorstwa własnymi siłami będzie praktycznie niemożliwe. Tym bardziej że działania wojenne i okupacja sprzyjały rozwojowi bandytyzmu, a do rąk prywatnych trafiła znaczna ilość broni.

W tej sytuacji, jeszcze podczas działań wojennych, hitlerowcy podjęli decyzję o stworzeniu polskich sił porządkowych mających przejąć obowiązki bieżącej ochrony bezpieczeństwa publicznego. Polska policja miała się opierać na funkcjonariuszach przedwojennej Policji Państwowej, która cieszyła się dobrą renomą w całej Europie. Wydano zarządzenie o rejestracji dawnych policjantów. Funkcjonariuszom dano dwa tygodnie na zgłoszenie się na posterunek niemieckiej policji lub do starostwa, zapowiadając jednocześnie drakońskie kary za niedopełnienie tego obowiązku.

17 grudnia 1939 r. oficjalnie ogłoszono powołanie polskiej policji i już w styczniu jej liczebność przekroczyła 8 tys. Niemal wszyscy jej ówcześni członkowie mieli za sobą służbę w przedwojennych strukturach sił porządkowych.

Do służby w granatowej policji zgłaszali się ludzie z bardzo różnych powodów. W większości dalej chcieli wykonywać swój zawód, tym bardziej że często posiadali wieloletnie doświadczenie. Dużą rolę odgrywał strach przed surowymi zarządzeniami okupantów, a do tego w okupacyjnych warunkach stałe zatrudnienie było na wagę złota. Wprawdzie pensje nie były wysokie, ale funkcjonariusze otrzymywali różnego rodzaju dodatki, a także przydziały żywności na poziomie ludności niemieckiej.

Policjanci używali granatowych, przedwojennych mundurów, oczywiście bez godeł na czapkach, które zastąpiono herbami miejscowości. Do 1943 r. pozostały jednak w użyciu guziki z polskimi orzełkami, co wynikało z pragmatyzmu okupanta. Ostatecznie w polskich magazynach był duży zapas guzików, dla których należało znaleźć zastosowanie.

Natomiast krótki rys działalności granatowej policji i próby oceny to temat na jeden z kolejnych felietonów. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

Zapomniany heros Tradycji Kościoła

Paweł Chmielewski

Kardynał Louis Billot to jedna z niemal całkowicie zapomnianych, choć naprawdę wielkich postaci Kościoła. Jego kluczowe dzieło o rozumieniu Tradycji może być fundamentalnym przewodnikiem w chaosie naszych czasów

Duchowni, których papieże wynieśli do rangi kardynalatu, raczej nie rezygnują z przyznanej im godności. Louis Billot zrobił jednak inaczej. Ten wybitny francuski jezuita stwierdził tymczasem, że nie może inaczej – i musi stać się na powrót zwykłym zakonnikiem. Billot urodził się w 1846 r. w jednej z wielu niewielkich, uroczych miejscowości położonych nad Mozelą w Lotaryngii. Wykształcony przede wszystkim we Francji zrobił znakomitą karierę w Rzymie, stając się jednym z najważniejszych teologów odnowy tomistycznej u boku papieży Leona XIII, Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI. Wykładał na prestiżowym Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim.

Dzięki swojej nieprzejednanej postawie i gigantycznej erudycji stał się prawdziwą gwiazdą walki z herezją modernizmu, którą prowadził święty papież Sarto. Dlatego w 1911 r. otrzymał z jego rąk biret kardynalski. Jezuita stał się jednym z głównych krytyków czołowego modernisty Alfreda Loisy'ego, którego poglądy zostały szeroko potępione w emblematycznej dla pontyfikatu Piusa X encyklice „Pascendi Dominici gregis". Pius XI włączył go do Papieskiej Komisji Biblijnej, gdzie Billot prostował błędy dotyczące Pisma Świętego, udowadniając historyczność ksiąg Starego Testamentu; był to absolutnie kluczowy spór związany z niebezpiecznymi postępami błędów ewolucjonistów i ateistycznych darwinistów.

TRUDNA ROZMOWA Z PAPIEŻEM

Pomimo wszystko zdecydował się na rezygnację… W 1927 r. odbył trudną

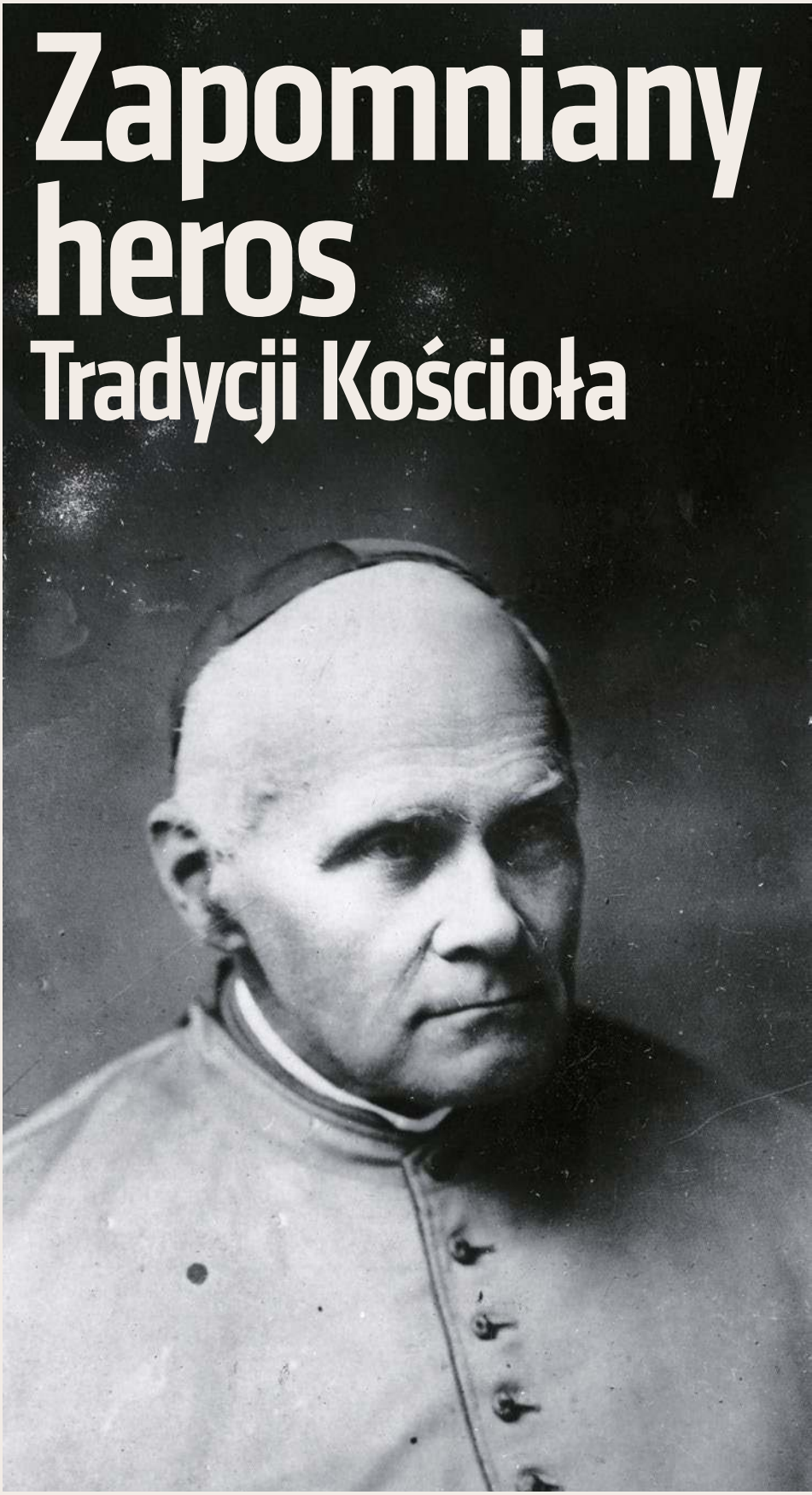

FOT. NAC

eprasa.pl fecde7f9bb

rozmowę z Ojcem Świętym, na koniec komunikując, że nie może być już dłużej członkiem Kolegium Kardynałów. Tłem tej decyzji nie były spory doktrynalne w ścisłym sensie, ale wielka polityka. Papież Pius XI postanowił potępić Action Française – wielki ruch monarchistyczny i kontrrewolucyjny, który funkcjonował we Francji od lat 90. pod kierunkiem wybitnego myśliciela i działacza politycznego, Charles'a Maurrasa. Maurras, choć wychowany w katolickiej rodzinie i głęboko zafascynowany filozofią św. Tomasza z Akwinu, publicznie deklarował brak wiary. Budził tym zgorszenie wśród wielu katolików – nawet jeżeli sama Action Française realizowała dzieła całkowicie zgodne z nauką Kościoła i wymierzone w rewolucyjną, głęboko antykatolicką laicką Republikę.

Papież Pius X uważał Maurrasa za postać pozytywną i wierzył, że w końcu się nawróci. Tak też się stało, na łożu śmierci pojednał się z Chrystusem i Kościołem. Wielu historyków tego okresu sądzi, że bez Akcji Francuskiej nie byłoby silnej reakcji kontrrewolucyjnej nie tylko we Francji, lecz także w innych krajach. Pisma Maurrasa czytano na całym świecie, również w ówczesnej Polsce. Action Française stanowiła jedyną realną siłę intelektualną i społeczną, która przeciwstawiała się politycznym błędom liberalizmu i rewolucji.

Pius XI mimo wszystko zdecydował się na jej potępienie. Oprócz deklarowanej niewiary Maurrasa mogły zaważyć też inne czynniki, zwłaszcza stosunek Action Française do Niemiec. Papież Ratti optował za polityką ustępstw wobec Republiki Weimarskiej, na co Maurras kategorycznie nie chciał przystać. Ostatecznie w 1939 r. nowy papież, Eugenio Pacelli, rządzący Kościołem jako Pius XII, zrehabilitował Akcję Francuską i zniósł nałożone kary. Louis Billot jednak już wówczas nie żył. Zmarł w 1931 r.; ostatnie lata spędził nieopodal Wiecznego Miasta, mieszkając u jezuitów na Wzgórzach Albańskich. Jego ciało spoczywa na rzymskim cmentarzu Verano, położonym nieco na wschód od centralnego dworca Termini.

FUNDAMENTALNE PRAWDY

W bogatej spuściźnie kard. Louisa Billota jest praca poświęcona właściwemu rozumieniu Tradycji w Kościele – napisana przeciwko błędom herezji modernistycznej, która na przełomie stuleci XIX i XX wstrząsała katolicyzmem. Książka została kilka lat temu wydana w Polsce pt. „Tradycja kontra modernizm" przez „DeReggio" w znakomitym tłumaczeniu Marcina Beściaka.

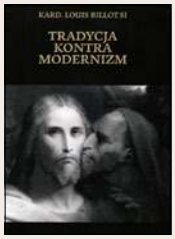

KARD. LOUIS BILLOT „TRADYCJA KONTRA MODERNIZM"

Tradycja jest „trwającym na przestrzeni wieków głoszeniem przez następców apostołów, obdarzonych charyzmatem nieomylności, tego Objawienia, które głosił najpierw sam Chrystus, a następnie Jego apostołowie, pouczeni przez Ducha Świętego" – definiuje kard. Billot. Nie oznacza to, że w Kościele nic się nie zmienia. Owszem, następuje zmiana – ale wyłącznie organiczna, wykluczająca jakiekolwiek wewnętrzne zerwanie. Kardynał wskazuje w swojej pracy, że nie wszystkie prawdy były w Kościele zawsze przedstawiane tak samo bezpośrednio, tak samo wyraźnie i tak samo szczegółowo. W związku z tym, że Kościół wzrasta w rozumieniu prawdy i może ją lepiej głosić, mogą też w wielu kwestiach istnieć różnice między teologami – tam, gdzie nie ma kategorycznego rozstrzygnięcia Urzędu Nauczycielskiego. Billot przypomina, że również u ojców było wiele różnic zdań. Tak samo jest dzisiaj i może być w przyszłości – pod warunkiem że różnice nie wywracają samych podstaw wiary. Są prawdy, które należą do fundamentów, a są takie rzeczy, które podlegają wciąż dyskusji. Istotne jest jednak, że kiedy wypowie się Urząd Nauczycielski Kościoła i zdefiniuje jakąś prawdę, temat zostaje zamknięty. Kardynał wskazuje, że właśnie ten Urząd Nauczycielski – czyli zasadniczo papiestwo – jest autentycznym organem Tradycji, któremu przysługuje asystencja Ducha Świętego. Wyjaśnia też, że istotą nauczania nie są same słowa, ale wyrażone za ich pomocą określone znaczenie. Z tego wynika, że rzeczy już zdefiniowane można definiować na nowo i lepiej, ale zachowując istotę rzeczy.

DOKTRYNA JEST JAK DRZEWO

Ujęcie Tradycji, które prezentuje Louis Billot, jest całkowicie klasyczne – właśnie w najlepszym tego słowa znaczeniu „tradycyjne". Odpowiada temu, jak zawsze swoją własną misję nauczania widział i rozumiał Kościół katolicki. Już wiele wieków przed francuskim jezuitą pisał o tym Wincenty z Lerynu – mnich działający w V stuleciu, jeden z ojców Kościoła. W dziele „Commonitorium" święty wyjaśnił, że katolicka doktryna jest jak drzewo – zmienia się, ale tylko w sensie rozrostu i ubogacenia. Nie może zmienić swojej istoty. Wincenty przestrzegał przed tymi, którzy wprowadzają do Kościoła jakieś nowe nauki, twierdząc, że wcześniej nikt jeszcze tego prawidłowo nie rozumiał – że jakaś prawda pozostawała przez wieki ukryta i dopiero nagle, wraz z ich geniuszem, może ujrzeć światło dzienne. Postęp w wierze – wyjaśniał – jest możliwy, ale tylko przy zachowaniu wewnętrznej ciągłości. „Rozszerzenie każdej rzeczy należy do postępu. Zmiana oznacza, że jedno przetwarza się w drugie. [...] wygląd tego samego człowieka ulega przemianom, ale natura jest przecież ta sama; to jest ta sama osoba" – pisał. W Kościele nie może być zatem głoszona żadna nauka, która przeczy istocie tego, co wcześniej głoszono.

Można to pokazać na prostym przykładzie. Kościół katolicki głosił zawsze, że akty homoseksualne są grzeszne. Taki akt jest zły sam w sobie, bo nie odpowiada ludzkiej naturze. Nie może zostać uznany za dobry niezależnie od sytuacji – nic i nigdy go nie usprawiedliwia. W ocenie ciężaru moralnego można wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące, ale sam akt nie przestaje być zły. Dziś są jednak teologowie, którzy głoszą coś innego. Twierdzą, że taki akt można niekiedy uznawać za neutralny albo nawet dobry moralnie. Jak argumentują, nową ocenę aktów tego rodzaju wymuszają ustalenia nauk humanistycznych, które pozwoliły nam głębiej zrozumieć fenomen orientacji seksualnej. Dlatego dziś – mówią – możemy z pełną odpowiedzialnością udzielić homoseksualistom zgody na ich czyny. Zwolennicy takiego poglądu – to bardzo istotne – nie twierdzą, żeby Kościół w przeszłości się mylił. Ich zdaniem Kościół głosił prawdę, ale… prawdę uwarunkowaną historycznie. Innymi słowy, dla autorów Starego Testamentu, dla św. Pawła czy jeszcze dla chrześcijan z początku XX w. akt homoseksualny rzeczywiście był zły – ze względu

eprasa.pl fecde7f9bb

na braki we wiedzy nie byli w stanie go inaczej ocenić. Dlatego ogłaszając jego grzeszność, mieli względną słuszność. Dziś jednak głoszenie tej samej nauki byłoby już niesłuszne. Dlatego rację mieli i ci, którzy zakazywali homoseksualizmu, i ci, którzy dziś się na niego zgadzają.

Czy takie stanowisko jest do utrzymania? Zwolennicy zmienności prawdy w historii powiedzą, że Kościół wielokrotnie zmieniał swoje nauczanie, więc może zrobić to również dzisiaj. Podadzą jako przykład różną ocenę niewolnictwa albo kary śmierci. Dawniej Kościół głosił dopuszczalność obu tych rzeczy, a dzisiaj je krytykuje. Skoro tak, to kiedyś można było zakazywać homoseksualizmu, a dzisiaj go akceptować. Problem w tym, że te przypadki są całkowicie odmienne. To właśnie jest klucz do problemu. Otóż nauczanie Kościoła ma zawsze jakąś matrycę albo – innymi słowy – coś jest jego głównym, zasadniczym punktem odniesienia, jakby istotą, którą ono opisuje. W swoich wypowiedziach na temat niewolnictwa albo kary śmierci Kościół katolicki odnosi się do sytuacji społecznej. W przeszłości sytuacja ta była tego rodzaju, że Kościół uważał za możliwe, by zaakceptować istniejący fakt niewolnictwa albo uważać stosowanie kary śmierci za właściwe. Sytuacja jednak głęboko się zmieniła. Ludzie inaczej budują swoje relacje, inaczej wygląda kultura materialna itd. Matryca, główny punkt odniesienia – to uległo zmianie. Kościół nie ogłosił dziś, że niewolnictwo albo kara śmierci są złe jako takie, czyli złe same w sobie – niezależnie od tej sytuacji. Nie. Ogłosił, że nie należy czy nie wolno dziś stosować tych rozwiązań – ze względu na układ odniesienia, czyli warunki społeczne. Te warunki są przecież z natury zmienne, dlatego Kościół może odrębnie oceniać te same działania.

To tak, jak z odebraniem człowiekowi życia. Punktem odniesienia jest wina zabijanego lub jej brak. Jeżeli ktoś nas napada – możemy broniąc się, nawet go zabić. Nie zabijamy niewinnego, ale człowieka, który obciążony jest zbrodnią. Jeżeli jednak mielibyśmy zabić niewinnego – np. dziecko poczęte – to my popełnilibyśmy zbrodnię. Zabicie człowieka nie zawsze jest grzechem – ale zabicie niewinnego człowieka już tak. Dlatego Kościół katolicki od samego początku kategorycznie potępiał spędzanie płodu i dzieciobójstwo. Czyni tak również dzisiaj i to potępienie nie może zostać wycofanie nigdy, w żadnych okolicznościach. Zakaz zabijania niewinnego wynika z samej natury rzeczy; jest zresztą potwierdzony wyraźną wolą Bożą w Dekalogu.

Wróćmy teraz do przykładu homoseksualizmu. Negatywna ocena aktu homoseksualnego nie zależy od sytuacji społecznej. Matrycami tej oceny nie są kultura materialna ani rozwój cywilizacyjny – ale natura ludzka. Natura człowieka nie zmienia się – jest dziś taka sama, jak była tysiąc, dwa tysiące i dziesięć tysięcy lat temu. Dlatego wypowiedzi Pisma Świętego i Urzędu Nauczycielskiego Kościoła na temat wewnętrznego zła aktów homoseksualnych nie mogą być nagle interpretowane o 180 stopni inaczej – bo odnoszą się do rzeczywistości, która jest niezmienna. Można je niuansować w drugorzędnych szczegółach, jednak sama istota – nienaturalność homoseksualizmu – pozostaje faktem do końca istnienia człowieka i świata. Kościół nie ma władzy nad naturą człowieka ani nad Bożymi przykazaniami. To fundamentalne i zasadnicze ograniczenie – jest nieusuwalne.

Dziś niewielu głosi czysty ewolucjonizm doktrynalny, tak jak robili to moderniści w czasach kard. Billota

Dziś niewielu ludzi głosi czysty ewolucjonizm doktrynalny, tak jak robili to typowi moderniści w czasach kard. Billota, np. wspomniany Alfred Loisy. Modernizm został potępiony, szuka się więc innych dróg, by przeforsować zmianę nauczania. Zwykle używa się do tego krytyki biblijnej – twierdzi się, że nie wiadomo do końca, co wynika z Pisma Świętego; albo że w słowach Pana Jezusa są różne warstwy literackie, które trzeba odrzucić jako drugorzędne. Na przykład wypowiedzi Chrystusa na temat piekła… W Ewangelii są bardzo jednoznaczne: żaden ich czytelnik nie ma wątpliwości, że Pan Jezus mówi o istnieniu piekła i wiecznej kary. Progresista, który opiera się na radykalnej krytyce biblijnej, powie jednak, że… nie ma pewności co do „prawdziwego znaczenia" słów Jezusa. Stwierdzi, że Chrystus posługiwał się w tych wypowiedziach gatunkiem literackim „groźby" i celowo przesadnie formułował swoje ostrzeżenia. Dlatego kiedy mówi o wiecznym piekle, nie chodzi mu wcale o wieczne piekło, ot, straszy na wyrost. Skoro tak, to nauka o piekle nie ma wcale oparcia w słowach Chrystusa. A jeżeli nawet Kościół oficjalnie ją głosił w swoich dokumentach, to czynił to mimowolnie na wyrost, jak Pan Jezus. Wydawało mu się, że głosi prawdę, ale w istocie głosił „względną" prawdę. My dziś wiemy już, że tak nie jest – egzegeci Pisma nam to powiedzieli…

To oczywista bzdura, bo jedynym kryterium weryfikacji jest w tym ujęciu… arbitralna ocena „egzegety". Tak mu się wydaje – więc tak jest. Z Pismem postępował tak Luter, ale katolik nigdy tego nie zrobi. Katolik czyta Pismo w zgodzie z Kościołem, pamiętając, że działa w nim Duch Święty i strzeże kościelnej Tradycji przed zejściem na drogę fałszu. Gdyby przyjąć narrację progresistów, to bardzo szybko można byłoby wywrócić do góry nogami dosłownie wszystko. Nie ma żadnej nauki – absolutnie żadnej – która nie mogłaby zostać wyrzucona do kosza. Gatunki literackie, względna prawda, spojrzenie w nowym świetle unieważniające dawną doktrynę – nic nie jest już trwałe. Skoro tak, to trudno przypisywać Kościołowi jakikolwiek poważny autorytet. Każdy zdaje sobie sprawę, że to, co dziś obowiązuje, jutro może zniknąć. Po co zatem tego przestrzegać?

Z tym ujęciem nie zgodziliby się ani kard. Billot, ani św. Wincenty. Odrzuciłby je również św. Jan Henryk Newman, kardynał, którego papież Leon XIV ogłosił w listopadzie Doktorem Kościoła. Newman jest autorem książki o rozwoju doktryny chrześcijańskiej – gdzie innym językiem i w oparciu o inne przykłady daje wykład dokładnie tej samej prawdy, co później Louis Billot w pracy „Tradycja kontra modernizm". Wiara Kościoła się rozwija – ale rozwój nie może być sprzeczny. To główny punkt ich nauki – nauki samego Kościoła. Kiedy zatem słyszą państwo, że ktoś opowiada, iż Kościół może po prostu zmienić to, czego zawsze nauczał, słyszą państwo zwykłe kłamstwo. Świat się zmienia, ale prawda jest cały czas taka sama.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl fecde7f9bb

Służby PRL kontra Tyrmand

Mikołaj Wolski

Postępowania toczące się w sprawie podań paszportowych Leopolda Tyrmanda spowijała dotąd mgła tajemnicy. Poufne rozmowy telefoniczne z ludźmi na najwyższym szczeblu, sekretne decyzje podejmowane według niejasnych kryteriów, konflikty interesów między poszczególnymi ośrodkami władzy w trakcie załatwiania podań przez Biuro Paszportowe MSW decydowały o wyjeździe albo pozostaniu w kraju

Polityka paszportowa władz PRL sprawiała, że otrzymanie paszportu było przywilejem i dowodem łaski względem obdarowanego. Dokument należało zwrócić zaraz po powrocie z zagranicy. Lektura akt paszportowych i akt cudzoziemca dotyczących Leopolda Tyrmanda (1920–1985, pisarz pochodzenia żydowskiego, uczestnik antysowieckiego ruchu oporu w Wilnie, promotor muzyki jazzowej w powojennej Polsce, autor „Dziennika 1954") doskonale ilustruje przenikające się dwie rzeczywistości ustroju komunistycznego – tej oficjalnej i tej nieformalnej, która stanowiła narzędzie organów bezpieczeństwa. „Uważam komunizm za najgorszą plagę, jaka spotkała ludzkość". Te słowa doskonale odzwierciedlają stosunek Tyrmanda do systemu, w którym przez ponad 20 lat był nieprzerwanie rozpracowywany przez tajne służby. Jedną z ich macek odpowiedzialnych za inwigilację pisarza był organ represji, który może sprawiać wrażenie niepozornego – Biuro Paszportów MSW, skutecznie blokujące Tyrmandowi wyjazdy do krajów zachodnich. Czytelnicy książki prof. Jolanty Pasterskiej pt. „Świat według Tyrmanda: przewodnik po utworach fabularnych" z 2000 r. dowiedzieli się, że istnieją kwestionariusze paszportowe i dokumentacja wyjazdów zagranicznych pisarza. Dzięki uprzejmości

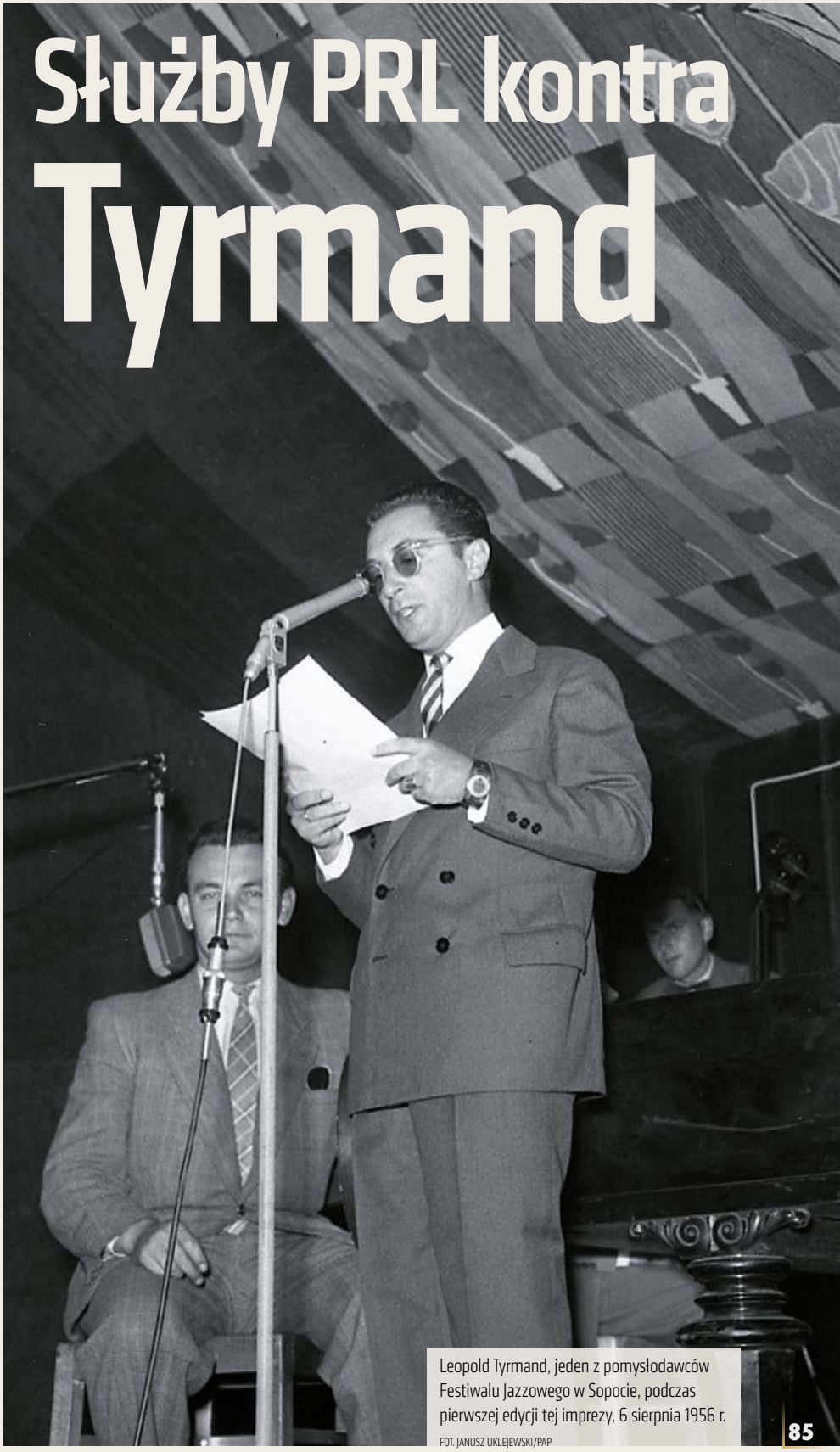

Leopold Tyrmand, jeden z pomysłodawców Festiwalu Jazzowego w Sopocie, podczas pierwszej edycji tej imprezy, 6 sierpnia 1956 r.

FOT. JANUSZ UKLEJEWSKI/PAP

eprasa.pl fecde7f9bb

prof. Pasterskiej poznałem sygnaturę wytwórcy poszukiwanych akt. Odnaleziono je w warszawskim Archiwum IPN. Moje „śledztwo" zakończyło się sukcesem. Pod wskazaną sygnaturą kryły się akta osobowe cudzoziemca, emigranta z PRL, który przyjął obywatelstwo innego państwa (Tyrmand od 1973 r. był obywatelem USA). Materiały zostały przekazane do IPN z Komendy Głównej Straży Granicznej w Warszawie, a wraz z nimi akta paszportowe Tyrmanda.

OPINIOWANY NEGATYWNIE

Tyrmanda kilkakrotnie sprawdzano w Centralnej Kartotece Informacyjnej KGMO przy okazji rozpatrywania jego podań o wydanie paszportu. Nie był przestępcą kryminalnym, ale jako pisarz o „reakcyjnych" poglądach nie budził zaufania władz. Mimo to jeszcze w 1957 r. od września do listopada korzystał z paszportu, otrzymując akceptację wyjazdu do Czechosłowacji, NRD, NRF, Francji i Anglii. Z czasem sytuacja Tyrmanda uległa diametralnej zmianie. Został co najmniej pięć razy objęty zastrzeżeniem wyjazdów zagranicznych ze strony jednostek operacyjnych. Ostatnie było kuriozalne, bo w marcu 1967 r. od dwóch lat już w kraju nie mieszkał. Duże, drukowane napisy „ODMÓWIĆ" lub „ODMOWA" na podaniach Tyrmanda sygnowane były przez Wydział II Biura Paszportów MSW. Sam wspominał o problemach, wyjaśniając motywy emigracji: „Gdybym dostał paszport w 1958, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964 – to są pełne daty mego kalwaryjskiego pisania podań, listów, pism, wniosków, formularzy, czekania, telefonowania, antyszambrowania i szukania tzw. dojść – wyjechał i załatwił swoje sprawy, nie zostałbym nigdy na tymże (excusez le mot) Zachodzie, bo wiem dobrze, gdzie moje miejsce i dokąd serce moje jest przynależone […]. W 1963 jednak, po tak długim niedostawaniu, doszedłem do wniosku, że znajduję się w więzieniu. Logicznie więc ktoś, kto ma dowody na to, że siedzi w pudle, jak mu rozewrą bramę, stara się odbić jak najdalej i nigdy już nie wrócić". Czytając te słowa, mamy wrażenie konsekwentnego blokowania mu wszelkich możliwości opuszczenia PRL. Analiza materiału źródłowego przeczy tej wersji zdarzeń. Tyrmandowi chodziło w istocie o tylko jeden kierunek podróży – wyjazdy poza sowiecką strefę wpływów. Dla obywateli PRL „za granicą" to tylko kraje zachodnie. Taką interpretację potwierdza pismo Tyrmanda z 1964 r., w którym zarzucał władzom, że nikt nigdy nie przedstawił mu żadnych oskarżeń uzasadniających „nieprzenikalność i anonimowość dyskryminacji paszportowej". I także: „[…] od przeszło czterech lat staram się daremnie o wydanie mi paszportu zagranicznego". Z odnalezionych akt wynika, że Tyrmand otrzymywał zezwolenia na wyjazdy do krajów komunistycznych. W aktach oraz w archiwaliach rodzinnych Tyrmandów nie zachował się paszport pisarza, ale dodatkowa dokumentacja znajduje się w archiwum Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. W IPN zachowały się dwie wkładki paszportowe z nabitymi stemplami pozwalającymi ustalić datę i miejsce przekraczania granicy (Węgry, Czechosłowacja). Spośród 12 podań Tyrmanda (w tym jeden zachowany na znanym wcześniej mikrofilmie i jeden brakujący znany z innych dokumentów) o wydanie paszportu z lat 1957–1960 oraz 1962–1965 Tyrmand decyzje odmowne otrzymał co najmniej pięć razy. Dotyczyły one podań o wyjazdy do NRF i do Anglii (1958, 1959, 1960, 1962), Francji, Włoch, NRF, Danii, Holandii i Austrii (1959), NRF i Holandii (1960), Szwajcarii i Holandii (1962) oraz do USA (1964). Wszystkie te kraje miały wspólny mianownik – należały do wolnego świata. Zagadkowa sytuacja dotyczy podania z 1958 r. w sprawie wyjazdu na Węgry, kiedy to Tyrmand „zgodnie z decyzją" paszport otrzymał. Podanie było jednak opiniowane negatywnie przez organy bezpieczeństwa, czego wyrazem jest pismo zastępcy dyrektora Biura Ewidencji Operacyjnej MSW mjr Elżbiety Motyl do dyrektora Biura Paszportów Zagranicznych MSW, w którym prosi o wyjaśnienie, na jakiej podstawie została zmieniona ich decyzja. Nieprzypadkowo informacji udzielono telefonicznie. Pomimo zastrzeżenia sprawę wydania paszportu Tyrmandowi konsultował naczelnik Wydziału I Biura Paszportów Zagranicznych MSW mjr Józef Stępiński z dyrektorem tego biura Jerzym Roszakiem. Nasuwa się zatem pytanie, czyja interwencja spowodowała, że nieprzychylną pisarzowi decyzję zmieniono. Cytowane wspomnienia pisarza o blokowaniu wydania paszportu w tym roku dotyczą zapewne załatwionego odmownie wniosku o wyjazd do NRF i Anglii. W lipcu 1959 r., w związku z planowanym wyjazdem na Węgry, Tyrmand miał natomiast paszport otrzymać, ale z akt dowiadujemy się, że go nie wykorzystał. Przyczyny nie zostały wskazane. Być może powodem pozostania w kraju była dynamicznie zmieniająca się sytuacja związana z wydawaniem kolejnych przekładów powieści „Zły".

> **„Uważam komunizm za najgorszą plagę, jaka spotkała ludzkość".**
> **Te słowa doskonale odzwierciedlają stosunek Tyrmanda do systemu, w którym przez ponad 20 lat był nieprzerwanie rozpracowywany przez tajne służby**

UCIEKINIER

W 1959 r. pisarz złożył kolejne podanie i tu znów decyzję odmowną zmieniono. Na uwagę zasługuje fakt, że pomimo sprzeciwu Wydziału II Biura Paszportów MSW pojawiła się adnotacja: „Wydać". Skreślona litera „Z" oznacza, że zastrzeżenie wyjazdów zagranicznych zostało anulowane. Akta potwierdzają zatem od dawna znany fakt, że w 1959 r. wyjechał do Anglii dzięki interwencji wiceministra Antoniego Alstera. W 1960 r. adnotacja „wydać" pojawia się dwukrotnie. Zezwolono Tyrmandowi na wyjazd na Ukrainę (ZSRS) oraz do bratnich krajów – na Węgry przez Czechosłowację (przejście graniczne w Cieszynie). Zastrzeżenie ze stycznia tego roku było brane pod uwagę. Otrzymał także zgodę na wyjazd do Jugosławii w 1964 r. Podanie rozpatrzono pozytywnie prawie rok od momentu złożenia! Skreślono „ODMÓWIĆ" i napisano „wydać mimo z" [zastrzeżenia wyjazdów zagranicznych – przyp. M.W.]. Kilka miesięcy wcześniej dyrektor Biura Paszportów Zagranicznych

eprasa.pl fecde7f9bb

MSW Adam Janowski informował, że to minister spraw wewnętrznych Władysław Wicha wyraził zgodę na wydanie Tyrmandowi paszportu. Nie był to zresztą ostatni raz, kiedy decyzje zapadały na poziomie najwyższych władz PRL. W tym samym roku minister Wicha telefonicznie zabronił wydać paszport Tyrmandowi nawet na tzw. kraje demokracji ludowej, by 18 lutego 1965 r. na jego polecenie otrzymał on paszport z ważnością na wszystkie kraje Europy i poza Europą, ale z prawem do jednokrotnego przekroczenia granicy. Przyjęto zatem rozwiązanie zaproponowane już w 1961 r. przez funkcjonariusza kontrwywiadu cywilnego Leona Koreptę dyrektorowi jego departamentu płk. Ryszardowi Matejewskiemu. W 1965 r. Ambasada PRL w Tel Awiwie przekazała pisarzowi nowy paszport, a w kolejnym roku Ambasada PRL w Waszyngtonie kilka razy przedłużała termin ważności dokumentu, który ostatecznie wygasł 31 grudnia 1967 r. Po tej dacie Tyrmand nadal mieszkał w USA i jest traktowany jako uciekinier. W dalszym ciągu komunistyczny aparat represji gromadził o nim informacje. W 1968 r. Dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ, Henryk Wendrowski, pisał do Ambasady PRL w Waszyngtonie w celu uzyskania informacji, czy Tyrmand korzysta z praw uchodźcy politycznego czy traktowany jest jak imigrant zarobkowy. W aktach brak jednak odpowiedzi ze strony administracji amerykańskiej. W tym samym roku zastępca naczelnika Wydziału III Zarządu Kontroli Ruchu Granicznego MSW przysyłał do Biura Paszportów i Dowodów Osobistych MSW opublikowany przez „The New York Times" wycinek z biuletynu PAP dotyczący listu otwartego Tyrmanda, który w geście protestu „wobec udziału polskich komunistycznych żołnierzy w okupowaniu Czechosłowacji" publicznie zrzeka się polskiego obywatelstwa. Jesienią Departament Konsularny MSZ zbierał już materiały, by wystąpić do Rady Państwa o pozbawienie Tyrmanda obywatelstwa.

PODNIESIONA GŁOWA

Tyrmand w swoich podaniach o pozwolenie na wyjazd zagraniczny występował do władz komunistycznych jako pisarz. Wnioski uzasadniał potrzebą przeprowadzenia bezpośrednich konsultacji z wydawcami jego książek za granicą,

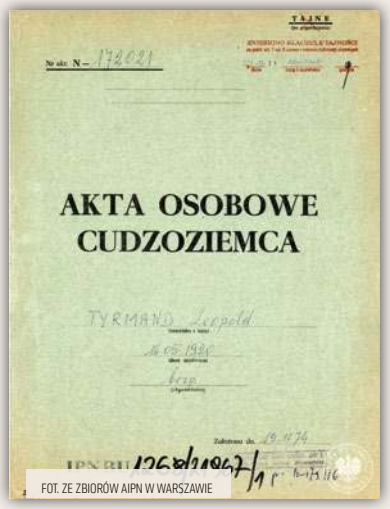
TAJNE

AKTA OSOBOWE
CUDZOZIEMCA

TYRMAND Leopold

FOT. ZE ZBIORÓW AIPN W WARSZAWIE

które miały dotyczyć ustalenia sposobu pobrania honorariów, ustalenia ich wysokości, negocjowania warunków umów. Co najmniej sześć razy do Biura Paszportowego MSW wpłynęły pisma z Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą Ministerstwa Kultury i Sztuki, popierające starania Tyrmanda o paszport (wskazywano również na paszport ulgowy). Dotyczyły one podań w sprawie wyjazdu na Węgry (1959 i 1960), na Ukrainę (ZSRS, 1960), do Jugosławii, Stanów Zjednoczonych oraz Anglii i Szwajcarii (1964). Ukazywały się tam przekłady popularnej powieści kryminalnej Tyrmanda pt. „Zły". W 1958 r. opublikowano ją na Węgrzech nakładem wydawnictwa Európa Könyvkiadó i w Anglii przez Michael Joseph Ltd.; rok później w USA dzięki wydawnictwu Alfred A. Knopf oraz na Ukrainie (Radâns'kij pis'mennik). Jak się ma do tego fakt, że Tyrmand w 1961 r. był w konflikcie z Ministerstwem Kultury i Sztuki z powodu blokowania jego powieści pt. „Filip", która jednak po wielu trudach ukazała się z opóźnieniem i w ograniczonym nakładzie? Należy w tym miejscu podkreślić postawę niechętnej Tyrmandowi Heleny Zatorskiej, która przez wiele lat kierowała Centralnym Zarządem Wydawnictw. Starania pisarza o wyjazd za granicę poparł ponadto co najmniej trzy razy Zarząd Główny Związku Literatów Polskich. Na pismach widnieją podpisy prezesa związku, najpierw Michała Rusinka, później Jarosława Iwaszkiewicza. Nie każda książka Tyrmanda miała prawo zostać wydana za granicą bez konsekwencji dla autora. Tyrmand twierdził, że powieść „Siedem dalekich rejsów" opublikował w Anglii („The Seven Long Voyages", Londyn 1959), bo zwrócił się do wydawcy angielskiego, zanim cofnięto mu zgodę na jej wydanie w PRL. Był to przejaw sposobu sprawowania władzy, gdyż nie istniał przepis, który mógł uzasadnić blokowanie autorowi wydania jego książki za granicą. Na podstawie powieści napisał scenariusz do filmu „Naprawdę wczoraj" w reżyserii Jana Rybkowskiego. W 1964 r. zablokowano mu wyjazd na Międzynarodowy Festiwal Filmowy w San Francisco, gdzie film był wyświetlany. Jako znany pisarz mógł korzystać z innych możliwości, żeby omijać represyjną politykę władz. Miał np. otrzymać propozycję biznesową ze strony linii lotniczych Air France, które zaproponowały mu rejs ich samolotem, jeżeli w którejś z książek coś o nich napisze. Problematyczna była dla Tyrmanda kwestia wymiany walutowej. Przekazanie zagranicznych honorariów na konto w polskim banku wiązałoby się z oczywistą stratą finansową. Zależało mu zatem na wydaniu zarobionych pieniędzy za granicą. Zagadnienie związane z dewizami zasługuje na osobne opracowanie.

Tyrmand co najmniej pięć razy nie otrzymał zgody na wyjazd „za granicę", czyli poza strefę kontrolowaną przez Związek Sowiecki. Podróże po krajach komunistycznych nie były traktowane ani przez władze komunistyczne, ani przez samego pisarza jak wyjazd zagraniczny. Dokumentacja odzwierciedla trudne do uchwycenia mechanizmy przyznawania zgody na otrzymanie paszportu w PRL. Akta obrazują krzyżujące się układy polityczne i biznesowe w systemie komunistycznym. Mnogość czynników nasuwa także skojarzenia z groteskowymi postaciami rodem z filmów Stanisława Barei. Pamiętać jednak trzeba o zachowaniu pokory wobec materiału źródłowego. Nie wszystkie aspekty związane z blokowaniem przez władze komunistyczne wyjazdów zagranicznych Tyrmanda lub podejmowanymi przez niego próbami zmiany swojej sytuacji znajdują swoje odbicie w aktach. Parafrazując słowa zawarte w wierszu Stanisława Barańczaka, niezależnie od tego, czy ktoś głowę podnosi czy ją nadstawia, pałki komunizmu mogą tej głowy dosięgnąć. Kolejny raz dowiadujemy się, że głowa Tyrmanda pozostała podniesiona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, absolwentem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pracownikiem Oddziału IPN w Katowicach, uczestnikiem Centralnego Projektu Badawczego IPN „Władze PRL wobec środowisk twórczych, dziennikarskich i naukowych".
Artykuł wyraża osobiste poglądy autora.

eprasa.pl fecde7f9bb

Jordan Bardella jest zręcznym politykiem, bardzo dobrym mówcą i lepiej sobie radzi w debatach i wywiadach telewizyjnych niż Marine Le Pen

FOT. REMO CASILLI/REUTERS/FORUM

Bardella w drodze na szczyt

Olivier Bault

Coraz wyraźniej widać paniczną reakcję lewicowo-liberalnych elit wobec rosnącej siły RN oraz popularności pierwszego lidera tej partii, który nie nosi nazwiska Le Pen. Czy Jordan Bardella prowadzi Ruch Narodowy po władzę?

Kim właściwie jest Jordan Bardella, ten 30-letni potomek włoskich (a nawet po części algierskich) imigrantów, który coraz bardziej dominuje nad rywalami w sondażach dotyczących przyszłych wyborów prezydenckich we Francji? W 2021 r., mając zaledwie 26 lat, został p.o. przewodniczącym głównej formacji opozycyjnej wobec Emmanuela Macrona – Zjednoczenia Narodowego (Rassemblement National, RN) Marine Le Pen. Partia ta, wcześniej znana jako Front Narodowy, klasyfikowana zawsze była przez media głównego nurtu jako „skrajna prawica", marginalizowana przez całą klasę polityczną i objęta polityką tzw. kordonu sanitarnego. Jako prezes RN młody Bardella jest również przewodniczącym grupy Patriotów za Europą w Parlamencie Europejskim – funkcję tę pełni od lipca 2024 r. po reelekcji, ponieważ europosłem jest od 2019 r., kiedy to został drugim najmłodszym członkiem tej instytucji. Zwycięstwo, które odniósł jako lider listy RN w wyborach europejskich 2024 r. – ponad 31 proc. głosów wobec niespełna 15 proc. dla listy zwolenników Macrona, skłoniło prezydenta do rozwiązania Zgromadzenia Narodowego i rozpisania wyborów przedterminowych. W wieku 29 lat Bardella został wtedy wskazany przez liderkę RN, Marine Le Pen, jako kandydat tej partii na premiera w razie zwycięstwa.

Historia się powtórzyła: RN i jego sojusznicy zdobyli ponad 33 proc. głosów w pierwszej turze wyborów parlamentarnych 2024 r. i ponad 37 proc. w drugiej (wobec, odpowiednio, 19 i 17 proc. w takich samych wyborach dwa lata wcześniej). W 2024 r. sojusznikami Rassemblement National (RN) została grupa polityków z centroprawicowej partii Republikanie (Les Républicains, LR), która poszła za jej ówczesnym przewodniczącym, Érikiem Ciottim, decydującym się po raz pierwszy na alians z RN, co doprowadziło do rozłamu centroprawicy i powstania UDR – ugrupowania, które pozostaje sojusznikiem RN w Zgromadzeniu Narodowym. Samo to, że część LR sprzymierzyła się z RN przeciwko Macronowi i lewicy, było pierwszą taką sytuacją od momentu powstania Frontu Narodowego na początku lat 70. Jednak nawet to nie wystarczyło, by wynieść Bardellę na stanowisko premiera, ponieważ kordon sanitarny znów zadziałał, ale tym razem pogrążył Francję w przedłużającym się kryzysie politycznym.

CHWIEJNOŚĆ REPUBLIKI

Macron, który początkowo zdawał się być gotów dopuścić RN do rządu, przypuszczalnie by go osłabić przed wyborami prezydenckimi w 2027 r., zmienił najwyraźniej zdanie po przegranej w pierwszej turze pod koniec czerwca 2024 r. On i jego sojusznicy zawiązali wtedy porozumienie z lewicą, także skrajną – włącznie z islamolewicowcami Jeana-Luca Mélenchona z LFI – aby uniemożliwić RN zdobycie większości bezwzględnej, która pozwoliłaby na objęcie rządu i zapoczątkowałaby okres kohabitacji.

System wyborczy obowiązujący w wyborach do francuskiego Zgromadzenia Narodowego to system większościowy

eprasa.pl fecde7f9bb

w dwóch turach. W każdym jednomandatowym okręgu wyborczym kandydaci, którzy uzyskają co najmniej 12,75 proc. głosów wszystkich zarejestrowanych wyborców, przechodzą do drugiej tury, co często oznacza obecność trzech lub nawet czterech kandydatów w drugiej turze. W tym momencie między partiami zawierane są często sojusze na poziomie lokalnym lub też ogólnokrajowym, polegające na wycofywaniu kandydatów na rzecz tego, kto ma największe szanse wygrać. W 2024 r. Francuzi zobaczyli zatem, jak kandydaci obozu prezydenckiego, a nawet części centroprawicowej opozycji, ustępowali na rzecz kandydatów LFI – i odwrotnie. Strategia kolejny raz zadziałała, choć już nie tak skutecznie: RN wraz z sojusznikami uzyskał „tylko" 142 miejsca z 577, choć sondaże po pierwszej turze zapowiadały dla tej partii większość bezwzględną lub liczbę posłów nieznacznie poniżej progu takiej większości.

Pozornie manewr prezydenta Francji się powiódł, ale sęk w tym, że system wyborczy francuskiego ustroju semiprezydenckiego zaprojektowano po to, by umożliwiać powstawanie większości rządowych – a nie by blokować ich utworzenie. Macron i jego sprzymierzeńcy nie mieli zamiaru rządzić z LFI, a LFI nie chciała też rządzić z Macronem. W efekcie po drugiej turze w lipcu ub.r. powstało Zgromadzenie Narodowe rozbite, niezdolne do wyłonienia większości, co doprowadziło do sytuacji bezprecedensowej: pod rządami V Republiki francuskiej, będącej w dużej mierze dziełem gen. de Gaulle'a, kolejne rządy upadają co kilka miesięcy, podobnie jak za czasów zdyskredytowanego w oczach Francuzów ustroju parlamentarnego IV Republiki, która trwała do 1958 r. W momencie, kiedy piszę ten tekst, nie wiadomo nawet, czy budżet na 2026 r. zostanie uchwalony ani jak długo utrzyma się rząd Sebastiana Lecornu.

Nic więc dziwnego, że pojawiają się spekulacje, iż możliwe jest podjęcie już wkrótce kolejnej decyzji o rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego – prezydent może to zrobić po roku od ostatnich wyborów parlamentarnych. Nie musi to jednak rozwiązać problemu, jeśli strategia „wszyscy przeciw RN" znów zostanie zastosowana. W tej bezprecedensowej sytuacji nie wyklucza się nawet rezygnacji urzędującego prezydenta, w takim scenariuszu to właśnie Jordan Bardella byłby kandydatem RN na stanowisko prezydenta. W marcu br. sędzia pierwszej instancji skazała bowiem Marine Le Pen na kilkuletni zakaz kandydowania w związku z domniemanymi nieprawidłowościami dotyczącymi asystentów europosłów, którzy mieli pracować na rzecz partii, a nie na rzecz posła w Parlamencie Europejskim. Sędzia nadała wyrokowi rygor natychmiastowej wykonalności, a apelacja zaplanowana jest na lato 2026 r.

Jednak jeśli zamiarem politycznym było uniemożliwienie RN dojścia do władzy – a takie wrażenie można było odnieść, czytając niektóre fragmenty długiego uzasadnienia wyroku – to plan zawiódł. A nawet gorzej: to był strzał w kolano. Po zaledwie kilku miesiącach od tej decyzji popularność Bardelli przewyższa już popularność Marine Le Pen. Widać to także w wysokiej sprzedaży jego dwóch książek – „Ce que je cherche" („To, o co się staram") oraz „Ce que veulent les Français" („To, czego chcą Francuzi") – które rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy.

SPRAWNY POLITYK

Bardella, syn włoskich imigrantów z przedmieść Paryża, nie ukończył studiów (geografii), porzucił naukę i zajął się działalnością na rzecz Front National, do którego wstąpił w 2012 r. jako 17-latek, zainspirowany wyborem Marine Le Pen na przewodniczącą partii w 2011 r. i zmianą wizerunku organizacji po epoce jej ojca – Jeana-Marie Le Pena. Jak sam mówi, duże znaczenie miał dla niego również moment, gdy jego matka po raz pierwszy zagłosowała na Front Narodowy, zmęczona przestępczością i handlem narkotykami w ich dzielnicy. I to właśnie ten młody polityk, który już po dziewięciu latach od wstąpienia w szeregi największej opozycyjnej partii we Francji stanął na jej czele, ma dziś największe szanse na zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Sondaż Odoxa z 25 listopada wywołał sensację: po raz pierwszy Bardella nie tylko zdecydowanie wygrywa pierwszą turę, lecz także bezapelacyjnie zwycięża w drugiej niezależnie od rywala. Przewodniczący RN zdobyłby 35–36 proc. już w pierwszej turze (o 4 punkty więcej niż pół roku wcześniej), w porównaniu z 17 proc., które przypadłyby byłemu premierowi Macrona, Édouardowi Philippe'owi, który plasuje się w tym sondażu na drugim miejscu. W drugiej turze Bardella dostałby od 53 proc., gdyby jego rywalem był Philippe, przez 58 proc. w przypadku rywalizacji z socjalistą Raphaëlem Glucksmannem, aż do 74 proc. w starciu z Mélenchonem.

Oznacza to jedno: wobec radykalizacji skrajnej lewicy i normalizacji RN kordon sanitarny przesuwa się dziś na przeciwną stronę. Można wręcz zadać pytanie: Czy w przypadku nowej decyzji Macrona o rozwiązaniu parlamentu i powtórki sojuszu prezydenta ze skrajną lewicą Rassemblement National nie uzyskałby tym razem bezwzględnej większości – co oznaczałoby, że Bardella i tak zostanie premierem?

Przy tym znów pojawiają się głosy wśród centroprawicowych Republikanów (LR), wzywające do sojuszu z RN, by wyprowadzić kraj z „katastrofalnej sytuacji", w której – ich zdaniem – Macron pogrąża Francję od ośmiu lat: rekordowe zadłużenie (115 proc. PKB), rekordowa imigracja (ponad pół miliona nowych imigrantów rocznie), rekordowa przestępczość itp., itd.

Bardella – mimo młodego wieku – jest zręcznym politykiem, bardzo dobrym mówcą i lepiej sobie radzi w debatach i wywiadach telewizyjnych niż Marine Le Pen. Inteligentny, pracowity, zawsze doskonale przygotowany, wyrabia sobie wśród elektoratu wizerunek spokojnego, lecz zdecydowanego i spójnego w poglądach lidera i zdobywa coraz więcej zwolenników. W 2022 r. został wybrany już na pełnoprawnego (a nie pełniącego obowiązki) przewodniczącego partii z wynikiem 85 proc. głosów działaczy, wygrywając z merem Perpignan Louisem Aliotem, który do Frontu Narodowego Jeana-Marie Le Pena dołączył w 1990 r. i w latach 2010–2019 był w związku z Marine Le Pen.

W partii Le Penów powiązania rodzinne oraz stosunki z rodziną Le Pen zawsze odgrywały dużą rolę i błyskawicznej kariery młodego Jordana Bardelli nie tłumaczą jedynie jego niewątpliwe talenty polityczne – Bardella

eprasa.pl fecde7f9bb

był w latach 2020–2024 związany z Nolwenn Olivier, siostrzenicą Marine Le Pen. Nie jest żonaty, nie ma dzieci, określa się jako agnostyk, choć „uznaje chrześcijańskie dziedzictwo kulturowe" Francji. Wychowany przez rozwiedzioną matkę, asystentkę przedszkolną, a także przez cały czas obecnego w jego życiu, pomimo rozwodu, ojca, często podkreśla doświadczenia dorastania w najbardziej zislamizowanym departamencie Francji na przedmieściach Paryża, ale i udaną integrację swoich rodziców. Urodzony we Francji ojciec Jordana jest synem Włocha i Francuzko-Algierki, a jego matka jest imigrantką z Włoch, co oznacza, że Jordan Bardella jest imigrantem w drugim pokoleniu od strony matki i w trzecim pokoleniu od strony ojca. Jako dziecko zdarzało mu się spędzać wakacje u rodziny we Włoszech. Język włoski zna jednak słabo, gdyż w jego domu rozmawiało się tylko po francusku.

Do Marine Le Pen zwraca się, używając formy grzecznościowej „vous", podczas gdy ona mówi do swojego młodego protegowanego na „ty". Choć oboje bronią tego samego programu wyborczego, to Bardella zwykle prezentuje poglądy gospodarcze nieco bardziej liberalne niż Marine Le Pen. Jednak tak naprawdę uzupełniają się w przyciąganiu wyborców: Le Pen kieruje przekaz socjalny do robotników, Bardella – przekaz liberalny gospodarczo- i probiznesowy do klasy średniej i przedsiębiorców. W przeciwieństwie do narracji francuskiego mainstreamu program RN nie jest socjalistyczny gospodarczo: przewiduje oszczędności poprzez zatrzymanie imigracji, kierowanie świadczeń socjalnych wyłącznie do francuskich obywateli, walkę z wyłudzaniem pieniędzy ze świadczeń socjalnych, redukcję szczebli administracji i etatów urzędniczych, prywatyzację mediów publicznych, likwidację marnotrawstwa oraz zmniejszenie składki do UE. Uzyskane środki mają sfinansować budowę więzień, zatrudnienie policjantów, nauczycieli i personelu medycznego, zwiększenie nakładów na obronność do 3 proc. PKB, obniżki podatków, zwłaszcza tych obciążających produkcję przemysłową, oraz redukcję deficytu.

Francja, którą Bardella nazywa „najbardziej pobłażliwym krajem Europy", miałaby stać się pod jego rządami „krajem najbardziej represyjnym" wobec przestępców i nielegalnych imigrantów. Zapowiada również radykalne ograniczenie liczby regulacji i norm. Zadeklarował, że jako premier lub prezydent natychmiast pojedzie do Brukseli odzyskać część kompetencji przejętych przez UE. Oznacza to nieuchronny konflikt z Komisją Europejską i TSUE – w sprawach migracji, Zielonego Ładu oraz energetyki. RN obiecuje bowiem, że odejdzie od unijnego systemu kształtowania cen energii, w którym cena prądu we Francji zależy od kosztów produkcji w niemieckich elektrowniach gazowych, czyli ostatecznie od cen gazu. Cena dla francuskich odbiorców ma bazować, tak jak było w przeszłości, na kosztach produkcji francuskich elektrowni jądrowych.

Warto też dodać, że Bardella od miesięcy osobiście utrzymuje intensywne kontakty ze środowiskami biznesowymi, by doprecyzować swój program i uspokoić przedsiębiorców w kwestiach gospodarczych. Takie zapowiedzi budzą niepokój w obozie lewicowo-liberalnym, co widać choćby po niedawnych atakach ministra sprawiedliwości Géralda Darmanina, który nazwał Bardellę „komunistą gospodarczym" stosującym „takijję" – termin oznaczający w islamie dopuszczalne ukrywanie swoich przekonań w celu poszerzenia islamu.

W polityce międzynarodowej Bardella od początku wyraźnie potępił rosyjską agresję na Ukrainę. Gdy podczas konferencji CPAC 2023 w Budapeszcie, w ramach wywiadu dla anglojęzycznego wywiadu Remix News, zapytałem go, czy jego zdaniem Rosja może być sojusznikiem w walce z ideologią woke, jak zdaje się wierzyć część narodowców we Francji, odpowiedział: „Nie uważam, aby trzeba było wybierać między wokeizmem a Rosją. Europa i Francja mają własny głos. Rosja nie jest dla nas żadnym wzorcem. Potępiłem rosyjską agresję na Ukrainę, ponieważ bycie suwerenistą we Francji oznacza bycie suwerenistą wszędzie". W innym wywiadzie w 2023 r. stwierdził: „Zwycięstwo Rosji na Ukrainie miałoby taki sam niszczący skutek dla prawa międzynarodowego jak inwazja USA na Irak w 2003 r.".

Niepokój zwolenników zmian może wzbudzić natomiast fakt, że Bardella odwołał swoje wystąpienie na CPAC w Waszyngtonie w lutym 2025 r. i opuścił konferencję z powodu absurdalnych oskarżeń lewicowych mediów pod adresem Elona Muska o rzekome wykonanie nazistowskiego pozdrowienia. Steve Bannon, były doradca Donalda Trumpa, tak skomentował zachowanie francuskiego lidera: „Jordan Bardella jest niegodny prowadzić Francję – to chłopiec, nie mężczyzna". W sprawach drażliwych dla opinii publicznej Bardella nie zawsze wykazuje zresztą odwagę: gdy Macron i jego sojusznicy chcieli wpisać prawo do aborcji do konstytucji, Bardella – podobnie jak Marine Le Pen – nawoływał posłów RN, aby głosowali „za", i skrytykował tych, którzy głosowali przeciw, twierdząc, że „wpadli w pułapkę prezydenta". Jednocześnie otwarcie sprzeciwia się legalizacji eutanazji, którą promują lewica i część centroprawicy.

POSPOLITE RUSZENIE

Jedno jest pewne: Bardella buduje wizerunek przywódcy, który z jednej strony jest gotów podjąć radykalne działania w sprawach imigracji i suwerenności – mówiąc otwarcie o „egzystencjalnym zagrożeniu" dla Francji ze strony islamizmu i masowej imigracji – a z drugiej pozycjonuje się jako polityk umiarkowany, odpowiadający oczekiwaniom społecznym, lecz odpowiedzialny. Strategia przynosi efekty: nie tylko wyprzedza Marine Le Pen w sondażach, lecz także przyciąga nowych członków do RN, których liczba rośnie lawinowo, odkąd Bardella został wybrany na jej przewodniczącego partii – z 40 tys. w 2022 r. do ponad 150 tys. dziś. To czyni RN najliczniejszą partią we Francji.

Coraz wyraźniej widać paniczną reakcję elit lewicowo-liberalnych wobec rosnącej siły RN oraz popularności pierwszego lidera tej partii, który nie nosi nazwiska Le Pen. Elity te wydają się gotowe na wszystko, by uniemożliwić mu dojście do władzy w 2027 r. – lub nawet wcześniej. Bo pytanie nie brzmi już, czy – zakładając, że gra będzie czysta – Jordan Bardella obejmie władzę, lecz jedynie w jakiej roli: jako prezydent Republiki czy jako premier u boku prezydent Marine Le Pen.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pracuje w Instytucie Ordo Iuris.

eprasa.pl fecde7f9bb

Prigożyn wiecznie żywy

W Rosji jak grzyby po deszczu powstają pomniki Jewgienija Prigożyna

FOT. ARTEM PRIAKHIN/SOPA IMAGES/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Ponad dwa lata po śmierci szef Grupy Wagnera wciąż cieszy się ogromną popularnością wśród Rosjan. Wielu z nich wierzy, że Prigożyn przeżył zamach. Powstają poświęcone mu pomniki. Prokremlowski propagandysta napisał nawet pochwalną powieść na jego temat, czym naraził się samemu Putinowi

Jewgienij Prigożyn, według oficjalnej wersji, zginął w katastrofie lotniczej. Jest jednak w zasadzie oczywiste, że w rzeczywistości padł ofiarą zemsty za pucz. Nie wiadomo jedynie na pewno, czy jego samolot został zestrzelony czy wysadzony w powietrze za pomocą ładunku wybuchowego. Kremlowska propaganda nie starała się nawet oskarżyć o zamach Ukraińców czy Zachodu, jak to bywało z reguły w podobnych sytuacjach. Władimir Putin, nie wprost, ale w bardzo czytelny sposób, dał do zrozumienia, jak kończą ci, którzy rzucają mu rękawicę.

WIARA TKWI W SERCU

Chociaż ciało szefa wagnerowców odnaleziono i pochowano (bez asysty wojskowej i w kameralnym gronie), to jednak dość szybko – jak to mówią Rosjanie – „w narodie" (czyli wśród ludu) zaczęły się pojawiać teorie spiskowe o tym, że słynny watażka wciąż żyje. I to nie w sensie metaforycznym, lecz jak najbardziej dosłownym. W drugą rocznicę zamachu najciekawsze wersje zebrał petersburski portal Fontanka.ru. Już tydzień po śmierci, 1 września 2023 r., Prigożyn był „widziany" w tłumie uczniów pod jedną ze szkół w Tiumieni. Jest nawet nagranie. Widać na nim kogoś, kto na pierwszy rzut oka przypomina słynnego oligarchę, ale wystarczy się dokładniej przyjrzeć, by się zorientować, że to podobieństwo wcale nie jest uderzające. To jednak nie przeszkadza tym, którzy chcą wierzyć, że szef Grupy Wagnera żyje.

eprasa.pl fecde7f9bb

Zresztą nawet na łamach „The Washington Post" początkowo poważnie rozważano teorię, w myśl której zamach był inscenizowany, a na pokładzie samolotu zginął sobowtór Prigożyna. Oliwy do ognia teorii spiskowych dolał krótki film, na którym prawdziwy (a nie wygenerowany przez sztuczną inteligencję) założyciel Grupy Wagnera mówi: „Tym, którzy zastanawiają się, czy żyję czy nie, co u mnie słychać (chcę powiedzieć): mam teraz wolne, jest druga połowa sierpnia 2023 r., a ja znajduję się w Afryce, dlatego, drodzy fani rozważań o mojej likwidacji, życiu intymnym, zarobkach itp. (informuję, że) wszystko u mnie w porządku!". Nagranie tylko z pozoru było sensacją. Wystarczy sekundę się zastanowić. Prigożyn zginął 23 sierpnia. Film mógł być zatem nagrany kilka dni przed śmiercią. „Druga połowa sierpnia" zaczyna się już od 16. dnia miesiąca. A jednak ten, kto chciał wierzyć, że Prigożyn żyje, wierzył nadal.

Dawny „kucharz Putina" często „widywany" jest w Afryce. Nic dziwnego – w wielu tamtejszych państwach wagnerowcy realizowali interesy Kremla, a przy okazji swoje osobiste. Jest styczeń 2024 r. Uroczystość złożenia kwiatów pod pomnikiem obrońców tego kraju (za których uchodzili również wagnerowcy). W tłumie zwraca uwagę biały mężczyzna w cywilnym ubraniu. Chociaż na niewyraźnym nagraniu jest ledwie widoczny, to wielbiciele Prigożyna dostrzegli w nim swojego idola. I zyskali kolejny dowód, że żyje. Później ta plotka zostaje oficjalnie zdementowana. „Tajemniczy" mężczyzna o europejskim wyglądzie okazuje się pracownikiem rosyjskiego konsulatu. To jednak nie koniec afrykańskich „objawień" Prigożyna.

W marcu 2024 r. w Internecie pojawia się krótki filmik z granicy między Czadem a Republiką Środkowoafrykańską. Na pace samochodu, w grupie żołnierzy, znów wyróżnia się biały mężczyzna z postury przypominający rosyjskiego watażkę. Twarzy nie widać – jest zablurowana. Chwilę później „Prigożyn" idzie drogą w tłumie, lekko utyka. „To on! Poznaję jego chód!" – komentują internauci.

A teraz z wyznawcami teorii spiskowych przenieśmy się do Izraela. Tel Awiw, 13 czerwca 2025 r. Na miasto pierwszy raz spadają irańskie rakiety balistyczne. Na jednym ze zrobionych w tym czasie zdjęć widać kogoś, kto przypomina wiadomo kogo. Obraz jest jednak mocno rozmazany. „Powiedzieć, że to Prigożyn, można tylko, jeśli się bardzo tego chce. Bo wiara tkwi głęboko w sercu. Dlatego znów po całej wielkiej Rusi niesie się nowina – on żyje! Dlaczego w Izraelu? Nieważne. Najważniejsze: popatrzcie, chodzi pod bombami, jakby nic się nie działo. To musi być on!" – ironizuje Denis Lebiediew na łamach portalu Fontanka.ru.

Dawny „kucharz Putina" często „widywany" jest w Afryce

Półżartem, ale też półserio niektórzy rosyjscy internauci szukali podobieństw między Prigożynem a papieżem Franciszkiem. Szef wagnerowców po śmierci stał się nie tylko bohaterem teorii spiskowych, lecz także żartobliwych memów. Znanego producenta muzycznego i biznesmena Josifa Prigożyna z nieżyjącym watażką łączy nie tylko nazwisko (Przypadek?! Akurat tutaj tak). Jest do Jewgienija uderzająco podobny. Memy z jego udziałem stały się hitem Internetu. Na jednym z nich mówi przez telefon: „Przestańcie przysyłać mi amunicję!", co jest czytelnym nawiązaniem do słynnego monologu, w którym Prigożyn oligarcha w ostrych, żołnierskich słowach żądał od Szojgu i Gierasimowa przysłania pocisków. Na innym Josif, załamując ręce, tłumaczy, że to nie on „zdobywał Rostów" podczas pamiętnego puczu.

GRUPA PUSZKINA

Niedawno szefa Grupy Wagnera w spektakularny sposób „wskrzesił" Aleksander Prochanow, pisząc o nim powieść. Warto przyjrzeć się sylwetce autora. To jeden z najbardziej znanych i najbardziej wyrazistych pisarzy oraz publicystów rosyjskich. Redaktor naczelny gazety „Zawtra", nieformalny lider tzw. obozu czerwono-brunatnego, czyli sojuszu skrajnej lewicy i skrajnej prawicy, który na przełomie lat 80. i 90. połączył ponad podziałami zwolenników imperialnej Rosji (nieważne – białej, czerwonej czy jakiejkolwiek innej, byle potężnej). Prochanow to również czołowy przedstawiciel prawosławnego stalinizmu. Pomysłodawca napisania ikony Matki Bożej Mocarstwowej, prezentującej Stalina i „marszałków Zwycięstwa", czyli najwyższych dowódców Armii Czerwonej z okresu drugiej wojny światowej. Prochanow jest typowym przedstawicielem nieoficjalnej „partii wojny", czyli środowiska, które namawia Putina do radykalnych działań. Krytykował prezydenta Rosji dopóty, dopóki uważał, że będzie on kontynuował prozachodnią, liberalną politykę Borysa Jelcyna. Im bardziej Putin szedł na zwarcie z Ukrainą i Zachodem, tym bardziej Prochanow dostrzegał w nim „piątego Stalina", czyli kolejne (po Włodzimierzu Wielkim, Iwanie Groźnym, Piotrze Wielkim i „Stalinie właściwym") wcielenie ideału rosyjskiego władcy.

Powieść Prochanowa o szefie wagnerowców nosi tytuł „Lemner" i ukazała się w sierpniu – akurat mniej więcej w drugą rocznicę śmierci watażki. Już w notce od wydawcy, umieszczonej na samym początku książki czytamy, że tytułowy bohater „przypomina Jewgienija Prigożyna – najbardziej wyrazistą postać naszych czasów". Notka opatrzona jest hasztagami: „gruz200vmieste", czyli „Gruz 200 (tak określa się poległych) – jesteśmy razem"; „wsiechubit`wsiootniat`" – czyli „wszystkich zabić, wszystko odebrać" oraz „szajtangdiesnariady", czyli „szatan, dawaj naboje" (nawiązanie do wspomnianego już „apelu" Prigożyna o amunicję). Michaił Sołomonowicz Lemner jest rosyjskim oligarchą, właścicielem dwóch „przedsiębiorstw": biura usług seksualnych oraz firmy ochroniarskiej. Prawdziwa Grupa Wagnera w powieści jest Grupą Puszkina. To swego rodzaju hołd dla Prigożyna – w ten sposób Prochanow jeszcze głębiej zakorzenia buntownika w glebie rosyjskiej kultury i historii. Lemner pracuje dla władz na Kremlu. Jest Żydem. „Rosyjska historia pełna jest carobójców i samozwańców. Jest to powieść o człowieku, który w pewnym momencie uznał, że jest w stanie wpływać na rosyjskie procesy historyczne, i postanowił zagrać va banque" – tak swój zamysł tłumaczył sam Prochanow.

„Lemner" to opowieść o współczesnej Rosji, w której za teoretycznie fikcyjnymi postaciami stoją łatwo rozpoznawalne realne prototypy. Największe kontrowersje wzbudził obraz Putina. Prezydentem Rosji jest Leonid Leonidowicz Trojewidow,

eprasa.pl fecde7f9bb

o którym Prochanow pisze, że „wysadził w powietrze rury Gazociągu Północnego i odciął Rosję od Europy. Nie tylko od europejskiego rynku. Zamurował okno na Europę, które wyrąbał Piotr Wielki. Przekierował rosyjską ropę naftową i gaz do Chin, wzmacniając potęgę Chin, których granice niedługo będą na Bajkale. A poza tym nie lubi piesków rasy corgie". Putin przedstawiony jest jako potwór, który w swoim gabinecie ukrywa ciała wrogów i pije krew dziewic. W powieści można przeczytać taką oto charakterystykę władcy Kremla: „Raz w miesiącu Leonid Trojewidow odmładzał się, całkowicie wymieniał swoją krew. Z Pekinu przysyłali mu porcelanową wazę z różowymi pijawkami. Pijawki te wcześniej nasycały się krwią chińskich dziewic. Pijawki przysysały się do jego ciała, piły jego zmęczoną krew, oddając mu w zamian dziewiczą świeżość. Ukąszenia różowych pijawek były delikatne, niczym pocałunki". Prezydent jest nie tylko potworem, lecz także bezwolną kukłą w rękach szarej eminencji – Swietocza, w którym można dostrzec podobieństwo do Patruszewa.

„Lemner" to powieść typowa dla Prochanowa – pełna barwnie przedstawionych teorii spiskowych, politycznego science fiction, mistyki i uroczystego patosu, czasem karykaturalnego, ocierającego się o ciężkostrawną grafomanię. A jednak skandalizująca tematyka zadziałała na czytelników. Cały nakład powieści został wyprzedany w ciągu miesiąca. Powieść po swojemu „doceniły" również władze. Zaplanowane na 29 września spotkanie autorskie w Moskiewskim Domu Książki zostało odwołane przez organizatorów. Prochanow zdobył się na moment szczerości, publicznie ogłaszając, że decyzję w tej sprawie podjęli „wystraszeni organizatorzy". Później jednak usunął post na ten temat. Oficjalną przyczyną odwołania spotkania była obawa o bezpieczeństwo pisarza i jego czytelników, którzy mogli zostać zaatakowani przez „osoby trzecie". 2 października popularna księgarnia Czitaj-gorod usunęła „Lemnera" ze swoich wirtualnych półek. Na portalu Ozon, który pośredniczył w sprzedaży książek, pojawiła się informacja o tym, że skończyły się fizyczne egzemplarze powieści. „Prochanow był przekonany, że kto jak kto, ale on może wypowiadać się publicznie na podobne tematy. A jednak jego prezentacje odwołują. My wszyscy – zarówno „liberałowie", jak i „patrioci" – jedziemy na tym samym, cenzuralnym wózku" – komentowała Galina Józefowicz, opozycyjna wobec Putina dziennikarka i krytyk literacki. Rzeczywiście, ideolog „partii wojny" najwyraźniej przecenił swoje znaczenie. W końcu musiał się pokajać. Oświadczył, że nie było jego intencją obrażanie państwa i prezydenta. Zapewnił, że uważa Putina za „uosobienie historii Rosji w jej kwitnącej fazie". Argumentował, że liberałowie specjalnie wyrywają z kontekstu fragmenty książki, pokazujące Trojewidowa w negatywnym świetle, aby w ten sposób skłócić władze z popierającymi je pisarzami. Podkreślił ponadto, że Lemner jest postacią negatywną.

OD BUNTOWNIKA DO CARA

I tu dochodzimy do kluczowego pytania: Jak to możliwe, że w państwie, w którym władza jest świętością, zwolennicy tejże władzy są wyraźnie zafascynowani buntownikiem? Skąd sympatia do Prigożyna, którzy przecież rzucił wyzwanie samemu Putinowi? Dlaczego Prochanow, marzący o zmartwychwstaniu Stalina, zaryzykował swoją pozycję powieścią poświęconą komuś, kto zasłużył na śmierć z rąk władcy Kremla?

Wiele o zamyśle autora mówi notka od wydawcy. „Nowa powieść Aleksandra Prochanowa poświęcona jest awanturom, wielkim czynom, strasznym zbrodniom Michaiła Lemnera – bohatera, który nieraz wychodził na scenę rosyjskiej historii – a to jako Stiepan Razin, a to jako Jemielian Pugaczow, a to jako bohater Rosyjskiej Wiosny" – czytamy. Pierwsi dwaj to przywódcy największych w dziejach Rosji powstań chłopskich. Zgodnie z paradoksalnym, irracjonalnym charakterem mentalności rosyjskiej, która nie uznaje kompromisu i miota się ze skrajności w skrajność, jedyną możliwą odpowiedzią na despotyzm jest równie brutalny, bezwzględny, żywiołowy, nieokiełznany bunt mas. Co jednak znamienne, masy mordują elitę, „złych bojarów", a nie „dobrego cara". Powstańcy chłopscy zarzynali szlachtę. Pugaczow nie miał ambicji zniesienia caratu – sam zresztą był samozwańcem, podającym się za rzekomo cudownie ocalałego męża Katarzyny Wielkiej, cara Piotra III. „Buntownikiem, gorszym od Pugaczowa" caryca nazwała później Aleksandra Radiszczewa, pisarza, który proponował zniesienie samodzierżawia. Podobnie Prigożyn poszedł na Moskwę nie po to, by obalać Putina czy zmieniać Rosję na bardziej liberalną i pokojowo nastawioną, tylko po to, by – po pierwsze – wyrżnąć „złych bojarów" (Szojgu i Gierasimowa), a po drugie – usprawnić machinę wojenną. Oczywiście musiał zginąć, bo jego pucz mógł zachwiać podstawami państwa. Jednak sam Putin nazywał go „złożoną postacią". W Rosji jak grzyby po deszczu powstają pomniki Prigożyna. Jeszcze przed puczem, ale już po ostrych atakach szefa wagnerowców na rządzące elity Aleksander Dugin (ideowy sojusznik Prochanowa) porównywał watażkę do dawnych chłopskich buntowników. Prigożyn – mniej lub bardziej świadomie – sam się w ten paradygmat wpisywał. Był bogatym oligarchą, ale w mediach kreował swój wizerunek jako człowieka z ludu – łysego, wulgarnego, prostego zabijakę, z którym wielu Rosjan mogło się utożsamiać. Pisarz Zachar Prilepin do Razina i Pugaczowa porównywał swego czasu nawet Stalina – sowiecki dyktator też kreował się na prostego człowieka i też wyrzynał elity w ramach wielkiej czystki. Od chłopskiego buntownika do cara, jak widać, tylko jeden krok. Prigożyn jest zatem bohaterem zbiorowej wyobraźni, ludowym mścicielem, przypominającym zarówno przywódców chłopskich buntów, jak i Stalina, a nawet – cytując notkę od wydawcy – „bohatera Rosyjskiej Wiosny". Czyli separatystę z Donbasu, walczącego z Kijowem po 2014 r. Brzmi absurdalnie? Tylko z pozoru. Rosyjska propaganda od dawna forsuje mit Donbasu jako oddolnego buntu prostego ludu rosyjskojęzycznego przeciwko ukraińskim elitom liberalnym. W książkach Prilepina separatyści przedstawiani są jako brutalni bandyci, ale walczący w słusznej sprawie. Wypisz wymaluj wagnerowcy. Lemner potrzebny jest rosyjskiej historii i kulturze. Bo jest jej nierozerwalną częścią.

Jak to możliwe, że w Rosji, w której władza jest świętością, zwolennicy tejże władzy są zafascynowani buntownikiem

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. HANDOUT/NEW ZEALAND POLICE/AFP/EAST NEWS

POŁKNIĘTE DIAMENTY

Do niecodziennej kradzieży doszło w sklepie jubilerskim w Auckland. Mężczyzna połknął wysadzany diamentami medalion w kształcie jajka Fabergé wart 19 tys. dol. Do sklepu została wezwana policja. Na razie jednak cennego przedmiotu nie udało się odzyskać. Mężczyzna został poddany badaniu lekarskiemu i pozostaje w areszcie. Był też już wcześniej oskarżany o inne kradzieże, m.in. żwirku dla kotów i środka na pchły.

DZIESIĘCIOLATEK ZA KÓŁKIEM

W Mount Juliet (stan Tennessee) kobieta udała się do szkoły podstawowej, aby dostarczyć tam jakieś dokumenty. Na parkingu zostawiła samochód, w którym siedział jej 10-letni syn. Gdy opuściła placówkę, ani auta, ani dziecka nie było. Przerażona kobieta zgłosiła sprawę na policję. Tymczasem samochód odnalazł się... w jej garażu, a syn przebywał z ojcem w domu. Jak się okazało, 10-latek zniecierpliwiony przedłużającą się nieobecnością matki postanowił uruchomić auto i wrócić nim sam.

SELEKCJA

Duński bank spermy Donor Network wzbudził kontrowersje, wprowadzając jako jedyny w kraju wymóg minimalnego IQ 85 dla dawców. Pozostałe tego typu podmioty w Danii podkreślają, że nie stosują takich kryteriów. Donor Network argumentuje, że testy IQ pomagają ocenić „predyspozycje poznawcze", ale eksperci to krytykują jako formę selekcji, która może budzić skojarzenia z eugeniką.

WYŁUDZIĆ EMERYTURĘ

Pięćdziesięciosiedmioletni bezrobotny włoski pielęgniarz przebrał się za swoją zmarłą matkę. Próbował bowiem odnowić jej dowód osobisty, aby móc nadal pobierać emeryturę kobiety. Gdy załatwiał formalności, miał na sobie perukę, makijaż i matczyne ubranie. Zdradziły go jednak widoczne ślady zarostu, co wzbudziło podejrzenie urzędników. Okazało się, że mężczyzna nie zgłosił śmierci matki władzom, a jej zmumifikowane zwłoki trzymał w domowej pralni.

TĘCZOWY MUNDIAL

Krajom islamskim nie od dziś zarzuca się na Zachodzie, że prześladowane są w nich mniejszości seksualne. Władze Seattle ogłosiły zatem, że rozgrywane w tym mieście w czerwcu piłkarskie mundialowe spotkanie Iran – Egipt będzie „Meczem Dumy". Organizatorzy wydarzenia zamierzają uhonorować „społeczność LGBTQ+". Inicjatywa spotkała się z krytyką ze strony piłkarskich federacji obu państw muzułmańskich. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Banki kontra bandyci

Szybki rozwój nowoczesnych technologii sprawia, że swe zbójeckie techniki aktualizują też złodzieje i bandyci. Niekiedy pracownicy banków zdają się zaś zapominać, że ich celem jest ochrona pieniędzy klientów. Gdy zadzwoniłem do jednego z banków, by zgłosić transakcję kartą płatniczą, która wydała mi się podejrzana, niestrudzony w realizacji celów sprzedażowych pracownik odparł: „Czy byłby pan zainteresowany kartą kredytową? Taka oferta została dla pana przygotowana". Nie podaję nazwy banku, bo jego rzeczniczka zapewniła, że wdrożono już procedury, by takie sytuacje się nie powtarzały. Oby!

Świetnie, że właściwych działań banków w przypadku wyłudzeń bacznie pilnuje UOKiK. Jeszcze lepiej zaś, gdy instytucje finansowe same sobie podnoszą poprzeczkę. Na przykład Revolut (konta w nim ma już ponad 5 mln Polaków) wprowadził funkcję, która ma zapobiegać przestępstwom znanym jako „transfer mugging". To forma napadu, która staje się coraz popularniejsza w Europie: bandyci za pomocą gróźb zmuszają ofiarę do odblokowania smartfona, zalogowania się do aplikacji finansowych i... czyszczą konta...

Revolut uruchomił więc „Tryb uliczny", który utrudnia życie bandytów. Funkcja opiera się na geolokalizacji i pozwala oznaczyć na mapie miejsca „zaufane". Gdy klient jest poza bezpieczną strefą, przelewy ponad wcześniej ustalony limit wymagają dodatkowego potwierdzenia tożsamości, a ich realizacja jest opóźniona o godzinę. Z kolei mBank wprowadził funkcję czasowego blokowania transakcji, która też ma zapobiegać wyłudzeniom. Podobne „tarcze" powinny być w każdym banku...

eprasa.pl fecde7f9bb

PHALS

Polish–Hungarian–American
Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION

15–17 FEBRUARY 2026 · KRAKÓW

15–17 lutego 2026 · Kraków | 2026. február 15–17 · Krakk

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl fecde7f9bb

Ekonomia długowieczności

Sardynia to jedno z miejsc, gdzie żyje wyjątkowo wiele osób, które mają 100 lat i więcej FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Niebieskie strefy to miejsca na Ziemi, w których żyje najwięcej stulatków w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców. Jak pójść w ślady sędziwych Sardyńczyków i Greków? Jak zarobić na odwiecznych marzeniach o wiecznej młodości? I czy najbogatsi mogą już realnie myśleć o nieśmiertelności?

Fontanna Młodości. Mityczne miejsce, w którym bije źródło magicznej wody zapewniającej wieczną młodość lub – co wydaje się jeszcze bardziej pożądane na Starym Kontynencie ze średnią wieku wynoszącą 45 lat – odmłodzenie. Mit pojawia się w legendach różnych kultur. Opowieści o Fontannie Młodości rozbudzają ludzką wyobraźnię od tysięcy lat. Informację o niej można odnaleźć w pismach Herodota z Halikarnasu (greckiego historyka żyjącego w V w. p.n.e.) czy Prezbitera Jana (według XII-wiecznej legendy władcy zaginionego chrześcijańskiego królestwa). Od wieków odkrywcy i magowie szukali mikstury zwalczającej procesy starzenia. Również współcześni naukowcy usilnie pracują w laboratoriach, opracowując coraz to nowsze sposoby na zyskanie nieśmiertelności lub chociaż przedłużenie życia.

INŻYNIERIA DŁUGOWIECZNOŚCI

W ubiegłym roku badaczka Corina Amor Vegas odkryła, że walce ze starzejącymi się komórkami mogą służyć odpowiednio zmodyfikowane limfocyty CAR-T, które z powodzeniem są już stosowane w walce z nowotworami. Inni naukowcy już ponad dekadę temu przekonywali zaś, że źródło młodości znajduje się w mózgu i że poprzez wstrzyknięcie do mózgu odpowiednich hormonów i zablokowanie kompleksu białkowego NF-κB można znacząco spowolnić proces starzenia.

Wielu bogaczy, jak choćby 48-letni Amerykanin Bryan Johnson, zamiast kupować nowe rezydencje czy marnować pieniądze na zbędne luksusy, inwestuje miliony dolarów rocznie w terapie, które mają sprawić, by ich ciało starzało się wolniej. Amerykański przedsiębiorca swoje kolejne urodziny świętuje więc co 19 miesięcy. Twierdzi bowiem, że jego ciało starzeje się w każdym roku kalendarzowym o zaledwie 7,6 miesiąca. Co więcej, Johnson jest przekonany, że połączenie nowoczesnych technologii oraz sztucznej inteligencji może doprowadzić ludzkość do wiecznego życia. I taki jest właśnie jego oficjalny cel.

I chociaż nie każdy może wydawać miliony dolarów rocznie na swoje zdrowie, to „długowieczność" stała się modnym słowem nie tylko w opiece zdrowotnej, lecz także w biznesie. Kolejne doniesienia medialne tworzą wrażenie, że jesteśmy o krok od przełomu w walce ze starzeniem się, i sprawiają, że hitami

eprasa.pl fecde7f9bb

sprzedaży są zarówno różnego rodzaju gadżety do biohackingu, jak i testy epigenetyczne czy mobilne komory hiperbaryczne.

Naukowcy już niemal dekadę temu dowodzili, że po czterdziestce oczekiwana długość życia mieszkańców USA wzrasta proporcjonalnie do percentyla dochodów (badanie naukowców z Uniwersytetu Stanforda i Massachusetts Institute of Technology opublikowane w roku 2016).

A jednak Kubańczycy żyją średnio dłużej niż Amerykanie, mimo że ci ostatni są o wiele bogatsi (odpowiednio 79 i 77 lat). Z kolei z opublikowanego w kwietniu obecnego roku badania naukowców z Brown University School of Public Health wynika, że choć osoby bogatsze żyją w USA dużo dłużej niż uboższe (najbogatsi mieli aż o 40 proc. niższy wskaźnik umieralności niż najbiedniejsi), to jednocześnie Amerykanie mają gorsze wskaźniki przeżywalności niż Europejczycy. I to na wszystkich poziomach zamożności. Co więcej, nawet najbogatsi mieszkańcy Stanów Zjednoczonych żyli średnio krócej niż najbogatsi Europejczycy (bogaci Amerykanie mieli wskaźniki przeżywalności porównywalne do najbiedniejszych mieszkańców takich państw Europy Zachodniej, jak Niemcy, Francja czy Holandia). W analizie porównano dane ponad 73 tys. dorosłych osób w Stanach Zjednoczonych i różnych regionach Europy, które w 2010 r. miały od 50 do 85 lat. W okresie objętym badaniem mieszkańcy Europy Południowej mieli śmiertelność o ok. 30 proc. niższą niż Amerykanie, a w przypadku osób z Europy Wschodniej śmiertelność była na poziomie od 13 do 20 proc. niższym niż wśród badanych w Stanach Zjednoczonych.

RECEPTA NA PONAD STO LAT

Naukowcy i dziennikarze od lat wyszukują zatem takie miejsca na Ziemi, w których ludzie – niekoniecznie wyjątkowo zamożni – żyją wyjątkowo długo. W ten sposób już dwie dekady temu zidentyfikowano pięć tzw. niebieskich stref (Blue Zones), czyli miejsc, w których żyje wyjątkowo dużo stulatków na każde 100 tys. osób.

Dlaczego akurat niebieskich? Po prostu naukowcy podczas pierwszego badania do zaznaczania wiosek, w których mieszkali sędziwi ludzie na terenie Sardynii, używali… długopisu z niebieskim wkładem. W 1999 r. naukowcy zauważyli, że na każde 100 tys. mieszkańców wyspy przypada aż 16,6 stulatka (w porównaniu ze średnią 10 na 100 tys. w pozostałych krajach Europy).

W opublikowanym w 2004 r. badaniu czytamy zaś, że na Sardynii zaobserwowano nie tylko wyjątkowo wiele osób, które przekroczyły 100 lat, lecz także niespotykanie niską różnicę w długości życia kobiet i mężczyzn. Co więcej, górzysty region Barbagia na wyspie charakteryzuje się wyjątkową długowiecznością mężczyzn. Szacowana średnia długość życia w mieście Nuoro jest zaś nie tylko dłuższa niż na pozostałym obszarze wyspy (stulatków jest tu aż 17,9 na każde 100 tys. mieszkańców), ale stosunek mężczyzn do kobiet wśród stulatków wynosi zaledwie 1,35 w porównaniu z 2,43 w pozostałej części Sardynii. Dla porównania: na początku XXI w. na każde 100 tys. mieszkańców w Danii odnotowano średnio 10,4 osoby powyżej 100. roku życia, w Belgii – 10,5, w Szwecji – 12,6, a we Włoszech – 12,6.

Bryan Johnson swoje urodziny świętuje co 19 miesięcy FOT. X.COM/BRYAN_JOHNSON

Na Sardynii można odnaleźć nie tylko wiele osób długowiecznych (które ukończyły 90. rok życia) czy stulatków, lecz także tzw. superstulatków, czyli osoby, które mogą pochwalić się ukończeniem 110 lat i więcej i do stulatków mogą z wyższością mówić: „Kiedy ja byłem w twoim wieku…".

Do „niebieskich stref" poza sardyńską Barbagią przez ostatnie dwie dekady zaliczane były jeszcze cztery obszary na świecie. To wyspa Ikaria w Grecji (Ikaryjczycy mają dwa i pół razy większą szansę na dożycie 90 lat niż Amerykanie, a ich średnia długość życia jest o 10 lat dłuższa niż w innych krajach Europy), półwysep Nicoya w północno-zachodniej Kostaryce, wyspa Okinawa w Japonii i miasto Loma Linda w amerykańskim stanie Kalifornia.

Co poza dużymi szansami na dożycie setki łączy mieszkańców tych regionów? Oczywiście część recepty na długowieczność to zasługa genów. Nie bez powodu na liście znajdują się głównie wyspy (Sardynia, Ikaria i Okinawa) oraz półwysep.

Jakie wnioski można wyciągnąć, obserwując życie mieszkańców tych rejonów? We wszystkich „niebieskich strefach" obserwuje się dużą ilość spontanicznego ruchu (np. spacerów, chodzenia pieszo do sklepu, kościoła czy po otaczających górach, dużo czasu spędzonego na pracach w domu i w ogrodzie). Regularna aktywność fizyczna pomaga mieszkańcom „niebieskich stref" w zapobieganiu problemom sercowo-naczyniowym, otyłości, cukrzycy czy nowotworom. Podczas ruchu uwalniają się też endorfiny, serotonina i dopamina, które łagodzą ból i zmniejszają ryzyko depresji. Na długowieczność zbawienny wpływ mają również pozytywne nastawienie, skuteczne sposoby na redukcję stresu, posiadanie celów w życiu oraz duże przywiązanie do rodziny i lokalnej społeczności (np. na spożywane wspólnie posiłki). Długowieczności sprzyja także religijność.

Naukowcy zwracają również baczną uwagę na dietę, która w strefach, gdzie żyje wyjątkowo dużo stulatków, przypomina tę śródziemnomorską. Składają się na nią m.in. dużo świeżych warzyw i owoców, rośliny strączkowe, a także ryby i owoce morza oraz niesolone i niesłodzone orzechy, nasiona, pestki etc. Co ważne, Sardyńczycy czy Ikaryjczycy spożywają głównie lokalną, mało przetworzoną żywność. Do tego dochodzi naturalna dawka witaminy D, bo dni słonecznych jest wiele zarówno na Sardynii, jak i w Ikarii, na Okinawie, Kostaryce czy w Kalifornii. Żyć długo

eprasa.pl fecde7f9bb

Prozdrowotna polityka Singapuru sprawiła, że miasto-państwo zostało uznane za „niebieską strefę 2.0" FOT. ADOBE STOCK

i zdrowo pomaga też ponoć codzienna dawka tradycyjnej kawy... Mieszkańców „niebieskich stref" charakteryzuje nie tylko aktywność do późnego wieku, lecz także zasada, która po japońsku brzmi: „Hara hachi bu", czyli: „Jedz, aż będziesz syty w 80 proc.". Nie tylko mieszkańcy Okinawy, lecz także innych miejsc, w których wielu jest sędziwych ludzi, jedzą powoli, delektując się posiłkami, i nie spożywają zbyt dużych porcji. Kostarykańczykom służy dodatkowo naturalnie bogata w wapń i magnez woda, która zmniejsza ryzyko chorób serca oraz wzmacnia kości mieszkańców.

W sierpniu 2023 r. dziennikarz „National Geographic" Dan Buettner, który zajmuje się odnajdywaniem regionów, w których ludzie żyją dłużej i zdrowiej, do listy pięciu „niebieskich stref" dopisał Singapur. Urodzony w roku 1960 noworodek w Singapurze mógł spodziewać się przeciętnie zaledwie 65 lat życia. Obecnie średnia długość życia wzrosła o prawie 20 lat. A liczba stulatków w Singapurze w latach 2010–2020 podwoiła się z 700 do 1500. Podobnie wzrosła również liczba kobiet i mężczyzn, którzy ukończyli już 80 i 90 lat.

W tym przypadku trudno mówić, że dobry wynik tego miasta-państwa to połączenie długoletniej kultury, tradycyjnego stylu życia, diety i społeczności. Dan Buettner nazwał więc Singapur „niebieską strefą 2.0". Długowieczność to bowiem zasługa konsekwentnie realizowanej prozdrowotnej polityki rządu, wysokich podatków nałożonych na papierosy i alkohol oraz połączenia powszechnej opieki zdrowotnej z prywatnymi usługami medycznymi. Władze od lat 60. XX w. rozwijają również w przestrzeni miejskiej system parków i rezerwatów przyrody wkomponowanych w nowoczesną architekturę, dzięki którym mimo gęstej zabudowy Singapur nazywany jest „miastem ogrodów".

W rankingu Legatum Prosperity Index z 2023 r. czysty i bardzo bezpieczny Singapur zajął pierwsze miejsce na świecie pod względem zdrowia mieszkańców i dostępu do opieki medycznej (jednocześnie w kategorii wolności osobistej zajmował aż 107. pozycję). Dla porównania: Polskę w kategorii „Zdrowie" sklasyfikowano na miejscu 48. na 167 (m.in. za Węgrami, Słowacją czy Czechami).

POLSKA „NIEBIESKA STREFA"

Wśród znanych na całym świecie „niebieskich stref" nie ma żadnego rejonu Polski, choć w naszym kraju przez lata również rosła długość życia. Niestety, według tegorocznego raportu Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Instytutu Badawczego (NIZP PZH-PIB) przestała się zwiększać i wróciła do poziomu sprzed pandemii COVID-19. Autorzy opublikowanego w czerwcu dokumentu „Sytuacja zdrowotna ludności Polski i jej uwarunkowania 2025 – wnioski w kontekście planowania priorytetów zdrowia publicznego i rozwiązań systemowych" zauważają, że w latach 2014–2019 wzrost oczekiwanej długości życia w Polsce wyraźnie zwolnił. W tym okresie długość życia kobiet zwiększyła się o zaledwie 0,2 roku, a mężczyzn o 0,3 roku. Pewne odbicie odnotowano w roku 2023. Nadal oczekiwana długość życia Polaków jest o 4,1 roku krótsza, niż wynosi średnia dla mężczyzn w Unii Europejskiej, a w przypadku kobiet jest o 1,9 roku krótsza, niż wynosi średnia dla kobiet mieszkających na terenie UE.

Z raportu GUS wynika, że w Polsce mężczyźni żyją przeciętnie 74,93 roku, a kobiety 82,26 roku. Statystyki różnią się jednak w zależności od regionu. Kobiety szanse na najdłuższe życie mają na Podkarpaciu i Podlasiu, z kolei mężczyźni – w Małopolsce, na Podkarpaciu, a także na Podlasiu i Pomorzu. Z kolei według raportu „Sytuacja Zdrowotna Ludności Polski i jej Uwarunkowania 2022", opracowanego przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego, największą średnią długość życia w Polsce odnotowano w Sopocie, Gdyni czy Krakowie.

Również nad Wisłą coraz więcej Polaków dożywa jednak sędziwego wieku. Od ponad pół wieku stulatkowie w Polsce mogą liczyć na specjalną premię za wiek. Od 1 stycznia 2025 r. seniorom, którzy posiadają obywatelstwo polskie i ukończyli już 100 lat życia, przysługuje świadczenie honorowe w wysokości 6,5 tys. zł miesięcznie (kwota jest waloryzowana co roku w marcu). Dodatkowe pieniądze ZUS wypłaca co miesiąc wraz z emeryturą lub rentą. Takim osobom świadczenie honorowe przyznawane jest z urzędu – nie trzeba nawet składać o nie wniosku. Wniosek o to świadczenie muszą z kolei złożyć ci stulatkowie, którzy nie mają prawa do emerytury lub renty, ale mają polskie obywatelstwo i miały centrum interesów osobistych lub gospodarczych w Polsce przez co najmniej 10 lat po ukończeniu 16. roku życia. Jak podał w sierpniu Zakład Ubezpieczeń Społecznych, w 2025 r. świadczenie honorowe pobierało 3,8 tys. osób. To niemal dwa razy więcej niż pod koniec roku 2018 – wówczas dodatkowe pieniądze z ZUS otrzymywało 1,9 tys. stulatków w Polsce.

Mamy też nieoficjalny odpowiednik „niebieskiej strefy" – takim wyjątkowym miejscem na mapie Polski ma być Połczyn-Zdrój. Władze tego miasta odkryły bowiem, że już w 2019 r. w tej niewielkiej uzdrowiskowej miejscowości (zamieszkanej na stałe przez nieco ponad 8 tys. osób) 100. urodziny świętowało już 113 osób.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ustanówmy Dzień Wnuczki i Wnuka

Dlaczego w Polsce do dziś nie istnieje – a więc też nie obchodzi się go – Dzień Wnuczki i Wnuka? Dzień Wnuczki i Wnuczka albo Dzień Wnuczki i Dzień Wnuka, bo przecież święta te nie musiałyby przypadać jednego dnia.

Choć to nasze, polskie „niedopatrzenie" zdaje się nie być wcale czymś szczególnie nadzwyczajnym, zważywszy że i poza naszym krajem nie jest to chyba jakoś szczególnie rozpowszechnione święto. Chociaż niezawodne (?) „Internety" utrzymują, że Narodowy Dzień Wnuczek i Wnuków (National Grandchildren's Day) np. w Stanach Zjednoczonych jednak obchodzony jest. No, ale wiadomo – Ameryka to Ameryka.

A zatem, wracając na nasze podwórko, dlaczego, mimo że możemy się cieszyć i Dniem Matki (26 maja), i Dniem Ojca (23 czerwca), i Dniem Babci (21 stycznia), i Dniem Dziadka (22 stycznia), a także – ku ogólnej radości – Dniem Dziecka (1 czerwca), nie obchodzimy w Polsce Dnia Wnuczki i Wnuka lub Dnia Wnuczki i Dnia Wnuka?

Jak wiadomo, oponować przeciw temu, czyli przeciw ustanowieniu i obchodzeniu tego święta, można „z różnych pozycji", a choćby z tej, że jest ono zupełnie niepotrzebne, ponieważ babcie i dziadkowie tak bardzo kochają swoje wnuczki i swoich wnuków, że każdego dnia, codziennie – a w każdym razie codziennie, jeśli tylko mają po temu sposobność – ów Dzień Wnuczek i Wnuków i tak im urządzają. I pewnie nie ma w tym wiele przesady.

Wszelako kochając własne wnuki bez umiaru, w naszej rodzinie dwa lata temu ustanowiliśmy na własne potrzeby takie święto, a raczej takie święta, czyli Dzień Wnuczki (Zofii) i Dzień Wnuka (Piotra) – u nas, dla ułatwienia, Dzień Wnuczki przypada w Dniu Babci (21 stycznia), a Dzień Wnuka – w Dniu Dziadka (22 stycznia).

A z kolei przygotowując się do napisania tego felietonu, w którym postanowiłem ująć się publicznie za ustanowieniem Dnia Wnuczki i Wnuka lub Dnia Wnuczki oraz Dnia Wnuka w skali całej Polski, natrafiłem na informację, że 31 maja 2025 r. (czyli w przededniu Dnia Dziecka) w Poznaniu po raz pierwszy świętowano Dzień Wnuczki i Wnuka.

To bardzo miły pierwszy krok mojego ukochanego Poznania. Lecz czy pójdzie za nim kolejny? Czyli czy tym razem Polsce (czytaj: jej władzom w Warszawie) uda się nie czekać z ogłoszeniem ogólnopolskiego Dnia Wnuczek i Wnuków tak długo – a więc ponad 100 lat – jak długo czekała (bo aż do 2021 r.) z ustanowieniem święta Narodowego Dnia Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego (1918–1919)? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Putin Wszechmocny

Kiedy się pociąg w polu zatrzyma – wina Putina.
Kiedy się ciągnie ta wstrętna zima – wina Putina.
Kiedy prezydent sypie piach w szprychy
– wina Putina.
Gdy ci brakuje do wina dychy – wina Putina.
Gdy Tusk na baczność przed Merzem stoi
– wina Putina.
Gdy się Zachodu Narendra Modi nie boi
– wina Putina.
Gdy na łańcuchu ktoś pieska trzyma
– wina Putina.
Gdy się Naczelnik znowu nadyma – wina Putina.
Kiedy deficyt rośnie potężnie – wina Putina.
Gdy w Ciechocinku zamarzną tężnie – wina Putina.
Gdy rowerzystów znów ktoś hejtuje – wina Putina.
Kiedy Dmowskiego malarz maluje – wina Putina.
Kiedy inflacja chwyci i rośnie – wina Putina.
Kiedy Olszański wrzeszczy rozgłośnie – wina Putina.
Gdy robi w konia nas Ukraina – wina Putina.
Gdy z opóźnieniem film się zaczyna – wina Putina.
Kiedy sąsiada pies cię ugryzie – wina Putina.
Kiedy szkło znajdziesz w mrożonej pyzie
– wina Putina.
Kiedy podatki znów za wysokie – wina Putina.
Kiedy żul stary sika pod blokiem – wina Putina.
Kiedy Stanowski Wysocką gnębi– wina Putina.
Gdy się tłum dziki znów w sklepie kłębi
– wina Putina.
Kiedy komputer nie chce się włączyć – wina Putina.
Kiedy obiadu nie mogłeś skończyć – wina Putina.
Kiedy się ekspres zepsuł do kawy – wina Putina.
Kiedy autobus uciekł do Mławy – wina Putina.
Kiedy Warzecha zamilknąć nie chce – wina Putina.
Gdy Trump Europę waży tak lekce – wina Putina.

Putin jest wszędzie, złego Putina nic nie zatrzyma.
Żadne zaklęcie, groźba czy prośba się go nie ima.
On wszystkim rządzi,
on się za wszystkim codziennie kryje.
Każdym drobiazgiem, każdym zdarzeniem,
wszystkim, co żyje.
Wyłazi z szafy, spływu w łazience i z wentylacji,
Z sejfu, szuflady, starej szkatułki i z ubikacji.
Jeśli zaś uprzesz się, czytelniku, że go tu ni ma,
To także będzie – sprawa jest jasna
– wina Putina. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

Perła Chin

Piotr Włoczyk
z delty Rzeki Perłowej

Chiński przywódca Xi Jinping tworzy w delcie Rzeki Perłowej megalopolis, które ma działać jak turbodoładowanie dla tej „fabryki świata". Dziewięćdziesiąt milionów ludzi żyjących w tzw. GBA już korzysta z pierwszych owoców tego gargantuicznego projektu

Prędkościomierz zbliżał się właśnie do 250 km/h, gdy poczułem lekkie puknięcie w ramię. Kobieta w średnim wieku siedząca na sąsiednim fotelu wskazała palcem na wyświetlacz, mówiąc z nieskrywaną dumą: „Nieźle to wygląda, prawda? To takie nasze metro". Najwidoczniej zauważyła, że człowiek z Europy z zaciekawieniem przygląda się wyświetlaczowi pokazującemu coraz to wyższe wartości, i chciała usłyszeć potwierdzenie, że takiej infrastruktury cały świat może zazdrościć Chinom.

PRAWDZIWE MEGALOPOLIS

Użycie słowa „metro" w kontekście pociągu mknącego nawet z prędkością 300 km/h nie wydaje się tu wielką przesadą. Pokonujemy przecież 150-kilometrową trasę Hongkong – Kanton (w Chinach to blisko 20-milionowe miasto znane jest jako Guangzhou), a cały ten obszar miejski położony w delcie Rzeki Perłowej przerabiany jest właśnie przez władze w Pekinie w jedno megalopolis. Jeżeli wizja zatwierdzona przez KPCh w poprzednim planie pięcioletnim zostanie zrealizowana, to do 2035 r. powstanie tu zintegrowany miejski kolos, który przyćmi nawet tokijskie megalopolis.

Już dziś The Greater Bay Area (GBA) – tak brzmi promowana za granicą „marka" tego kompleksu miejskiego – liczy sobie blisko 90 mln mieszkańców rozsianych na powierzchni ok. 55 tys. km kw. (połączony obszar województw mazowieckiego i łódzkiego). Jadąc z Hongkongu w głąb kontynentu, mijamy Shenzhen, 18-milionową ultranowoczesną metropolię, w której 45 lat temu zaczął się chiński cud gospodarczy (wówczas to miasto było 60 razy mniejsze niż dziś), następnie 10-milionowy przemysłowy Dongguan, a pomiędzy nimi mnóstwo miast i miasteczek, hal fabrycznych, a także małych pól uprawnych. Lasy wieżowców Hongkongu, Shenzhen i Kantonu kontrastują z widocznymi tu i tam polami ryżowymi, gdzie zgięci w pół pracownicy rolni w tradycyjnych nakryciach głowy obrabiają ziemię. W takich miejscach widać jak na dłoni, że chiński „cud" gospodarczy nie wszędzie dotarł z podobną mocą.

W skład GBA wchodzi dziewięć metropolii leżących na terenie Guangdong,

eprasa.pl fecde7f9bb

Panorama Hongkongu
FOT. ADOBE STOCK

najludniejszej i najbogatszej prowincji Chin, znanej też jako „fabryka świata" – Shenzhen, Guangzhou, Foshan, Dongguan, Zhuhai, Zhongshan, Huizhou, Zhaoqing oraz Jiangmen, a także znajdujące się na południu dwa Specjalne Regiony Administracyjne: Hongkong i Makao.

– Kilka razy w miesiącu jeżdżę w interesach do Kantonu. Superszybka kolej bardzo ułatwiła mi życie. Kiedyś to była wyprawa, prawie pół dnia trzeba było na to poświęcić, ale odkąd mamy takie pociągi i ułatwienia na granicy, jestem w stanie w pokonać tę odległość w kilkadziesiąt minut – mówi mi James, przedsiębiorca z Hongkongu, który handluje zaawansowanym sprzętem medycznym. I dodaje: – Pekin lubi tworzyć takie megaprojekty jak GBA. Wielka skala ułatwia potem sterowanie, by region szybciej się rozwijał. Kluczowy był tu transport, przede wszystkim superszybka kolej. I to widać w Chinach wszędzie tam, gdzie pojawiły się nowe pociągi – szybkość przemieszczania to też szybszy rozwój gospodarczy. To jest proste jak dwa dodać dwa.

Hongkong już od 2018 r. podłączony jest do chińskiego systemu superszybkiej kolei; obecnie długość tej sieci wynosi 48 tys. km.

MIEJSKA CISZA

GBA swoją angielską nazwą nawiązuje do znajdującej się po drugiej stronie Pacyfiku San Francisco Bay Area. To amerykańskie „zagłębie" technologiczne znane jest przede wszystkim dzięki znajdującej się w jego granicach Dolinie Krzemowej. Pekin liczy, że GBA już wkrótce przeskoczy amerykańskiego rywala w kwestii rozwijania najnowszych technologii (pod względem PKB GBA już jest dwa razy większe od San Francisco Bay Area, przebijając w 2024 r. poziom 2 bln dol.).

Gdyby GBA była państwem, już dawno przeskoczyłaby pod względem gospodarczym Rosję czy Koreę Południową. To tutaj swoje główne siedziby mają tacy giganci jak Huawei, ZTE, Tencent (konglomerat technologiczny zarządzający niezwykle popularną aplikacją WeChat służącą m.in. do płacenia i komunikacji) czy firmy samochodowe Build Your Dreams (BYD) i Guangzhou Automobile Group (GAC).

Shenzhen dawno już przestało być zwykłą montownią najprostszych towarów, takich jak plastikowe zabawki czy długopisy, a stało się hubem technologicznym, gdzie rozwój dokonuje się przede wszystkich w laboratoriach, a nie przy taśmach fabrycznych. Nie bez przyczyny o tym mieście przyszłości mówi się jako o chińskiej Dolinie Krzemowej. I jest to również kluczowy punkt na mapie, jeżeli chodzi o najważniejszą broń wykorzystywaną na frontach Ukrainy – to stąd pochodzi 70 proc. światowej produkcji dronów. Gość z Zachodu chodzący po ulicach Shenzhen będzie zdziwiony przede wszystkim ciszą – rzadko kiedy minie nas pyrkający samochód spalinowy. To miasto jest numerem jeden w Chinach pod względem rejestracji nowych aut elektrycznych (ok. trzech czwartych nowych samochodów to właśnie „elektryki").

„Tradycyjne" fabryki, które najbardziej kojarzą nam się z Chinami, to raczej domena Dongguanu (produkuje się tu m.in. co trzecią parę jeansów i co piąty smartfon) czy Foshan (gigant w światowej produkcji sprzętu AGD – ponad połowa lodówek i klimatyzatorów wytwarzana jest w tym mieście). Natomiast niemal pięciomilionowe Zhongshan znane jest jako miasto świateł – powstają tu ponad dwie trzecie chińskiej produkcji oświetlenia (poza tym wytwarza się tu również ubrania, meble czy osprzęt elektryczny). Z kolei liczący sobie 7 mln mieszkańców Hongkong to niekwestionowane azjatyckie centrum finansowe, a Makao jest największym na świecie potentatem w branży hazardowej. To 700-tysięczne miasto zarabia na kasynach dwa–trzy razy więcej niż dużo bardziej znane pod tym kątem Las Vegas.

Po rozwoju infrastruktury na terenie GBA widać, że KPCh bardzo poważnie podchodzi do kwestii „zbliżania" do siebie poszczególnych miast delty Rzeki Perłowej

Jak wyjaśnia „Financial Times", „za pomysłem stworzenia GBA stoi plan wykorzystania imponującej infrastruktury tego regionu oraz istniejącej tu specjalistycznej wiedzy w zakresie finansów, produkcji i technologii. Znoszenie barier handlowych i promowanie transgranicznej działalności gospodarczej ma ostatecznie doprowadzić do powstania jednolitego rynku".

Nie wszystkie dalekosiężne plany Pekinu okazują się sukcesem, ale po rozwoju infrastruktury na terenie GBA widać, że KPCh bardzo poważnie podchodzi do kwestii „zbliżania" do siebie poszczególnych miast delty Rzeki Perłowej. Jeszcze siedem lat temu ludzie kursujący między dwiema byłymi koloniami Wielkiej Brytanii i Portugalii musieli korzystać

eprasa.pl fecde7f9bb

z promów. Jednak w 2018 r. Hongkong i Makao zostały połączone 55-kilometrowym systemem mostowo-tunelowym, który otwierał sam Xi Jinping (do dziś jest to najdłuższa tego typu przeprawa przez morze).

Z kolei 30 km na północ rok temu otwarto podobną konstrukcję łączącą przez deltę Rzeki Perłowej Shenzhen i Zhongshan („miasto świateł").

KAMERA NA KAMERZE

– Jeszcze 20 lat temu nie polecałbym kręcenia się po Shenzhen. Łatwo było tam stracić portfel. Ale od tego czasu zmieniło się właściwie wszystko. Dziś już nie ma żadnego problemu z bezpieczeństwem. Wszechobecne kamery i posterunki policyjne sprawiły, że teraz mieszkańcy Hongkongu robiący interesy w Chinach nie mają się czego obawiać – mówi mi Jack, przedsiębiorca z Hongkongu zajmujący się handlem tekstyliami. – Miałem swoje obawy, gdy Hongkong przechodził pod kontrolę Chin, ale kolejne lata pokazały, że Chińczycy pod względem gospodarczym zachowywali się bardzo pragmatycznie.

Gdy Deng Xiaoping w 1978 r. zaczął otwierać ChRL na zagraniczny kapitał i pozwolił Chińczykom na prowadzenie biznesów, naturalnym „inkubatorem" wzrostu gospodarczego były tereny położone w okolicy świetnie rozwiniętego Hongkongu pozostającego pod zarządem Brytyjczyków. Wybór padł zatem na Shenzhen i to tam powstała pierwsza w ChRL Specjalna Strefa Ekonomiczna. Pekin zapewnił w niej przedsiębiorcom iście cieplarniane warunki, na czele z dostępem do praktycznie nieograniczonych zastępów ultrataniej siły roboczej.

Często usłyszeć można, że Shenzhen było wtedy „małą wioską rybacką". To mit, który podkreśla skalę „cudu" gospodarczego, który wydarzył się w tej miejscowości. W rzeczywistości Shenzhen było wtedy 300-tysięcznym miasteczkiem (w chińskich warunkach nie było to duże miasto), w którym faktycznie wielu mieszkańców trudniło się rybołówstwem, ale istotnym źródłem utrzymania jego mieszkańców była też uprawa przydomowych poletek – delta Rzeki Perłowej to istny raj dla rolników, skoro okres wegetacyjny nigdy się tu nie kończy. Dzięki temu ryż można zbierać w Guangdong nawet trzy razy w roku i poletka ryżowe obok fabryk to do dziś nierzadki widok w okolicy Shenzhen.

Po „bambusowej kurtynie", która szczelnie oddzielała dwa światy – Hongkong i ChRL – nie ma już właściwie śladu. Chiny w ostatnich latach mocno zliberalizowały zasady regulujące przemieszczanie się z i do Hongkongu. Jeszcze kilka lat temu mieszkańcy Shenzhen musieli załatwiać specjalne pozwolenia na wjazd do tej byłej brytyjskiej kolonii. Dziś mogą już odwiedzać Hongkong wielokrotnie w ciągu roku, choć nie mogą tam zostać dłużej niż tydzień. Bardziej skomplikowane jest korzystanie prywatnym autem z przeprawy Hongkong – Makao. W tej kwestii Chiny mają jeszcze sporo do zrobienia.

Po „bambusowej kurtynie", która szczelnie oddzielała dwa światy – Hongkong i ChRL – nie ma już właściwie śladu

Wiele o zmianach na tym obszarze mówi to, jak wygląda obecnie transport morski. Czterdzieści pięć lat temu port w Hongkongu nie miał sobie równych na całym chińskim wybrzeżu. A dziś port w Shenzhen obsługuje dwa razy więcej towarów.

KANDYDACI PEKINU

Jednym ze skutków tworzenia megalopolis w delcie Rzeki Perłowej ma być ścisłe zintegrowanie z Chinami Hongkongu i Makao. Dla Pekinu odrębność tych dwóch jednostek administracyjnych to sól w oku – symbol dawnej chińskiej słabości. Formalnie Hongkong i Makao mają zachować swój autonomiczny status do połowy obecnego stulecia (przy okazji przekazania Chinom kontroli nad oboma terytoriami Pekin zagwarantował utrzymanie ich autonomii przez 50 lat – odpowiednio do lat 2047 i 2049). Jednak nie brak głosów, że w rzeczywistości ta traktatowa odrębność to już w znacznej mierze fikcja.

– Żyliśmy na zasadzie „jeden kraj, dwa systemy". Gdy w 2019 r. pojawiła się ustawa ekstradycyjna, która wywołała wielkie protesty, ostra reakcja Pekinu sprawiła, że nie ma już mowy o dwóch systemach. Żyjemy teraz w jednym kraju, jednym systemie – mówi mi Mark, właściciel restauracji w centrum Hongkongu. W przeciwieństwie do Jacka, który handluje tekstyliami, Mark tęskni za czasami sprzed 1997 r. Dla niego kwestie gospodarcze nie są najważniejsze – dużo istotniejsza jest wolność. Gdy rozmawialiśmy w jego restauracji, Hongkong oblepiony był plakatami wyborczymi. W niedzielę 7 grudnia miały się odbyć wybory, jednak Mark nie był nimi zainteresowany, podobnie jak wielu innych mieszkańców tego Specjalnego Regionu Administracyjnego. Ogromy spadek frekwencji był widoczny już w poprzednich wyborach – w 2021 r., gdy po raz pierwszy przeprowadzono głosowanie na nowych, zmienionych po protestach zasadach. Od tej pory wszyscy kandydaci do regionalnego parlamentu muszą być zatwierdzeni przez Pekin.

– Po co wrzucać głos do urny, skoro i tak kandydata wybierają ci Chiny? Jaki to ma sens? – kręci głową Mark.

W tych dniach Hongkong żył tragedią pożaru w kompleksie wieżowców Wang Fuk Court, w którym zginęło niemal 200 osób. Lokalne media obiegły zdjęcia chińskich wozów strażackich, które stały na granicy między Shenzhen a Hongkongiem. Jednak tutejsze władze nie zezwoliły, by wozy z ChRL wzięły udział w akcji gaśniczej. Wiele wskazuje na to, że John Lee Ka-chiu, popierany przez Pekin szef administracji Hongkongu, chciał pokazać przed wyborami, że jego region jest rzeczywiście autonomiczny i sam sobie radzi z własnymi problemami.

Podobnych napięć nie widać natomiast w Makao. Tamtejsi mieszkańcy nie „wierzgają" jak sąsiedzi z drugiej strony mostu. „Mam nadzieję, że Makao przyjmie naszą szeroką wizję" – powiedział Xi Jinping w grudniu 2024 r., podczas wizyty z okazji obchodów 25-lecia powrotu tego terytorium pod zarząd Pekinu. Chiński prezydent wykazał się tu wobec gospodarzy kurtuazją, natomiast na pewno doskonale wie, że cokolwiek by się działo, Makao będzie pokornie podążało za wytycznymi z Pekinu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

REPUBLIKA

Sześć gwiazd Republiki komentuje sześć najważniejszych tematów mijającego tygodnia. To jest „Rewolwer” – najbardziej wystrzałowy program publicystyczny w Polsce.

REWOLWER

SOBOTA

9:10

w Republice

Komentuj na X.com

#REWOLWER

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl fecde7f9bb

FOT. ADOBE STOCK

Tunel pod Cieśniną Beringa?

Jakub Wozinski

Przedstawiona przez Rosję propozycja budowy tunelu łączącego Alaskę z Syberią jest co najwyżej zagrywką negocjacyjną, ale ewentualna realizacja projektu mogłaby doprowadzić do rewolucyjnych zmian

W październiku Władimir Putin miał się spotkać z Donaldem Trumpem w Budapeszcie, a osiągnięcie porozumienia wydawało się na wyciągnięcie ręki. Przy tej okazji strona rosyjska postanowiła zastosować pewien fortel, który pomimo fiaska negocjacji nadal zachowuje pewną żywotność.

OFERTA DLA ELONA

Rosja zdaje sobie sprawę, że po drugiej stronie Pacyfiku rządy sprawuje przede wszystkim biznesmen, który na dodatek ma w swoim otoczeniu wielu innych pazernych biznesmenów. Dlatego właśnie szef rosyjskiego państwowego funduszu majątkowego, Kirił Dmitriew, zaproponował, aby Rosja uzyskała ze Stanami Zjednoczonymi bezpośrednie połączenie poprzez specjalny tunel zbudowany pod Cieśniną Beringa.

Na pierwszy rzut oka propozycja ta brzmi dość fantastycznie. Nie licząc tunelu kolejowego o długości 15 km w odległej Buriacji nad jeziorem Bajkał, Rosja nie zbudowała nigdy żadnego większego tunelu, a cóż dopiero powiedzieć o podziemnej przeprawie pod Cieśniną Beringa, która w najwęższym miejscu liczy ok. 82 km. Na dodatek Federacja Rosyjska ma od dłuższego czasu poważne problemy ze zbalansowaniem budżetu, dlatego uruchamianie nowej inwestycji obciążonej znacznym ryzykiem i wysokimi kosztami nie wchodzi w jakąkolwiek rachubę.

Dmitriew, uchodzący za jednego z najbliższych współpracowników Putina, wiedział jednak, że amerykańskiej stronie nie brakuje ani funduszy, ani odwagi, aby podjąć się tego rodzaju przedsięwzięcia. Rosjanin zaczepił nawet na portalu X Elona Muska, rzucając mu niejako wyzwanie. Zdaniem Kiriłła Dmitriewa należąca do miliardera The Boring Company byłaby idealnym wykonawcą projektu, ponieważ ma doświadczenie w drążeniu tuneli w innowacyjny sposób. Już kilka lat temu spółka uruchomiła pierwszy komercyjny tunel pod Las Vegas o długości ok. 2 km, w którym za pomocą Tesli można szybko przedostać się do centrum miasta. Firma Muska postawiła sobie za cel uruchomienie analogicznych tuneli także w innych aglomeracjach, a obecnie intensywnie pracuje m.in. nad liczącym 19 km tunelem w Nashville oraz 17-kilometrowym tunelem w Dubaju.

A MOŻE LAUDER LUB TRUMP?

Właściciel Tesli nie odpowiedział Dmitriewowi na zaczepkę, gdyż najwidoczniej nie dostrzegł odpowiedniego potencjału komercyjnego całego projektu. Wśród osób blisko współpracujących z Trumpem jest jednak jeszcze inna osoba, która mogłaby na całą sprawę spojrzeć dużo bardziej przychylnie. Tym kimś jest szef Światowego Kongresu Żydów (WJC) Ronald Lauder, z którym amerykański prezydent przyjaźni się jeszcze od czasów studenckich.

Lauder był jednym z głównych architektów przygotowywanej tuż po inauguracji prezydentury Trumpa „umowy mineralnej" z Ukrainą, która ostatecznie nie doszła do skutku. Lider Światowego Kongresu Żydów jest wprawdzie synem założycieli potężnej firmy kosmetycznej, ale od dłuższego czasu specjalizuje się w inwestycjach w surowce. To właśnie Lauder był pomysłodawcą podjętej przez Trumpa próby przejęcia kontroli nad Grenlandią, a wcześniej zdążył zabezpieczyć sobie udziały w wydobyciu litu na Ukrainie. Szczególne wpływy Ronalda Laudera nad Dnieprem tłumaczy się najczęściej bliskimi związkami z Chabad Lubawicz, które jest silnie reprezentowane w otoczeniu Wołodymyra Zełenskiego.

Nie sposób nie zauważyć, że pomysł budowy tunelu mógłby się spodobać także samemu Donaldowi Trumpowi, który od początku swojej drugiej kadencji stara się dokonać czegoś, co zapewniłoby mu miejsce w poczcie najwybitniejszych prezydentów USA w historii. Wśród projektów, które chciał do tej pory zrealizować, były m.in. aneksja Grenlandii, przyłączenie Ka-

eprasa.pl fecde7f9bb

nady oraz przejęcie kontroli nad Kanałem Panamskim. Teoretycznie tunel łączący Alaskę z Syberią mógłby zatem wystąpić w roli wielkiej inicjatywy, która otworzyłaby przed Stanami Zjednoczonymi nowe, epokowe perspektywy.

Donald Trump został zapytany o pomysł budowy tunelu pod Cieśniną Beringa w czasie konferencji w Białym Domu, gdy jego gościem był akurat Wołodymyr Zełenski. Amerykański prezydent odpowiedział dyplomatycznie, że projekt wydaje mu się interesujący, po czym zapytał o zdanie głowę ukraińskiego państwa. Gdy ten stwierdził, że idea konstrukcji tunelu mu się nie podoba, Trump skomentował to słowami: „Tak, nie wydaje mi się, żeby ci się to podobało".

Uwagę zwraca już sam fakt, że Trump nie odrzucił koncepcji budowy podziemnego łącznika między Azją a Ameryką jako niedorzecznej. Tego rodzaju inwestycja byłaby z pewnością wymagająca z punktu widzenia technicznego i pochłonęłaby znaczne środki pieniężne związane z pracami wykonywanymi w ekstremalnie trudnych warunkach. Dziś projekt nie ma także uzasadnienia ekonomicznego, ponieważ zarówno Czukotka, jak i Alaska należą do jednych z najsłabiej zaludnionych terenów na świecie, a najbliższe duże aglomeracje po obu stronach Cieśniny Beringa dzieli co najmniej 5 tys. km. I rzecz najważniejsza: całość handlu pomiędzy obydwoma krajami może się przecież z powodzeniem odbywać – tak jak do tej pory – drogą morską.

TUNEL Z WIDOKIEM NA AZJĘ

Pomimo tego tunel Alaska – Syberia ma w sobie pewien potencjał polityczny, z którego obie strony zechcą być może kiedyś skorzystać. W mediach zaczadzonych propagandą globalnego ocieplenia wiele mówi się o tym, że wskutek podniesienia się temperatur słynące z ekstremalnych warunków pogodowych Alaska i Syberia mogą w nie tak odległej przyszłości znacząco zmienić swój klimat na bardziej sprzyjający osiedlaniu się większej liczby osób. Dużo bardziej prawdopodobny wydaje się za to scenariusz, w którym pomimo znacznej deficytowości tunelu pod Cieśniną Beringa Amerykanie zechcą kiedyś wykorzystać go do zwiększenia swoich wpływów w Azji. W kontekście rywalizacji z Chinami tego rodzaju ekspansja może mieć ogromne znaczenie, gdyż Pekin raczej nie spodziewa się, aby zagrożenie dla jego wpływów mogło nadejść właśnie od północy.

Obecnie tunel Alaska – Syberia nie ma prawie żadnych szans na realizacje, ponieważ Rosja pozostaje w ścisłym sojuszu z Chinami. Dodatkowo Amerykanie nie są zainteresowani sprowadzaniem niemal żadnych towarów z Rosji. Ewentualny tunel pomógłby zatem wyłącznie Federacji Rosyjskiej w eksporcie towarów na amerykański rynek, czego przecież walczący z nadmiernym deficytem handlowym Trump chce za wszelką cenę uniknąć.

Po zakończeniu wojny można sobie jednak wyobrazić sytuację, w której Stany Zjednoczone będą chciały skusić Rosję ustępstwami handlowymi za cenę rozluźnienia więzów z Chinami. Stany Zjednoczone najchętniej osłabiłyby pozycję Państwa Środka poprzez wzmocnienie kontaktów handlowych z jego sąsiadami, dlatego inicjatywa budowy tunelu mogłaby być potencjalnie bardzo skutecznym narzędziem politycznego oddziaływania w regionie. Coraz bardziej uzależniona od chińskiej gospodarki, technologii i finansowania Rosja może być w dłuższej perspektywie również mocno zainteresowana stworzeniem tak ważnej alternatywy.

MAPA W AKTACH KGB

Wskrzeszony na potrzeby prowadzonych wciąż amerykańsko-rosyjskich rozmów projekt ma zaskakująco długą historię. Już na przełomie wieków XIX i XX amerykańscy baronowie kolejowi tworzyli pierwsze wizje połączenia obu kontynentów na potrzeby proponowanej kolei Syberia – Alaska. Swoje pomysły w tym zakresie przedstawiał nawet sam budowniczy mostu Golden Gate z San Francisco, Joseph Strauss.

Absolutnie zaskakujący jest natomiast fakt, że wizualizacja połączenia obu kontynentów w Cieśninie Beringa pojawiła się w aktach KGB przekazanych niedawno przez stronę rosyjską Amerykanom. W październiku, gdy wydawało się, że porozumienie może być już blisko, Federacja Rosyjska przekazała Amerykanom liczącą 350 stron dokumentację, dotyczącą głównie przeprowadzonego w 1963 r. zamachu na Johnie Fitzgeraldzie Kennedym. Wśród dokumentów znaleziono tajemniczą mapę z narysowanym odręcznie schematem szlaku komunikacyjnego łączącego Alaskę z Syberią, pod którym widnieje napis: „Most Światowego Pokoju Kennedy'ego-Chruszczowa. Mógłby i powinien zostać zbudowany. Od razu".

Trudno dziś sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób strona sowiecka mogła tworzyć koncepcję pokoju i porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi w oparciu o połączenie komunikacyjne przez Cieśninę Beringa akurat w momencie, gdy na Kremlu zasiadał jeden z najbardziej konfrontacyjnie nastawionych przywódców. Faktem pozostaje jednak to, że ewentualne powstanie tunelu czy też „Mostu Światowego Pokoju" mogłoby otworzyć zupełnie nową erę nie tylko w relacjach Rosja – USA, lecz także w całej światowej polityce.

Jak doskonale wiadomo, w całej najnowszej historii Europa Zachodnia utrzymywała szczególnie zażyłe relacje ze Stanami Zjednoczonymi, będąc z nimi świetnie skomunikowana za sprawą Atlantyku. Rosja, mimo że niemal graniczy bezpośrednio z USA w Cieśninie Beringa, była zawsze położona niemal na drugim końcu świata. Gdyby powstać miał wielki tunel, Rosja straciłaby swój peryferyjny charakter i zyskała kosztem Europy. Przegranym byłyby też Chiny, które nie mogłyby już występować w roli ostatniej deski ratunku dla Moskwy.

Wszelkie dyskusje na temat najdłuższego tunelu na świecie zamarły jednak wraz z fiaskiem organizacji szczytu w Budapeszcie. W dyskutowanym obecnie, szeroko wstępnym planie porozumienia pokojowego kwestia ta nie jest wspominana oczywiście ani słowem. Sama idea konstrukcji tunelu, który zaczęto już nawet nazywać „tunelem Trumpa-Putina", zyskała już jednak status nie tak wcale pozbawionej sensu inicjatywy, do której obie strony mogą wrócić w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Kirił Dmitriew stwierdził, że koszt budowy tunelu wynosiłby zaledwie 8 mld dol. Jest to oczywiście całkowicie nierealistyczna kwota, gdyż ostrożne szacunki, uwzględniające m.in. konieczność przeprowadzenia skomplikowanych badań sejsmicznych czy też całej infrastruktury kolejowej i drogowej, mówią o minimum 65 mld dol. Ale jeśli tylko obie strony uznają, że tego rodzaju przedsięwzięcie może przynieść spodziewane korzyści polityczne, koszty finansowe zejdą na bardzo odległy plan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

Modelki podczas pokazu najnowszej kolekcji Balenciaga podczas październikowego Tygodnia Mody w Paryżu

FOT. ALESSANDRO GALATOLI/ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Splendor i skandal

Joanna Bojańczyk

Rick Owens, Balenciaga, Demna Gvasalia balansują na granicy brzydoty i luksusu, dekonstrukcji i prestiżu. Moda balansuje między zachwytem a kontrowersją, między pięknem a prowokacją, między powagą a humorem

Tańczą, podskakują, wdzięczą się. Członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej, których znamy ze zdjęć w majestatycznych pozach, zmieniają się w bohaterów kreskówki. AI wzięła się za nich. Któż nie lubi sobie pożartować z poważnych ludzi? W akompaniamencie przebojów pop król Karol i jego bliscy tańczą, klaszczą, wyginają się. Wprawnym tancerzem okazuje się mały Charles, jest oczywiście także „królowa ludzkich serc", lady Diana, która, ożywiona, z wdzięcznym uśmiechem spaceruje pod rękę z ukochanym małżonkiem Karolem. Nagle upada, też z wdziękiem, on podnosi ją rozczulony. W rytmie disco, jakżeby inaczej. Dla uciechy gawiedzi królowa Elżbieta też podskakuje, tańczy i klaszcze w dłonie.

Pałac Buckingham, jak sądzę, zignoruje te idiotyczne filmiki w myśl zasady „never explain, never complain". Ale jaka myśl przyświecała pomysłodawcy? Zapewne chciał królewskie osoby rozruszać, dać im trochę życia. Na miarę potrzeb współczesnego konsumenta treści internetowych, który nie akceptuje powagi, rytuału, regulaminu. Jego żywioł to rozrywka i zabawa.

MARKETINGOWY NAPĘD

Całkiem podobnie jest z modą. Niegdyś ubranie było sprawą poważną. Dla biednych okryjbida, dla bogatych pokaz władzy. Na dworach królewskich celebrowano teatr przepychu. Potrzeba zaznaczenia pozycji strojem nie zniknęła, gdy w XIX w. ubiór się zdemokratyzował razem z systemami politycznymi. Zmieniły się tylko formy. Mniej diamentów, mniej gronostajów, więcej prostoty. W 1858 r. założono w Paryżu pierwszy związek zawodowy krawców. Na początku XX w. przekształcił się on w haute couture. To początek dostojnej haute couture, przyczółku elitarnego krawiectwa. Powołano je w XX w. dla potrzeb zamożnej klienteli z Europy, Ameryki i dużo później – w latach 70. – krajów z Zatoki Perskiej. Paryż strzegł dominacji w modzie, nikt nie kwestionował tego przywileju. Krawcy haute couture – Charles Worth, Christian Dior, Hubert Givenchy, Cristobal Balenciaga – tworzyli prawdziwe dzieła sztuki. Pokazy haute couture odbywały się w zabytkowych wnętrzach, w balowych salach

eprasa.pl fecde7f9bb

hoteli, elitarna publiczność siedziała na pozłacanych krzesełkach. Wokół czuło się atmosferę splendoru.

Hubert de Givenchy, obdarzony pamięcią fotograficzną, jest żywym rejestrem historii tego wielkiego krawiectwa. Znał suknie, znał ich właścicielki i ich sekrety. Pamiętał, gdy te wielkie damy przychodziły na przymiarki. „One tym żyły – opowiadał tygodnikowi »Paris Match«. – Spały w bieliźnie z belgijskich koronek robionych na zamówienie. Na co dzień chodziły w biżuterii za miliony. Suknię ozdabianą diamentami zamawiały dla siebie i taką samą dla czteroletniej córeczki. W Van Cleef robiono dla dziewczynek miniatury broszek ich mam z platyny, szmaragdów, pereł, kości słoniowej, która wtedy nie była jeszcze towarem zakazanym.

U Louis Vuitton zamawiano trzy- i czterometrowe kufry, aby zmieścić toalety, nie gniotąc ich. Pewna klientka rozdawała rubiny i szafiry ekspedientkom. – Och, pani hrabino, jaki piękny naszyjnik – powiedziała któraś sprzedawczyni. – Proszę, niech go pani sobie weźmie, jeśli się pani tak bardzo podoba.

W latach 60. moda opuściła salony z pozłacanymi fotelami. Zaczęło się prêt-à-porter, szycie dla mas. Już nie w paryskich pracowniach, ale w fabrykach, w tysiącach egzemplarzy. A wkrótce, gdy koszty pracy w Europie wzrosły, produkcję ubrań przeniesiono do fabryk Indii, Bangladeszu, Pakistanu. Szyto już nie w setkach egzemplarzy, ale w milionach.

Na ciuchach dobrze się zarabiało, jednak konkurencja była ogromna. Jak zdobyć klienta? W latach 80. właściciele marek mody odkryli, że aby sprzedawać globalnie, potrzebny jest napęd marketingowy. To był początek mody, którą znamy w jej dzisiejszej formie. I początek reklamy, która dzisiaj towarzyszy nam w każdym miejscu, o każdej porze.

Kupujemy ubrania nie wtedy, kiedy są nam potrzebne, ale wtedy, gdy wymusi je na nas reklama. Marketingowcom pomysły podsuwała psychologia. Człowiek kupuje, gdy się na niego podziała odpowiednio dobranymi bodźcami. Trzeba go zaczepić, podrażnić, zirytować.

„Moda jest tylko o seksie" – mówiła angielska projektantka Vivienne Westwood. Do ubrań przyszywała guziki w kształcie fallusów, biustonosze i majtki kazała modelkom nosić na wierzch, na T-shirtach drukowała pornograficzne napisy i rysunki. Ona i jej partner Malcolm McLaren szokowali społeczeństwo Londynu lateksem, agrafkami i bluźnierczymi nadrukami. Ale też jak nikt Westwood potrafiła twórczo interpretować tradycję europejskiego kostiumu: gorsety, krynoliny, żaboty, tweedy. Po skandalach z okresu punk doczekała się szlachectwa korony brytyjskiej – z rąk Jej Wysokości otrzymała tytuł szlachecki. Po odbiór nagrody przyszła zresztą bez majtek, czego nie omieszkała pokazać dziennikarzom, zadzierając spódnicę.

WIZERUNEK WAŻNIEJSZY NIŻ PRODUKT

Sztuka sprzedawania produktów się zmienia, tak jak zmienia się społeczeństwo. Miła blondynka to dobre dla niedrogiego samochodu lub supermarketu, nie dla ekskluzywnych ciuchów. I nie dla współczesnego klienta. Reklama mody sprzedaje wizerunek. Jest ważniejszy niż sam produkt, bo z nim potencjalny klient chciałby się identyfikować. Wizerunek to święta rzecz dla marki produkującej ubrania. Konstruuje się go precyzyjnie i nic nie może go naruszyć. Reklamiarze godzinami omawiają fałdę na sukience, przesuwają kosmyk włosów. Dla wielkich marek każde słowo, każda wypowiedź pracowników musi być zgodna z korporacyjnym wizerunkiem stworzonym przez marketing.

Nie kupujemy ubrań, bo są nam potrzebne. Kupujemy je po to, żeby wyznaczyły nam osobowość, zatwierdziły przynależność do grupy. Jesteśmy tym, czyje ubrania nosimy. Wyniosła elegantka z wyższej półki, która nie wejdzie nawet do sklepu z przeceną, jest passé. Lepiej działa ktoś zbuntowany, nonkonformistyczny, z ambicjami awangardowymi, gniewny. Albo zaangażowany społecznie, wrażliwy na piękno przyrody i sprawiedliwość. Nie ma dziś takiej wartości wyższej, która nie przydałaby się w reklamie.

Ale w latach 90. moda chętnie chwyta za mocniejsze instrumenty. Skandal, przekraczanie norm: moralnych, estetycznych, obyczajowych czy politycznych. Nie trzeba być psychologiem, żeby zauważyć, że sympatyczna blondynka to pieśń przeszłości. Najcenniejszym towarem reklamiarzy jest rewolta oraz – uwaga, najmodniejsze słowo – transgresja. Reklama mody wali po oczach, tumani, przestrasza, prowokuje. Jeśli w ogóle ją rozumiemy. A jeśli nie, to może nawet lepiej. Dla reklamodawcy.

Można powiedzieć – tak było zawsze. Skandal w modzie działał jak katalizator zmian kulturowych – prowokował, żeby społeczeństwo zrewidowało swoje granice.

W latach 20. Gabrielle Chanel ubierała kobiety „jak mężczyzn", upowszechniła spodnie, stosowała „męskie" tkaniny w damskim ubraniu. W latach 70. temat płynności płci, choć zdaje się nam nowy, wprowadził do mody Francuz Jean Paul Gaultier. Gorsety dla mężczyzn, niejednoznaczność ciał były jego ulubionymi wątkami.

Piękno i brutalność łączył Alexander McQueen – jego pokazy budziły kontrowersje, ale też zachwyt.

W latach 90. cały świat oglądał na billboardach ojca płaczącego przy łóżku syna umierającego na AIDS, statek obwieszony afrykańskimi uchodźcami, księdza całującego się z zakonnicą. To był pomysł fotografika Oliviera Toscaniego, którego zaangażował do kampanii reklamowej Benettona jego szef Luciano Benetton. Taki pomysł nie przyszedłby do głowy siostrze Benettona, której swetry dziergane na drutach w kuchni dały początek wielkiej marce ubrań.

Dzisiaj Rick Owens, Balenciaga, Demna Gvasalia balansują na granicy brzydoty i luksusu, dekonstrukcji i prestiżu. Moda balansuje między zachwytem a kontrowersją, między pięknem a prowokacją, między powagą a humorem. Parodie pokazów mają tysiące odsłon w Internecie: model niosący kij od szczotki, modelka z parasolami jak sukniami. Te filmiki pokazują znużenie ekstrawagancjami i potrzebę powrotu przemysłu mody na tory bliższe życiu.

Jednak nie wszędzie splendor składa broń. Na pokazach haute couture on trwa: czerwony dywan, kreacje z tysięcy kryształów Swarovskiego.

I pozłacane krzesełka, ten drobny, materialny symbol luksusu, który przetrwał. Reklama jest poezją XX w. – jak powiedział Jean Cocteau. Może była i poezją, ale dawno temu. W XXI w. jest już tylko brutalną prozą życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fecde7f9bb

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szlakiem brygady Madalińskiego

JACEK KOMUDA

Bunt i przemarsz wielkopolskiej brygady kawalerii narodowej w marcu i kwietniu 1794 r., który rozpoczął powstanie kościuszkowskie, to ostatni za życia I Rzeczypospolitej pokaz zagonu polskiej kawalerii. Wszystko zaczęło się, kiedy rząd targowicki rozpoczął zmniejszanie stanów liczebnych armii w związku z faktem, że okrojony po drugim rozbiorze kraj nie był w stanie utrzymać tak dużego wojska. Zwalnianych żołnierzy usiłowali zaś wcielać do własnej armii rosyjscy dowódcy, co budziło wściekłość Polaków i chęć walki. W dodatku działały organizacje przygotowujące powstanie, a do powrotu szykował się Tadeusz Kościuszko.

Kiedy więc dowódca brygady, Antoni Madaliński, otrzymał decyzję Komisji Wojskowej o zredukowaniu jego oddziału, a także wezwanie na 11 marca do Warszawy, postanowił sprzeciwić się dowództwu. Zwłaszcza że sprzysiężenie, do którego należał, zostało odkryte, a za pięć dni miał przybyć do kraju Kościuszko. Postanowił zatem przyprowadzić mu brygadę i 11 marca nakazał skoncentrować szwadrony w Ostrołęce. Odebrał tutaj od oficerów przysięgę, a dzień później zarządził marsz do Przasnysza. Dwa dni później zajął miasteczko, a następnie skierował się na Mławę, gdzie skonfiskował kasę miejską. Potem ruszył na Raciąż i Wyszogród nad Wisłą. Po drodze rozsyłał patrole, które miały nakłaniać napotkanych oficerów i żołnierzy polskich do wspólnego marszu pod komendę Kościuszki.

Po drodze okazało się, że przeprawa w Wyszogrodzie obsadzona jest przez wojska pruskie. W nocy z 16 na 17 marca oddział polski zaatakował z zaskoczenia stojącą w miasteczku piechotę i jazdę

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Fryderyka II, po czym odrzucił ją na południowy brzeg Wisły, biorąc do niewoli oficera i 13 huzarów. W nocy 18 marca kawalerzyści zostali przewiezieni na drugi brzeg Wisły i rozpoczęli marsz – najpierw na Kamion, a potem na Iłów, obchodząc Warszawę od północnego zachodu. Następnie brygada – jak podaje Bartłomiej Szyndler – skierowała się do Sochaczewa.

Bunt i śmiały marsz przez kraj wywołały paniczną reakcję dowodzącego wojskami rosyjskimi gen. Osipa Igelströma. Wysłał on przeciwko Madalińskiemu dwa bataliony strzelców i pułk karabinierów brygadiera Frołowa Bagrejewa. Jednocześnie zaczął umacniać się w Warszawie, ściągając tam liczne oddziały – szwoleżerów, kozaków Denisowa, 20 armat, a także pułk gen. Chruszczowa z Brześcia. Z kolei gen. Fiodor Denisow miał przeprawić się przez Wisłę i stanąć na lewym brzegu w okolicach Kazimierza. Na marsz brygady zareagowali Prusacy – gen. Wilhelm Schwerin wysłał w pościg 20 marca – półtora batalionu piechoty, dwa szwadrony jazdy i dwa działa. Rozkazał także, aby stacjonujący w Radomsku por. von Krafft, mający pół batalionu piechoty i szwadron jazdy, zagrodził im drogę od południa, obsadzając przeprawy przez Pilicę.

Tymczasem Madaliński 21 marca dotarł do Inowłodza, gdzie mostu na rzece strzegł tylko mały oddziałek złożony z piechoty i huzarów. Pierwszy polski szwadron zsiadł zatem z koni i zaczął ostrzeliwać Prusaków. Kolejny przeprawił się brodem, zaszedł od tyłu huzarów i wziął ich do niewoli. Następnie ostrzeliwał piechurów pruskich, którzy bronili się długo, tracąc dowódcę i sześciu zabitych, wreszcie poddali się honorowo.

21 marca Madaliński stanął w Opocznie, wymykając się kolejny raz z moskiewsko-pruskich kleszczy. Do miasta wkroczył jak dawny polski zagończyk, prowadząc brygadę, która liczyła teraz już 2 tys. żołnierzy, przywiózł też łupy – 50 tys. talarów odebranych Prusakom.

Trzy dni później brygada, a właściwie już oddział wydzielony, wkroczyła do Końskich, gdzie czekały formacje z czwartego pułku koronnego przedniej straży, rtm. Ignacego Zborowskiego, oraz inni żołnierze, w sumie ok. 600 ludzi. 26 marca Madaliński przybył do Kielc, gdzie przyłączyły się do niego kolejne oddziały – tym razem piechoty. Kolejnym celem marszu był Pińczów, gdzie dołączył wicebrygadier Ludwik Manget z drugą brygadą małopolską kawalerii narodowej, wycofującą się z Opatowa przed Rosjanami.

31 marca doszło do porażki zadanej przez postępującego za Polakami gen. Tormasowa, który zaskoczył obie brygady przeprawiające się przez Nidzicę pod Dębianami. Nie był jednak w stanie wykorzystać sukcesu, gdyż musiał zatrzymać się w Skalbmierzu na odpoczynek. Natomiast połączenie z oddziałami Kościuszki nastąpiło 2 kwietnia w Luborzycy, na północny zachód od Krakowa. Naczelnik podzielił wojsko na dwie dywizje, z których wielkopolską dowodzić miał Antoni Madaliński. Zgromadzone siły ruszyły pod Racławice, ale to już inna historia. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

VOLVO EX90 TWIN MOTOR PERFORMANCE

FOT. JAP

Futurystycznie wyglądające auto to największy elektryczny SUV marki o szwedzkim rodowodzie i pierwszy zbudowany na platformie SPA. Ważący 2725 kg samochód z napędem na wszystkie łapy ma aż trzy rzędy siedzeń (może przewozić nawet siedem osób). Jednocześnie ten pięciometrowy kolos potrafi być zaskakująco dynamiczny – to zasługa dwóch silników (po jednym na oś), których łączna moc wynosi 517 KM. Maksymalny moment obrotowy to zaś aż 910 Nm (sic!). W trybie jazdy Performance EX90 dosłownie wciska w fotel, a sprint od zera do 100 km/h zajmuje zaledwie 4,7 s. Prędkość maksymalna to jak we wszystkich Volvo: 180 km/h. Auto prowadzi się lekko i pewnie. Na pochwałę zasługują też komfortowe zawieszenie i świetne wyciszenie kabiny.

Pod płaską podłogą kryje się akumulator o pojemności netto 106 kWh. Teoretycznie zasięg w cyklu mieszanym wynosi maksymalnie 624 km. W realnym świecie i w zimowych warunkach ten wynik bliższy jest 450 km w mieście, na trasie i na drogach szybkiego ruchu oraz ponad 500 km tylko po mieście. Imponujący jest czas ładowania prądem stałym. Na szybkich ładowarkach DC 350 kW uzupełnienie energii od 10 do 80 proc. zajmuje zaledwie 22 minuty.

W kabinie świetne wrażenie robi fantastyczny dźwięk płynący z 25 głośników Bowers & Wilkins (moc całkowita: 1610 W). Wizualnie w minimalistycznie wykończonym wnętrzu dominuje 14,5-calowy dotykowy wyświetlacz, który jest na tyle czuły, że można obsługiwać go nawet w rękawiczkach. Wbudowana nawigacja Google Maps informuje o korkach i podaje prognozowany stan baterii po dotarciu do celu. Niestety, ktoś w Volvo na koszmarny pomysł, by za pomocą wyświetlacza regulować niemal wszystko (w tym ustawienia lusterek bocznych czy kierownicy). To nie jest wygodne i na pewno nie jest bezpieczne.

Kierowca ma też do dyspozycji 9-calowy wyświetlacz, który może pokazywać m.in. zidentyfikowane przez system czujników i radarów samochody, ciężarówki, motory etc., oraz świetny kolorowy wyświetlacz przezierny HUD o przekątnej 13,2 cala (opcja).

Ergonomiczne fotele są bardzo wygodne, ale w EX90 próżno szukać skórzanej tapicerki. Wykończenie jest skandynawsko schludne, a drewniane wstawki wyglądają elegancko. W przeciwieństwie do XC90, siedząc we wnętrzu EX90, trudno odgadnąć, że to auto za niemal pół miliona złotych. Przekombinowany jest za to kluczyk. Auto otwiera się lub zamyka, gdy się do niego zbliżamy lub od niego oddalamy. Zwykłych przycisków otwórz/zamknij brak. Na szczęście w aplikacji Volvo Cars można zdalnie odblokować auto, uruchomić klakson, włączyć światła lub uruchomić klimatyzację.

EX90 ma dwa bagażniki. Przedni – tzw. frunk – ma 46 l pojemności i zmieści przewody do ładowania plus np. płyn do spryskiwacza. W siedmioosobowym SUV-ie pojemność bagażnika wynosi 384 l przy podniesionych oparciach wszystkich siedzeń. Po złożeniu trzeciego rzędu kufer rośnie do niemal 700 l.

Ceny EX90 zaczynają się od 402,9 tys. zł (wariant Single Motor z napędem na jedną oś). Na wersję Twin Motor trzeba wydać 452,9 tys. zł. Twin Motor Performance to zaś wydatek co najmniej 472,9 tys. zł.

EPSON ECOTANK L6360

Niski koszt wydruku w przeliczeniu na jedną stronę, kompaktowy rozmiar, minimalistyczny design, intuicyjna obsługa oraz możliwość druku dwustronnego – to największe zalety kombajnu drukująco-kopiująco-skanującego japońskiej marki Epson.

Testowane urządzenie zadebiutowało na polskim rynku we wrześniu obecnego roku wraz z trzema innymi modelami nowej generacji. To sprzęt o kompaktowych wymiarach (37,5 x 34,7 x 24 cm) przeznaczony głównie dla użytkowników domowych, ewentualnie małych biur.

Maksymalna rozdzielczość druku wynosi 4800 x 1200 dpi, co pozwala już na wydruki wysokiej jakości – nie tylko grafik do prac domowych, lecz także np. amatorskich zdjęć. I chociaż nie jest to jakość specjalistycznych drukarek fotograficznych, to można z powodzeniem wydrukować na niej własne kartki świąteczne lub rodzinne zdjęcia. Prędkość druku w tym modelu wynosi 18 stron monochromatycznych lub 9 stron kolorowych na minutę. Główną zaletą L6360 nie jest jednak prędkość, ale niski koszt druku. Japończycy podkreślają, że dołączony zapas atramentu powinien wystarczyć nawet na wydrukowanie do 15,1 tys. stron czarno-białych i 5,5 tys. kolorowych. Zaletą jest też przewidywany cykl życia drukarki – według producenta L6360 powinna dać radę wydrukować nawet 100 tys. stron.

Obsługa urządzenia jest banalnie prosta. Samo uzupełnianie atramentu jest całkowicie odporne na osoby bez technicznej smykałki – odpowiednie blokady sprawiają, że niemal niemożliwe jest omyłkowe wlanie innego koloru atramentu do konkretnego pojemnika. Podczas uzupełniania zapasu tuszów nic zaś nie kapie ani się nie rozlewa.

Podczas codziennej obsługi przydają się też kolorowy wyświetlacz LCD o przekątnej 6,1 cm, podajnik papieru mieszczący do 250 arkuszy oraz automatycznie wysuwana tacka na wydrukowane strony. Ważnym plusem jest także możliwość druku dwustronnego, a także obsługa bezprzewodowego drukowania bezpośrednio ze smartfonów czy tabletów (stabilną łączność wi-fi zapewnia obsługa dwóch pasm: 2,4 GHz i 5 GHz).

Wady? Nie jest to najszybsza atramentowa drukarka na świecie. Również skanowanie wymaga nieco cierpliwości (10 s zajmuje skanowanie strony A4 w czerni, a 24 s w kolorze). Urządzenie zdecydowanie lepiej sprawdzi się zatem jako sprzęt do użytku prywatnego niż biurowego. Biorąc pod uwagę jakość druku i koszt eksploatacji, testowany model warto jednak wziąć pod uwagę przy wyborze nowej domowej drukarki. Cena: 1484 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl fecde7f9bb

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jak makiem zasiał

Wielu z nas nie wyobraża sobie Bożego Narodzenia bez słodkich smakołyków, zwłaszcza tych z makiem w roli głównej. Ponad wszystko mak jest bardzo zdrowy! Zatem jak tu maku nie lubić?

W połączeniu z suszonymi owocami i orzechami to istna poezja smaku! W naszym domu zawsze robimy kutię z makiem oraz pieczemy makowce. Uczciwie powiemy, że nie zawsze nam one wychodzą, bo to albo się ciasto rozejdzie, albo nadzienie wypłynie. Ale się nie zniechęcamy i podejmujemy kolejne próby. W tym roku zrobimy szneki z makiem, czyli tradycyjne drożdżówki. Będą trochę mniejsze, takie „na raz", idealne do kawy. Makówka symbolizuje dom, który jednoczy wszystkich jego członków. W święta to szczególnie ważne. Potrawy z makiem na święta być muszą, ich brak może przynieść nieszczęście. Zatem lepiej przygotować więcej słodkości z makiem, aby nikomu szczęścia w nowym roku nie zabrakło.

Szneka z makiem

• 500 g mąki pszennej luksusowej • 50 g drożdży świeżych • 100 g masła • 70 g cukru drobnego brązowego • 250 ml mleka • 2 jajka • 400 g masy makowej • szczypta soli • ekstrakt waniliowy

Lukier:

• cukier puder – 80 g • sok z cytryny – 2 łyżki

Do misy wsypujemy mąkę, mleko lekko podgrzewamy, dodajemy pokruszone drożdże i 1 łyżkę cukru z 2 łyżkami mąki z misy. Mieszamy dokładnie i odstawiamy w ciepłe miejsce, aby rozczyn ruszył. Po chwili przelewamy do misy z mąką, dodajemy żółtka, sól. Mieszamy drewnianą łyżką, potem wyrabiamy ręką lub robotem z hakiem przez ok. 10 min, na koniec dodajemy roztopione masło. Wyrabiamy jeszcze chwilkę i odstawiamy do wyrośnięcia w ciepłe miejsce.

Masa makowa:

Możemy użyć gotowej masy makowej lub zrobić ją samemu. Potrzebne są:

• 350 g suchego maku mielonego • po 50 g orzechów włoskich i laskowych, rodzynek, pokrojonych fig, skórki pomarańczowej • 6 łyżek miodu • 2 łyżki cukru pudru • 100 g masła roztopionego • 2 szklanki wody • 1 szklanka mleka • szczypta soli

Mak zalewamy wodą i mlekiem ze szczyptą soli, gotujemy ok. 2–3 min. Odstawiamy. Dobrze odsączamy. I taki gotowy mak możemy już wymieszać z dodatkami. Na koniec dodajemy miód, masło i ubitą pianę z jajek. Mieszamy. Odstawiamy do wystudzenia i zgęstnienia.

Wyrośnięte ciasto rozwałkowujemy na cienko w prostokąt, masę makową rozsmarowujemy po całości, zostawiamy po 1 cm z brzegu, całe ciasto zwijamy, rolujemy. Rulon ciasta dzielimy na 10 kawałków, a w środku każdego robimy wgłębienie, np. tępą stroną noża. Nagrzewamy piekarnik do 180–185 st. C. Każdą drożdżówkę smarujemy mlekiem. Czekamy, aż prostokąt podrośnie (15–20 min), a następnie wstawiamy na ok. 20 min do piekarnika. Po upieczeniu smarujemy lukrem. Lukier to utarte białka z cukrem pudrem na gęstą jedwabistą masę. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Za chlebem

Wśród licznych odmian „foodies" są amatorzy kawy, herbaciarze, amatorzy steków oraz koneserzy wina. Każdy z tych znawców, kosztując ulubiony napój/potrawę, odbywa (najchętniej przed widownią) rytualną liturgię min i mlaśnięć, żeby na końcu seansu wygłosić odczyt o subtelnościach smaku.

My należymy do pośledniego gatunku smakoszy, gatunku całkiem plebejskiego. Jesteśmy niezaspokojonymi amatorami chleba.

Nigdy, przenigdy, nawet wtedy, kiedy domowa spiżarnia świeciła pustkami, nie kupiłam produktu niegodnego nazwy chleb – białego, równiutkiego, zapakowanego w folię. Po powrocie z USA tęsknota za chlebem stała się u nas wręcz obsesyjna. Amerykanie mają najlepsze na świecie samoloty, najlepszych naukowców, ale pieczywo mają najgorsze na świecie. Już w samolocie człowiek nie przestaje myśleć, jak nazajutrz na śniadanie zje kromkę polskiego chleba – naszego ulubionego, żytniego, na zakwasie. Ze wstydem przyznaję, że po sześciu czy siedmiu latach domowego pieczenia porzuciłam ten wspaniały obrzęd, uginając się przed bogactwem oferty rynkowej.

Jest jedna rzecz, która naszym piekarzom nie bardzo się udaje. Bagietka, ikoniczny produkt Francji obok wieży Eiffla i granatowego beretu. Do tego stopnia ikoniczny, że Francuskie Stowarzyszenie Piekarzy i Cukierników wywalczyło wpisanie jej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Obywatele heksagonu rytualnie, w porze kolacji, ustawiają się w kolejkach do piekarni i nie wyobrażają sobie życia bez bagietki. Jednak nawet Francuzi nie zawsze są z niej zadowoleni, a co dopiero my, Nadwiślanie. Wiadomo, że bułki najlepsze są zaraz po upieczeniu, a jednak wypadałoby, żeby nazajutrz przy śniadaniu nadawały się do jedzenia. Tymczasem większość z nich po paru godzinach składa się już tylko z twardej i kruszącej się skórki, a w środku zamiast miąższu są dziury. W związku z tym polskie bagietki omijam szerokim łukiem.

„Komu chleb zaszkodzi, temu kij pomoże" – cytowała stare przysłowie moja mama, kiedy jako nastolatka próbowałam diet odchudzających. A te w owym czasie stawiały na szynkę i sałatę, pieczywo odsądzając od czci i wiary. Do dziś pokutuje przekonanie, że pieczywo tuczy. Z pewnością kromka chleba ma więcej kalorii niż liść sałaty, ale na pewno mniej niż pączek i coca-cola...

I jakoś ludzkość w swojej historii nie cierpiała na otyłość, chociaż chleb zawsze był najbardziej podstawowym pokarmem biednych i bogatych. Aż do dzisiaj, kiedy jedna trzecia populacji cierpi na otyłość. I to raczej nie bierze się z jedzenia chleba. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

PIOTR KOWALCZUK

PIECZEŃ RZYMSKA

O jeden most za daleko

Budowa namaszczonej przez Unię Europejską linii szybkiej kolei (TAV) Turyn – Lyon trwa od ponad 20 lat. Od tego czasu krucjaty ekologów, zawodowych zadymiarzy i pospolitych idiotów ruchu „No TAV" wandalizują place budowy i atakują robotników, a przede wszystkim chroniących je karabinierów. Wszystko zaczęło się od łgarstwa, że w drążonych skałach jest śmiercionośny azbest. Teraz mówi się o zagrożeniu dla flory i żabek.

Armią wandali i akcjami zaczepnymi kieruje turyńskie centrum społeczne Askatasuna, czyli zideologizowany squat kontestatorów wszystkiego. Na większe akcje przybywają sojusznicy z zagranicy. Na razie międzynarodowe brygady terrorystyczne stosowały broń konwencjonalną – kamienie, pałki i butelki. W zeszłym tygodniu okazało się, że terroryści się przezbroili. Zaatakowali karabinierów wyprodukowanymi własnym sumptem miotaczami kamieni, rażąc pociskami o wadze 5 kg. Co więcej, użyto po raz pierwszy petard na wzór dum-dum, czyli ładunków wybuchowych z ciężkimi śrubami i nakrętkami. Tym można zabić.

Dziwnym trafem francuski odcinek linii jest już niemal ukończony. Obyło się bez polemik i kontestacji. Nieliczni francuscy anarchiści, żeby sobie poprotestować i naparzać się z policją, przyjeżdżali do Turynu. Naturalnie teraz, gdy budowa dobiega końca, protesty nie mają żadnego sensu. Widać jak na dłoni, że nie chodzi o linię kolejową, a o danie upustu potrzebie agresji i zdetonowanie niszczącej psyche frustracji. Ci sami bojówkarze w Turynie zamieniają niemal każdą demonstrację w bitwę z policją, czy to 1 maja czy pochód propalestyński. Co porażające, nad Askatasuną i podobnymi centrami włoska lewica dawno temu rozpięła polityczny, a pewnie i finansowy parasol ochronny. Słowa potępienia agresji frustratów kapią włoskiej lewicy jak krew z nosa. Jak któryś z agresorów dostanie pałką, postępowcy wrzeszczą, że wraca faszyzm.

Terroryści już zapowiedzieli, że rozpoczną akcje na ogromną skalę na południu, gdy tylko rozpocznie się budowa mostu na Sycylię. Paradoksalnie włoscy postępowcy sprzeciwiają się budowie supernowoczesnego mostu. Oczywiście totalna włoska opozycja kontestuje wszystko, co robi rząd. Ale tu chodzi o coś wyjątkowego. Most na Sycylię był przecież marzeniem już za Cesarstwa Rzymskiego. Jeśli teraz stanie, to będzie nieuchronnie imponującym pomnikiem Giorgii Meloni i jej rządu. Dlatego włoska lewica zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić. Utrąciła projekt za czasów Berlusconiego. Ciekawym, jak będzie teraz... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Enerdowski barak

Mojej narzeczonej ukradli samochód i znalazł się w… Amsterdamie. Poleciałem zatem do Holandii, by odebrać go z policyjnego parkingu i przywieść do Polski. Wszystko szło dobrze dopóty, dopóki – gdzieś ok. godz. 1 w nocy – nie zacząłem się zbliżać do granicy polskiej od strony Niemiec. Kilkadziesiąt kilometrów przed granicą zajechał mi drogę policyjny bus i skierował mnie do lasu, w dziwne miejsce. Wśród drzew stał na ogrodzonym terenie barak z parkingiem, gdzie mnie wylegitymowano, i pojawił się problem. Samochód, którym jechałem, nie został oznaczony jako ukradziony, ale już odnaleziony i wyszło, że siedzę za kierownicą kradzionego samochodu.

Zaznaczam, że później okazało się, że zatrzymano mnie nie z powodu kradzionego samochodu. Zwieziono mnie do lasku z powodów profilaktycznych, ot tak – dla sprawdzenia, jeszcze przed wykryciem mnie jako złodzieja. A więc nie pozwolono mi zadzwonić, dziwiono się, że nie wiem, co mam w kieszeniach, przeszukano mnie i samochód. Wyraźnie chcieli mnie sprowokować, było ich z ośmiu, widocznie chcieli się rozgrzać, doginając Polaka na mrozie, łącznie z panienkami w mundurach, szczególnie skorymi do grzebania mi w rzeczach.

W ciągu tych mroźnych godzin, kiedy staliśmy na placu – nie mogłem siedzieć w samochodzie, bo bym jeszcze uciekł – stałem się świadkiem niesamowitego spektaklu. Do tej pakamery w te trzy godziny wjechało z pięć samochodów. Wszystkie na polskim tablicach. Do kontroli.

Szczególnie zafrapował mnie fakt zatrzymania busika pełnego dzieci. Kazali kierowcy wjechać do baraku, jeszcze się kiwały blond główki dzieci, kiedy wjeżdżały do środka. Zaraz miały być obudzone. Przeszukanie tego podejrzanego pojazdu trwało ponad 20 minut, nie widziałem, jak to wyglądało, bo nie wolno mi się było ruszać od (skradzionego) pojazdu. I potem następne samochody, jeden za drugim. Wszystkie polskie.

A więc mamy to – gdzieś w głębi Niemiec… polują na Polaków. W nocy. Zwożą ich do leśnego baraku i kontrolują. Wszystko – dokumenty, bagażniki, schowki. Tak – Polacy szmuglują cudzoziemców z Niemiec do Polski, gumy do żucia i chmiel na piwo. Trzeba więc to kontrolować.

I tak jak tam z nimi stałem, to się zorientowałem, że ci policjanci to pewnie dzieci bardzo nieciekawego pokolenia. Dziadków, którzy tak się zapiekli w wojnie z Sowietami, że nie zdążyli uciec do Amerykanów, rodziców, którzy sobie zafundowali najgorszą komunę, i tajną policję powszechną w obozie. I teraz takie geny rewidują Polaków w nocy, w ciemnym lesie, w baraku. Tak teraz wygląda przyjaźń polsko-niemiecka w enerdowskiej wersji. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Głos z reduty Ordona

Coraz ciekawsze nowiny docierają do zdumionych Europejczyków z pola geopolitycznej rozgrywki, odbywającej się w trakcie negocjacji amerykańsko-rosyjskich, toczonych w cieniu na Ukrainie. Specjalny wysłannik prezydenta USA na Ukrainę, gen. Keith Kellogg, mówi o toczących się rozmowach prostym, żołnierskim językiem: „Jeśli jesteś żołnierzem, zwłaszcza w wojskach lądowych, marines lub piechocie, to rozumiesz, że ostatnie dziesięć metrów do celu to zawsze prawdziwy trud wojny. Wierzę, że jesteśmy na tych ostatnich dziesięciu metrach do końca tego konfliktu, myślę, że pozostało już tylko kilka spraw". Tym, co zdaniem gen. Kellogga skłaniać ma obie walczące strony do szybkiego znalezienia warunków porozumienia, są ogromne straty obu armii. „Związek Radziecki opuścił Afganistan po stracie 20 tys. ludzi. My opuściliśmy Wietnam po stracie 12 tys. Rosja i Ukraina straciły ponad dwa miliony. To straszne liczby, więc musimy zakończyć konflikt" – wyjaśnił amerykański polityk. Liczby te rzeczywiście są straszne. Ich prawdziwa groza tkwi jednak także w tym, że są one dla obywateli państw Europy niespodzianką, o której przez wojenne lata milczeli zarówno politycy, jak i media. W dotychczasowych, „oficjalnych" doniesieniach podawano nam dotąd wielokrotnie niższe szacunki. Czyżby amerykańskie ekipy negocjacyjne padły ofiarą brutalnego oszustwa, zawyżając niemal dziesięciokrotnie bilans trwającej na Ukrainie krwawej rzezi? A może dotychczas okłamywały nas media?

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Pragnienie zakończenia tego kosztownego dla Ameryki konfliktu wydaje się wśród ekipy Donalda Trumpa powszechne. Znalezienie sposobu na geopolityczną „stabilizację" amerykańskich relacji z Rosją znajduje swoje odbicie w nowej strategii bezpieczeństwa USA, nazywanej też „pozwem rozwodowym dla Europy". Europejscy przywódcy, nawet ci najbardziej do niedawna wojowniczy, robią dziś dobrą minę do złej i przebąkiwać zaczynają o potrzebie uregulowania relacji z Rosją.

Innego zdania w tej kwestii zdaje się być polski prezydent Karol Nawrocki. W przemówieniu, wygłoszonym niedawno z okazji Dnia Podchorążego, udzielił on swoim słuchaczom swoistego wykładu: „To także lekcja dla nas. Z Moskalami ani w XIX, ani w XX, ani w XXI wieku nie ma żadnych porozumień. Tam jest tylko kłamstwo, chęć zabrania ducha i chęć zniszczenia. To lekcja, którą wszyscy musimy odrobić, wierząc głęboko w polskich podchorążych, żołnierzy i oficerów – podkreślił prezydent.

Czy otoczenie prezydenta Nawrockiego zdecydowało się wysłać tekst tego przemówienia także naszym amerykańskim sojusznikom, z prośbą o „odrobienie lekcji"? Wiadomość, że „z Moskalami nie ma żadnych porozumień, ani w XIX, ani w XX, ani w XXI wieku", z pewnością uskrzydliłaby zespół negocjacyjny gen. Kellogga. Podczas gdy amerykańscy dyplomaci czują się, jakby dotarli „dziesięć metrów do celu", prezydent Karol Nawrocki instruuje ich właśnie, że cel ten nie istnieje, a z Moskalami „nie ma żadnych porozumień". Być może amerykańscy stratedzy powinni też zastanowić się nad przedstawionym przez prezydenta historyka uzasadnieniem takiej oceny? „Tam jest tylko kłamstwo, chęć zabrania ducha i chęć zniszczenia" – mówi o Rosji prezydent. Ocena ta mogłaby pewnie pochodzić z gnostyckiego traktatu, szukającego w ludzkiej historii odbicia apokaliptycznej walki pomiędzy uniwersalnymi mocami Ciemności i Światła. Tak jak biblijny lud Izraela, powołany do przyniesienia światu Bożej Nadziei, jest w czasach biblijnych „narodem wybranym", tak Rosja, na współczesnej arenie dziejów, staje się wielowiekowym ucieleśnieniem „sił zniszczenia". Wizja tego rodzaju mogłaby pewnie zainspirować któregoś z amerykańskich teleewangelistów, dla którego kreślenie przed słuchaczami scenariuszy Armagedonu jest sposobem zarobku. W Polsce głosi ją wielu utytułowanych historyków.

Płynące z Warszawy lekcje nie mają dla Waszyngtonu wielkiego znaczenia. Jest to, w tym wyjątkowym przypadku, okoliczność pocieszająca. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Intelektualne prowokacje”

Dzięki wicepremierowi, ministrowi obrony Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi wiemy, że „intelektualną prowokacją” była deklaracja, która padła w Berlinie ze strony prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska o tym, że w przyszłym roku „rozważy” on wypłatę przez Polskę odszkodowań dla żyjących jeszcze „bezpośrednich ofiar wojny”.

W ramach kolejnej „intelektualnej prowokacji” premier polskiego rządu skrupulatnie omijał rzeczywistych sprawców tych cierpień. Do gry w „intelektualne prowokacje” ochoczo przystąpił także kanclerz Friedrich Merz, który równie starannie pomijał określenia w rodzaju „ofiary Rzeszy Niemieckiej”, „wojna wywołana przez państwo niemieckie”. Zamiast tego słyszeliśmy o „ofiarach nazistów”.

Od lat „intelektualni prowokatorzy” w Niemczech i na całym świecie przekonują, że druga wojna światowa i polityka okupacyjna na ziemiach polskich była przedsięwzięciem partyjnym, organizowanym, finansowanym i pomyślanym przez jedną z niemieckich partii (NSDAP), a nie przez państwo niemieckie. Stąd też w ramach „intelektualnej prowokacji” słyszymy o „okupacji nazistowskiej”, a nie o okupacji niemieckiej, upamiętniamy „ofiary nazistowskiego terroru”, a nie niemieckiego terroru itd.

W naszym kraju „intelektualni prowokatorzy” w szczególnej obfitości występują w Trójmieście. Ileż tych pełnych intelektualnej finezji prowokacji widzieliśmy w ostatnich 20 latach w Gdańsku, Gdyni i Sopocie?! Przejściowe usunięcie „Roty” z hejnału ratusza gdańskiego w 2024 r., usunięcie rtm. Pileckiego, błogosławionej rodziny Ulmów i św. Maksymiliana Kolbego ze stałej ekspozycji Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku również w 2024 r., a w tym roku wystawa „Nasi chłopcy w Wehrmachcie” w Muzeum Gdańska.

A do tego stałe odgrzewanie w tonie jak najbardziej afirmatywnym pamięci o istniejącym w latach 1919–1939 Wolnym Mieście Gdańsku. „Intelektualni prowokatorzy” nad Motławą jakby nie wiedzieli, że powołanie do życia tego bytu politycznego było efektem skutecznej dywersji Brytyjczyków podczas paryskiej konferencji pokojowej w 1919 r. z czytelnym zamiarem szkodzenia Polsce i unikania „zbytniego osłabiania” Rzeszy Niemieckiej.

Od lat w ramach „intelektualnej prowokacji” słyszymy o „okupacji nazistowskiej”, a nie o okupacji niemieckiej

Niemiecka ludność Gdańska i Niemcy w Rzeszy przymiotnik „wolne” w nazwie rozumieli jako „wolne od polskiego imperializmu”. Bo przecież stałe oskarżanie Polski o „imperializm” było stałym motywem niesionym na fali antypolskiego hejtu wznoszącej się w republikańskiej Rzeszy Niemieckiej po 1918 r. No, ale jak mawia pewien „intelektualny prowokator” na eksponowanym urzędzie w mieście Gdańsku, „to złe słowo Polaka przeciw Niemcowi i złe słowo Niemca przeciw Polakowi” legło u przyczyn wybuchu drugiej wojny światowej.

Całkiem niedawno do grona „intelektualnych prowokatorów” dołączyli włodarze miasta Sopotu, którzy sfinansowali (350 tys. złotych polskich) sporządzenie ponadpięciometrowego pomnika Paula Puchmüllera, niemieckiego architekta, który na początku XX w. jako „główny budowniczy miasta” kierował pracami czyniącymi z osady Zopott tętniący życiem nadbałtycki kurort cesarskiej Rzeszy Niemieckiej.

Ta pomnikowa inicjatywa jest wysokiej próby „intelektualną prowokacją”. Jej autorzy prowokują przecież do zgłębienia historii prowadzonej na początku XX w. przez Rzeszę Niemiecką polityki „kulturowego podnoszenia Wschodu” (Kulturhebung des Ostens). W jej ramach płynęły do wschodnich prowincji Niemiec, zwłaszcza do zaboru pruskiego (a Sopot leżał w jego obrębie) olbrzymie środki finansowe służące do budowy nowoczesnej jak na tamte czasy infrastruktury komunikacyjnej oraz stawiania budynków użyteczności publicznej, które z jednej strony miały wizualizować „niemiecką pracę kulturową na Wschodzie”, a z drugiej strony zapobiegać odpływowi Niemców z tych ziem na zachód (Ostflucht).

Krótko mówiąc, im więcej teatrów, muzeów, szyn tramwajowych i latarń ulicznych, tym lepsze miały być widoki na germanizację ziem nad Wisłą, Wartą i nad Bałtykiem. Każdy, kto skorzysta z „intelektualnej prowokacji” autorów pomnikowej inicjatywy w Sopocie, może doczytać, że sam Bismarck uważał, iż każda nowa linia kolejowa w zaborze pruskim zwiększa szansę germanizacji tej ziemi. I nic do tego nie ma zupełnie nieznaczący fakt, że „główny budowniczy” Sopotu jako mason miał szczególny sentyment do kielni i cyrkla. ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

SKARBY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Donald Trump wypuścił własną kryptowalutę. Ten rynek rośnie. Dwa miliony Polaków inwestuje w kryptowaluty. A prezydent Nawrocki zawetował ustawę o krypto, bo „przeregulowana". Co to w ogóle znaczy? A przede wszystkim po co w ogóle jakakolwiek ustawa? Czy to poprawia życie obywateli, gdy władza się wtrąca do ich pieniędzy? Żadna ustawa nie jest potrzebna – tak uważam. Ludzie są dorośli, jedni głupi, drudzy mądrzy i niech sobie sami ryzykują po swojemu, a władza niech się nie wtrąca.

Nie powinna się wtrącać ani do krypto, ani do handlu złotem, ani do handlu kamieniami szlachetnymi, ani do tego, że w ogródku wykopałem spod ziemi skarb. Ogólnie państwo powinno się cieszyć, że obywatel się wzbogacił, i nie wtrącać się do tego bogactwa. Bogaty obywatel prędzej czy później będzie chciał swoje bogactwo skonsumować i wtedy w gospodarce pojawią się obroty, a co za tym idzie – podatki. Ktoś wykopał garnek złota – należy zostawić szczęściarza w spokoju. Kiedyś będzie chciał wydać, sprzedać albo rozdać, i wtedy wszyscy coś tam zarobią. Im bogatsi obywatele, tym bogatszy cały kraj.

***

Gdy ktoś przywiózł z zagranicy jakiś drogocenny przedmiot, zabytek lub worek szmaragdów; albo… ktoś na bazarku w Rosji kupił tanio od pijaka cenną ikonę – polscy celnicy powinni gratulować i bić brawo, gdy rodak przywozi skarb do ojczyzny. Tymczasem oni konfiskują i walą kary. Złe prawo, które nakłada kary za zwożenie bogactwa. Taki mam pogląd w sprawie i jestem otwarty na kontrargumenty. Rosja niech pilnuje swoich granic od środka, jeżeli chce zapobiegać wywozowi bogactwa. Ale jaki interes ma Polska w karaniu obywatela z ikoną? W USA są ogromne prywatne kolekcje zabytków. I co, niedobrze, że Amerykanie nazwozili do swego kraju skarbów z całego świata? Moim zdaniem dobrze.

***

Na lotnisku w Warszawie stoi gablota z różnymi zupełnie zwyczajnymi przedmiotami – wszystkie są w Polsce zakazane, a cała zawartość gabloty pochodzi z konfiskat. Są tam duże muszle z Karaibów. W Meksyku można zamówić ślimaka na obiad w restauracji, a potem zabrać muszlę, bo ładna. I co dalej? Jeżeli wracam do domu w USA, to tę piękną muszlę mogę zabrać, ale gdybym leciał do Polski, to lepiej nie, bo mnie będą karać.

W gablocie na Okęciu jest też skóra węża. Miałem kiedyś siedmiometrową skórę anakondy. Anakondę upolowaliśmy w Wenezueli z moim kumplem misjonarzem z Polski. Potem ksiądz tę anakondę podzielił na stosowne kawałki i wrzucił do zamrażarki. Jedliśmy steki z anakondy w każdy piątek, bo anakonda to wąż wodny, więc w piątki robiła za rybę. Żaden z nas nie mógł tej siedmiometrowej skóry zabrać do Polski, bo by nas wsadzili za kratki. Ostatecznie sprzedałem skórę kolekcjonerowi z USA. I co z tego ma Polska? Jaki pożytek z zakazu?

***

Nawet z przywożeniem eksponatów do muzeum był kłopot. Opiszę zdarzenie, które miało miejsce dawno temu, i już upłynął okres przedawnienia, więc mogę pisać bezpiecznie. Wiozłem wtedy dzidy i dmuchawki. Miały ponad 3 metry długości. Spakowałem je do grubej rury kanalizacyjnej z PCV, na końcach rury założyłem dekle, okleiłem taśmą, dorobiłem rączkę ze sznurka i tak szedłem przez granicę. Celnik mnie zatrzymał. Znaliśmy się, bo mnie już zatrzymywał kilka razy za różne rzeczy i z różnymi rzeczami.

– Co pan tam ma ciekawego tym razem? Pan tu zajdzie do mnie na rewizję, obejrzymy, oclimy…

– Wiozę dzidy i dmuchawki.

– Pokazuj pan!

Pokazałem, zeszło się jeszcze kilku jego kolegów. Postrzelaliśmy z dmuchawki w ściankę z gipskartonu, a potem zaczęło się clenie.

– Chłopaki, co mam panu Wojtkowi wpisać do deklaracji, żeby to jakoś przeszło na legalu?

Kombinowali dłuższy czas i nic nie pasowało. Prawdy nie mogli wpisać, bo prawda prowadziła do konfiskaty. Wpisanie „dzidy i dmuchawki" odpadało, bo na przewóz broni trzeba mieć zezwolenie. „Wyroby z drewna" też odpadały, bo dzidy robi się z drewna twardego i ciężkiego, czyli szlachetnego, czyli zakaz importu. Ostatecznie wpisaliśmy „rękodzieło indiańskie".

***

Oglądam tę gablotę na lotnisku od lat i tam się merytorycznie nic nie zmienia – ciągła groźba, że ci skonfiskują, nałożą grzywnę i wsadzą do więzienia za to, że przywiozłeś coś cennego do kraju, który został ograbiony z rzeczy cennych przez Niemców, a potem dodatkowo przez Ruskich.

Byłem kilka razy w domu Stanisława Szwarc-Bronikowskiego pod Warszawą. Ten to był niezły kozak z fantazją. Miał oranżerię pełną tropikalnego kwiecia i w tej oranżerii amazońskie motyle. Ale to nic. Pytam starego Szwarca, gdzie jest jego kolekcja motyli w gablotach? Tych najcenniejszych. Wiedziałem, że ma. A on mi na to, że motyle trzyma w kiblu. I rzeczywiście, gdy się poszło do ubikacji, to tam ściany były obwieszone gablotami, a w gablotach motyle na szpilkach. Pytam, czemu trzyma skarby w kiblu, a on mi na to, że tam się zapala światło tylko z okazji wizyty, więc nie płowieją tak szybko, jakby spłowiały w salonie, a poza tym w kiblu można sobie posiedzieć i pooglądać w spokoju. No i wilgoć jest odpowiednia i się nie rozeschną. Gdyby do kibla u Szwarca weszli współcześni celnicy, to Szwarc by poszedł siedzieć. No ale Szwarc od dawna leży w grobie, więc już mu nic nie mogą zrobić.

***

Prezydent zawetował też ustawę dotyczącą hodowli zwierząt na futra. Ale zawetował po to, by producenci mieli czas na „wygaszenie produkcji". Paskudne podejście do sprawy. Eksportowaliśmy futra do USA! Byliśmy dużym dostawcą. To był bardzo dobry biznes, a teraz co się zamknie w Polsce, to się otworzy na Ukrainie i oni zarobią. Prezydent daje „czas na wygaszanie", a nie na rozwój. Jaki pożytek ma Polska z wygaszenia produkcji skór na futra? ©℗

eprasa.pl fecde7f9bb

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

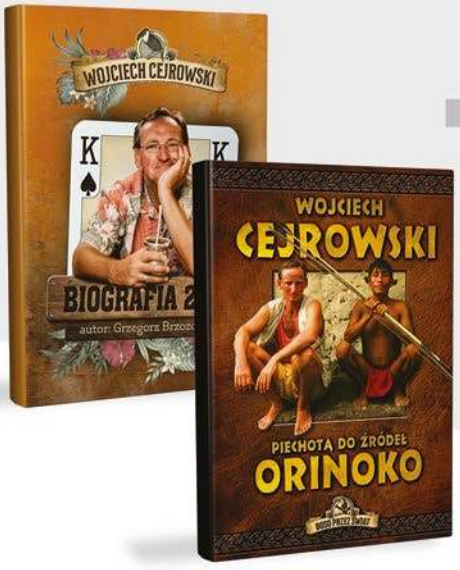

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

GRZEGORZ BRZOZOWICZ:
„BIOGRAFIA 2024. WOJCIECH CEJROWSKI"
WOJCIECH CEJROWSKI: „PIECHOTĄ DO ŹRÓDEŁ ORINOKO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1350~~ ZŁ

569,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 781 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl fecde7f9bb

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE

Dziękujemy naszym Czytelnikom i Inwestorom za udział w ofercie publicznej akcji Do Rzeczy SA – spółki w drodze na NewConnect.

Dzięki Wam — społeczności, która od lat wspiera niezależne, konserwatywno-liberalne media — zebraliśmy w dwóch rundach ponad 3 mln zł nowego kapitału na rozwój.

To realna siła, która pozwala nam rosnąć, inwestować i tworzyć ambitne projekty: rozwój portalu, treści wideo, kanałów społecznościowych oraz nowych inicjatyw, które wkrótce zaprezentujemy.

Dziękujemy.
Rozwijamy się dla Was.

Zespół i Redakcja Do Rzeczy SA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Więcej informacji na
WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

eprasa.pl fecde7f9bb